

Edited by Foxit PDF Editor
Copyright (c) by Foxit Software Company, 2002
For Evaluation Only.

Katherine Stone

ZŁODZIEI SERC

Prolog

*Los Angeles
24 kwietnia*

Moja kochana Caitlin!

Dziś kończysz szesnaście lat. Jesteś taka dorosła, taka dojrzała! A jednak, kochanie, w sprawach miłości - miłości romantycznej - jesteś zupełnie niedoświadczona. I to jest wspaniałe, tak powinno być.

To ta urocza nieświadomość zdecydowała, że wyznaję Ci w liście moją romantyczną miłość. Kiedyś, mam nadzieję, sama wypowiem te słowa. Może wtedy gdy będziesz miała czterdzieści sześć lat, a ja osiemdziesiąt? Jak cudownie byłoby spędzić te lata razem. Ale ja nie doczekam osiemdziesiątki. Obie o tym wiemy. Z każdym mijającym dniem moje serce słabnie. A dziś czuję tak wielką konieczność spisania moich wyznań, jakbym...

Margaret Taylor powstrzymała trwożną myśl, z trudem zaczerpnęła oddech i zmusiła drżące palce do ujęcia pióra.

Moja wola życia nadal jest jednak silna. Gdyby chodziło tylko o zdecydowanie, tylko o miłość, byłabym z Tobą zawsze. I zawsze będę z Tobą, najdroższa Caitie. Zawsze.

Chcę Ci wyznać prawdę o Twoim ojcu. Powiedziałam Ci, że znaleźliśmy się przelotnie, a on nigdy się o Tobie nie dowiedział. I nie skłamałam. Ale wprowadziłam Cię w błąd, mówiąc o naszych uczuciach. Chciałam, żebyś wierzyła, że nie kochaliśmy się na tyle, byśmy mogli razem stanowić rodzinę. Ale, moja kochana, było zupełnie inaczej.

Przyjęłaś do wiadomości prawdę i kłamstwo, więc kusiło mnie, żeby to tak zostawić. Jednak moje serce, stopniowo coraz słabsze, w jakiś dziwny sposób staje się równocześnie coraz silniejsze. Musisz o tym wiedzieć. Musisz się dowiedzieć o miłości.

Spotkaliśmy się napokładzie „Queen Elizabeth” podczas rejsu z Southampton do Nowego Jorku. Twój ojciec był ode mnie młodszy... i taki przystojny! A także, choć dla mnie (tylko dla mnie) nie miało to znaczenia, był niewyobrażalnie bogaty.

Brzmi to jak bajka, prawda? Oszatałmiający arystokrata i trzydziestoczteroletnia stara panna. Kopciuszek i księżę. Oczywiście nie przypominałam tak bardzo Kopciuszka. Nie dręczyły mnie podłe siostry, nie znałam zła, a jedynie miłość., i miałam własną dobrą wróżkę, twoją cioteczną babkę Caitlin.

W życiu Twojego ojca także znalazło się miejsce na miłość. Jednak dla niego, potomka znakomitego rodu, życie było obarczone jarzmem odpowiedzialności i wyborów, które podejmowano za niego. Był muzykiem, Caitlin, i to jak utalentowanym! Pewnego razu, o świcie, grał na pianinie w wielkiej Sali Balowej i śpiewał tylko dla mnie. Obdarzyłby świat swoim wielkim talentem, gdyby los nie pomieszał mu szyków.

Był to niezwykle los. W tym samym czasie gdy moje życie legło w gruzach po śmierci Twojej ciotecznej babki, on przeżywał to samo po śmierci brata. Musiał jednak stawić czoło życiu, musiał podtrzymywać rodziców na duchu i wziąć na siebie wielką odpowiedzialność za ich majątek. Teraz to on był dziedzicem. Musiał dbać o kontynuację rodu. Nie uchylił się przed tym obowiązkiem ...i zrobił nawet coś więcej. Poślubił narzeczoną brata.

Tak, był żonaty. I przygotuj się, kochanie, na coś jeszcze. Ten fakt na pewno ci zdenerwuje, czy będziesz miała szesnaście, czy czterdzieści sześć lat. Jesteś taka uczciwa. Ale ja też! I on.. To, co zrobił, było niedobre — a jednocześnie najlepsze na świecie. Ponieważ, moja najdroższa, dał mi Ciebie.

Czy mam powiedzieć, że na morzu reguły się zmieniają? Że jest to odrębny, magiczny świat? Tak, powiem to, i jeszcze więcej. Miłość zmienia reguły gry, Caitlin. Miłość zmienia wszystko ~ na lepsze lub gorsze.

A myśmy się w sobie zakochali.

Płynęłam do Ameryki, by zacząć tam nowe życie, on zaś podróżował do Nowego Jorku w sprawach zawodowych. Jego rodzice, świadomi piętna, jakie wypaliło na nim ostatnie pół roku, podarowali mu tę podróż jako spóźniony miesiąc miodowy. Nie muszę chyba dodawać, że podróżował bez żony. Jej stan nie pozwalał na rejs nawet po najspokojniejszym morzu.

Tak, najdroższa, jego żona była w ciąży.

Tyle musiała wyjaśnić, odkryć: zawarte przed ślubem postanowienie, by zaczekać z powiększeniem rodziny; złamanie tej obietnicy przez żonę i wściekłość męża; jego ciche przeprosiny tuż przed wyruszeniem w rejs.

Słowa wirowały w głowie Margaret, jej serce biło jak oszalałe. „Nie mam teraz siły na takie wyznania. Na to przyjdzie czas, gdy będę miała osiemdziesiąt lat...”

Twój ojciec płynął pierwszą klasą, a ja „transatlantycką” - tak delikatnie określa się klasę dla biedaków. Pasażerowie tej klasy mieli wstęp tylko do wydzielonych miejsc na statku. Surowo zabraniano im pojawiania się na pokładach zarezerwowanych dla elity, a pasażerom pierwszej klasy odradzano zapuszczanie się w zarezerwowane dla nas nędzne rejony. Lecz nikt nie śmiał stanąć mu na drodze, gdy postanowił przekroczyć granice.

.. Pewnie szukał samotności lub wędrował przed siebie, gdzie oczy poniosą. A może to przeznaczenie sprawiło, że spotkał się w świetle księżycy przed moją małą kajutą.

On był wspaniały, a ja zupełnie zwyczajna. Jak zawsze. A może nie, może właśnie wtedy byłam piękna. Może księżyc sychnął na mnie magicznym pyłem, bo czułam się piękna, a jego oczy, jedyne zwierciadło w owej zaklętej chwili, powiedziały mi, że jestem najcudowniejszą istotą, jaką kiedykolwiek spotkał.

Nazwał mnie Maggie. Wyobrażasz sobie takie imię dla mnie?

Od pierwszej chwili wiedzieliśmy, że mamy dla siebie tylko ten rejs. Uczucie, jakie żywił do żony, mogło się rozwinąć w pewien rodzaj miłości. To małżeństwo miało szansę przetrwać, a on pozostałby wierny. Wierny? Już słyszę Twój zdumiony głos. Jak można się tego spodziewać, skoro dopuścił się niewierności w parę miesięcy po ślubie, tuż po tym, jak się dowiedział, że jego żona jest w ciąży?

Można, moja słodka Caitlin, ponieważ Twój ojciec jest człowiekiem honoru. Wspaniałym człowiekiem.

Kochanie, zasady zmieniają się na morzu, lecz nie zostają zapomniane. Nasza zakazana miłość spawiała mu ból, choć nie mógł się jej oprzeć. Ani ja. Doprawdy, wstyd zupełnie mnie opuścił. Gdyby to było możliwe, kochałabym go znowu, bez końca, bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

Jesteś do niego bardzo podobna, moja Caitie. Ta Twoja powaga, spokojna godność, Twoje dobre serce... I, oczywiście, wyglądasz zupełnie jak on. Wiem, uważasz, że jesteś podobna do mnie. Owszem, do pewnego stopnia, Go sprawia mi wielką radość, lecz jesteś także tak olśniewająca, taka subtelna... To dziedzictwo, które zawdzięczasz jemu. Masz jego oczy w tym niespotykanym kolorze ciemnego morskiego błękitu i jego arystokratyczne kości, u Ciebie delikatne, u niego mocne, choć w jakiś sposób jednakowe; a także jego włosy, czarne jak nocne n i e b o . ,

Od chwili, gdy nasz statek miłości przybił do portu w Nowym Jorku, nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Było to radykalne rozwiązanie, którego on

nie chciał. Choć nasz romans się skończył, musiał się skończyć, on pragnął wiedzieć, jak mi się żyje. Nie mogłam na to pozwolić.

Nie mogłam, Caitlin. To dlatego nigdy się o Tobie nie dowiedział

Cóż by to był za ból, gdyby się dowiedział. Ból i radość. Margaret zamknęła oczy; potrzebowała odpoczynku, pragnęła świadomości, że miała rację, nie wyznając prawdy. Przed jej oczami przesuwwały się obrazy- film o szczęściu, o jej miłości z nim na morzu, o jej życiu na łądzie, razem z córką. Było to życie skromne, lecz pełne miłości. „A jednak gdzieś tam jest bogactwo, którego zawsze pragnęłam dla mojej Caitie: brat, którego mogłaby kochać, podziwiać, darzyć zaufaniem”. To życzenie miało się nigdy nie spełnić, bo Margaret nie potrafiłaby pokochać innego mężczyzny. Kiedy otworzyła oczy, na jej ustach pojawił się delikatny uśmiech. Jako dziewczyna trzymała się z dala od mężczyzn; żyła w jeszcze większej samotności niż Caitlin. „A jednak znalazłam mojego jedyne”.

Moje serce, słabe już w dzieciństwie, przed Twoim urodzeniem zaczęło sprawiać mi kłopoty. I tu uratował mnie sznur pereł, prezent od Twojego ojca. Kupiony w butik na statku był symbolem naszej miłości, bezcennym w sposób, który nie miał nic wspólnego z jego ceną - a była ona ogromna, o czym się dowiedziałam, sprzedając go jubilerowi na Rodeo Drive.

Dzięki tym pieniądzom żyliśmy w dostatku jeszcze długo po Twoim narodzeniu. Perły sprzedawałam tak drogo, że pozwoliłam sobie na jedno malutkie szaleństwo - sznurek sztucznych perełek, najkrótszy jak to tylko możliwe, ubogi krewny tych, które podarował mi Twój ojciec. Ale te malowane szkiełka stały się dla mnie perłami bez skazy, drogim symbolem jego miłości-

Dziś daję Ci je, sztuczne, lecz bezcenne, urodzinowy prezent ode mnie... i od niego. Kochasz je, prawda? Czujesz, że są niezwykle?

Jesteś dzieckiem wspaniałej miłości. I to właśnie jest Twoim dziedzictwem, fortuną liczącą się bardziej niż wszystkie bogactwa tego świata. I Ty znajdziesz swoją miłość, a kiedy dotknie Cię jej magia, zrozumiesz, że miłość zmienia wszystkie zasady - i że w jej imię warto podjąć każde ryzyko.

Nie zdradziłam Ci nazwiska Twojego ojca. Nie jest to błąd, przeoczenie spowodowane zmęczeniem, które mnie obezwładnia wbrew życzeniom mojego serca. Nie musisz go znać. Musisz jedynie wiedzieć, że pokochałby Cię tak mocno jak ja.

Nie znajdziesz go, córeczko. Proszę, nie staraj się go odnaleźć. Nawet Ty, mój mały naukowcu, nie zdołasz rozwiązać tej zagadki. Naszego statku miłości już nie ma. Zatonął w morzu w pobliżu Hongkongu.

Została tylko miłość. A Ty, mój skarbie, jesteś jej najpiękniejszym dowodem.

Co się dzieje? Pytanie wyzwoliło lodowaty strach. Serce Margaret zatrzepotało dziko, brakowało jej powietrza. Drżąca dłoń uniosła się do szyi, szukając znajomego dotyku ukochanych pereł. Lecz ich nie znalazła; szyja, pokryta lodowatym potem, tętniła galopującym pulsem.

Ale wtedy, och, poczuła ciepłą, mocną i czułą dłoń na swojej ręce i jakby za sprawą magii - jej czarodziejskiego wpływu - serce zaczęło bić wolniej i spokojniej. I znowu mogła oddychać, bez trudu, bez bólu. Wciągnęła w płuca woń bzu, zapach perfumowanej świecy... teraz jej wonna kolumna wypełniała powietrze pastelowym kolorem... a w migoczącej liliowej mgiełce ujrziała jego postać.

To on. Oczy koloru morskiego błękitu lśniły szczęściem, bo wreszcie dowiedział się, że ma córkę. Tak, nie myliła się; to było szczęście i miłość.

Zatańcz ze mną, moja Maggie, szepnął. A ona westchnęła: dobrze. Dobrze. Zatańczymy w świetle księżycy, zatańczymy walca powolnego jak łagodnie falujące morze. Ale najpierw musimy razem skończyć list do naszej najdroższej córeczki.

Nie zapominaj nigdy, Caitlin, że zawsze jestem przy Tobie, że jesteśmy oboje, i zawsze cię kochamy. Zaw...

1

Westwood, Kalifornia
niedziela, 21 kwietnia, osiemnaście lat później

Potrzebuję cię, Caitlin.

Głos brzmiał ciepło, głęboko, zmysłowo.

Zaskakujący głos, zaskakujące słowa.

- Caitlin? - Ostra nuta zaniepokojenia rozplynęła się po chwili w przeprasającym szepcie. - Tu Patrick.

Pajęcza sieć snu pękła, rzeczywistość - mimo zupełnych ciemności - powróciła z całą wyrazistością. Na budziku obok łóżka jaśniejące cyferki wskazywały kwadrans po północy. A twardy przedmiot przyciśnięty do jej ucha był słuchawką, podniesioną z widełek właściwie przez sen.

- Patrick - wymamrotała. - Spałam.

- Mocno?

Głęboki sen nie był niczym zdrożnym, zwłaszcza kiedy nie miało się dyżuru. A jednak...

- Chyba tak. Masz dla mnie pacjenta?

- Tak. Młodą kobietę pchniętą nożem przez kochanka. Może umrzeć podczas operacji. Prawdopodobnie tak właśnie się stanie, ale mam absolutną pewność, że umrze, jeśli jej nie zoperujemy.

Patrick zamilkł. Czekał na odpowiedź, której się spodziewał: „Już jadę”. Prawdę mówiąc, dziwił się, że Caitlin. nie wpadła mu w słowo.

Nie tylko mu nie przerwała, ale nadal milczała.

Może znowu zasnęła? Może jej ciało - chronicznie niedospane, łaknące snu - wreszcie się zbuntowało?

Nie, to nie to. Uświadomił to sobie z przykrym ukłuciem w sercu. Chodziło o coś innego, o coś tak ważnego, że ta, która zawsze zjawiała się na jego wezwanie, na wezwanie pacjenta, teraz milczała. Milczała w obliczu trudnego wyboru, na który ją naraził. W jego głosie znowu zabrzmiało poczucie winy.

- Zupełnie zapomniałem o rejsie! Przepraszam, miłej...
- Nie, zaczekaj! Zaczekaj. - Nie chodziło o rejs. To te słowa, które prześladowały ją od dawna. „Może umrzeć podczas operacji, pewnie tak właśnie się stanie, ale z całą pewnością umrze, jeśli jej nie zoperujemy”. Wtedy, tak jak i teraz, wypowiedział je lekarz do innego lekarza. Dziewczynka, ściskająca lodowatą dłoń matki, nie powinna ich była usłyszeć. Ale stało się - a teraz słowa znowu wróciły.

Dramatyczne stwierdzenie, że pacjent umrze bez operacji, to dla lekarza chleb powszedni. Doktor Caitlin Taylor sama je wypowiadała wiele razy. Ale tej nocy, kiedy jej myśli i pewnie także sny już wyruszyły w podróż w przeszłość...

- Już jadę.
- Caitlin...
- Zaraz tam będę.

Mimo głębokiej nocy na tablicy w sali operacyjnej widniały bieżące informacje. Dane pojawiały się w rubrykach przeznaczonych na nazwisko pacjenta, jego imię i płeć, nazwisko chirurga i anestezjologa oraz diagnozę przedoperacyjną.

„Liczne rany kłute” - głosił napis w kolorze akwamaryny. I dalej, taką samą kredą: „Uszkodzenie wątroby?”.

Pacjentka - j edyna wymieniona na tablicy - miała dwadzieścia sześć lat. A operującymi ją chirurgami, których nazwiska wypisano krwistą czerwieńią, byli Falconer i Taylor.

- Caitlin! Dobrze, że jesteś. Patrick już się przygotowuje.
- Caitlin odwróciła się do przełożonego pielęgniarek bloku operacyjnego.
- Jak pacjentka?
- Jeszcze ją mamy. Ledwie.
- Zastosowano już perfuzję?
- Perfuzję? Dłaczego?
- Myślałam... Pacjentka nie ma rany serca?
- Nie. Wierz mi, i bez tego jest z nią kiepsko.

Czy Patrick się pomylił? Mało prawdopodobne. Rana kłuta serca daje się zauważyć - i na pewno zapamiętać. Ale wbrew temu, co się widzi w hollywoodzkich filmach, takie rany zuarczają się bardzo rzadko. Przecież serce jest zamknięte pomiędzy ścianami mięśni i kości. Kula przebija je bez trudu, nóż natrafia na solidną przeszkodę.

Nikt nie twierdzi, że nóż nie może zadać śmiertelnej rany. Może. I zadaje, niemal codziennie. Nóż wybiera się w razie potrzeby bliskiego kontaktu, gdy mordercza furia daje się zaspokoić dopiero widokiem strugi krwi i poszarpanego ciała - ciała delikatnego, miękkiego... zaskakująco wrażliwego gardła czy lichego pancerza mięśni brzucha.

Niebyło nic dziwnego w tym, że ofiara, ataku doznała jednego z najbardziej niebezpiecznych obrażeń, zapisanego na tablicy kredą w kolorze akwamaryny - uszkodzenia wątroby. Ale Patrick musiał sobie zdawać z tego sprawę.

Więc dlaczego zadzwonił właśnie do niej? Caitlin Michaela Taylor specjalizowała się w kardiologii. Kropka.

Patrick wiedział także o tym.

Patrick... Doktor Patrick Falconer. Kruczowłosa, błękitnooki specjalista od chirurgii urazowej, mężczyzna, o którym marzy każda kobieta... każda inna kobieta. Caitlin czuła do niego przyjaźń... a czasem coś więcej, co napełniało ją cichą i głęboką radością. Wtedy... dawno temu, pewnej nocy w Bostonie, pewnego otulonego śniegiem wieczoru, pełnego tajemnic i szampa, gdy Patrick poprosił, by została jego młodszą siostrą. Wtedy - i teraz.

Teraz jej przyszywany starszy brat stał przy umywalce, szorując ręce. Tę czynność mógłby, podobnie jak wszyscy doświadczeni chirurdzy, wykonywać nawet przez sen. Metodyczne czyszczenie paznokci, dłoni i przedramion nie wymagało użycia wzroku. Ciemnobłękitne oczy Patricka były utkwione w drzwiach sali, gdzie przygotowywano pacjentkę.

- Cześć - odezwała się Caitlin.

Nie spojrzał na nią.

- Cześć. Nie zdążyłem ci podziękować i zapewnić, że zdążysz na statek. Kiedy zorientujemy się w sytuacji i okaże się, że sprawa może potrwać dłużej, Jonathan zatelefonuje do Gregga.

Więc dlaczego od razu do niego nie zadzwoniłeś? - pomyślała i zaczęła myć ręce. Pewnie powiedziałaaby to głośno, gdyby widok ramion Patricka nie powstrzymał gwałtownie biegu jej myśli. Pod złocistą pianą zabarwionego jodyną mydła jego skóra była biała jak kreda. Z pewnością ta białość musiała być złudzeniem, wywołanym intensywną barwą mydlin.

Ale twarz i szyja Patricka były równie blade, podobnie jak trójkąt nagiej skóry na piersi, widocznej w wycięciu bluzy.

- Patrick! Jesteś zupełnie biały.

- Z zielonkawym odcieniem. Zatrąłem się. Czymś w hollywoodzkim stylu. Pewnie kiełkami lucerny.

- Możesz operować?

Nawet nie mrugnął, ale mięśnie mocnej szczęki poruszyły się nerwowo.

- Pytasz, czy pacjentka jest bezpieczna? Nie przystąpiłbym do operacji, gdyby tak nie było. Powinnaś o tym wiedzieć.

- I wiem, naturalnie. Chodziło mi o ciebie. Możesz operować? Nie powinnaś się położyć?

- Nic mi nie jest. — Przez twarz Patricka Falconera przemknął blady uśmiech. - Poza tym zabezpieczyłem siebie i pacjentkę, sprowadzając tu ciebie.

- To, że ty się specjalizujesz w kardiologii i chirurgii urazowej, nie znaczy jeszcze, że i ja jestem tak wszechstronna. Minęły lata, odkąd...

— Odkąd mieliśmy taki przypadek?

- Tak. - „Taki przypadek”. Miewali już takie przypadki. Nadal pamiętała własne osłupienie, gdy po raz pierwszy operowała wraz z Patrickiem ofiarę domowej przemocy. Więc to jej mąż tak ją okaleczył? I ciągle brzmiała jej w uszach odpowiedź Patricka, której udzielił poważnym głosem, z pełną wyrozumiałością dla jej naiwności. Powiedział, zdaje się, że ludzie, których kochasz najbardziej, potrafią ci zadać największy ból.

- To tylko parę lat. Na pewno nie straciłaś wprawy.

Jakiej wprawy? Zawsze to Patrick decydował o wszystkim, Patrick o niezwykle giętkich palcach i wyjątkowo zwinnych ruchach. To on prowadził, ona tylko szła za nim. A kiedy wreszcie ich drogi się rozeszły, Caitlin ruszyła w swoją stronę z duszą na ramieniu.

Ale mistrz dobrze wykształcił uczennicę. Caitlin stała się wirtuozem w swojej dziedzinie.

Teraz znowu się spotkali. I w przeddzień prywatnej podróży w przeszłość Patrick skłonił ją do wybrania się w taką samą drogę - na gruncie zawodowym.

- Będziesz musiał mi pomóc.

Ale mistrz milczał, jakby poprzednim stwierdzeniem - „na pewno nie straciłaś wprawy” - wyraził już wszystko.

- Najgorsze obrażenia odniosła wątroba? - zaryzykowała.

- Według mnie nie. Ale nie upieram się przy swoim zdaniu. - Zmarszczył brwi; jego śmiertelnie bladą twarz znaczyły ciemne cienie. - Może to zatrucie ma wpływ na jasność osądu.

- Wątpię. - Nie pozwoliłbyś na to, pomyślała. - Więc martwisz się o...

- Jej śledzionę. Pacjentka doznała licznych obrażeń w prawej górnej części jamy brzusznej... stąd niepokój o wątrobę... lecz ma również ranę w lewym boku. To raczej nakłucie i mogło być zrobione nożem. Tak sądzą, wszyscy, którzy widzieli prześwietlenie.

- Ale nie ty.

- Zastanawiam się, czy nie było jeszcze innego narzędzia... może szpi-kulec do lodu. I choć to bardzo niepewne, zwłaszcza w takim przypadku, wyczułem stwardnienie nad śledzioną.

- Więc uważasz, że najważniejsza jest rana z lewej strony.

- Tak.

A zatem ja też. Irracjonalne przekonanie? Uczeń wiecznie lojalny wobec swego nauczyciela? Młodsza siostra zaślepiona podziwem do mądrzejszego brata, choć on sam powątpiewa we własne sądy i przyznaje, że toksyna mogła spowolnić jego zwykle błyskawiczną ocenę sytuacji?

Nie miała szans na przeprowadzenie badania. Pacjentka już leżała pod sterylnymi prześcieradłami, intubowana, znieczulona i podłączona do monitorów, ukazujących cienką nitkę, na której zawisło jej życie. W jej żyły pom-

powano krew i specyfiki tak silne, że musiały spływać w ciało odmierzonymi kroplami.

Nie było czasu na zorientowanie się, od czego należy zacząć. A przecież nie od razu przekonają się, czy dokonali właściwego wyboru.

Jezioro krwi. To właśnie zobaczą. I nie zdradzi ono żadnych wskazówek - nie zauważą strumienia rytmicznie tryskającego z rozerwanego naczynia krwionośnego w szkarłatne lustro. Ciśnienie pacjentki było na to o wiele za niskie. Nawet najbardziej przyspieszony puls nie zdołałby poruszyć ciężkiej powierzchni kałuży krwi.

Będą musieli się posługiwać dotykiem, nie wzrokiem, jak nurkowie w błotnistych wodach. Rozpocznie się wyścig z zegarem, nieubłagane odmierzającym ostatnie minuty - może sekundy - życia tonącej ofiary. I tak jak nurkowie nie wiedzą, co znajdują w głębi, w której się zanurzają. Będą mogli tylko zgadywać i nie tracić nadziei. Dobrze znali kształty zatopione w szkarłatnym jeziorze, więc ich domysły nie będą przypadkowe.

Doświadczenie Patricka podpowiadało mu, że raną która uruchomiła tykający zegar, jest uszkodzenie śledziony - z czym nie zgadzali się pozostali specjaliści ze szpitala Westwood.

Czy można przeprowadzić operację zwiadowczą? Czy mają dość czasu?

Nie, Ponieważ nawet w tej chwili, gdy szorowali ręce, w sali operacyjnej trwało zamieszanie wywołane rzeczowym stwierdzeniem anestezjologa - „tracimy ją” - które rozległo się głośno i wyraźnie przez interkom w pobliżu umywalki.

- Idź - rzuciła. - Ja jeszcze...

- Nie. Ta kobieta będzie dziękować Bogu Jeśli wyjdzie z tego tylko z zażenowaniem pooperacyjnym. Idziemy oboje, natychmiast.

Usłyszała. I tak nie mogłaby dotknąć pacjentki choćby centymetrem obnażonej skóry. *Za* chwilą ubiorą ją w fartuch- i rękawiczki, owiną zwojami sterylnych tkanin. Nie ulegało wątpliwości, że ostatnie minuty rytuału szorowania rąk były właściwie zbyteczne, co wytknął jej Patrick, gdy po raz pierwszy przyjrzał się jej przy tym zajęciu. „Caitlin, tu nie chodzi o to, żeby upuścić sobie krwi. Prawdę mówiąc, nie trzeba nawet zdzierać skóry”.

Oboje byli już gotowi.

Ruszyli ku umierającej pacjentce.

- Patrick? Uważam, że trzeba zacząć od śledziony.

- Więc do dzieła. Ty to zrobisz.

2

*Sala operacyjna numer trzy, szpital Westwood
niedziela, 21 kwietnia*

Patrick się pomylił. Zdała sobie z tego sprawę, obejmując śledzionę obie-
ma rękami, dotykając jej powierzchni, gładkiej i śliskiej od krwi, szuka-
jąc drzazgi odłupanej ze szpikulca do lodu - i nie znajdując niczego.

Patrick się pomylił. Na pewno już mu się to zdarzało. Wszyscy jesteśmy
omylni. Ale ten przypadek będzie nawiedzał ich w koszmarach. Czyżby zatrue-
cie miało jednak na niego zgubny wpływ? Czy okaleczyć a może zabił swoją
pacjentkę, ponieważ źle zdiagnozowana toksyna odebrała mu jasność myśli?

Nic takiego się nie stanie, ponieważ ona nie zamierzała pozwolić pa-
cjentce umrzeć. Kiedy skończy badać śledzionę, zabierze się za wątrobę.
Znajdzie śmiertelną ranę i chwilowe zatrzymanie się przy śledzionie nie bę-
dzie miało żadnego wpływu na...

- Częstoskurcz komorowy.

No to zróbcie z tym coś! O mało nie wypowiedziała tego na głos. Anestezjo-
log mógł zapobiec arytmii -jeśli ten chaotyczny rytm nie był zwiastunem kłęski
i nie znaczył, że się pomylili, a zegar właśnie staje, by nigdy już nie ruszyć.

I wtedy ją znalazła -twardą grudkę w miększym śledziony, w miejscu, gdzie
przebiło ją coś cienkiego i ostrego.

- Jest - szepnęła. - Jest.

- A może zdołam cię skaptować na mój oddział? Szukam drugiego chi-
rurga.

- To nie dla mnie, dziękuję. Zresztą to twój sukces. Twój cud. Ja tylko
zapewniłam drobne techniczne wsparcie. Powinnaś szybciej znaleźć miej-
sce krwotoku.

- Znalazłaś je w samą porę.

' — Tak... W każdym razie chirurgia urazowa nie jest dla mnie, już nie. Za dużo nerwów. - Machnęła ręką, z której zdjęła już rękawiczkę, lecz jeszcze nie zmyła talku. - A ty, jak się czujesz? Lepiej?

- Znacznie lepiej. Dzięki tobie.

Przechyliła głowę z uśmiechem.

- Pytałam o to zatrucie.

- A, to. Też lepiej. A teraz, pani doktor, musi pani zdążyć na samolot.

- Mam jeszcze mnóstwo czasu. I nawet nie muszę łapać jakiegos konkretnego samolotu. Zamierzam znaleźć się dziś w Nowym Jorku i spędzić noc w hotelu na Manhattanie. Co oznacza, że możemy razem pójść na oddział i sprawdzić stan pacjentki.

- To nie jest konieczne.

Wyszli razem z sali operacyjnej, więc sądziła, że zmierzają na OIOM. Ale Patrick poprowadził ją znacznie krótszą trasą, mrocznym korytarzem za przebieralniami chirurgów.

A teraz? Teraz wysyłał ją w podróż, obsypawszy mnóstwem komplementów, żeby nie zauważyła, że ją odtrąca. Szerokiej drogi, Caitlin.

Czyżby zamierzał sam pójść na oddział, by pławić się w chwale, zamiast dzielić się sukcesem?

Nie był to Patrick Falconer, jakiego znała... kiedyś, dawno temu.

- Chcę na nią spojrzeć, Patrick. Dawno mi się nie zdarzyło operować kogoś, kto został przygotowany jeszcze przed moim przyjściem. Chcę wiedzieć, jak ona wygląda.

- Więc idź pierwsza, dobrze? Ja się przebiorę. A gdybyśmy się nie spotkali... jeszcze raz ci dziękuję i życzę szczęśliwej podróży.

Tak, to znów mówił jej Patrick. Uśmiechnęła się.

- Dziękuję. Do zobaczenia za tydzień.

Do zobaczenia. Do zobaczenia. W połowie trzeciego biegu schodów echo tych słów kazało się jej zatrzymać.

Szła do pacjentki z błogosławieństwem Patricka. Ale tak naprawdę osobą, którą pragnęła zobaczyć -dobrze się jej przyjrzeć - był właśnie on.

Zatrucie, powiedział. Kiełki, zażartował.

Już miesiąc temu, kiedy przybył do Los Angeles, zauważyła, że jest znacznie bladejszy niż kiedyś. Bladejszy. Ale zdrowy. I silny.

Nie ma w tym nic niepokojącego. Z łatwością można to wytłumaczyć. Zima na wschodnim wybrzeżu jest tak ostra, że nawet najdzielniejsi sportowcy chronią się w ciepłych wnętrzach. I co w tym dziwnego, że specjalista od chirurgii urazowej, mający doświadczenie także w operacjach serca, spędza parę godzin na sali operacyjnej, żeby nie wyjść z wprawy?

Ale miesiąc temu nie był tak straszliwie bladej - nie był taki nawet przed czterema dniami, kiedy ostatnio się widzieli. Jego skóra nie miała tej przezroczyściej bieli. Tej poświaty śmierci.

Co mogło nadać jego skórze odcień lodu?

Tylko jedno: utrata krwi. Dużej ilości krwi.

- Boże - szepnęła. Wróciło niepokojące wspomnienie sprzed czterech dni.

Spotkali się przed windami w pobliżu radiologii i razem pojechali na wyższe piętro, Caitlin towarzyszyła Patrickowi, ale to on czekał na windę, nie ona. To on postanowił pojechać, zamiast iść piechotą.

Korzystać z windy, by przejechać trzy piętra? Patrick, którego znała, mężczyzna, z którym przemierzała nie kończące się korytarze szpitala w Massachusetts, nigdy nie wsiadłby do windy, gdyby miał do przejścia marne trzy piętra. Albo cztery. Albo pięć. Nawet sześć.

Jeśli nie przewozili pacjenta i nie robili obchodu, zawsze szli po schodach. Bez wyjątków.

Oboje byli sprawni fizycznie. Musieli, Byli wojownikami w zażartej walce ze śmiercią.

Rzuciła się biegiem w dół, ku ciemnemu korytarzowi, gdzie Patrick stał w mroku - ukrywając przed nią prawdę. Ale ona już wiedziała. Jego skóra lśniła bielaw cieniu korytarza. Jakby emanowała własnym światłem.

Teraz sobie przypomniała, że na wieść, iż spotkają się dopiero za tydzień, na jego twarzy pojawił się wyraz głębokiego bólu, na widok którego serce jej zamarło. Ale zniknął tak szybko, że z ulgą uznała go za złudzenie.

.Nie, to nie było złudzenie.

Jej przyjaciel, jej starszy, mądrzejszy brat żegnał się z nią z głębi ciemności.

Napis na drzwiach głosił „Męska przebieralnia”. Kiedyś, nie tak dawno temu, wisiała tu tabliczka „Przebiegalnia lekarzy”. W tamtych czasach jedyna kobieta chirurg przebiegała się w pokoju pielęgniarek. Teraz znajdowały się tu przebieralnie dla kobiet i mężczyzn, bez podziałów na wykonywane zawody. A Caitlin zamierzała wtargnąć do męskiej, nie tracąc nawet czasu na pukanie. Wiedziała, że zastanie tam tylko Patricka. Jedynym oprócz niego mężczyzną w sali operacyjnej był Jonathan, przełożony pielęgniarek,, a on jeszcze nie zszedł z dyżuru.

Patrick pewnie bierze prysznic. Powinna do niego zadzwonić z holu. Zakładając, że męska przebieralnia ma taki sam rozkład jak żeńska, dzieliłyby ich długie szeregi szafek, przez co Patrick zbyt wcześnie dowiedziałby się o jej powrocie.

Choć w tej chwili to nie miało znaczenia. Wszystko straciło znaczenie. Teraz myślała już tylko o jego przezroczyściej skórce, o wojowniku zbyt osłabionym, by pokonać trzy kondygnacje, i o tym wyrazie bólu... o smutnym spojrzeniu, którym się z nią żegnał.

Nie zastała go ani pod prysznicem, ani w przebieralni. Nie zdołał dojść tak daleko. Leżał na krześle w holu; odchylił głowę do tyłu, zamknął oczy. Blady jak trup. Nie ruszał się.

Śpi? Błagam, niech śpi.

- Patrick?

Zwłoki ocknęły się, lecz nie odzyskały przytomności. Pamięć podsunęła jej wspomnienie, którego nienawdziła, lecz nie potrafiła odepchnąć: pacjent, którego podłączono do defibrylatora w nadziei, że dzięki temu jego serce zdoła podjąć życiodajny rytm. W odpowiedzi na elektryczny wstrząs pacjent poderwał się gwałtownie, nagle ożywiony.. 'na krótką chwilę. Zaraz potem życie znowu z niego wyciekło.

Nie odchodź, Patrick. Nie waż się.

Uśluchał tego bezgłosego rozkazu. Usiadł, przytomny i ożywiony, a na jego ustach pojawił się słaby uśmiech.

- Caitlin...

- Masz mi powiedzieć, co się z tobą dzieje, i to natychmiast.

W upiornie bladej twarzy jego oczy wydawały się niemożliwie błękitne. Błękitne i nieruchome.

- Mowy nie ma. Właśnie uratowałam pacjentkę i mam nadzieję, że lada chwila wybierzesz się w rejs, a ja wrócę do domu, żeby przespać to zatra...

- To nie jest zatrucie.

- Nie?

- Nie. Przyjechałeś tu błady - nie aż tak jak teraz, ale z pewnością wiele bardziej niż kiedyś - i jesteś osłabiony, prawda? Za słaby, żeby wejść po schodach!

I, o Boże, dodała w myślach, wyglądasz, jakbyś już nie żył.

- Zawsze miałaś dar obserwacji.

- Nie tym razem. Powinam to zauważyć, powinam się wcześniej domyślić. Powinam...

- Paskudnie to wygląda, co? Jakoś nagle zbladłem. Całkiem niedawno. Wczorajem. Czułem się dobrze, prosząc cię o pomoc. Może nie w stu procentach, ale z pewnością byłem zdolny do operowania. Zadzwoiłem, bo uznałem, że pacjentka potrzebuje nas obojga. Ale stało się inaczej, kiedy nagle, w ciągu kilku minut...

Wzdrygnął się. Nie miał pojęcia, że koniec jest tak bliski. A coś w głębi jego organizmu - może komórka mózgu, może komórka serca - z wrytą głęboko przysięgą Hipokratesa - „primum non nocere” - ta komórka krzyczała: „przede wszystkim nie szkodzić”! Ta komórka, odpowiedzialna za niezwykłe u niego roztargnienie, wymazała z jego pamięci wiedzę o zbliżającym się rejsie Caitlin i kazała mu wezwać ją na pomoc.

- Mam szczęście, że do ciebie zadzwoniłem - szepnął ochryple.

Caitlin machnęła ręką. Nie pozwoli się odciągnąć od tematu.

- Masz wewnętrzny krwotok! Najprawdopodobniej wrzód, którego objawy beztrwosko zignorowałeś.

- To nie takie proste. To nie krwotok.

O, Patricku...

- Więc co?

- Nie mam pojęcia. Słyszałaś o mechanizmie wypierania? Miałem nadzieję, że samo przejdzie.

Ach, tak, pomyślała. Serce łątało się jej z bólu i strachu o niego. Więc upewnił się już, że nie ma żadnych krwotoków wewnętrznych, co nigdy nie jest przypadłością łatwą do zlekceważenia, choć w przypadku mężczyzny w jego wieku byłoby najprawdopodobniej schorzeniem uleczalnym.

A jednak nie znalazł objawów takiego krwawienia i zaprzestał dalszych dociekań. Oczywiście wiedziała dlaczego. Przyczyna ostrej anemii przy wykluczeniu krwotoku może być nadzwyczaj niepokojąca. Patrick miał nadzieję, że samo przejdzie. Zlekceważył objawy, udawał, że ich nie dostrzeżga - najzupełniej ludzka, zrozumiała reakcja. Ten człowiek, w wielu sytuacjach zdobywający się na czyny nadludzkie, był przecież zwyczajnym śmiertelnikiem.

Śmiertelnikiem. Istotą podległą śmierci.

- Musimy znaleźć przyczynę. Zaraz. Dzisiaj.

- To ja ją muszę znaleźć. I znajdę. Nie mam wyboru. **Jutro** .z samego rana, kiedy twój samolot wystartuje...

- Nigdzie nie jadę.

- Jedziesz.

- Pobiorę ci krew. Dobrze? Hematokryt...

- Przecież go już znasz. Wystarczy na mnie spojrzeć. Dwadzieścia parę, prawda? I liczba płytek... No tak. - Palce białe jak śnieg, jak kości odarte z ciała, uniosły nogawki uniformu, ukazując łydki. Tu widać było wreszcie jakiś kolor - mrowie maleńkich sinych kropeczek, galaktyka na przezroczystej skórze. - Też niska, nie sądzisz? Więc tak naprawdę nie znamy tylko Hczby białych krwinek.

I, jak zwykle, miał rację. To liczba białych krwinek miała zdecydować o diagnozie, której oboje się bali.

- Pobiorę ci krew, pozwól - powiedziała cicho, błagając go żarliwie w myślach: pozwól mi być z tobą w chwili, gdy dowiesz się o swoim losie... o białaczce.

Nie odpowiedział od razu; niemal słyszała jego wątpliwości. Nie chciał jej w to mieszać. Ale nie chciał też zostać sam.

- Pod jednym warunkiem - odezwał się wreszcie. - Wsiądziesz do tego samolotu bez względu na wszystko.

3

*Oddział kardiologii, szpital Westwood
niedziela, 21 kwietnia*

Świt, nieświadomy całunu ciemności zarzuconego na ziemię, rozpościerał słońca na niebie złociste i różowe barwy. Patrick i Caitlin obserwowali nowy dzień, rodzący się nad Miastem Aniołów. Nie pozostało im nic innego. Wibrujący blask wpadał przez szklane ściany gabinetu na osiemnastym piętrze - blask, którego piękno wydawało się sztywnieć, a nie pocieszać. Wspaniałość świtu opromieniała monitor komputera; Caitlin musiała wyteńczyć wzrok, by odczytać widniejące na nim symbole.

Przez chwilę ekran był pusty. Ale wkrótce pobrana krew zaczęła zdradzać swoje tajemnice. Jasne promienie mogły utrudniać odczytanie tych niezwykle ważnych cyfr, ale Caitlin nie chciała - nie mogła - zamknąć żaluzji. Nigdy by nie dopuściła do powrotu ciemności.

Poza tym przy jednej ze szklanych, ścian stał Patricka niemal bezbarwna posiać na tle bladoliliowego nieba. Jego twarz wydawała się wykuta z białego marmuru... cały był niczym marmurowy posąg, zastygły w bezruchu pomnik starożytnego wojownika, spoglądającego na złupiony kraj, O czym myśli? - zastanowiła się Caitlin. Czy przypomina sobie minione wschody słońca, nawet te, które zastawały go przy opłakiwaniu utraconych bliskich? Czy już teraz opłakuje te niezliczone poranki, których nie będzie mu dane ujrzeć? Może się modli, zanoszą bezgłośnie błagania do siły wyższej o mały cud, diagnozę inną niż ta, której się oboje obawiali? A może już się pogodził z losem i tylko prosi o łagodną postać białaczkę, która pozwoli mu być świadkiem jeszcze kilku wschodów słońca...

Monitor komputera ożył, zamigotał symbolami.

Weź się w garść, rozkazała sobie Caitlin. Natychmiast. Wyteńczyła wzrok, spojrzała w ostry blask i dalej, na ciemny ekran z upiornymi cyferkami.

Jako pierwsza pojawiła się liczba hematokryfowa, bladzielone świadectwo nieomyślności tego, którego dotyczyła. „Dwadzieścia parę”, powiedział Patrick. Na monitorze migotała liczba dwadzieścia dwa, ozdobiona symbolem # -była to wskazówka, że wynik jest anormalny, wyjątkowo niska liczba czerwonych ciałek krwi, niska dla każdego człowieka, a zwłaszcza trzydziesto-ośmioletniego mężczyzny.

Po chwili pojawił się szereg dodatkowych informacji na temat czerwonych krwinek, określających zawartość hemoglobiny na krwinekę, jej kształt i rozmiar. Wszystkie te dane nie odbiegały od normy. Ale Caitlin przyjęła je z rozczarowaniem; miała nadzieję - rozpaczliwą i słabą - że Patrick miał rację co do zatrucia pokannowego, że od czasu ich rozstania przestawił się na zupełnie inną dietę, pozbawiając się składników odżywczych.

Czerwone krwinki Patricka nie zdradzały oznak niedożywienia. To nie rygorystyczna dieta wpłynęła na jego szpik kostny. A przez to białaczka wydawała się jeszcze bardziej prawdopodobna, coraz bardziej wyglądało na to, że zdrowe komórki szpiku giną, dławione i niszczone przez agresywny tłum innych, zrakowaciących i drapieźnych.

Kursor zamigotał w oczekiwaniu na dalsze wyniki, decydujące o wszystkim - na liczbę białych krwinek. Migotanie stało się coraz szybsze, niecierpliwe i gorączkowe, pulsujące w rytmie uderzeń serca Caitlin.

Powoli, po kolei zaczęły wyłaniać się liczby. Siedem.. .dwa.. .cztery.. .zero.

Kursor zatrzymał się, lecz nadal drżał, migocząc, jakby balansował na brzegu urwiska. Piątą liczbą byłaby potwierdzeniem tego, czego się oboje obawiali. Siedemdziesiąt dwa tysiące białych krwinek to o wiele za dużo.

Dziesięciokrotnie przekroczona granica stanu patologii.

Dziesięciokrotny wyrok śmierci.

A potem, o Boże, kursor wycofał się w głąb, nie zostawiając piątej cyfry, nie zostawiając nawet jej cienia, nawet śmiercionośnego śladu stopy.

Promienie słońca złagodniały, rozproszyły się w złotawą mgiełkę. A marmurowy wojownik przy oknie? Nada! stał nieruchomo, nie odwracając spojrzenia od wspaniałości świtu, ale mgła otoczyła go i wchłonęła, tłumiąc niesamowitą błądź, opływając złocistą przedzą sztywną sylwetkę.

, - Siedem tysięcy dwieście - szepnęła Caitlin.

Złoczona figura nie drgnęła. Może nie dosłyszała.

"Wreszcie z oddali dobiegł głos, ochrypy i napięty, jakby Patrick przemierzał pustynię w beznadziejnej wędrowce, nie mając odwagi marzyć o oazie, nawet nie wierząc w jej istnienie.

- Płytki?

- Nie, liczba białych krwinek.

Normalna. Normalna.

Poczuła niewysłowioną ulgę, ale... w białaczce absolutna liczba leukocytów krwi może być normalna. Za to poszczególne krwinki bywają dziw-

ne, zniekształcone, jak banda wyrzutków napadających spokojną dzielnicę i mordujących porządných obywateli, którzy stanęli im na drodze. Takie rakowe komórki nie mają litości. To bandyci, psychopaci. Ich kod genetyczny jest przeraźliwie powikłany, niemożliwy do ucywilizowania już od chwili narodzin.

Takie właśnie komórki mogły mnożyć się w szpiku kostnym Patricka. A Caitlin o tym wiedziała. Równie dobrze jak on sam.

Po chwili ze złocistej mgły dobiegł ją głos, jeszcze ochryple, choć już ożywiony nadzieją.

- A wymaz? Wzór odsetkowy?

Wbiła spojrzenie w monitor, w irytujący, choć coraz bardziej przyjaźnie migający kursor. Przemówiła do niego błagalnie i łagodnie „Bądź dla niego miły. Proszę”.

- Na razie brak wyników.

Brak wyników.

Brak wyników.

Przez te nie kończące się minuty oboje rozmyślali w milczeniu o tym samym. Może krwinki były tak anormalne, a diagnoza tak przerażająca, że laborant poprosił o konsultację kolegów z nocnej zmiany, by uzyskać absolutną pewność, zanim wprowadzi do komputera wyrok śmierci? I, idąc za ich radą, może już zadzwonił do doktora Stephen Sheridana, który jedzie do nich, by osobiście zająć się tą delikatną i nieprzyjemną sytuacją?

Oczywiście były także inne scenariusze, znacznie pogodniejsze. Może laborant jest zawałony robotą? A może, nieświadom atmosfery napięcia panującej osiem pięter wyżej, postanowił zająć się analizami po przerwie na kawę? A może...

Wreszcie kursor ożył - chyba laborant rzeczywiście poszedł na kawę i kofeina przyspieszyła mu ruchy, bo płas zielonego punkcika stał się dziki i szalony.

Jak rumba tańczona z okazji święta.

- Wszystko w porządku, Patrick. Wszystko w porządku. No, owszem, jest przesunięcie w lewo, ale to zrozumiałe wobec poziomu adrenaliny, który na pewno miałeś. Ale nie ma anormalnych krwinek. Ani jednej. Tylko liczba płytek krwi jest wyraźnie zmniejszona, ale nie widać retikulocytów.

Retykulocyty, wyprodukowane w szpiku kostnym, są kierowane do krwioobiegu, gdzie zastępują starsze koleżanki - czerwone krwinki, które umierają naturalną śmiercią. Zwykle te pełne energii młode stanowią jeden procent liczby czerwonych ciałek krwi. W przypadku anemii, przy założeniu, że szpik kostny funkcjonuje normalnie, procent retikulocytów powinien być znacznie wyższy.

A Patrick nie miał ich zupełnie.

Odwrócił się do niej od widowiska za oknem. Wytworny, szczupły, wydawał się niemal unosić w powietrzu.

Jak wampir. Ten obraz, podobnie jak poprzedni - wizja pacjenta wyrwanego śmierci przez elektryczny wstrząs, nawiedził Caitlin niechciany i nieproszony.

Co prawda ostatnio hollywoodzkie filmy zaczęły przedstawiać wampiry w niemal romantycznym świetle - wrażliwe stworzenia, dręczone wyrzutami sumienia. Papierowy świat filmu angażował do tych kontrowersyjnych ról najbardziej seksownych mężczyzn. Uderzająco przystojny chirurg jeszcze bardziej poprawiłby wizerunek tych potworów.

Nie, pomyślała. Nie mogłabym go skazać na tak okrutny los.

Poza tym światło słońca jest dla wampirów zabójcze, a jej przyjaciel pławił się w nim niemal przezroczysty, otoczony złocistą aureolą.

- Czyli aplazja - mruknął.

Zawsze unikał mówienia o pacjentach nazwami ich chorób, tak jakby tracili swoją osobowość. Doktor Patrick Falconer nigdy bynie powiedział: „Oto czterdziestoletni alkoholik (schizofrenik, paraplegik...)”. Zawsze mówił: „Widzę czterdziestoletniego mężczyznę z rozpoznaniem...”

A teraz, mówiąc o sobie, złamał własną zasadę. Nie był trzydziestoosmioletnim mężczyzną z anemią aplastyczną, człowiekiem, którego szpik kostny nagle przestał produkować niezbędne do życia czerwone krwinki. Stał się aplazją.

Mimo to w jego głosie brzmiała prawdziwa nadzieja. Głęboko w duszy powtarzał znacznie gorsze zdanie: „Czyli białaczka”.

- Oczywiście - dodał - jeśli szczęście mi dopisze. Mój szpik może być zaatakowany przez nowotwór.

Oczywiście miał rację. Niedokrwistość aplastyczną mogła być pierwotna— schorzenie szpiku kostnego z nieznaną przyczyną; mogła być także objawem wtórnym, spowodowanym przez nowotwór lub infekcję atakującą szpik, w wyniku czego jego zwykłe funkcje ustały.

Nadzieja Patrica - i jej - opierała się na założeniu, że aplazja jest chorobą pierwotną. Caitlin chwyciła się kurczowo tej szansy.

- Nie ma żadnego nowotworu. Skład chemiczny jest bez zarzutu, łącznie z enzymami wątroby. Jeśli cokolwiek znajdziemy w twoim szpiku, będzie to jakiś egzotyczny pasożyt, którego złapałeś podczas podróży. - Podczas misji miłosierdzia w najbardziej łaknących pomocy zakątkach naszej planety, odległych krajach, cierpiących nędzę i głód. - Coś takiego zdarza się przy malarii, prawda? A gruźlica? Pamiętasz przypadek z sześćdziesiątego trzeciego roku?

Oczywiście pamiętał. Przypadek opisany w „New England Journal of Medicine” czternastego lutego tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku, potwierdzony sekcją zwłok, wszedł do programu nauczania w wielu akademiach medycznych. Był przykładem utajonego procesu chorobowego. Co więcej, służył jako przestroga przed łagodzeniem metod leczenia szczególnie ważnych osobistości, kiedy omijano zwyczajowe - i bolesne - procedury.

Pacjentka opisana jako przypadek numer 12/1963 była „siedemdziesięcioletnią wdową”, często „podejmującą zagraniczne podróże”. Mimo pewnych sprzecznych informacji niektórzy uważali, że wspomnianą wdową była Eleanor Roosevelt.

Pacjentka, podobnie jak Patrick-i rzeczywiście była to Pierwsza Dama miała niską liczbę płytek i hematokrytu. A specjalne leczenie, które zastosowano w jej przypadku? Aspirat szpiku kostnego zamiast bardziej bolesnej biopsji. Badanie nie odkryło prawdziwej przyczyny zaniżonych wyników - gruźlicy szpiku kostnego. W rezultacie nie rozpoznana i nie leczona choroba stała się przyczyną śmierci pacjentki kilka miesięcy później.

- Nie licz na specjalne względy, doktorze - powiedziała Caitlin. - Przygotuj się na biopsję szpiku.

Sięgnęła po słuchawkę.

- Caitlin, co robisz?

- Naturalnie dzwonię do Stephen'a Sheridana.

Patrick znał i lubił szefa oddziału onkologiczno-hematologicznego. Za budzącymi szacunek dyplomami i tytułami stał człowiek: rozważny, uczony, uczciwy. Nie można by sobie życzyć lepszego lekarza.

Jeśli się go potrzebuje. Bo Patrick miał już swojego doktora, znakomitą specjalistkę, która właśnie wykręcała cztery łączące ją centralną trójki.

- Poczekaj!

Caitlin usłuchała, ale nie do końca. Słuchawka pozostała zawieszona w powietrzu.

- Dlaczego?

- Po pierwsze, jest szósta rano.

- Stephen na pewno nie śpi. - Zmarszczyła brwi i uśmiechnęła się. - Teraz mi się przypomniało, że on i Christine pewnie są tu, na Five North, z odwiedzinami u swojego trzydniowego synka.

- Trzydniowy noworodek, który nadal pozostaje w szpitalu, nie jest chyba zdrowy.

- Owszem, jest. Urodził się nieco przed terminem, to wszystko. Ma nieznaczne szmery.

- Jeszcze jeden powód, by nie niepokoić Stephen'a.

- To tylko szmer przepływu. Mały David Sheridan cieszy się znakomitym zdrowiem. Dziś wraca do domu. - Przycisnęła trzecią z czterech trójek. - Dlatego...

Tym razem wyciągnął ku niej rękę, A może to były lodowe, kościste szpony? Zacisnęły się na jej dłoni, jeszcze bardziej zimne przy ciepłej jej skórze, zabrały słuchawkę i odłożyły na widełki.

- Dlatego że - podjął Patrick - między ósmą a dziewiątą osobiście zadzwonię do Stephen'a, a on dziś lub jutro zrobi mi biopsję, jeśli znajdzie dla mnie czas. Tymczasem ty złapiesz samolot, a potem statek.

- Nigdzie nie jadę.

- Jedziesz. Zawarliśmy umowę. - Ręka szkieletu machnęła niecierpliwie, ucinając dalsze protesty. - Ten rejs jest dla ciebie ważny. Bardzo ważny. Prawdę mówiąc, odnoszę wrażenie, że masz się tam z kimś spotkać.

- Kto, ja? Potajemne spotkanie na morzu?

Ale na twarzy Patricka nie pojawił się uśmiech.

- Tak. Ty.

- Hmm, dzięki, że mnie tak wysoko oceniasz, ale jadę sama i bez trudu mogę zmienić plany.

- Posłuchaj, Caitlin, musisz popłynąć w ten swój rejs. Może uznasz, że jestem przesadny, ale szczerze wierzę, że wszystko skończy się dobrze, jeśli pojedziesz. Stephen stwierdzi dobrą, staroświecką aplazję i zanim wrócisz, będę na prostej drodze do wyzdrowienia.

A jeśli zostanę? - pomyślała i natychmiast ujrzała złowrogą odpowiedź na twarzy przejrzystej jak lód. Jeśli zostanę, szpik okaże się pełen komórek rakowych i nawet wspaniały Stephen Sheridan okaże się bezradny.

- Dobrze - szepnęła. - Pojadę. Ale czy przynajmniej - pozwolisz mi się dowiadywać o wyniki?

- Jeśli obiecasz, że pod żadnym pozorem nie wrócisz wcześniej.

Zmarszczyła brwi, westchnęła.

- Przyrzeknij, Caitlin.

- Dobrze, przyrzekam. - Ale wiedziała, jak trudno, zbyt trudno będzie mu wyznać, że umiera, jak trudno jest to powiedzieć zwłaszcza przez telefon. Dodała więc: - Czy pozwolisz, żeby to Stephen poinformował mnie o wynikach biopsji?

Otulony w słoneczne światło wampir odpowiedział z bladym uśmiechem:

- Jasne. Pozwolę, żeby cię informował o wszystkim.

4

*Lot numer 904 United Airlines z Los Angeles do Nowego Jorku
dziesięć kilometrów nad poziomem morza
niedziela, 21 kwietnia*

Nie zapominaj nigdy, Caitlin, że zawsze jestem przy tobie, że jesteśmy oboje, i zawsze Cię kochamy. Zaw...

Tymi słowami kończył się list matki. Z tymi słowami skończyło się jej życie. Wspomnienie tamtego urwanego słowa - tamtego życia, tamtej miłości - uwolniło falę emocji.

Do oczu Caitlin napłynęły łzy, lecz nadal widziała obrazy z pamiętnej nocy. Bardzo jasno i wyraźnie.

Jakie uczucia wywołało słowo „zawsze”? Przeszywający ból? Brak tchu? Duszność i pewność, że śmierć właśnie nadeszła?

Nadal słyszała stłumiony odgłos padającego ciała. Chyba już zawsze będzie go słyszeć. Przeżrana popędziła do sypialni matki. Drzwi były jak zwykle uchylone. Każdego innego dnia już dawno zakradłaby się na paluszkach, by zajrzeć w ciemność i usłyszeć uspokajający dźwięk miarowego oddechu.

Ale dziś były jej szesnaste urodziny. Siedziała po turecku na łożku, ubrana w nocną koszulę, lecz nadal w naszyjniku z pereł, który podarowała jej matka:., siedziała zatopiona w dziwnym transie, jakby właśnie poddawała się transformacji, rozkwitaniu z dziewczynki w kobietę, z dziecka w dorosłą osobę. Gdyby nie ten trans, zajrzałaby do matki na długo przedtem, zanim usłyszała ten straszny łoskot, i nalegałaby, żeby pisanie zostawić na jutro...

Wiele lat później Patrick zauważył jej wyjątkowy dar obserwacji. Ludzie będący świadkami jakiegoś zdarzenia przeważnie potrafią sobie przypomnieć zaledwie jego strzępy, okrucy -przynajmniej świadomie. Dalsze szczegóły mogą się wyłonić z podświadomości pod wpływem hipnozy lub pewnych środków chemicznych. Ale w przypadku Caitlin nie było to konieczne. Jej

umysł zapamiętywał wszystko z fotograficzną precyzją; bez żadnych stymulantów potrafiła odtworzyć obraz do najmniejszego detalu.

Tamtej nocy, gdy rzuciła się do pokoju matki, widziała tylko ukochaną postać bezwładnie leżącą na podłodze. A jednak jej umysł zarejestrował arkusze bladoróżowego papieru, kałużę rozlanego atramentu, migotanie świeczki, zapach bzu, gdy jej ruch poruszył wonnym powietrzem. Pamiętała nawet więcej: jak niewielki ogarek pozostał ze świecy, zanim przyjechało pogotowie, jak kapał воск, jak uwalniał się piękny zapach.

Potem, gdy wróciła do domu i ujrzała wystygły ogarek, zrozumiała, że nie zgasił go żaden sanitariusz. Świeca paliła się długo, długo... aż do chwili śmierci jej matki... aż do momentu, gdy serce Margaret Taylor przestało bić.

Wonne powietrze także się rozwiało - w powodzi pachnących woskowych teź.

Kiedy pierwsza rozpacz minęła, Caitlin zdołała odczytać list matki. Jego treść przyjęła z czułością, lecz nie mogła znieść widoku różowych kartek, a najbardziej nienawidziła mężczyzny, który zmusił jej matkę do tego wyznania. Margaret zdawała sobie sprawę z ceny, jaką mogła zapłacić za ten wysiłek. Jej pełne wzburzenia słowa świadczyły, że tak było. A jednak pisała, ryzykując wszystkim, w imię miłości, dla Caitlin, dla niego...

Przez te wszystkie liczne, zbyt liczne lata, jakie upłynęły od śmierci Margaret nienawiść Caitlin do nieznanego ojca uwierała niczym nie zagojona rana. Wreszcie udało się jej zawrzeć ze sobą niechętny rozejm - dla samej siebie, lecz tak naprawdę dla matki. Człowiek, który był jej ojcem, zasługiwał na pogardę. To nie podlegało dyskusji. Wykorzystał niewinność „swojej Maggie”, oczarował ją i uwiódł, okłamał!

Ale Margaret mu wierzyła. Wspomnienie jego „miłości” płonęło w niej jak ogień, jaśniejące i żywe; cudowna radość kobiety kochanej mocno i na wieki. I za to, za ofiarowanie takiego szczęścia jej matce, Caitlin była wdzięczna temu Michaelowi. Bo tak brzmiało jego imię. To dlatego ona nazywała się Caitlin Michaela.

List Margaret obiecywał Caitlin wspaniałe dziedzictwo, należące się jej jako dziecku szalonej namiętności. Ale Maggie była stworzona do miłości. Wszystko było w niej śliczne, kobiece, łagodne.

A jej córka? Twarz Caitlin nie kryła niczego. Efektowna? Tak. Subtelna i poważna? Owszem. Ale tam, gdzie jej matka była łagodna, Caitlin okazywała twardość, a surowość tam, gdzie Margaret była ustepliwa. Skoncentrowana, skupiona, zdecydowana, nieugięta. Te słowa, ostre jak skalpel i precyzyjne jak jego cięcie, opisywały ją najlepiej.

Już jako szesnastolatka Caitlin Michaela Taylor postanowiła, że nigdy nie stanie się bezradną ofiarą okrutnej miłości. A najlepiej miłości w ogóle. Choć w jej życiu znalazło się miejsce na namiętność - do chorych serc, które

poprzysięgła leczyć. Namiętność Caitlin, żarłoczna, bezwzględna i wymagająca, dorównywała namiętności, jaką Margaret czuła do Michaela.

Za trzy dni Caitlin skończy trzydzieści cztery lata, W tym wieku była jej matka, kiedy ją poczęła. Caitlin zamierzała to uczcić w pojedynkę na pokładzie statku - „Queen Elizabeth 2”. Początkowo chciała odbyć podróż z Southampton do Nowego Jorku, dokładnie tak jakjej rodzice, ale w końcu zdecydowała się na podróż z Nowego Jorku na Bermudy i z powrotem. Niestety, wybrała inną klasę. Wolne miejsca pozostały już tylko w najlepszej. Podziały „klasowe” między pasażerami na „Queen Elizabeth 2” nie były już tak rygorystyczne jak na statku, którym podróżowała jej matka, choć wraz z ilością wydanych pieniędzy wzrastał luksus w kabinie i sali jadalnej.

Caitlin miała jadać w „Queens Grill” - najlepszej restauracji na statku, umieszczonej na dziesiątym pokładzie. Najczęściej powtarzającym się daniem był tu kawior, jak powiadomił ją agent w kasie. A tamtejsze desery to dzieła sztuki, zbytkowne cacka matowane syropem czekoladowym, truskawkowym i śliwkowym.

A z kim to Caitlin zamierzała raczyć się tymi wybornymi daniami w wytwornej atmosferze? Z miłością swego życia? Mężczyzną ze snów?

Taki mężczyzna nie istniał.

A tamten, arystokrata Michael? Teraz powinien mieć około sześćdziesięciu lat. Pewnie nadal jest przystojny, szczupły i wysportowany. Jedyne srebrne nitki w kruczoczarnych włosach zdradzają jego wiek.

Być może podróżowanie statkiem weszło mu w nałóg, może stało się dla niego stale wyczekiwaną przyjemnością. Może często ucieka na morze, chrońąc się w pływającym świecie, gdzie nie obowiązują żadne reguły i gdzie może się znowu zakochać? A po paru dniach, odmłodzony, wraca do obowiązków zakotwiczonych na stałym lądzie.

Może żona Michaela będzie mu towarzyszyć podczas tego właśnie rejsu - miesiąc miodowy spóźniony o trzydzieści cztery lata? Może ta, cierpiąca ód dawna istota zapragnęła poczuć cudowny wpływ morza? Może nawet wyobrażała sobie, że ta magia dotyka także jej - srebrne promienie księżycy, które czynią cuda nawet z najbardziej zniszczoną twarzą?

Może wybiorą się całą rodziną? Dziecko, które wówczas zatrzymało żonę Michaela w domu, może znaleźć się na pokładzie... wraz z rodzeństwem z legalnego łoża. A inne dzieci Michaela - te pozamażeńskie, takie jak Caitlin - być może także usiądą we wspnianiałym wnętrzu pięciogwiazdkowej restauracji?

Może takich dzieci morza uzbierałaby się cała sala? Dzieci, karmione przez matki bajecznymi opowieściami o rejsach, wreszcie same zapragnęły - zwiedzić to królestwo płynnej moralności, gdzie zostały poczęte. Pewnie będą szukać odpowiedzi, Ucząc na to, że rozumieją czar, który omamił ich matki, a ich skazał na życie bez ojca.

DC-10 podskoczył, wytrącając Caitlin z zamyślenia; odruchowo sięgnęła ręką do szyi, gdzie znalazła niezawodne pocieszenie. Włożyła dziś naszyjnik Margaret, jej perły, sznureczek lakierowanych szklanych paciorków, który dla córki - tak jak dla matki - miał niewyobrażalną wartość.

Dotknęła sztucznych perł, delikatnie przesunęła po nich palcami, choć jej myśli były dalekie od spokoju. Nie powinna ruszać w tę podróż. Nie teraz, kiedy Patrick jest taki chory.

„Masz pojechać... Jeśli obiecasz, że pod żadnym pozorem nie wrócisz wcześniej...”

Obiecaj, obiecaj, obiecaj.-. I obiecała, ponieważ jego śmiertelnie blada twarz była tak poważna, a cichy głos - nie znoszący sprzeciwu.

5

*Terminal statków pasażerskich, Nowy Jork
poniedziałek, 22 kwietnia*

Jeszcze nie mam tych wyników. Biopsję zrobiłem dopiero dzisiaj, jakąś godzinę temu.

Dlaczego? - pomyślała, spoglądając ze zmarszczonymi brwiami na automat telefoniczny. Wy tężała słuch, by nie uronić ani słowa z wyjaśnień Stephena Sheridana. Połączenie było dobre, ale ściany terminalu drżały od niestannego hałasu.

- Mógłbyś stwierdzić coś na podstawie samej procedury? Wyglądu próbki?

- Nie.

- Ale czy coś się stało? Masz taki głos, jakby...

- Coś się stało? Chyba tak. Przepraszam.

- Z Davidem? Albo z Christine?

Odpowiedź nadeszła natychmiast. "

- Nie, moja żona i syn czują się doskonale... dzięki tobie.

- Nic nie zrobiłam. Byłam tylko posłańcem.

Takim samym jak ty, kiedy mi powiesz, że Patrick umiera.

- Wiesz co? Ta podróż to szaleństwo. Zaraz złapię powrotny lot do Los Angeles.

- Nie, Caitlin. Zdaje się, że jestem całkiem kompetentnym hematologiem.

- Wiem!

Ale dlaczego mam wrażenie, że chcesz mnie chronić? - pomyślała.

A może tylko się jej zdawało, że Stephen mówi dziwnym tonem, może to przez tę hałaśliwą radość wokół niej? Czyjej współpasażerowie nie rozumieją, co się dzieje z Patrickiem? Jak mogą być szczęśliwi, kiedy jej przyjaciel może już nigdy się nie roześmieje?

Ta denerwująca wesołość była jednak nieistotna w porównaniu ze zmęczeniem Caitlin, znużeniem spowodowanym przez sny tak koszmarne, że całkowita bezsenność wydawała się błogosławieństwem.

Sny przenosiły ją na pokład statku-widma, nie tego z opowieści jej matki, pełnego miłości, lecz statku duchów, upiórów i wampirów... I był tam jeden szczególnie wampir, najwspanialsze nocne stworzenie ze wszystkich. Sam Michael.

Elegancki i wyrafinowany uwodził, kusił, czarował. Jego czarne włosy lśniły, błękitne oczy płonęły... zwłaszcza gdy zobaczył Maggie. Uznał ją za zachwycającą. Pocałował jej szyję, dając rozkosz nawet wtedy, kiedy pieszczota zmieniła się w ukąszenie. Podniósł wzrok na Caitlin i roześmiał się ku jej zgrozie. Śmiał się i śmiał, a krew Maggie spływała mu z ohydnych ust.

Upiorny ojciec zapragnął, by córka przyjrzała się także jego dłoniom - dłoniom muzyka lub chirurga. Kolejne dziedzictwo. Michael był chirurgiem, a jego namiętnością, podobnie jak w przypadku Caitlin, były serca. Także serce Maggie.

I oto - nie, nie! - Michael otworzył gołymi rękami klatkę piersiową Maggie, wyjął jej serce i pokazał Caitlin. I znowu się roześmiał. Serce Maggie drżało w jego palcach, a na jego lśniącej szkarłatnej powierzchni Caitlin ujrzała mały płomyk. Przy każdym mocnym uderzeniu płomyk migotał i oświetlał coraz więcej: bladoróżowy papier, płynne pismo matki, rozpaczliwe błaganie: „Ocal mnie, Caitlin. Ocal mnie!”

O, jakże się starała! Ścigała Michaela przez nie kończące się kilometry wypolerowanego pokładu, lecz nie mogła równać się z księciem wampirów. Płynął tuż poza zasięgiem jej ręki, z rozkoszą bawiąc się w chowanego ze swoją córką, nareszcie w roli ojca. W końcu rozrywka go znudziła, a może tylko poczuł, że wkrótce słońce pojawi się nad morzem. Wysączył ostatnie krople krwi Maggie i, zadowolony, rzucił ukochaną w fale koloru jego oczu.

Lecz to Caitlin tonęła. Budziła się, łapiąc gwałtownie powietrze.

Tyle na temat zawarcia rozejmu z nieznanym ojcem.

Zawsze był to zdecydowanie wymuszony rozejm, a teraz dawne urazy ożyły, nawiedzając ją w nocy i mącąc spokój za dnia.

- Caitlin? - odezwał się Stephen, zawsze nieskazitelnie szczerzy. - Nie musisz wracać.

- Wiem. Nie wrócę. Kiedy dostaniesz wyniki?

- Jutro po południu. Może do mnie zadzwonisz, kiedy dotrzesz na Bermudy?

- Na Bermudach będę dopiero w środę, a chcę wiedzieć wcześniej. Podobno można bez kłopotu zadzwonić ze statku. Połączenie idzie przez satelitę, więc pewnie wystąpią opóźnienia, ale... czy mogę zatelefonować jutro po południu?

Uzgodnili, że po drugiej miejscowego czasu Stephen poinformuje ją o wynikach Patricka.

- Kiedy wrócisz, masz mu zdać pełny raport: najdrobniejsze szczegóły o statku, współpasażerach, jedyźnie... wszystko.

- Dobrze. - Opanowała nagłe drżenie głosu i dodała wesoło: - Powiedz mu ode mnie „ahoj”.

No dobrze, starszy bracie. Oto jestem, oto wchodzi po trapie, moją ścieżką ze złotej cegły ~ właściwie z błękitnawej stali - na końcu której czeka na mnie „Queen Elizabeth 2”.

Od razu wyczuwa się tu elegancką i absolutnie brytyjską atmosferą. Powitał nas niewielki oddziałek kobiet i mężczyzn, wszyscy o świeżej, różowej cerze. Wiesz, całkiem jak służba w zamczysku: w wykrochmalonych ubraniach, z uszanowaniem witający powracających z zamorskich krajów jaśnie państwa. Nasz oddziałek miał mundury w stylu marynarskim, granatowe ze złotym szlakiem, a także rękawiczki białe jak twoja...

Mniejsza o to. Zresztą, stało się. Jesteśmy na pokładzie morskiej monarhini. Wkraczamy na pokład drugi, jak wyjaśniają nasi przewodnicy. Oto lobby śródkręcia. Freski od podłogi do sufitu ilustrują historię floty Cunarda. Najbardziej dramatyczny, przynajmniej moim zdaniem, jest ten, który przedstawia drewniany szkuner, żeglujący pod pełnymi żaglami na dziko wzburzonym morzu. O, teraz grają. To coś znajomego, morskiego i brytyjskiego. Ty na pewno od razu rozpoznałbyś melodię.

O parę kroków od lobby śródkręcia znajduje się moja kabina- moje królestwo. Nie zdążyłam otworzyć drzwi, a już podchodzi do mnie uśmiechnięty młodzieniec. Panno Taylor, mówi z uszanowaniem, cudownie szkockim akcentem. Tak, Patricku, „panna Taylor”. Tak właśnie się tu zameldowałam. Jak moja matka. Oczywiście ona także tu jest, Nawet gdybyś mi nie fyolecił zapamiętywać wszystkiego, i tak bym to robiła - dla mej.

Młodzieniec ma na imię Paul i jest moim stewardem. Co oznacza, jak mi wyjaśnia, że dwa razy dziennie będzie sprzątał mojąabinę, a jeśli czegoś zapragnę o dowolnej porze dnia i nocy, będzie na moje usługi.

Jaki on gorliwy, gotowy spełniać wszelkie życzenia.

O, Patricku, gdyby ten chłopak naprawdę miał taką moc...

Kabina zupełnie nie przypominała pozbawionej okien klitki, w której Maggie wyruszyła w rejs. Umieszczona sześć kondygnacji nad poziomem morza była przestronna i słoneczna. Dwa wielkie bulaje zapewniały wspaniały widok - w tej chwili sylwetki wieżowców Manhattanu rysowały się czarnym wzorem na tle ołowianego nieba.

Obie walizki zostały dostarczone z podziwu godną sprawnością. Caitlin zaczęła się rozpakowywać. Ciągle nie mogła się nadziwić swojej nowej, ozdobnej garderobie. Zwykle - oprócz tych rzadkich dni, kiedy nie miała dyżuru - ubierała się w świeżo wyprane szpitalne spodnie i bluzę oraz te-

nisówki. Jedną z wielu kolorowych apaszek wiała na karku długie, czarne włosy.

Ten wygląd - sportowy, fachowy, w dobrym stylu - informował pacjentów, że Caitlin jest gotowa do podjęcia walki o ich zdrowie. Jej najlepsza od czasów liceum przyjaciółka Amanda, ordynator wydziału psychiatrii w szpitalu Westwood, twierdziła, że Caitlin najbardziej do twarzy w kolorze królewskiego błękitu... a także metalicznej zieleni, która ostatnio zaczęła się robić modna.

Ale odzież robocza to jedno, a ubranie odpowiednie na rejs to zupełnie co innego. Caitlin, wspomagana wydatnie przez Amandę, skompletowała kolekcję pełną cekinów i ałasów odpowiednich na „Queen Elizabeth 2”. Amanda decydowała, nie przyjmując żadnego sprzeciwu, zwłaszcza gdy rozpętała się dyskusja na temat toalety w kolorze królewskiego błękitu. Był to, jak twierdziła Caitlin, po prostu bezwstydnie drogi fartuch lekarski.

Amanda miała nieskazitelne wyczucie i doskonały gust. Nowa Amanda, ma się rozumieć. A Caitlin mimo woli zastanawiała się, czy dawna Amanda nie była o wiele bardziej pewna siebie, o wiele szczęśliwsza...

- Witamy na pokładzie.

Męski głos z wyraźnym brytyjskim akcentem wdarł się w rozważania Caitlin. Mówił kapitan, którego słowa dochodziły przez głośnik nad podświetlonym lustrem na ścianie. To wtargnięcie jakoś jej nie zaskoczyło; kojarzyło się z interkomami w każdym ze znanych jej szpitali. Bezpośrednia łączność pomiędzy pasażerami i mostkiem była pewnie koniecznością, może nawet wymagały jej przepisy w razie katastrofy na morzu. Ale w tej chwili służyła jedynie celom towarzyskim. Kapitan osobiście witał swoich gości.

- Wkrótce opuścimy port. Zapraszamy na przyjęcie na górnym pokładzie! Ach, i proszę się nie martwić tą mżawką. Płyniemy w stronę czystego nieba i ciepłego wiatru.

Nie było kilometrów serpentyn i zamieci konfetti. Zapewne, pomyślała Caitlin, to znak nowoczesności - troska o czystość morza. Ale uroczystość się odbyła, co zobaczyła na własne oczy z wyższego pokładu.

Mimo deszczu grał zespół muzyków, a pary tańczyły wesoło. Przemożeni, lecz radośni uczestnicy przyjęcia wlewali w siebie litry ponczu i pożerali kilogramy przystawek, a kiedy zespół zrobił sobie przerwę, w mokrym powietrzu rozbrzmiały dźwięki kobzy.

Statuę Wolności otulały kłęby srebrnej mgły. Majestatyczny zielony posąg lśnił na tle czarnego jak węgiel nieba. Jaśniejący złotem kaganek rzucał mocne światło - niczym wspaniałe słońce po chmurnym dniu.

Caitlin została na pokładzie, dopóki ostatni skrawek ziemi dla wielu ludzi Ziemi Obiecanej - nie znikł w otchłani nocy. Nawet kobza przestała

zawodzić. Dochodziła dziewiąta, ale w restauracji wydawano posiłki aż do wpół do jedenastej. Caitlin miała mnóstwo czasu na prysznic i zmianę ubrania.

Już sięgała po srebrno-różową koktajlową sukienkę, gdy jej ręka, jakby kierując się własną wolą, zoczyła ku sfatygowanemu flanelowemu szlafrokowi.

Czekały na nią kawior i sorbet, a także – być może – sala pełna morskich sierot, po wielu latach wyruszających na spotkanie z ojcem-wampirem.

To snu mi potrzeba, pomyślała, nie jedzenia. Twardego snu bez zjaw i upiorów...

Pomruk silnika.

Delikatne kołysanie.

To wszystko sprawiało, że czuła się, jakby wróciła do łona matki, ukojona do snu biciem jej serca w bezpiecznym, ciepłym, falującym świetle.

Może właśnie dlatego w jej sen wdzierały się jedynie krótkie momenty koszmarów. Morze kołysało ją niczym wielka kolebka, a stukanie silników było sercem jej matki. Jestem chore, szeptało. Jestem uszkodzone, mruczało. Umieram.

Silniki „Queen Elizabeth 2” dostarczały dość energii elektrycznej, by oświetlić całe Southampton. Wielki behemot morza, sunący z prędkością ponad dwudziestu ośmiu węzłów, pożerał trzysta osiemdziesiąt ton paliwa dziennie. Oficerowie z maszynowni na rozkaz króla Jerzego V nosili złotofioletowe naszywki ku czci inżynierów z „Titanica”, którzy poszli na dno wraz ze statkiem.

Dreńczona bezsennością Caitlin dowiedziała się między drugą a czwartą nad ranem jeszcze wielu fascynujących szczegółów o „Queen Elizabeth”.

Pływający hotel, zdolny pomieścić tysiąc siedmuset pasażerów i tysiąc osób załogi, liczył sobie trzysta kondygnacji, miał długość trzech boisk piłkarskich i szerokość jednego. Znajdowały się na nim dwa baseny, dziesięć luksusowych sklepów, bank, dziewięć barów, dyskoteka, pięć restauracji i, według obliczeń Caitlin, ponadnormatywna liczba szalup. Przed zwykłym, pięciodniowym rejsem kuchnię zaopatrywano w szesnaście kilogramów kawioru, szesnaście tysięcy jajek, tysiąc butelek szampana i ćwierć tony homarów.

Program rejsu zawiadamiał, że dwudziestego trzeciego kwietnia przypada dzień świętego Jerzego, patrona Anglii, który zginął męczeńską śmiercią roku Pańskiego trzysta trzeciego. Koktajlem dnia miał być „Hawajski stątek”, a specjalnąkawą - „Normandia”. Zapowiedziano wykład profesora astronomii na temat cudów wszechświata, a w Barze Kryształowym przy dźwiękach harfy karykaturzysta oddawał swój talent do dyspozycji gości. Co godzina odbywały się zajęcia aerobiku, o drugiej miał się rozpocząć turniej

strzelania do rzutków; nawet zupełni laicy byli mile widziani na wykładzie „Wprowadzenie do świata komputerów”, a ponadto, napominał program, „nie zapomnijcie o herbatce w Lido i przyjemności zakupów na Wielkiej Promenadzie”.

Do czwartej Caitlin znała już na pamięć każde drukowane słowo w swojej kajucie. Nauczyła się nawet instrukcji obsługi magnetowidu. A gdyby nagie miała się wydarzyć tragedia, z pewnością mogłaby poprowadzić współpasażerów do wyznaczonego w razie alarmu punktu zbornego na sterburcie.

Nie chciało jej się spać, a zresztą niechętnie myślała o powrocie koszmarów, opuściła więc wreszcie kabinę i ruszyła na spacer po pustych deskach pokładu. Nie spotkała nikogo, człowieka ani ducha. I nie znalazła spokoju. Księżyc jaśniał na niebie, wiatr pojękiwał, a fale o posrebrzanych grzbietach wyglądały jak armia zjaw.

Przepraszam, mamó. Ten statek jest wspaniały - godny następcy tego, który znałaś. I wszyscy są ogromnie mili. Ale troska o Patricka i te straszne sny psujami całą przyjemność.

Jutro, kiedy tylko się dowiem, że Patrickowi nic nie grozi, kamień spadnie mi z serca i wreszcie poczuję wspaniałość morza, a nie jego upiorny wpływ.

Już jutro.

6

„Queen Elizabeth 2” wtorek, 23 kwietnia

Jest opóźnienie, prawda? Ale słyszę cię głośno i wyraźnie. A ty mnie?
- Doskonale.

- To dobrze. I co?

Caitlin czekała z zapartym tchem, aż odpowiedź Stephena dosięgnie satelity wysoko nad Ziemią; martwy metal usłyszy wiadomość wcześniej niż ona.

- To aplazja szpiku.

Odetchnęła głośno.

- To dobrze!

- Dobrze i źle.

- Co? - Czyżby aplazja była jednak objawem wtórnym, spowodowanym przez raka lub pasożyta tak egzotycznego, że nikt jeszcze nie zadał sobie trudu wynalezienia na niego leku? - Znalazłeś przyczynę aplazji?

- Nie. Ale nie mogę go dłużej podtrzymywać. To dlatego odłożyłem termin biopsji. Miałem nadzieję, że do tego czasu liczba płytek się zwiększy, ale wszystkie są pożerane w chwilą po infuzji - dosłownie w ciągu kilku sekund. Taki sam efekt daje transfuzja czerwonych krwinek.

- Na pewno dostawał już transfuzje. - Był to logiczny wiosek: nabyta wrażliwość po przebytych transfuzjach, najprawdopodobniej obfitych, podawanych w nagłych wypadkach.

- Twierdzi, że nie. Był w szpitalu tylko raz, w wieku piętnastu lat, i nie pamięta, żeby podawano mu krew. Ta nadwrażliwość musi być wrodzona. Nie wspominałem o tym wczoraj, bo nie byłem pewny, na ile sytuacja jest poważna.

A była bardzo poważna. Łączą satelitarne wiernie oddawały powagę w głosie Stephena, a doświadczenie Caitlin pozwoliło jej zobaczyć resztę obrazu. Jeśli niebezpiecznie niska liczba krwinek nie zostanie podniesiona,

jeśli będzie nadal spadać, Patrick umrze na oczach jednego z najlepszych na świecie hematologów.

Można mu było właczać w żyły galony krwi i miliardy płytek - na próżno, dopóki jego system immunologiczny odrzucał wszystkie zewnętrzne wpływy w tej samej chwili, w której się pojawiły... jakby wampir odmawiał posilania się krwią podawaną dożylnie.

Patrick nie jest wampirem. To człowiek, cudowny człowiek, i...

- Trzeba zrobić transplantację szpiku kostnego.

- Tak, masz rację. Kiedy tylko to będzie możliwe. Najlepiej wczoraj. Ale znalezienie dawcy będzie bardzo trudne.

Caitlin zmarszczyła brwi. System immunologiczny, który tak szybko odrzucał obcą krew, mógł po inwazji nieznanego szpiku dostać szau, być może fatalnego w skutkach.

Ale zaraz się uśmiechnęła. Patrick Falconer nie musi polegać na krwi obcych ludzi.

Odległy głos Stephena zniszczył jej nadzieję w zarodku.

- Oczywiście najlepiej dla niego byłoby, gdyby dawcą został ktoś z rodziny. Niestety, to jest niemożliwe. Jego rodzice nie żyją, a Patrick nie ma rodzeństwa, kuzynów ani w ogóle dalszych krewnych.

To nie była cała prawda. Patrick miał brata bliźniaka. Ponure słowa Stephena kryły w sobie jednak dodatkową wiadomość: Patrick nie zamierzał zwrócić się do niego o pomoc nawet w sprawie życia i śmierci.

- Więc co zamierzasz? - spytała, jednocześnie planując następne drażniące posunięcie.

- Wprowadziłem do narodowego rejestru transplantacji wszystkie znane mi dane profilu immunologicznego Patricka. Na razie nie pojawił się materiał, który odpowiadałby im choć w niewielkim stopniu. Zamierzam poszerzyć poszukiwania, wysłać prośby do banków krwi, wydziałów hematologii, gdzie się da.

- A jeśli nie znajdziesz odpowiedniego dawcy?

- Wtedy wezmę cokolwiek. Przy agresywnej immunosupresji może mi się udać. Na pewno spróbuję.

- Funkcje szpiku kostnego Patricka mogą nagle pojawić się samoistnie, prawda? Czy nie tak dzieje się czasem w przypadku pierwotnej aplazji?

- Tak, zakładając, że można podtrzymać liczbę krwinek pacjenta aż do wyzdrowienia. Ale my nie mamy takiego szczęścia.

W słuchawce zapadła nagle cisza, maćona lekkimi szmerami setek kilometrów pustki.

Pustki... jak tej w szpiku Patricka.

A jego serce? Czy także jest puste, pozbawione nadziei?

Caitlin, przybrana siostra Patricka, również czuła ten brak nadziei. Doktor Taylor, kardiochirurg, doskonale wyobrażała sobie ten organ. Bez wątpie-

nia jeszcze do niedawna serce Patricka miało jaskrawy kolor walentynkowej pocztówki. Pulsowało niespiesznie, w rytmie wymownie świadczącym o jego żywotności i o sile ciała, które mogło pozostawać na tym świecie jeszcze przez dziesiątki lat.

Ale to się zmieniło. Teraz serce Patricka miało kolor lodu jak bezkrywa pięść zaciśnięta w furii. I pędziło, galopowało ku nieuniknionej śmierci.

- Jak on się czuje? - Jak utrzymuje się na krawędzi przepaści? Czy się chwieje? Czyjego ciało omdlewa ze słabości... a może ze strachu? A ręce, stworzone do ratowania życia wielu ludzi... nawet tych, którzy jeszcze nie wiedzą o swojej chorobie, może nawet jeszcze się nie urodzili? Czy te mądre ręce zaciskają się w bezsilnej wściekłości?

- Jest cichy, Caitlin. I bardzo cicho... umiera.

I milczy na temat swojego brata, pomyślała Caitlin, pożegnawszy się ze Stephenem. A gdyby sama porozmawiała z Patrickiem? Gdyby zażądała, żeby naprawił stosunki z bratem?

Nie miała pojęcia, co się między nimi zepsuło. Odniosła wrażenie, że to, co się stało, jest nie do naprawienia, a sprawcą tego rozdźwięku jest Patrick. Patrick! Cokolwiek zrobił, nie zasługuje chyba na karę śmierci. Ale skoro Patrick nie wyznał Stephenowi, że ma brata bliźniaka, widocznie uważał, że jego zbrodnia należy do tych najstraszniejszych.

Mogła nalegać, by nawiązał kontakt z bratem. Mogłaby, gdyby nie pewność, że Patrick zabroniłby jej cokolwiek robić w tej sprawie. Nie chciała tego słyszeć. A druga przyczyna, dla której pragnęła z nim porozmawiać? Słowa pociechy? Nie, nie tak chciała mu pomóc. Była chirurgiem przyzwyczajonym do energicznego działania. Jej zadaniem było ratowanie chorych serc. Chorych, nie złamanych. A teraz musiała nagle znaleźć sposób, by połączyć serca poróżnionych braci. Choćby na krótko.

W sali operacyjnej po prostu zastosowałyby pomost. Czy istnieje jakiś emocjonalny odpowiednik takiego zabiegu? Jeśli tak, musiała go znaleźć. I znaleźć.

Ale najpierw czekało ją inne zadanie.

Cicho umiera... Raz sama znalazła się w takim stanie. I otrzymała pomoc ze strony mądrej, współczującej dziewczyny. Ta dziewczyna była teraz lekarzem, a dyplom pozwalała jej służyć innym mądrą i dobrą radą, która zawsze przychodziła jej z taką naturalnością. Śmierć nie należała do specjalności Amandy. Było nią przetrwanie. Dzięki jej subtelnej pomocy pacjenci odważnie stawiali czoło lękowi i wspaniale pokonywali najwyższe przeszkody. Właśnie takiej pomocy potrzebował Patrick. Potrzebował właśnie Amandy. Nie ma takiego człowieka, pomyślała Caitlin, któremu nie przydałaby się pełna współczucia rada doktor Amandy Prentice.

Patrick pozwolił jej rozmawiać ze Stephenem, dowiadywać się najdrobniejsze szczegóły swojej choroby, aż do elektronicznych mikrografów jał-

wego szpiku. Wkońcu miał się o tym dowiedzieć cały szpital. Takie wiadomości szybko się rozchodzą.

Ale na razie było to odkryte ścisłą tajemnicą - Patrick nie lubił zdradzać swoich spraw. Więc czy miała prawo dzielić się tą tajemnicą z wybitnym psychiatrą szpitala Westwood?

Nie. Nie miała prawa.

Właśnie wtedy odwróciła wzrok od telefonu na nocnym stoliku i spojrzała w okno nad łóżkiem. Coś kazało jej to zrobić. Coś... lub ktoś.

Patrz, Caitie. Przyjrzyj się dobrze.

Zobaczyła szafirowe niebo i lazurowy ocean. Mglisty pasek kobaltu w miejscu, gdzie niebo całowało ziemią. Ujrzała olśniewające odcienie błękitu - i coś więcej. Ujrzała magię.

O, mam, miałas rację. Tutaj reguły się zmieniają. Stare zasady, takie ważne na stałym łądzie, tutaj bez sprzeciwu odchodzą w niepamięć.

Usta Caitlin, wpatrzonych w czarodziejski błękit, wygięły się w lekkim uśmiechu. Ależ się wściekniesz, Patricku.

Zadzwoiła do Westwood.

Amanda miała chwilę czasu między wizytami pacjentów.

- Tylko mi nie mów, że nie ma cię na „Queen Elizabeth 2” - rzuciła z udaną surowością.

- Bez obaw, jestem dokładnie tu, gdzie mam być. Nie słyszysz? Dzwonie ze statku, przez satelitę, który fruwa Bóg wie gdzie.

Gdzieś w odległej galaktyce, dodała w duchu, czekając na odpowiedź Amandy.

- Tak, słyszę. Wszystko w porządku?

- Tak. Właściwie niezupełnie. Chciałabym cię poprosić o przysługę. - Nie zaczekała na odpowiedź Amandy, ale znała ją z góry: „Co tylko zechcesz, Caitlin, wiesz o tym, prawda?”. W tym czasie jej słowa docierały do Los Angeles. - Chciałabym, żebyś się spotkała z Patrickiem Falconerem. Tak wiem... już dawno chciałam was ze sobą poznać. Żałuję, że nie nalegałam bardziej.

Tym razem opóźnienie było jeszcze większe.

- Właściwie już się znamy.

- Naprawdę? No to będzie łatwiej... choć w tej sprawie nic nie jest łatwe. Patrick cię potrzebuje.

- Mnie? - powtórzyła cicho Amanda, choć serce biło jej mocno. Mylisz się, Caitlin. To nie mnie potrzebuje Patrick Falconer.

- Właśnie rozpoznano u niego anemię aplastyczną. Pierwotną, lecz jakaś skomplikowana nadwrażliwość sprawia, że nie można podtrzymać liczby jego czerwonych krwinek. Trzeba znaleźć dawkę szpiku. - I ja go znajdę, dodała w duchu. - Na razie Patrick powinien z kimś porozmawiać. A kto jest w tym lepszy niż ty?

- Ty, Caitlin.

- Nie, nie. Nie ze środka oceanu, nie przy tych opóźnieniach. Amando, chyba nie masz na to ochoty. Dlaczego?

Ponieważ strach mnie zwyciężył, a ja na to pozwoliłam, myślała Amanda. I nie mogę dłużej tolerować tego stanu. Nie teraz, kiedy Patrick może potrzebować tej jednej, jedynej rzeczy, którą naprawdę mogę mu dać.

- Amando?

- Oczywiście, żę się z nim spotkam. Oczywiście.

- Dziękuję.

A ja znajdę Jesse'a Falconera, brata Patricka, autora erotycznych thrillerów, który zdobył miliony czytelników pod przybranym nazwiskiem Graydona Slake'a.

*Oddział hematologii, szpital Westwood
wtorek, 23 kwietnia*

Schwytany. Uwięziony.
Czy to samo czuł Jesse? Tę nieujarzmioną furję. To rozpaczliwe pragnienie, by się uwolnić?

Dla Jesse'a udręka trwała całymi latami. A dokładnie: cztery lata, trzy miesiące i osiem dni. Dla Patricka dopiero kilka godzin.

Jesse Falconer znalazł się w prawdziwym więzieniu. Zimnym więzieniu z kamienia i stali. Niemiłosierny wyrok, od którego nie było ucieczki. Każda próba niosła ze sobą wielkie ryzyko i perspektywę dłuższej kary w razie niepowodzenia. A co było więzieniem Patricka? Pokój, w którym znalazł się ten lepszy z bliźniaków, był luksusową separatką, jedną z najładniejszych w szpitalu. Patrick mógł z niej uciec w każdej chwili, bez żadnego ryzyka, choć naraziłby się w ten sposób na inne niebezpieczeństwo.

Jaką kruchą istotą się stał! Najdrobniejsze potknięcie, najbardziej powierzchowne draśnięcie mogło spowodować fatalny w skutkach krwotok. Każdy krwotok kiedyś ustaje... Było to makabryczne powiedzenie, znane wszystkim lekarzom: martwi pacjenci przestają krwawić.

Muszę się stąd wydostać. O, właśnie. Tylko to się liczyło. Te słowa tak głośno rozbrzmiewały w jego czaszce, że mizerne oddziałki płytek krwi, strzegące granic mózgu, mogłyby ulec zniszczeniu pod wpływem samych wibracji tego przeraźliwego hałasu. Krew, pozbawiona słabej, choć nieustępliwej tamy, ruszy bez przeszkód... i w ciągu kilku chwil Patrick Falconer zatonie.

Tak jak miał zatonać przed laty.

Muszę się stąd wydostać. Natychmiast.

To takie proste... Miał na sobie szpitalną piżamę, nie więzienny drelich, a po drugiej stronie niewielkiego trawnika mógł znaleźć szafkę kryjącą jego ubranie.

To łatwe. Nie wymaga wysiłku. Jeśli zapomni się o osłabieniu. Teraz było gorzej - skutek utraty krwi, pobieranej do analiz i traconej przypadkiem, gdy zatamowanie nawet najmniejszego krwawienia stawało się niemożliwe. Ramiona Patricka były poznaczone wielkimi siniakami, śladami ukłuć, a całe prawe biodro, na którym wykonano biopsję, było bolesną, sinoczną opuchlizną.

Dzielnie zignorował zawroty głowy, wyjmując ubranie z szafy. Zdecydowanie ominął wzrokiem lustro, ale przecież widział swoje dłonie. Te niegdyś pewne palce chirurga drżały jak w gorączce, dygotały, gdy pozbywał się bluzy od pizamy. Czy palce Jesse'a też tak drżały w dniu wyjścia z więzienia? Czy były równie białe i dygotały na samą myśl o odzyskaniu wolności?

Wolność. To słowo uderzało do głowy. Doktor Patrick Falconer mógł uciec ze swojej eleganckiej celi, lecz więzienie zabierał ze sobą. Zabierał ze sobą jałowy szpik i dzielne, choć żałośnie nieliczne płytki krwi; zabierał ze sobą czerwone krwinki, których liczba zmniejszała się z każdym mijającym dniem. Każda z nich, ginąca naturalną, spokojną śmiercią ze starości, była kolejnym potwierdzeniem, że Patrickowi nie będzie dane umrzeć w taki sam sposób. Śmierć mogła być miłosiernie szybka - zatopienie mózgu w fali krwi. Ale jeśli płytki zatamują śmiertelnie niebezpieczną powódź, krwinki się uduszą. Najmniej ważne organy obumrą na samym początku. Serce i mózg pozostaną do końca. To dla nich poświęcą się wszystkie inne narządy.

On sam zachowa świadomość aż do końca. Będzie czuł szaleńcze bicie serca, nieustannie przyspieszające, by przepompować przez żyły coraz bardziej zmniejszającą się liczbę krwinek. Przeżyje umieranie wątroby, cierpienie śledziony. Być może usłyszy nawet agonię ginących nerek.

Uciekł ze złotej klatki. Ale nie czekała go wolność.

A Jesse? Czy po odbyciu kary znalazł wolność, gdy już całkiem spłacił dług wobec społeczeństwa? A może i jego życie zostało naznaczone piętnem śmierci?

Jesse. Każda chwila jego kary była karą także dla Patricka. Choć nienawdził brata, a przynajmniej starał się go nienawdzić, nieustannie dręczyły go wizje małej, surowej celi.

Jesse zawsze był dzikim, nieokiełznanym -choć wspaniałym -zwierzęciem, którego nie można złamać. W więzieniu go nie złamano. Co do tego Patrick nie miał najmniejszych wątpliwości. Przez wszystkie te lata więzienia w Jessem Falconerze kipiała nieustanna furia. Czy doznawał też innych uczuć? Żalu? Skruchy? Czy brat, z którym niegdyś łączyła go wyjątkowa więź, porozumienie bez słów, czuł udrękę, jakiej doznawał Patrick?

I czy teraz czuje jego uwięzienie? Czy zdrowe komórki szpiku Jesse'a czują umieranie komórek jego brata bliźniaka? Czy Jesse odczuje moment śmierci Patricka, tę chwilę, gdy jego serce przestanie bić? Czy będzie go to obchodzić?

I czy wreszcie zdoła się uwolnić?

Od chwili poznania diagnozy dziko bijące serce Patricka słało nieustanne rozkazy do jego mózgu, błagając go o zwrócenie się do Jesse'a, prawdopodobnie jedynego żyjącego dawcy na świecie. Ulegał tym prośbom... tylko we śnie.

Tak, w tych wspaniałych snach Jesse przychodził mu z pomocą. Oczywiście, że dam ci mój szpik, cały, jeśli tylko zechcesz. Jesteś moim bratem, moim bliźniaczym bratem. Kocham cię...

Tu sen zmieniał się w koszmar. Płynęli po wodzie. Jesse wysłuchał prośby o pomoc, wybuchnął gorzkim śmiechem i spojrzął na niego ze zdziwieniem. Potem Patrick znalazł się w wodzie, Jesse przestał się śmiać i tylko patrzył, nieruchomy i zadowolony, jak Patrick idzie na dno.

Ale koszmar pogłębiał się, ponieważ Patrick nie tonął. Ktoś spieszył mu z ratunkiem. Ona. I przez parę chwil znowu czuł spokój. Ale jej uczucia należały do Jesse'a, nie do niego. Pierścienie na jej palcach migotały brylantami - to prezent od Jesse'a. Ich blask oslepił Patricka. Chcemy, żebyś żył, powiedziała. To dlatego Jesse podzielił się z tobą szpikiem. Ale tylko tym. Nie możesz mnie mieć. Należę do niego.

Koszmar nie bladł nawet w jasnym świetle kalifornijskich dni - ani w świetle tego dnia, dnia uciezki.

W tej samej chwili Patrick ujrzał swoje odbicie w szpitalnym lustrze. Przelotne spojrzenie znieruchomiło jakby zafascynowane makabrycznym widokiem. Odbicie, jego odbicie, stanowiło wspaniałe studium kontrastu. Trupio blada skóra, barwy - jeśli można tak nazwać całkowity brak koloru - cienkiej tafli lodu na bezdennym jeziorze. Jego oczy miały barwę tego jeziora. Jasne, czyste, przeraźliwie zimne.

I broda! Żałośnie bujna, dorodna nawet teraz, gdy umierał. Gęsty, prawie czarny zarost, tak ciemny w kontraście z upiorną bielą, liczył sobie zaledwie parę dni - tyle, ile jego świadomość, że nawet draśnięcie przy goleniu może spowodować poważny krwotok. Spojrzenie Patricka powędrowało ku jego obnażonej piersi. Ramiona stanowiły milczące świadectwo... czego? Chyba wojny. Mógłby być żołnierzem, posiniaczonym w boju starożytnym wojownikiem z czasów, gdy jedyną bronią była siła mięśni i nieustępliwa wola.

Tak, był żołnierzem, lecz w innej walce. W zupełnie współczesnym konflikcie między życiem a śmiercią. W tej ostatecznej bitwie lekarze byli generałami, śmiertelność - wrogiem, a pacjent szeregowcem i kimś jeszcze: ofiarą lub łupem. Patrick także był kiedyś generałem. Teraz przypadała mu rola szeregowca, lecz jego pierś świadczyła, że wyrok zapadł całkiem niedawno. Mięśnie były silne, pozbawione tłuszczu i twarde - złudzenie zdrowia, upiornie fałszywe złudzenie.

Upiornie. Czy stał się upiorem? Jego ciemnobłękitne oczy jeszcze bardziej złodowaciały, bo odbicie w lustrze ujawniło mu prawdę o nim samym: był martwy, stał się ciałem czekającym na sekcję, tak słabym, że już teraz

tęsknił za łożem śmierci, za stalowym stołem sekcyjnym połyskującym w mro-
kach kostnicy.

Znajdź Jesse'a, Poproś go.

Bezgłośnie rozkazy, rozpaczliwe błagania komórek duszących się z bra-
ku powietrza, wstrząsnęły jego mózgiem i oślepiły na chwilę lodowate oczy.
Znaleźć Jesse'a? Błagać go o uratowanie życia?

Miliardy komórek w jego ciele konały, łapiąc powietrze - tak jak on tego
jasnego, letniego dnia. Potem mgła ustąpiła mu sprzed oczu i z kryształową
czystością ujrzał znowu odbicie trupa, który niegdyś był nim. Nic już nie
mąciło mu myśli. A prawda była widoczna jak na dłoni.

Poprosić Jesse'a?

Nie. Prędzej umrze.

I tak umrze.

Minęła długa chwila, zanim dźwięk dotarł do niego, przebił się przez
gorączkowy wir jego myśli. Pukanie było tak nieśmiałe, że nie był pewien,
czy go sobie nie wyobraził.

Być może to śmierć przyszła, żeby go zabrać. Ale ona z pewnością była-
by bardziej pewna siebie niż lekarze i pielęgniarki, wchodzący przez te drzwi.
Ich pukanie - ostre *staccato* - niosło ze sobą jasny, choć krótki sygnał, że
jego ograniczona prywatność zostanie zakłócona. Rad nie rad, musisz nas
przyjąć! Jako lekarz, a teraz jako pacjent, Patrick zdawał sobie sprawę, że
takie wścibstwo jest konieczne. A jednak męczyło.

Drzwi powinny się otworzyć.

Ale tak się nie stało.

Osoba, która za nimi stała, prosiła o pozwolenie wejścia; dawała mu rzad-
ko spotykaną okazję do przejścia kontroli nad sytuacją. Jeżeli się nie ode-
zwie, gość z pewnością się oddali.

Więc czyj to głos powiedział: „Proszę”?

Zrozumiał to w chwili, gdy drzwi się otworzyły. Był to głos demona,
który znalazł sobie mieszkanie w jego jałowym szpiku. Ten demon chciał,
żeby Patrick cierpiał jeszcze bardziej; by odczuwał ból nie mający nic wspól-
nego z umieraniem duszących się komórek. By pragnął czegoś bardziej po-
trzebnego do życia niż te nędzne cząsteczki tlenu.

I oto stanęła przed nim.

Rudowłosa anioł z jego koszmarów. Kobieta z jego snów, o oczach ko-
loru lawendy.

Chcemy, żebyś żył, mówiła w tych snach. Ale nie możesz mnie mieć.
Należę do Jesse'a.

Oczywiście była to tylko wizja stworzona przez dręczącego go demona.
Amanda Prentice nie należała do Jesse'a. W ogóle go nie znała.

- Jak się masz, Amando - powiedział, witając ją... a razem z nią cier-
pienie, ból, pożądanie.

- Dziękuję. Chyba...
- Przebieram się. - Jednym ruchem wyjął koszulę i zakrył nagi tors. - Ale nie obrażam moralności.
- Opuszczasz szpital?
- Tak. Słyszałaś, że mam aplazję?
- Caitlin mi powiedziała. Zadzwoiłaby ze statku, ale podczas satelitarne połączenia powstają takie niezręczne przerwy...
- Bardziej niezręczne niż ta sytuacja?
- Ta sytuacja wcale nie musi być niezręczna - szepnęła, choć doskonale wiedziała, że to nieprawda. Jak może nie być niezręczna? Może, ponieważ musi, brzmiała milcząca odpowiedź. To dla niego. Spróbuję tego dokonać dla niego, by mógł opowiedzieć o swoim strachu. - Moglibyśmy... porozmawiać.

Jej ciche słowa obudziły w nim zaskakującą reakcję: furję, niespodziewaną i silną, rozpaloną do białości wściekłość, jakiej dotąd nie znał. A jednak, mimo płomienia, który w nim szalał, jego głos pozostał lodowaty.

- Jak pacjent z lekarzem, Amando? Umierający chirurg ze współczującym psychiatrą?

- Rozgniewałeś się.

- Tak - przyznał, nie podnosząc głosu; bał się, że wściekłość weźmie nad nim górę, - Ale to chyba naturalne, prawda? Minęło trochę czasu, jednak pamięć wciąż mi dopisuje. O ile sobie przypominam, doktor Kiibler-Ross opisał pięć etapów umierania. Gniew jest bez wątpienia jednym z nich, podobnie jak na przykład negacja, zamknięcie się w sobie, depresja, targi z losem. ... plus wątek nadziei, przeplatający je wszystkie. Dobrze pamiętam?

- Tak. - Bardzo dobrze. Bez zarzutu. - Ale...

- Ale choć znam te wszystkie etapy, nie jestem jeszcze specjalistą? Zgadza się. Przyznam nawet, że pomoc specjalisty bardzo by mi się przydała. Powinienem dotrzeć do etapu akceptacji, zanim będzie za późno. Ale podjąłem decyzję i uważam, że mam do tego prawo. Zamierzam spędzić trochę czasu z tym gniewem. - Muszę, choć nie mam na to ochoty, pomyślał. Ta potworna wściekłość nie należy do mnie... należy do tej nowej, rozgniewanej, umierającej osoby. - Właściwie mógłbym trwać w gniewie aż do końca. To czysta emocja, jedna z tych, które lepiej poznawać w pojedynkę. Chyba że...

- Tak?

Chyba że chcesz się przede mną obnażyć... w przenośni oczywiście. Moglibyśmy na przemian pokazywać sobie nagie i krwawiące emocje. Psychologiczny rozbiór poker, jeśli wolisz.

Tę myśl podyktowało okrucieństwo. Patrick dostrzegł reakcję Amandy na widok jego nagiego torsu: strach równie wstrząsający jak jego wściekłość.

Jaki potwór się w nim przebudził?

- Nie, nic. Wyjdź, Amando. - I to natychmiast, dopóki panuję nad tym złośliwym demonem, który straszy w moich kościach. On się chce uwolnić. Pragnie pokazać mi drogę na skróty do etapu akceptacji. Jego technika jest całkiem prosta. Muszę tylko zranić cię tak, żebyś powiedziała: akceptuję fakt, że umierasz. I jestem z tego zadowolona. Bardzo się co do ciebie myliłam.

Czy demon naprawdę miał tak szlachetne pobudki? Czy chodziło mu tylko o nią? A może chciał ją zranić, ukarać za to, że pojawiła się w życiu Patrycka tak późno? Zbyt późno?

- Proszę, pozwól mi...

- Proszę odejść, pani doktor. Proszę odejść.

Usłuchała. Wreszcie. Bez jednego słowa.

Zanim się odwróciła, jej lawendowe oczy zabłysły. Specjalnie dla niego. „Nie jesteś sobą, Patricku. Wiem o tym”.

Więc kim jestem? - pomyślał, gdy drzwi zamknęły się cicho. Wydawało mu się, że to zatrzaskują się drzwi więzienia. Pozostał sam na sam z rozpaczą.

Wtedy właśnie poznał odpowiedź. Zrozumiał, kim jest ten okrutny demon.

Tak, to możliwe. Wobec zbliżającej się śmierci głęboko ukryte zło wreszcie wypełzło na światło dzienne, by udowodnić, jak silne są więzy pokrewieństwa. Więzy braterstwa.

Jaki potwór obudził w nim taką furję, to lodowate okrucieństwo?

Jesse, oczywiście.

8

*Biblioteka pokładowa „Queen Elizabeth 2”
wtorek, 23 kwietnia*

Mogę w czymś pomóc? - spytała bibliotekarka.
Tak, bardzo proszę. Czy macie powieści Graydona Slake'a? Jakoś nie mogę żadnej znaleźć.

Caitlin przejrzała wszystkie półki w bibliotece o szklanych ścianach. Nic pominęła nawet tych, które mieściły niemieckie, hiszpańskie i francuskie wydania. Szukała adresu nowojorskiego wydawcy Graydona Slake'a. Nawet przekłady musiały podawać tę informację. Zamierzała najpierw znaleźć adres, a potem odbyć kolejną rozmowę telefoniczną. Może nawet kilka. Skłonienie wydawcy, by ujawnił numer telefonu jednego z najlepiej się sprzedających, a zarazem najbardziej tajemniczych pisarzy, mogło zająć trochę czasu - zwłaszcza, że nie mogła zdradzać żadnych bliższych faktów.

Ale wiedziała, że osiągnie swój cel. Wielcy tego świata — oraz ci, którzy się za nich uważają - przeważnie mają zastrzeżone numery telefoniczne. Zdarzało się, że musiała odnaleźć taki numer: kiedy potrzebowała zgody krewnego pacjenta, który stracił przytomność, a miał być operowany... albo kiedy było za późno na heroiczne próby pomocy i czekało ją smutne zadanie poinformowania rodziny zmarłego. Kiedy sytuacja tego wymagała, Caitlin potrafiła bardzo skutecznie nakłaniać do złamania przepisów telefonistki w biurze numerów, prywatne firmy ochroniarskie i nawet policjantów.

W sprawach życia i śmierci przepisy przestawały obowiązywać.

Tak jak na morzu.

- Mamy jego powieści - zapewniła bibliotekarka. - Jeśli nie może ich pani znaleźć, to znaczy, że pasażerowie je wypożyczyli. Wcale mnie to nie dziwi, to bardzo popularny autor. I choć może nie powinnam liczyć na to, że dostaniemy przesyłkę na Bermudach, zbieram zapisy na *Czarny księżyc*.

- Słucham?
- To jego nowa powieść.
- Ach... Czy przypadkiem nie wie pani, kto jest jego wydawcą?

- Nie, ale mogą to bez trudu sprawdzić. - Bibliotekarka odwróciła się do komputera na biurku. Wystukując słowa na klawiaturze, upewniła się: - Chodzi pani o jego wydawców anglojęzycznych? Amerykańskich czy angielskich?

- Amerykańskich, jeśli to możliwe.

Kobieta zmarszczyła brwi.

- Zdaje się, że wszystkie książki zostały wydane w Wielkiej Brytani. Ale w naszej wypożyczalni kaset wideo jest *Śnieżny lew*, a ponieważ w tym tygodniu płynie z nami niewiele dzieci, może została choć jedna kasetka.

Bibliotekarka zaprowadziła Caitlin Óo pomieszczenia z kasetami, mijając po drodze ręcznie rżniętą kryształową kulę, stojącą na stoliku.

- Aha! - Tryurnfalru^uśmiechniętauniosławgórekasetę. - Możewkońcowych napisach znajdzie się jakaś wskazówka? Odniesienie do książki, na podstawie której nakręcono ten film, a przez nią do wydawcy.

- Tak - mruknęła Caitlin, zdumiona, lecz przyjemnie zdziwiona faktem, że Graydon Slake był autorem jednej z najbardziej popularnych dziecięcych książek, według której zrealizowano niedawny przebój kinowy. - Graydon Slake napisał *Śnieżnego Iwal*

- Szukując, prawda? Te jego thrillery, hmm... raczej nie są odpowiednie dla dzieci. *A Śnieżny lew...* ale pani z pewnością go widziała.

- Prawdę mówiąc, nie.

- Więc czeka panią wielka przyjemność. Naprawdę. Chciałam zaproponować, żeby przewinać taśmę aż do napisów końcowych na naszym magnetowidzie. Z pewnością nie ma pani ochoty spędzać czasu w kajucie na oglądaniu filmu, skoro jest tu tyle rozrywek, ale...

- Chciałabym zobaczyć ten film. Mam na to ochotę już od pewnego czasu.

Od tego dnia przed trzema laty, gdy odbyła szaleńczą rozmowę telefoniczną. ..

- Hamulce zawiodły, autobus spadł z nasypu i runął do wąwozu. Jakimś cudem większość dzieci wyszła z tego bez szwanku. Myśleliśmy, że jemu też nic nie będzie, ale mamy kłopoty.

- Jakie? - spytała spokojnie Caitlin w nadziei, że ton jej głosu uspokoi rozmówcę. Był nim lekarz patologii z małego szpitala o pół godziny drogi od Westwood. Szpital miał doskonałą renomę, lecz kiepską aparaturę. To dlatego powstały tak znakomicie wyposażone ośrodki jak Westwood.

- Chodzi o jego serce, dlatego dzwonię do pani. Najwyraźniej odniósł obrażenia klatki piersiowej. Złamane żebra. Możliwość pęknięcia mostka. A teraz spada mu ciśnienie, częstość oddechowca zwiększyła się dwukrotnie, a. zdjęcie rentgenowskie...

- Tamponada serca.

- Na to wygląda.

- Czy ktoś próbował coś zrobić z wysiękiem?

- Nie mamy tu nikogo naprawdę doświadczonego w dokonywaniu nakłucia osierdzia, szczególnie W przypadku dziecka. Poza tym w tej chwili stan jest stabilny, ale sądzimy, że trzeba zrobić zabieg zwiadowczy.

- Na pewno możecie go przewieźć? Jeśli nie, mogę przez telefon pokierować wykonywaniem nakłucia osierdzia.

- Na razie można go przewozić. Na razie. Czy mogę powiedzieć personelowi, że go przyjmiecie?

- Tak. Oczywiście.

- To dobrze. - W głosie młodego doktora brzmiała ogromna ulga. - Zaraz każę wszystko przygotować. Może pani jeszcze nie odkładać słuchawki? Doktor Johnstone, nasz dyrektor, chce pani opowiedzieć o rodzinie pacjenta.

Lekarz rozłączył się, choć Caitlin ciągle słyszała jego głos, radośnie obwieszczaający personelowi w małym, sennym szpitaliku: „Wezmągo! Do Westwood. Doktor Taylor. Tak, naprawdę!”

Czekając na dyrektora, myślała z niepokojem o nowym pacjencie. Nie miała najmniejszego zamiaru zastanawiać się nad rodziną chłopca.

To coś ważnego, zdała sobie sprawę, zanim jeszcze doktor Johnstone zdążył się odezwać. Usłyszała to w sposobie, w jaki odchrząknął.

- Jesteśmy niezwykle wdzięczni, że zgodziła się pani zająć małym Timmym - zaczął. - To Timmy Asquith. Syn Roberta i wnuk Timothy'ego.

- Roberta? Timothy'ego?

- Asquithow. Tych Asquithow.

- Przykro mi, nie znam tego nazwiska.

- Naprawdę? Więc tym bardziej się cieszę, że zwróciliśmy się właśnie do pani.

To chyba znaczy, pomyślała, że ręka mi nie zadrży podczas operacji. Robert i Timothy Asquithowie są z pewnością chirurgami. Zajmowanie się krewnymi kolegów po fachu zawsze było trudną sprawą, a już operowanie dzieci innych chirurgów można było śmiało uznać za koszmar, zwłaszcza jeśli rodzice upierali się ingerować w leczenie. No, ale Caitlin także potrafiła pokazać pazurki. Kiedy szło o dobro jej pacjentów, okazywała się twarda jak kamień. Zamierzała grzecznie, lecz stanowczo poinformować Roberta i Timothy'ego Asquithow, że mają nie przekraczać progu poczekalni. Jak wszyscy. Bez względu na to, kim są.

A właściwie kim byli? Caitlin przeniosła się do Los Angeles przed rokiem i z pewnością nie znała jeszcze wszystkich tutejszych lekarzy, choć nieobce jej były nazwiska tych najślawniejszych... lub osławionych. Ton głosu jej rozmówcy sugerował, że Asquithowie cieszą się ogromną popularnością,

- To lekarze?

- Co? Nie. Są właścicielami Gemstone Pictures, Gemstone Records, Global News. Robert to jeden z największych gigantów Hollywood. Jego ojciec Timothy robi to samo, tylko na znacznie większą skalę. Ogólnoświatową.

I co z tego? - pomyślała. Kogo to obchodzi?

- Rodzice Timmy'ego, Robert i Faye, są niezwykle mili - zapewnił ją pospiesznie doktor Johnstone. - I tak rozsądni, jak to tylko możliwe w sytuacji, która dotyczy ich syna. Problemy może stwarzać Timothy. Nie można wspiąć się na takie szczyty bez... pewnej dozy tupetu.

- Czy już go okazuje?

- Hmm... owszem. Wyruszył z żoną z Londynu, ale utrzymuje z nami stały kontakt z pokładu prywatnego odrzutowca. Poinformował mnie grzecznie, lecz dobitnie, że mam znaleźć dla jego wnuka najlepszego specjalistę w całym Los Angeles. Mam nadzieję, że właśnie mi się to udało.

Caitlin zastanowiła się przelotnie, do ilu takich „najlepszych” specjalistów doktor Johnstone zwrócił się przed nią i ilu z nich oświadczyło, że nie zdają znaleźć czasu dla Timmy'ego Asquitha.

Przed przybyciem małego pacjenta postanowiono, że najlepiej będzie, jeśli wszystko, co ma się wydarzyć do chwili przybycia Timothy'ego Asquitha stanie się faktem dokonanym - zwłaszcza, jeśli wnuk giganta mediów był skazany na śmierć. Caitlin nie brała udziału w naradzie lekarzy szpitala Westwood. Obchodziło ją tylko to, co będzie najlepsze dla tego duszącego się chłopca. W chwilę po przywiezieniu pozornie stabilnego pacjenta wprowadziła igłę w jego klatkę piersiową, aby wykonać drenaż.

Po kilku godzinach Timmy był gotów do operacji. Caitlin właśnie powiadomiła o niej jego rodziców, dodając, że mogą spędzić jeszcze parę minut z synem, kiedy pojawili się Timothy i Lillith Asquithowie.

- Czy my też możemy go zobaczyć?

W męskim głosie brzmiał brytyjski akcent z wyższych sfer. A tupet? Nitj zauważyła. Timothy Asquith nosił swoje bogactwo i potęgę w sposób charakterystyczny dla ludzi naprawdę bogatych i potężnych - bez ostentacji. Nic potrzebował jej. Po paru chwilach rozmowy Caitlin doszła do wniosku, że; emocje patriarchy rodu były również typowo angielskie: stara szkoła, opamiętanie i godność.

Co nie znaczyło, że pod tą maską nie kryły się autentyczne uczucia. Mimo, powściągliwości Timothy Asquith nie potrafił ukryć troski. I desperacji. Dlaczego miałyby je ukrywać? Mimo ogromnej władzy i nieskończonego bogactwa nie potrafiliby uratować Timmy'emu życia.

Tylko Caitlin mogła tego dokonać.

On nie chce, żebym to ja operowała jego wnuka, pomyślała. Na poważnej, arystokratycznej twarzy malowało się to wyraźnie. Reakcję na jej widok rozpoznała doskonale, bo nie pierwszy raz z nią się zetknęła. Może dlatego była już trochę uczulona na takie zachowanie. Doktor Caitlin Taylor nie odpowiadała stereotypowi poważnego chirurga. Była młoda i... była kobietą.

Bardzo mi przykro, ale nie ma pan wyboru, panie Asquith. Pański wnuk musi zostać natychmiast zoperowany, a ja jestem jedynym specjalistą w Los Angeles, który zaryzykuje ściągnięcie na siebie pańskiego gniewu w razie niepowodzenia. Ma pan tylko mnie. A ja dam Timmy'emu wszystko, co mogę mu zaoferować.

A jeśli tego będzie za mało? Jeśli Timmy umrze?

Oto, kim jestem. Oto, jaka jestem. To jest moje życie.

- Czy ma pan do mnie jakieś pytania? Bo jeśli nie, muszę się przygotować do operacji.

Spojrzała wyzywająco w jego surowe oczy.

- Nie, pani doktor - odpowiedział cicho miliarder. - Nie mam żadnych pytań.

Tej kwietniowej nocy utalentowane dłonie doktor Caitlin Taylor znalazły odpowiedź na pytanie, którego nie śmiał zadać Timothy Asquith.

Dwa dni później serce małego pacjenta znowu zaczęło bić w przyspieszonym tempie. Ale tym razem przyczyną było radosne ożywienie, a nie wylew krwi do worka osierdziowego.

- *Śnieżny lew* to najlepszy film na świecie! Tam się nie dzieje nic złego! Nikt nie umiera, tak jak w *Jelonku Bambi*, a poza tym można się z niego wiele nauczyć, więc w dodatku jest pożyteczny. Co pani wie o białych lwach? Nie o białych tygrysach, tylko lwach?

- Chyba nic. Opowiesz mi o nich?

- Pewnie! Na całym świecie jest tylko dwadzieścia białych lwów! Dwadzieścia! Więc rozumie pani, że trzeba je chronić. A rodzą się białe dlatego, że każdy lew ma dwa geny, które decydują, jakiego będzie koloru. Jeśli choćby jeden z nich postanowi, że lew będzie takiego samego koloru jak wszystkie inne - ten kolor nazywa się „płowy” - to lew będzie płowy. Aby był biały, muszą się w nim spotkać dwa białe geny. Ale dwa płowe lwy mogą mieć białe dziecko, jeśli oba mają geny białego koloru. - Timmy wrzuszył ramionami, w czym gojący się mostek wydawał się mu nie przeszkadzać. - To trochę trudne, ale tak właśnie się dzieje.

- Bardzo dobrze to zrozumiałeś. I znakomicie mi wyjaśniłeś. - Caitlin pomyślała z pewnym zaskoczeniem, że ten pięciolatek właśnie zrelacjonował jej złożony proces genetyki recesywnej.

- To wszystko było w filmie!

- Zdaje się, że jest bardzo ciekawy.
- Tak! I wie pani, chociaż *Śnieżny lew* wcale nie jest smutny, czasami można się rozpłakać. Nawet dziadzius płakał, a przecież czytał już książkę,
- Książkę?
- Timmy pokiwał energicznie głową i obwieścił dumnie:
- To ja mu ją pokazałem. Poprosiłem, żeby mi ją przeczytał, ponieważ to moja ulubiona książka, a kiedy skończył, rozmawialiśmy, jaki piękny byłby z tego film.
- Więc tak naprawdę ten film to twój pomysł.
- Chłopczyk zaprzeczył gwałtownie.
- Nie. To pomysł dziadziusia. Tatusz nie był pewien, wcale nie, ale dziadzius nalegał. I film jest bardzo, bardzo ładny.

Caitlin nie chciała się zastanawiać, czy miliarder liczył na taki sukces swojego najnowszego filmu. Nie miała żadnych wątpliwości, że Timothy Asquith myślał tylko o zdrowiu ukochanego wnuka.

- Gdybym mógł coś dla pani zrobić, cokolwiek, kiedykolwiek, proszę się do mnie zwrócić. Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że nigdy nie zdołamy się pani odwdziaczyć, ale...

- Dziękuję panu. - Robert, Faye i Lillith mówili jej po imieniu, a ona rewanżowała się im tym samym, ale do potentata przemysłu filmowego zwracała się oficjalnie, tak jak i on do niej. Nie wyobrażała sobie, żeby mogło być inaczej. - Bardzo się cieszę, że sprawa zakończyła się tak szczęśliwie. Nie trzeba mi nic więcej.

Ale z pewnością szpitalowi przydałby się jakiś nowy sprzęt? To pytanie Timothy Asquith zadał dyrektorowi Westwood. Cóż, brzmiała odpowiedź, wyposażenie szpitala zawsze było niezłe. Westwood chlubi się swoim stanem posiadania. Ale co roku, właściwie co parę miesięcy, na rynku pojawia się jakaś nowa zabawka.

Timothy Asquith nie zadowolili się kupieniem jednej czy dwóch wspomnianych zabawek. Postanowił zbudować całe skrzydło szpitala, poświęcone wyłącznie kardiologii.

Można by je nazwać Skrzydłem Asquitha, zaproponował dyrektor, kiedy już odzyskał głos. Albo, jeśli woli, Pawilonem Gemstone. Albo Centrum Kardiologicznym imienia Timmy'ego Asquitha. Albo...

Timothy Asquith wolał, żeby jego dar pozostał anonimowy, bez żadnych aluzji do niego, jego rodziny czy imperium. Caitlin także nie życzyła sobie rozgłosu: żadnych podziękowań, a tym bardziej tablic pamiątkowych. I tak wdzięczność Timothy'ego Asquitha wyraziła się w prostym geście, czyli w stworzeniu Instytutu Kardiologii... a instytut ten oczywiście stał się najbardziej nowoczesnym centrum leczenia serc na całej planecie.

Asquithowie wrócili do swoich domów w Los Angeles i Londynie. Kryzys minął, dowód wdzięczności pozostał. Caitlin była proszona o akceptację

każdej zmiany w projektach Instytutu Kardiologii, ona Boże Narodzenie dostała piękną kartkę z życzeniami od Roberta i Faye. Do życzeń dołączona była radosna wiadomość wraz z kolejnymi serdecznymi podziękowaniami - w sam dzień Nowego Roku na świat przyszedł braciszek Timmy'ego.

W połowie stycznia do gabinetu Caitlin, zajętej akurat przy operacji, zadzwoniła Lillith Asquith. Jej obecność w Los Angeles nie była zaskakująca; wnuczek, liczący sobie dwa tygodnie, stanowił wystarczający powód, by ściągnąć z Londynu zakochaną w nim babcię.

Dziwne było tylko to, że Lillith zadzwoniła do skromnej lekarki.

- Czy zostawiła wiadomość? - spytała Caitlin.

- I to długą. Ogólnie chodziło jej o spotkanie z tobą. Nie mam pojęcia dlaczego. Jest niewiarygodnie uprzejma, prawda? I ten cudowny akcent... Miałam wrażenie, że rozmawiam z królową. W każdym razie najpierw chciała się z tobą umówić... na śniadanie, obiad, kolację, herbatkę, cokolwiek. Potem nagle wycofała zaproszenie, jakby się przestraszyła, że zanadto się narzuca.

Cała Lillith, pomyślała Caitlin. Szlachetna powściągliwość, baczenie, by nie wydać się zbyt władczą i arogancką. Lillith Asquith była damą w każdym calu. Gdyby księżna Kentu kiedykolwiek zdruziała się swoją rolą podczas zawodów w Wimbledonie - podziękowaniami dla każdego pomocnika na korcie i przekazywaniem pucharu zwyciężczyni zawodów kobiet - Lillith bez trudu mogłaby zająć jej miejsce.

Fizycznie doskonale uzupełniała swojego męża: jej subtelny wdzięk, jego surowa elegancja. Ale Lillith była czymś więcej niż tylko ozdobą. Jej wewnętrzna siła i królewska godność sprawiały, że stała się wymarzoną partnerką dla Timothy'ego Asquitha - to i jeszcze prawdziwe uczucie, jakie ich łączyło.

Kiedy Caitlin zadzwoniła na numer podany przez Lillith, w jej głosie usłyszała siłę i godność... lecz brzmiał w nim również niepokój. Podczas spotkania Caitlin zrozumiała, że coś się zmieniło. Lillith była bardzo zmęczona, jakby krucha. Jakby chora.

- Bardzo się cieszę, że zgodziłaś się ze mną spotkać, choć masz dyżur.

- To dla mnie przyjemność, Lillith. Przykro mi tylko, że nie mogłyśmy się spotkać poza szpitalem. - Przynajmniej o tej późnej porze szpitalna kawiarnia była zupełnie pusta. - Czy coś się stało? Jak się czuje dziecko?

- Z nim wszystko w porządku, a Faye, Robert i Timmy także czują się doskonale. Podobnie jak Timothy. Niestety, chodzi o mnie. To ja mam problem.

To wyznanie nie zaskoczyło Caitlin; zdumiała ją tylko nuta zawstydzienia w głosie Lillith.

- Powiesz mi, o co chodzi?

- Tak. Będiesz jedną z pierwszych osób, które powiadomiłam. Nawet Timothy o niczym nie wie, chociaż zaczął podejrzewać, że coś się dzieje.

W grudniu, podczas pobytu w Hongkongu, zachorowałam, a po powrocie do Londynu lekarz znalazł coś, co nie mogło mieć związku z grypą. Ale były święta, potem urodziło się dziecko i nie mogliśmy się już doczekać, kiedy je zobaczymy. Powiedziałam Timothy'emu, że jestem zupełnie zdrowa. Wiem, że mi nie uwierzył, po tylu latach zbyt dobrze się znamy, ale nie nalegał. Czekaj, aż powiem mu prawdę,

- Co to za choroba?

- Rak, Lewej piersi.

- Och, Lillith...

- Rozumiem, że w obecnych czasach jest nadzieja nawet dla chorych na raka?

- Tak, zdecydowanie. Ale im szybciej zaczniesz się leczyć, tym lepsze będą widoki na przyszłość. Bądź egoistką, Lillith! Zajmij się wreszcie sobą i nie odkładaj tego ani o jeden dzień dłużej! Wiem, że dziecko niedawno przyszło na świat, lecz musisz już teraz powiadomić rodzinę.

- Już wkrótce im powiem, przynajmniej Timothy'emu. Natychmiast, gdy wszystko załatwią. Postanowiłam, że chcę się leczyć w Stanach.

- Tutaj? W Westwood? Jeśli tak, to mamy znakomitego onkologa, Stephena Sheridana.

- Na pewno jest doskonały - przyznała Lillith, jak zawsze nieskazitelnie uprzejma. - Ale miałam na myśli jakiś szpital na Wschodnim Wybrzeżu. Tak będzie najlepiej.

Najlepiej, powtórzyła Caitlin w duchu. Czyi: najłatwiej dla wszystkich zainteresowanych - z dala od plotek, które rozpętałyby się na wieść o jej chorobie, a także z dala od wnuków, by nie niepokoić ich myślami o zmagającej się z chorobą babci.

Zaproponowała szpital Sloan-Kettering; Stephen Sheridan zatelefonował do kolegi z tego słynnego instytutu onkologicznego. Wyglądało na to, że wszystko jest przygotowane. Na dziesięć dni przed rozpoczęciem rejsu na „Queen Elizabeth 2” Caitlin zadzwoniła do Lillith, która radośnie poinformowała ją, że jest zupełnie zdrowa, a o raku nie ma już mowy.

Ale w piątek wieczorem, przed wyruszeniem w podróż, na powracającą z sali operacyjnej Caitlin czekała wiadomość. „Robert Asquith prosił, żebyś zadzwoniła dziś lub jutro. Powiedziałam mu, że w niedzielę wyjeżdżasz. Twierdzi, że to nie ma związku z medycyną”.

Dochodziła jedenasta wieczorem. Nieco zbyt późno na telefony, lecz Caitlin zdawała sobie sprawę, że Robert odziedziczył takt po swoich rodzicach. Twierdzenie, że jego sprawa „nie ma związku z medycyną” mogło być uprzejmym kłamstwem, dzięki któremu Caitlin uniknęłaby wyrzutów sumienia w razie, gdyby nie udało się jej zadzwonić.

Głos Roberta, spokojny i pogodny, rozproszył jej obawy.

- Dzwoniłem, żeby znowu ci się narzucić - powiedział. - I poprosić o kolejną przysługę dla Asquithów.

Caitlin uśmiechnęła się do siebie.

- Oczywiście. Mów, o co chodzi.

- Znasz może określenie „lekarz scenariusza”?

- Nie. To pewnie żargon Hollywoodu.

- I owszem. A więc jest to ktoś wezwany na pomoc... w nagłych wypadkach, by tak rzec... do ratowania słabego scenariusza. Ale ja i ojciec potrzebujemy prawdziwego doktora. Właściwie dwóch: chirurga specjalizującego się w operacjach serca i psychiatry. Scenariusz jest już w ostatniej fazie i uważamy, że jest wspaniały. Musimy się tylko upewnić co do poprawności medycznych szczegółów. Oczywiście chcemy ci zapłacić.

- To nie jest konieczne.

- Właśnie, że jest. Gemstone podpisała umowę ze związkiem zawodowym scenarzystów, więc musimy ci zapłacić, i to słono.

- Hmm. Jak wolisz. W każdym razie chętnie przeczytam scenariusz. Chciałbyś, żebym znalazła także psychiatrę?

- Bardzo, jeśli nie będziesz mieć z tym kłopotu.

- Żadnego.

- Świetnie. Dziękuję ci. To będzie fantastyczny film, Caitlin. Pewnie myślisz, że się przechwalam, ale to nie moje dzieło. Ja jestem tylko facetem od czarnej roboty, *Złodziej* to pomysł taty, tak jak *Śnieżny lew*.

- *Złodziej*?

- *Złodziej serc*. Qeniałny tytuł, prawda? I doskonały dla filmu, który łączy w sobie najlepsze cechy *Nagiego instynktu* i *Milczenia owiec*.

Caitlin nie widziała żadnego z tych obrazów, ale miała wrażenie, że oba były pełne erotyzmu i makabrycznej przemocy.

- Czy *Złodziej serc* będzie równie... brutalny? I równie zmysłowy?

- Będzie bardziej wysmakowany. Przemoc, nie wspominając już seksu, ma polegać na niedomówieniach, bez dosłowności. Uważamy, że w ten sposób będzie bardziej działała na wyobraźnię. A tak na marginesie, chirurgiem specjalizującym się w operacjach serca jest kobieta, ale to nie ona popełnia morderstwo. W gruncie rzeczy to prawdziwa bohaterka.

Jeśli mógłbym coś dla pani zrobić, cokolwiek, kiedykolwiek...

Caitlin schodziła wyścielonymi dywanem schodami. Trzymała kasetę ze *Śnieżnym lwem*, a słowa Asquitha rozbrzmiewały jej w głowie. Obietnicę, rzuconą w chwili największego natężenia emocji, powtarzał potem jeszcze nieraz - ostatnio, kiedy Caitlin zadzwoniła ze swojego gabinetu w Instytucie Kardiologii, by ponownie podziękować za niezwykle dar. Timothy Asquith

zbagatelizował ten podarunek i znowu powiedział, że nigdy nie zdoła się jej naprawdę odwdziżyć - pomóc, tak jak ona, w sprawie życia i śmierci.

Teraz może to zrobić. Teraz już tak.

Zupełnie zapomniała o kapitańskim przyjęciu, ale przypomniano jej w dyskretny sposób, wsuwając zaproszenie pod drzwi kajuty. Dochodziła szósta czasu morskiego. W Londynie było znacznie później. Za późno, pomyślała, by jeszcze dzisiaj dzwonić do Timothy'ego Asquitha. A *Śnieżny* few zaczeka na jej powrót. Obejrzy go w nocy, co powinno pomóc w walce ze złymi snami.

Ten bal jest pewnie bardzo elegancki, doszła do wniosku. Mężczyźni we frakach, kobiety w kreacjach nazywanych cekinami, uśmiechy, tańce, szampan. .. jeden z tych zaczarowanych wieczorów, kiedy po drugiej stronie sali można zauważyć tajemniczego nieznajomego.

Ale to się nie zdarzy. Nie jej. Zamierzała tam pójść dla Margaret. Dla Maggie.

9

Brentwood, Kalifornia
wtorek, 23 kwietnia

Patrick przyglądał się ze zmarszczonymi brwiami danym doktor Amandy Prentice w aktach szpitala. *Znalazł* w nich jej numer domowy, a także adres w Palisades. Akta były tajne, ale nawet najbardziej chronione informacje mogą się dostać w niewłaściwe ręce. Nie miałyoby to znaczenia w przypadku Patricka - chirurdzy rzadko bywają obiektem obsesji. Ale Amanda była psychiatrą. Czy uważała się za tak odważną, że podała prywatny adres? A może po prostu nadmiernie ufała swoim umiejętnościom przemawiania do chorych umysłów?

Oczywiście mogły istnieć jeszcze inne powody tak rażącego niedbalstwa. Być może jej dom w Palisades był istną twierdzą, nie do zdobycia nawet przez najbardziej zdeterminowanego szaleńca. Niewykluczone, że zamontowano tam wyrafinowany system ostrzegania, być może wspierany obecnością *kilku psów*. A/bo, wzorem *hollywoodzkich gwiazd*, Amanda Prentice mogła zatrudnić ochroniarza.

To się okaże na miejscu. Zmarszczki na czole Patricka pogłębiły się. Czy jechać do niej do domu, jak tylko opuści szpital? Tak. Pojedzie. Nie chciał, żeby tak się skończyło.

Nie w gniewie. Nie z okrucieństwem.

Co miałyoby się skończyć? Ech znajomość? Nie licząc nieprzyjemnego epizodu w szpitalnej przebieralni, spotkali się dokładnie trzy razy. Trzy niezapomniane spotkania, pomyślał, sięgając wychudłą dłonią po kluczyki.

Trzy niezapomniane spotkania. Pierwsze - trzy tygodnie temu, tamtej wtorkowej nocy, zaledwie dziesięć dni po jego przyjeździe do Los Angeles...

Dochodziła wtedy północ. Patrick wracał do domu. Zatrzymał się jeszcze na chwilę, by zajrzeć do niej sca, do którego zaglądał w każdym szpitalu, w którym pracował - na izbę przyjęć, gdzie trwał ostry dyżur.

- Coś nowego?
- Nic odparła Trish, przełożona pielęgniarek. - Spokojnie... przynajmniej z punktu widzenia urazówki.
- To dobrze. No to ja uciekam. A, właśnie. Tak się zastanawiam... Jest tu gdzieś w pobliżu jakiś sklep czynny o tej porze?

Trish zerknęła kokietyrnie na nowego, przystojnego ordynatora.

- Zakupy?
- Tak. Właśnie...
- Odkryłeś, że w mieszkaniu jest kuchnia?
- Coś w tym rodzaju - mruknął z uśmiechem.
- Mężczyźni! Owszem, jest tutaj jakiś sklep, dokładnie mówiąc jedyny, ale duży. Nazywa się „Ariel” i jest czynny przez całą dobę. Co więcej, znajduje się o trzy przecznice na zachód, w prostej linii między szpitalem i Brentwood.

Była to trasa, którą Patrick przemierzał codziennie.

- Pewnie to taka klitka, że jej nie zauważyłem.
- Pewnie tak.

Sklep oczywiście był ogromny *i nie* do przeoczenia. Patrick zapamiętał tę szklaną budowlę w kolorze morskiego błękitu już za pierwszym razem, kiedy obok niej przejeżdżał, ale gdyby ktoś kazał mu zgadnąć, co się w niej mieści, postawiłby raczej na muzeum sztuki nowoczesnej.

Z bliska sklep jeszcze bardziej robił wrażenie galerii sztuki. Był ogromny, rzęsiście oświetlony łagodnym światłem, a na podłodze położono jasny parkiet z lakierowanego drewna. Wchodzących witał bukiet zapachów - aromat dopiero co ściętych róż, świeżo zmielonej kawy, oszałamiająca woń rogalików przed chwilą wyjętych z pieca. A z góry rozbrzmiewała prawdziwa muzyka, nie tandetna muzyczka właściwa dla supermarketów. Tego wieczoru był to Czajkowski.

Wnętrze „Ariela” stanowiło prawdziwą ucztę dla zmysłów. Po drodze Patrick zastanawiał się, skąd wzięła się ta nazwa. Dla niego imię „Ariel” kojarzyło się z powietrznym duchem z *Burzy*.

Oczywiście trop był słuszny. Na środku holu trafił na „Spizarnię Prospera”, w której podawano ciastka, kawę i napój obdarzony wymowną nazwą „Burza w szklance herbaty”. Aluzje literackie ograniczyły się jednak do Ariela i Prospera. Nigdzie nie było widać wraków statków, na próżno też wypatrywał cukierków Kalibana, marcepanu Mirandy lub maskotek Trinka.

Ariel i Prospero zamknięci w szkle koloru morskich fal. Hołd oddany Szekspirowi, równie lekki i nieuchwytny jak sam Ariel, zwiewny duch.

Sklep ściągał klientów od Malibu po Laguna Niguel. Ale o północy, tak jak tego dnia, większość kupujących stanowili pracownicy szpitala Westwood - właśnie uwolnieni z nocnej zmiany. Wielu z nich nadal miało na sobie szpitalne uniformy, dzięki czemu Patrick mógł ich rozpoznać. Z widzenia znał zaledwie parę osób, zaś tych, do których mógłby się zwrócić po imieniu, było jeszcze mniej.

Za to oni znali jego. Najnowsze wydanie gazety szpitalnej zamieściło duży artykuł o jego temat, a na wypadek, gdyby ktoś jakimś cudem go nie przeczytał, streszczenie - wraz z fotografią - zawisło na niezliczonych Kioskach i tablicach ogłoszeniowych szpitala.

Całkiem jak list gończy.

Doktor Patrick Falconer naprawdę był najbardziej poszukiwanym i upragnionym członkiem personelu. Akcja ściągnięcia go z Manhattanu do Westwood, nie dość, że wyjątkowo agresywna, stanowiła w dodatku diaboliczną intrygę. Patrick podejrzewał, że nawet jego oddana przyjaciółka i przyzywana siostra została w to wciągnięta. Caitlin zaprzeczyła, jakoby miała z akcją coś wspólnego. Cieszyła się - tak jak i on - że wysiłek zarządu szpitala odniósł skutek. Patrick chętnie zgodził się na przenosiny do Los Angeles i Westwood. Mimo to modlił się w duchu, by następny numer szpitalnej gazety ukazał się jak najszybciej, a jego zdjęcia na kioskach zostały zastąpione innymi.

Teraz, idąc z wolna pomiędzy drewnianymi półkami, znowu odczuwał wpływ artykułu z pierwszej strony gazety. Nie miał na sobie białego fartucha ani uniformu, a pager, przypięty do pasa, był ukryty pod swetrem. Mimo to ludzie go rozpoznawali.

Wyglądało na to, że koledzy ze szpitala, w przeciwieństwie do Patricka, zadbali w porę o zrobienie zapasów kawy. W każdym razie dział z kawą, herbatą i czekoladą był niemal pusty. Na drugim końcu korytarza, przy półce z herbatą, stała samotna kobieta. Nieruchoma, wpatrzona w towar, skupiona. Usiłuje wybrać pomiędzy darjeeling, earl greyern, herbatą angielską a cejlońską, pomyślał Patrick. Może to na prezent dla przyjaciela.

Jednak można było się domyślić, że kobieta przygląda się cenom. Nie wyglądała na osobę, dla której pieniądze mają wielkie znaczenie. Jej kostium w kolorze bławatka najwyraźniej wyszedł z pracowni dobrego projektanta, w uszach migotały złote spirale, a szyję zdobił naszyjnik z tego samego kruszcu. Na prawej ręce, widocznej od strony Patricka, nie było widać żadnego pierścionka. W lewej kobieta trzymała firmową torbę z grubej rafii, z wyhaftowanym akwamarynową nicią słowem „Ariel”.

Nieznamna w bławatkowym kostiumie znieruchomiała w zamyśleniu, podobnie jak Patrick, całkowicie oświecony bijącym od niej czarem. Otaczająca ją mgiełka, prawie niewidzialna, lekko migotliwa, w tajemniczy spo-

sób stwarzała wrażenie kruchości, a jednocześnie wrażliwości i odwagi. Czy ta elektryzująca aureola otulała prawdziwego anioła?

Kiedy wreszcie Patrick zdołał skupić uwagę na fizycznej postaci zjawiska, okazała się ona równie intrygującego niezwykła aura.

Jej włosy były miedziane, płowe, złote.

Kasztanowe, pomyślał niepewnie. Nie, dodał pospiesznie, jesienne. To lepsze słowo, właściwe określenie tych ciepłych, dojrzałych barw, tych gorących blasków rozświetlających kolorystyki jesieni.

Te piękne włosy były ułożone w zaskakująco surową fryzurę, jakby tylko tak można było utrzymać w ryzach to płomienne bogactwo. Brutalnie ściągnięte do tyłu i splecione w warkocz, otaczały głowę wspaniałą koroną i dawały wzrostu swojej właścicielce.

Bo nieznajoma była wysoka, nawet bez tej korony, nawet bez zawrotu nie wysokich szpilek. Najwyraźniej zdecydowała się podkreślać swój wzrost i obnosiła go z dumą, wyprostowana jak struna, eksponując idealną figurę, To pewnie modelka, pomyślał Patrick. Powinienem ją znać. A może jest aktorką?

Ale aktorka z pewnością rozpuściłaby te wspaniałe włosy, nie kryłaby ich oszałamiającego piękna.

Patrick zdawał sobie sprawę, że Los Angeles rządzi się własnymi prawami. To miasto, w którym rodzą się tysiące gwiazd - całe galaktyki, zaś legiony paparazzich tylko czyhają, by przyłapać którąś z nich rozczochraną, w starych dzinsach, bez makijażu, zwyczajną jak inni śmiertelnicy. Oczywiście istnieją sposoby na uniknięcie niechcianej popularności. Można ukryć się przed najsilniejszym teleobiektywem. Można także wychodzić z domu w pełnym makijażu nawet o północy, choćby po to, by wybrać się do sklepu po herbatę. Ale ten anioł nie pozostałby niezauważony. Patrick usłyszał w głowie tę myśl, zupełnie jakby nie pochodziła od niego. Zabrzmiała bardzo pewnie. ... choć nie miała żadnego sensu.

Kobieta pragnąca spokoju nie ubiera się w tak efektowne stroje. Nie odsłania twarzy.

Patrick poczuł, że koniecznie musi się przyjrzeć tej twarzy. Na razie widział tylko profil, mroczną kameę pod ciężką miedzianą koroną.

Spójrz na mnie. Nie unikaj mojego wzroku.

Nie, nic z tego. Kobieta była zbyt zamyślona.

Ale raptem jej usta zaczęły się poruszać, jakby kierowały bezgłośny szept ku półce z herbatami; głowa poruszyła się lekko, przeczącym ruchem, a prawa dłoń, smukła i obnażona, dotknęła tabliczki z ceną.

Za chwilę nieznajoma wybierze herbatę i zniknie.

Spójrz na mnie.

Ujrzał jakby w zwolnionym tempie, że kobieta odpowiada na ten niemy krzyk jego serca. W tej wspaniałej chwili całe życie przemknęło mu przed

oczami; kalejdoskop obrazów, w którym cała jego nieważna przeszłość - i ból - zniknęły bez śladu. Nie było już przeszłości. Był tylko ten pełen gracji obrót, wykonany na wysokich obcasach. Włosy zamigotały - światło księżycy pomiędzy płomieniami - i wreszcie, o, wreszcie spojrzął w jej oczy. Miały kolor lawendy; jasne i czyste jak wrześnie niebo, rozjaśnione zdziwieniem. Śliczne wargi zaczęły się rozchyłać, jakby chciały wyszeptać radosne powitanie.

Świat zmienił się bez ostrzeżenia jak w gwałtownie poruszonym kalejdoskopie. Oczy pociemniały jakby zakryte chmurą, która pożarła wszelką radość, nadzieję, światło. W tej szarości Patrick dojrzał coś, co wydało mu się bardzo podobne do strachu.

Strach?

- Doktor Falconer! Doktorze, to pan?

Upzejmość kazała mu się odwrócić w stronę, z której dochodził głos, uśmiechnąć się, odpowiedzieć.

- Witaj, Jan.

- Dobry wieczór - powiedziała laborantka z laboratorium rentgenologicznego, bardzo zadowolona, że Patrick zapamiętał jej imię. - Wspaniale tu, prawda?

- Tak - wymamrotał. - Wspaniale.

To czarodziejskie miejsce, pomyślał. Nie odchodź, brzmiało jego zakłęcie, nie odchodź, jesienny aniele o płochliwych oczach.

Naprawdę wierzył, że go usłucha. Wymieniając upzejmości z Jan, nasłuchiwał stuku obcasów na lakierowanej drewnianej podłodze, ale wokół była tylko cisza.

A jednak odeszła, odeszła. Zniknęła jak Kopciuszek wraz z ostatnim uderzeniem zegara. Nie zostawiła szklanego pantofelka. Zostało tylko wspomnienie piękna... i strachu.

To wspomnienie nie opuszczało Patricka ani na krok, dręczyło go i wabiło. Przez następny tydzień w nielicznych wolnych chwilach powracał do „Ariela” w nadziei, że znowu ją zobaczy. Bez skutku. Być może robiła zakupy tylko we wtorki. Jeśli tak, będzie tam na nią czekał. Już dziś. Już niedługo.

Jak zwykle po drodze wstąpił na ostry dyżur.

- No, wreszcie! - powitała go Trish.

Zerknął na pager. Nie zauważył żadnych nie odebranych wezwań.

- Szukałaś mnie?

- Nie. Doktor Prentice czeka na ciebie.

Doktor Prentice. To nazwisko wydało mu się znajome, ale teraz nie obchodziło go nic z wyjątkiem jednej sprawy. Może zapomniał o spotkaniu z kolegą? Czy stał się aż tak roztargniony? Tak, oczywiście. Z powodów nie mających nic wspólnego ze sprawami zawodowymi. Ta jego bladeść, ten nieustający niepokój, który starał się ignorować. I ona...

- Czy miałem się tu z nim spotkać?
- Nie. I nie z nim, tylko z nią, doktorze. Niech pan sobie wyobrazi, że teraz nawet kobiety mogą studiować.

Kiedy indziej uśmiechnąby się w odpowiedzi. Dziś nie mógł.

- Powiedziałaś jej, że zawsze pan tu wpada, wychodząc, a ponieważ przed chwilą był tu pański stażysta, domyśliłam się, że pan zaraz przyjdzie. To było jakiś czas temu.

- Jakiś czas?
- Prawie dwie godziny.
- Dlaczego mnie nie wezwałaś, na litość boską?
- Amanda prosiła, żeby tego nie robić. Powiedziała, że może poczekać.
- Gdzie jest teraz?
- W sali dla personelu.

Irytacja kazała mu przyspieszyć kroku. Jak bardzo można się rozżłościć, czekając na kogoś, kto nie zdawał sobie z tego sprawy? On także nie będzie dziś ustepliwy. Z nieskazitelną uprzejmością wyjaśni doktor Amandzie Prentice, że teraz nie ma czasu, ponieważ jest już spóźniony...

Doktor Amanda Prentice. Tak, to nazwisko zdecydowanie brzmiało znajomo. Przyjaciółka Caitlin, ta sama, z którą Caitlin starała się go poznać.

„To psychiatra? Nie, dziękuję.”

„Patrick, nie próbuję cię swatać! W tej dziedzinie nie potrzebujesz niczyjej pomocy, a Amanda... po prostu musisz ją poznać i tyle. Jest zupełnie wyjątkowa”.

: Tak, a teraz miał się spotkać z tą wyjątkową, a na pewno wyjątkowo wściekłą, przyjaciółką Caitlin. Wybacz, Caitie, ale już jej nie lubię.

Nieprawda, właśnie czuł do niej coraz większą sympatię. Wściekła? Nie, po prostu sądziła, że jest zajęty i nie chciała się narzucać. Tymczasem on siedział w szpitalnej bibliotece, pochłonięty szperaniem w komputerowych plikach, by skrócić sobie czas oczekiwania na spotkanie z nieznaną.

Ale to ona go znalazła. Nieznajoma znalazła jego, jeśli można to było nazwać poszukiwaniem. Nawet gdyby ta miedzianowłosa doktor psychiatrii nie zauważyła szpitalnej gazety i wszędzie obecnych ulotek, bez wątpienia słyszała, jak Jan zwraca się do niego po nazwisku. A musiała je znać - dzięki kampanii, jaką Caitlin zorganizowała na rzecz ich spotkania.

Od początku wiedziała, kim jest.

Teraz stała odwrócona pod tablicą ogłoszeniową pełną różnokolorowych ogłoszeń.

- Amando...

Zareagowała natychmiast. Szczupła sylwetka zeszywniała; Patrick usłyszał, jak kobieta głośno wciąga powietrze, a sposób, w jaki odwróciła się ku niemu, mówił wyraźnie: jestem tu wbrew własnej *woli*.

Spojrzała na niego nieufnie, ale z determinacją.

- Dobry wieczór.
- Wreszcie się spotkaliśmy.
- Tak. Wtedy, w „Arielu”... - urwała, nie mogąc lub nie chcąc wyjaśnić, dlaczego uciekła.

I dlaczego teraz także ma ochotę uciec. Patrick widział to bardzo wyraźnie. Jej misja została zakończona: Caitlin chciała, żeby się spotkali i właśnie do tego doszło. A teraz Amanda zamierzała uciec i uciekłyby - gdyby nie stał jej na drodze.

Nie zamierzał jej więzić. Nie mógłby tego zrobić. Odstąpił od drzwi, nie zbliżył się do niej. Mogła odejść. Tylko błękitne oczy Patricka wyznały jej, jak bardzo pragnie, żeby została.

- Co wtedy robiłaś? - spytał.
- Usiłowałam odetchnąć, przemówić, podejść do ciebie. Ale nie mogłam.
- Słucham?
- Wydawało mi się, że przyglądałaś się cenom herbaty. Czy aż tak poszły w górę?
- Nie. -Z wdziękiem wzruszyła szczupłymi ramionami. -Ceny jednostkowe były nieścisłe.

Mów do mnie, Amando. Cokolwiek, nawet o tych cenach, jeśli sobie zyczysz.

- Zechcesz mi wyjaśnić, co to są ceny jednostkowe?
- No wiesz, to ceny na metkach. Oprócz cen detalicznych towaru na metkach jest podana także cena za kilogram lub, w przypadku herbaty, za sto torebek.
- Nie wiedziałem. - „Mężczyźni!” powiedziałyby Trish i w innej sytuacji, z inną kobietą sam by tak zażartował. Ale tutaj sam fakt, iż Amanda była kobietą, a on mężczyzną, wystarczył, by atmosfera stała się krepująca. - Wydawało mi się, że taniej jest kupować w większych opakowaniach. Ale skoro sklepy podają ceny jednostkowe, a klienci są tak uczeni, że potrafią odgadnąć ich znaczenie, pewnie się myliłem.

- Czasami tak bywa, ale to nie jest reguła.

Więc zawsze sprawdzasz ceny? - pomyślał. I przeliczasz wszystko w paśmie? A kiedy wynik jest inny niż na metce, zwracasz się do kierownika sklepu, by pozostali klienci nie zostali wprowadzeni w błąd?

Wiedział, że odpowiedź na te wszystkie pytania jest twierdząca.

A na inne pytania? Te, które zawisły w rozgrzanym powietrzu? Czy ty też czujesz ten czar, Amando?

Magiczna chwila prysła wraz z pojawieniem się zdyszanej Trish.

- Amanda! Bogu dzięki, jesteś jeszcze.
- Co się stało?
- Potrzebują cię na urazówce, natychmiast!

Patrick podążył za nią. Skierowany na oddział urazowy pacjent psychiatry mógł być ranny lub wpaść w szal. Albo jedno i drugie.

Szli szybko, w milczeniu. Adrenalina jeszcze szumiała im we krwi, ale już się opanowali. Musieli skupić całą uwagę na zadaniu, które przed nimi stało - krew i szaleństwo, połączone w potworną mieszankę. Powinni opanować szok i przerażenie, zając się tym, co należało do ich obowiązków.

Po chwili przekonali się, że sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Pacjentka znalazła się w sali nagłych wypadków po prostu dlatego, że niespodziewanie zaczęła rodzić, a nawet krótka podróż na oddział *położniczy* narażała ją na zbyt wielkie ryzyko. Lepiej było sprowadzić zespół lekarzy położników; o wiele łatwiej odebrać poród tutaj. Ale na tym dogodnie okoliczności się kończyły. Dziecko rodziło się odwrócone, co było wyjątkowo niebezpieczne.

- Przdowanie pośladowe - rzuciła Irish.

Amanda skinęła głową. Jej błękitne oczy nie odrywały się od pacjentki, a smukłe palce wsunęły się w lateksowe rękawiczki z wprawą chirurga... i wdziękiem damy.

Damy, która nigdy nie musiała na siebie zarabiać.

Zameężnej damy.

Na jej lewej dłoni błysnęła obrączka wysadzana brylancikami.

Powinien był to przewidzieć. Caitlin dała mu do zrozumienia. Nie chce cię swatać, powiedziała. W tej dziedzinie nie potrzebujesz niczyjej pomocy, a Amanda... cóż, Amanda była mężatką. Nie kochała męża? Być może. Pewnie tak. Ale była mężatką. „Zona” to kolejne słowo, które uzupełniło jej opis. Żona. Anioł. Psychiatra. Położnik,

Wojownicza. W sali operacyjnej na oddziale urazowym zupełnie nie przypominała damy w białych rękawiczkach. Tutaj to ona wydawała rozkazy. I sprawowała nad wszystkim kontrolę. Mogła przeżywać kłopoty w życiu Osobistym - kobieta zauroczona mężczyzną, który nie jest jej mężem, piękność pragnąca spokoju - ale tutaj nie zdradzała ani odrobiny niepewności. Teraz była wcieleniem kompetencji i spokoju.

- Susan przyjdzie najszybciej, jak zdoła - mówiła Trish. - Ale to może potrwać.

- Gdzie anestezjolog?

- Chcesz operować?

- Być może będę musiała. Chciałabym tu mieć anestezjologa.

- Ja też - powiedziała cicho Trish. - Staram się jak mogę. Mamy alarm na oddziale intensywnej opieki kardiologicznej, operację biodra i cesarskie cięcie. Dzwoniłam do innych lekarzy, ale...

- W porządku - przerwała jej Amanda.

Lekarz dyżurny z oddziału położniczego, obryzany krwią i blady ze zdenerwowania, z wdzięcznością ustąpił miejsca przy pacjentce. Patrick zda-

wał sobie sprawę, że za późno na obracanie dziecka wewnątrz łona. Gdyby tego spróbowano, czekała je pewna śmierć.

Rozpoczęła się zaciekła walka, ostrożne balansowanie na krawędzi. Liczyła się każda sekunda. Macica zaciskała się w potężnych skurczach, wypychając dziecko na zewnątrz; gdyby leżało głową naprzód, silnie naciskające mięśnie byłyby mu najlepszym sprzymierzeńcem w drodze na świat. Ale w tym wypadku przy każdym skurczu zaciskały się na kruchej szyjce niczym machina do zabijania.

Trzeba było natychmiast wydobyć dziecko na zewnątrz. I to ostrożnie. Jedno zbyt mocne pociągnięcie mogło w nieodwracalny sposób uszkodzić delikatne organy wewnętrzne maleństwa. Powoli, lecz zręcznie, zdecydowanie, lecz łagodnie - i właśnie tak działała Amanda. Stała z zamkniętymi oczami; jej brązowe Tęsy nawet nie drżały. Doświadczony Tece poruszamy się, wiedzione wyuczonymi odruchami, kierując się własnym rozumem...

I nagle rzęsy uniosły się gwałtownie, jakby jej oczy nie mogły znieść ciemności i wołały widok strumienia krwi. Patrick zobaczył ich wyraz: lśniący lawendowy błękit, strzelający błyskawicami wściekłości.

Wściekłość. Dlaczego? Czy ogarnęła ją, ponieważ dziecko, pomimo jej wszystkich wysiłków, miało umrzeć? Gniew wobec nieuchronnego tryumfu śmierci - o łak, Patrick rozumiał to bardzo dobrze. Jak wszyscy lekarze. Ludzka bezradność wobec kaprysów losu. Ale wściekłość? Furia? Reakcja Amandy wydawała się zbyt nieopanowana. Choć sytuacja ją usprawiedliwiała. Śmierć pojawiła się, by zadrwić z ludzi - zabrać życie, zanim się rozpoczęło, ściągając nie rozwinięty jeszcze pąk.

Tym razem to nowe życie pojawiło się na świecie z krzykiem tryumfu, nie agonii.

Anioł, żona, psychiatra, położnik - i wojowniczką. W tej chwili Amanda była niczym generał, wydający ciche rozkazy swojemu wojsku. Lekarz, jeszcze przed chwilą nieprzytomny ze zdenerwowania, wpatrywał się w nią w oszołomieniu i z wdzięcznością.

Następny rozkaz padł w formie pytania.

- Dokończysz za mnie?

Ale i tak był to rozkaz. Już ostatni. Wojowniczką opuściła pole walki, nie zamieniając ani jednego słowa z kobietą, której uratowała życie. Po drodze zrzuciła swój bojowy rynsztunek. Prynny ruchami ściągnęła z dłoni rękawiczki, zdjęła fartuch i maskę, pozostawiając je, skrwawione, obok drzwi sali. Poruszała się równie wdzięcznie jak zawsze, lecz widać było, że furia jej nie opuściła. Patrick poszedł za nią. Jej problemy go nie obchodziły. Tak jak i ona sama.

Cóż, mylił się. W końcu był tu na prośbę Caitlin i działał niejako w jej imieniu - a ona z pewnością towarzyszyłaby Amandzie w takiej chwili.

- Amando, poczekaj.

Odwróciła się, zaskoczona, zmieszana.

- Patrick...

- Powiedz, co się stało. - Miał nadzieję, że jest na tyle wstrząśnięta, że zapomni o nieumoci. Kolejna pomyłka. Rzeczywiście była wstrząśnięta, ale najwyraźniej miała ochotę zniknąć mu z oczu. - Pozwól, że zgadnę. Masz coś wspólnego z położnictwem.

Liczył na choćby cień uśmiechu. Nie zobaczył go. Jej oczy zgasły, twarz spochmurniała. Tylko miedziana korona nadal rzucała olśniewające blaski,

- To mój poprzedni zawód.

- Który z jakiegoś powodu porzuciłaś.

Którego nie mogłam dalej wykonywać, pomyślała Amanda. Widzisz, zaczęłam się zachowywać jak ofiara obsesji, jakbym nie panowała nad sobą...

Tak jak teraz. Zdawała sobie z tego sprawę. A jednak pozwoliła sobie na jeszcze bardziej rażący brak dyscypliny i spytała:

- Co się stanie z tą dziewczynką? Ma jakieś szanse?

- Jest uratowana... dzięki tobie. - Patrick wiedział, że Amanda nie czeka na gratulacje. I rzeczywiście, jego słowa wywołały tylko ból, całkiem jakby jej zarzucał, że czegoś zaniedbała. Jakby dziecko umarło. - Jest zdrowa, nic jej nie dolega. Krzepka dziewczynka, poradzi sobie. Dzięki tobie ma przed sobą całe życie.

- Też mi życie.

- Nie rozumiem.

- Bez względu na to, co mówią politycy, w tym kraju, mieście i szpitalu opieka prenatalna jest dostępna dla każdego. Nie liczy się to, kim jest matka i czy ma pieniądze. To, że ta kobieta nie zasięgnęła wcześniej porady specjalisty, jest zbrodnią i dowodem braku miłości. Gdyby wcześniej odkryto położenie dziecka, można by je obrócić w macicy. Jest ku temu dość środków, a płód nie byłby zagrożony.

- I sądzisz, że dla tej dziewczynki koszmar dopiero się zaczyna?

- Właśnie. - Tak jak zaczynał się dla Amandy. Patrick przyglądał się jej z troską. Nie mógł odgadnąć, kim naprawdę była: oszalałym z wściekłości potworem?

Tak, naprawdę jestem szalona, przynajmniej jeśli chodzi o ten temat. W tym punkcie staję się prawdziwą wariatką. I powiem ci jeszcze więcej, żeby cię zupełnie przekonać.

- Wiesz, czego sobie życzyłam, trzymając to dziecko?

- Nie chciałaś go oddać matce.

- Tak - szepnęła. - Nie rozumiesz, że to szaleństwo?

Nie, nie widział w tym nic dziwnego.

- Czuję to samo, kiedy widzę ranne dziecko, które nie miało właściwego zabezpieczenia w samochodzie, wyszło bez opieki na ulicę lub wpadło do basenu. Gdybym chciał naprawdę pomóc, musiałbym zrobić dużo więcej, niż tylko je zoperować - wyjaśnił.

- Ale nigdy nie zastanawiałeś się poważnie nad porwaniem pacjenta.
- Czy się zastanawiałem? Kto wie? Ale to by było wtrącaniem się w nie swoje sprawy, o co na urazówce jest dużo łatwiej niż na oddziale położniczym. Zawsze miałem niezbity dowód obojętności rodziców. - Zmarszczył brwi. - A moje interwencje często nie kończyły się tak, jak powinny.

- Dzieci wracały do nieczułych rodziców.

- Tak. W przeciwieństwie do naszych sędziów, nie wierzę w świętość wierzów krwi. - Patrick uśmiechnął się blado, ale z wielką czułością. - Nie możesz zrobić nic więcej. Tylko tyle, ile się da.

- Prawo nie pozwala nam na nic innego.

- I nasze uczucia... i zdrowe zmysły.

Ale kiedy sprawa dotyczy dzieci, moje uczucia nie mają granic. A zdrowe zmysły...

Choć tak naprawdę coś ją powstrzymywało, w końcu zdobyła się na odejście z zawodu i zwróciła się do psychiatrii, do której miała naturalne zdolności.

- Amando?

Zwyciężyła tak wiele lęków. Zwyciężyła? Niezupełnie. Ale odsunęła je od siebie. Nie będą jej przeszkadzać, dopóki zdoła nad sobą panować.

Bardzo trudno było jej panować nad sobą w towarzystwie tego mężczyzny.

- Muszę już iść.

- Czy mogę cię odwieźć?

- Nie! Nie, dziękuję.

A czy mogę cię przytulić, Amando? Czy mogę cię pocieszyć?

Nie, powiedział do siebie surowo. Nie.

Nie miał zwyczaju uwodzić kobiet, które były z kimś związane. A tym bardziej mężatek. Tym zajmował się jego brat.

- Mąż powinien po ciebie przyjechać.

- Co? Ach, nie. Aż do maja nie będzie go w kraju. Dużo podróżuje. - Uśmiechnęła się z trudem. - Nic mi nie jest, naprawdę.

- Trzęsiesz się.

Znała dobrze to wewnętrzne drżenie, ale tym razem stało się zauważalne... i łatwe do wyjaśnienia. Jej kostium, niedawno w kolorze żonkila, teraz był szkarłatny od krwi.

- Chyba muszą się przebrać w czyste rzeczy. Wezmą jakieś szpitalne ubranie.

- Dobrze. Cieszę się, że cię poznałem. Nareszcie.

- Tak. Więc... dobranoc.

- Dobranoc.

Żegnaj.

Tutaj ich znajomość powinna się skończyć.

Ale Amanda przyszła, żeby mu pomóc, a on odwdzińczył się jej okrucieństwem.

Co teraz?

Teraz mieli się spotkać po raz ostatni.

Przepraszam, Amando. Nie byłem sobą. A może i byłem. Może ta ciemność zawsze kryła się we mnie, a teraz, kiedy jestem uwięziony, kiedy umieram, stałem się własnym bratem. Ale nawet śmierć mnie nie tłumaczy. Nie ma dla mnie wytłumaczenia.

Spotka się z nią po raz ostatni, przeprosi ją i__

I powie: żegnaj, Amando.

Adieu.

10

Pacific Palisades
wtorek, 23 kwietnia

Wiosenne słońce świeciło mu w oczy, jaskrawe, szydercze. Co jest celem twojej podróży? - zdawało się pytać. Obudzić uczucia Amandy? Po co? Żeby naprawdę cierpiała po twojej śmierci? Żeby cię opłakiwała?

To by się mogło wydawać okrutne, gdyby nie było tak potwornie głupie.

Umierasz. Prawdę mówiąc, szydziło słońce, właściwie już jesteś chodzącym trupem. Wypadek samochodowy byłby dla ciebie szczęśliwym zrzędzeniem losu.

Promienie oślepiły go, jakby po to, by zrealizować groźbę. Musiał tylko mocno wdepnąć pedał hamulca. Wystarczyłyby sam wstrząs gwałtownie zatrzymanego samochodu i osłabione płytki krwi nie podołałyby temu wysiłkowi. Krew zalałaby mu nerki i mózg śmiertelną, szkarłatną powodzią.

Lepiej się zatrzymaj, mówiło słońce. Zatrzymaj się bardzo powoli i na wszelki wypadek napisz do niej liścik. „Przepraszam, Amando. Żegnaj”.

Nie zatrzymał się. Spojrzał spode łba na szydercze słońce i ruszył przed siebie na oślep. Po chwili pojawił się błogosławiony zakręt i cień palm, chroniący go przed promieniami.

Był już prawie na miejscu. Numery na mijanych domach sygnalizowały, że z każdą chwilą zbliża się do celu. A jednak nigdzie nie dostrzegał fortecy. Widział tylko bładoróżowy domeczek, gniazdko zakochanych usadowione w kępie bugenwilli.

Nie rzuciły się na niego wściekłe dobermany, nie stanął mu na drodze potężny ochroniarz. A mąż Amandy, prawdopodobnie bardzo groźny osobnik, miał pozostawać poza domem aż do maja. Dom nie mógłby być bardziej wystawiony na widok, bardziej dostępny dla wścibskich oczu. Nawet zasłony w oknach nie broniły dostępu, ukazywały wnętrze pokoiów. Otuchą napa-

wał widok srebrno-błękitnego czujnika na framudze okna, ostrzegający o obecności urządzeń alarmowych w rezydencji. Czujnik, oparty o ramę, nie przyczepiony, był dowodem na to, że system został niedawno zainstalowany.

Amanda była za domem, od strony oceanu. Patrick zauważył błysk jej miedzianych włosów, rywalizujących z blaskiem słońca.

Z pewnością by wygrał.

Wokół domu wiodła brukowana ścieżka, owiana woniąjaśminu i róż.

Amanda siedziała na trawie, patrząc na coś, co trzymała na kolanach.

- Cześć- odezwał się Patrick cicho. Nie chciał jej przestraszyć; mimo to drgnęła. Odwróciła się ku niemu z gracją i wstała. Książka zsunęła się z kolan na ziemię, lecz coś innego, cenniejszego - mała kulka szarego puchu - przywarło jej do piersi.

- Patrick...

- Cześć-powtórzył łagodnie.

Wyglądała tak delikatnie, tak nieśmiało, tak... inaczej. Surowa miedziana korona gdzieś zniknęła; zastąpiła ją swobodnie opadająca na ramiona ognista fala. I żaden słynny kreator nie położyłby swojego podpisu pod projektem długiej sukni, którą miała na sobie. Ciemnofioletowa szata, obszerna i bezkształtna, obsypana błękitnymi kwiatami. A stopy, przez cały dzień wspierające się na zawrotnie wysokich obcasach? Były bosc.

Pierwsze wrażenie, którego doznał tamtej nocy w „Arielu”, okazało się słuszne. Amanda była aktorką. Doktor Prentice, specjalizująca się w psychiatrii, to tylko rola, którą zdecydowała się grać. Tutaj stawała się sobą. Rozpuszczone włosy, oswobodzone stopy, figura ukryta pod fałdami workowatej sukni. W pracy - na scenie - występowała w oszczędnym makijażu. Tutaj go zmywała. I była przez to jeszcze piękniejsza, pomyślał Patrick. Bez sztucznych ozdób, bez błyskotek... bez obrączki.

Zapatrzył się w jej oswobodzoną dłoń, a jego ciemnoniebieskie oczy rozbłysły blaskiem tysiąca słońc.

- Nie jesteś mężatką, prawda?

- Dlaczego przyszedłeś?

- Nie jesteś?

- Nie. Chciałam...

- A byłaś? - naciskał. Właściwie nie zależało mu na odpowiedzi. Już ją znał. Gdyby obrączka, symbol wiecznej miłości, była pamiątką po zmarłym mężu, Amanda nigdy by jej nie zdjęła. Ale ta błyskotka to teatralny rekwizyt, taki sam, jak markowe stroje, mocno splecione włosy i szpilki, przez które wydawała się taka wysoka.

- Nie, nie byłam. - Spojrzała w jego rozjaśnione oczy. Noszę obrączkę ze względu na pacjentów.

- Żeby ci się nie narzucali? Żeby uniknąć niezręcznej sytuacji, gdy pacjent zakochuje się w swoim lekarzu?

- Właśnie. '

Była to tylko część prawdy. Nosiła obrączkę także dla pacjentek. Kobiętom przynosiło ulgę, że lekarka, ofiarowująca im mądre porady, dobrze wie, o czym mówi, że opanowała własne lęki i stała się zdolna do egzystencji we wszystkich dziedzinach życia. Prawda wyglądała tak, że Amanda tylko udawała osobę żyjącą pełnią życia. Brylanty w jej obrączce były autentyczne, bez skazy. W przeciwieństwie do niej. A jednak ten migotliwy drobiazg i fałszywe wrażenie, jakie stwarzał, rzeczywiście pomagały jej pacjentom. Zdolności Amandy były absolutnie prawdziwe. Znała wszystkie właściwe słowa, wszystkie skuteczne techniki, miała cały arsenał narzędzi do walki ze strachem.

- Czy chodzi także o sytuacje, kiedy lekarz zakochuje się w lekarzu?

- Nie. Przepraszam cię, Patricku.

Słyszał w jej głosie prawdziwy żal, widział jej desperację.

- To mój tekst. Przyszedłem, żeby cię przeprosić.

- To nie było konieczne. Rozumiem cię.

- Moje zachowanie, choć obrzydliwe, rzeczywiście może być zrozumiałe. Ale i tak nie ma dla mnie usprawiedliwienia. To nie byłem ja, Amando. A przynajmniej mam taką nadzieję.

- Wiem. - I wiem, dodała w myślach, że teraz widzisz mnie taką, jaką •jestem naprawdę... kobietę, która czuje się najszczęśliwsza, kiedy włoży tę obszerną suknię. Nie zawsze była aż tak obszerna. Były czasy, gdy...

- A to kto? - Patrick wskazał szare puchate stworzonko, wtulone w jaskrawoniebieskie kwiaty na sukni Amandy. Nie był szczególnym miłośnikiem kotów, ale miał nadzieję, że w ten sposób odwróci jej uwagę od smutnych myśli.

Podstęp okazał się skuteczny. Amanda pochyliła się nad kociakiem, a choć jedwabista miedziana fala zasłoniła jej twarz, Patrick wyczuł, że rozświetlił ją *uśmiech*.

- To Puszek - powiedziała. - Razem przyglądamy się zachodzącemu słońcu.

- I czytacie? - Patrick zerknął na upuszczoną na ziemię książkę. W pierwszej chwili nie rozpoznał okładki. Jeszcze nie kupił tej powieści, ale znajomy tytuł, odbity złotem i kobaltem, załśnił w białych promieniach kwietniowego słońca. - *Czarny księżyc*.

Amanda podniosła głowę. Miedziana fala odsłoniła jej twarz.

- Tak. *Czarny księżyc*.

- Znasz jego inne książki?

Lubisz Graydona Slake'a? - chciałyby zapytać. Pociąga cię wyrafinowany erotyzm mojego brata? Jego brutalność?

- Tak, znam. - Czytała je wszystkie, po kilka razy. Były w nich miejsca, do których musiała wracać, jakby ciągnęła ją jakaś siła. Graydon Slake pisał o namiętnościach, których nigdy nie miała poznać. O kobietach, które doty-

kaj ą mężczyzn z własnej woli, bez strachu... i o mężczyznach, którzy uważają te pieszczoty za bezcenny dar.

- Nie drażnią cię te powieści?

- Nie. - Sprawiają mi ulgę. - Może dlatego że dobro zwycięża w nich ze złem.

- I jak ci się podoba *Księżyc*?

- Pierwszy akapit jest wspaniały. Na razie tyle udało nam się przeczytać.

Kiedy Puszek siedzi mi na kolanach, lektura nie jest sprawą łatwą.

- Puszek nie czyta zbyt szybko?

- Nie. Ale uważa, że książka jest wspaniałym miejscem do spania. Prawda, Puszczyku?

- Jesteście przyjaciółmi?

Amanda przechyliła głowę w zamyśleniu.

- Jesteśmy na dobrej drodze, żeby nimi zostać. Znamy się od niedawna.

Dokładnie mówiąc, od dwóch tygodni. Od nocy, kiedy odbierałam poród tej dziewczynki, a potem powiedziałam ci, że jestem szalona. A ty słuchałeś, pocieszałeś mnie i współczułeś. Jeszcze chwila, a mogłabym cię dotknąć. Z własnej woli. I bez strachu?

Nie. Nigdy.

Tamtej nocy niebo płakało; bawełniany kitel szpitalny, w który się przebrała, ociekał wodą. Czy to dlatego drżała? I czy ta wilgoć, która zasnuła jej oczy, to także był deszcz? Jechała, nic prawie nie widząc. Od „Ariela” dzieliło ją zaledwie kilka przecznic. Dziś nie chciała wracać do działu herbat, jakby była to świątynia, której nie wolno kalać. Chciała tylko przeczekać deszcz na parkingu.

KOTEK CZEKA NA DOM, głosił napis drukowanymi literami na niewielkim kartonowym pudełku. Czy w środku naprawdę znajdowało się małe stworzonko, przerażone ciemnościami i bębniącym deszczem? Czy to opuszczone dziecko, które nie może uciec, chociaż wrywa się na wolność? Podchodząc, nie słyszała żadnych odgłosów z pudełka, ale gdy je otworzyła, spojrzały na nią ślepka pełne najczystszej przerażenia. Znała to przerażenie. Potwory ciemności. Tajemnicze odgłosy, które odbijają się echem niczym grzmot. Niemożność ucieczki, nawet gdyby się próbowało ze wszystkich sił. Ona także była kiedyś takim kłębkim strachu, skulonym i drżącym. Ona także czekała, jak ten kotek, aż ktoś ją uratuje...

- Puszek wygląda na bardzo szczęśliwe stworzenie - odezwał się Patrick. Szczęśliwe, bo jest z tobą, dodał w myślach. - Ten warkot to chyba mruczenie^ prawda?

- Prawda. - Amanda pogładziła szary łebek. Kotek już się obudził, a jego oczy o barwie akwamaryny mierzyły Patricka z nieufnym zaciekawieniem. - Zdaje się, że chce, żebyś go wziął na ręce.

- Naprawdę? - Czy to możliwe, żeby ktoś chciał opuścić objęcia Amandy?

Patrick nie bronił się przed przekazaniem mu kociaka. Dzięki temu zyskiwał pretekst, by dotknąć dłoni Amandy. Ich palce nawet się nie zetknęły, lecz Patrick poczuł ciepło jej rąk, gdy chwycił Puszkę dokładnie w tym miejscu, gdzie ona.

Może kotek miał jednak coś przeciwko opuszczeniu bezpiecznego schronienia w ramionach swojej pani. A może palce Patricka przeraziły go nie-ludzkim zimnem. Albo po prostu drzemka dodała mu wigoru i chęci do figli. W każdym razie zaczął się wyrwać na wolność.

Patrick nie miał zamiaru trzymać go siłą, ale nie chciał także zrzucić go na trawę z takiej wysokości. Kiedy jednak powoli opuścił w dół rozczochrany szary kłębek puchu, małe pazurki wbiły się mu w skórę. Ranki były niewielkie; wyglądały jak ukłucia szpilek. Wszyscy posiadacze kotów noszą takie znaki, zupełnie niegroźne... dla tych, którzy mają zdrową krew.

- Boże, przepraszam cię - szepnęła Amanda.

- Nic się nie stało. - To jest mój tekst, dodał w duchu. Przepraszam cię, że muszę umrzeć, a ty jednak nie masz męża... i nigdy nie będziemy mieli okazji się przekonać, jakby to było, gdyby...

Krew zaczęła sączyć się z rany. Nie był to obfity krwotok, ale i tak wydawał się przypomnieniem upływającego czasu, który mu pozostał. Amanda wyciągnęła do niego rękę, lecz zamarła w pół ruchu. Potem jej dłoń opadła bezwładnie.

- To trzeba obandażować. Na pewno mam coś w domu.

- Nie, wszystko w porządku. - W porządku? W jego życiu nic już nie było w porządku. - Lepiej już pójdę.

Żegnaj, Amando.

Adieu.

11

*Bal kapitański, Sala Królowej, „Queen Elizabeth 2”
wtorek, 23 kwietnia*

Wirowali jak łyżwiarze po zamrożonym stawie mężczyźni we frakach i kobiety w długich sukniach, tańczący walca przy akompaniamencie eleganckiej orkiestry. Był to prawdziwy, doskonały bal w jednej z najpiękniejszych sal balowych na świecie. Szampan - lub martini, jeśli ktoś wolał - lał się strumieniami, zaś w niezliczonych srebrnych salaterkach pyszniły się stożki dorodnych truskawek.

Bal trwał w najlepsze, kiedy na progu sali pojawiła się Caitlin. Na tę okazję zaczesła włosy do góry, wzorem Amandy, i włożyła suknię ze szmaragdowego atłasu, haftowanego w różę. Bezcenne sztuczne perły Margaret zdobiły jej szyję, a kosztowne, choć pozbawione znaczenia grona prawdziwych pereł połyskiwały u jej uszu.

W tej wspaniałej sali, wśród olśniewających ludzi, Caitlin Taylor budziła powszechny podziw i ściagała ku sobie zachwycone lub zazdrosne spojrzenia. A jednak wyraźnie czuła, że jest tu nie na swoim miejscu. Postanowiła spędzić ten wieczór dokładnie tak, jak polecił jej Patrick - obserwując, by potem opowiedzieć mu wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Znalazła doskonały punkt obserwacyjny, samotne złożone krzeselko w dalekim kącie sali.

Nie udało jej się znaleźć spokoju. Czujny kelner, roznoszący szampana, natychmiast ją wyśledził, zupełnie jakby był osobiście odpowiedzialny za to, by kobieta w cieniu miała pod dostatkiem musującego nektaru w kryształowych, smukłych kieliszkach. Na kogoś, kto pijał bardzo rzadko - jeśli w ogóle - odrobina szampana miała piorunujący wpływ. Dla kogoś, kto od dawna był pozbawiony snu, efekt był jeszcze bardziej gwałtowny... i zaskakująco miły.

Cała sala powlokła się lekką mgiełką. Tancerze stali się tęczowymi, rucho-
nymi smugami, tęczami w środku nocy, płaszącymi w bżowej aureoli. Myśli Caitlin odpływały wraz z nimi - ku łagodnej, pastelowej przeszłości. Zobaczy-

ła swoją matkę, tęczę najbardziej migotliwą ze wszystkich, tańczącą w ramionach ukochanego mężczyzny. Jego także ujrzała. Michael: siiny, mroczny, porywający. Wspaniały. I szlachetny. Mężczyzna, który kochał głęboko i na wiało. Nie był to upiór z jej koszmarów. Już nigdy się nim nie stanie, powiedziała sobie Caitlin w nadziei, że tak właśnie będzie. Pragnęła tego. Niech już na zawsze pozostanie księciem z bajki, jakim widziała go Maggie.

Potem jej myśli popłynęły ku nieco mniej odległej przeszłości. Była to pewna romantyczna noc... wieczór walentynkowy, kiedy poznała tajemnicę braci Falconerów.

Od parudziesięciu lat nie pamiętano, by śnieg padał w Bostonie tak gęsto jak wtedy. Caitlin miała za sobą połowę drugiego roku stażu na chirurgii, a przydzielonym jej opiekunem, lekarzem z czteroletnim stażem był -jakżeby inaczej - Patrick Falconer. Oszałamiająco przystojny. I bogaty, choć na to akurat nie zwracała uwagi. W jej oczach liczyły się tylko jego zdolności, niezwykłe zdolności i niezachwiane poświęcenie pacjentom oddanym pod jego opiekę. Od osiemnastu miesięcy pracowali razem, co Caitlin uważała za dar niebios. Patrick był najlepszy z najlepszych, a jeśli nawet nie uśmiechał mu się balast w postaci stażystki, nigdy nie dał tego po sobie poznać. W rzadkich chwilach spokoju nie znikał jej z oczu, nie szukał kogoś bardziej doświadczonego, by spędzać z nim przerwy. Zawsze pozostawał w pobliżu. Chodził z nią do biblioteki, gdzie oboje czytali, lub do kawiarenki na kolejną filiżankę kawy i rozmowę, tak jakby Caitlin naprawdę go interesowała. Może po prostu czuł się z nią bezpiecznie. Nie zamierzała wtrącać się w prywatne sprawy człowieka, który wydawał się równie skryty jak ona.

I nigdy się nie wtrącała. Ale to nie znaczy, że niczego nie dostrzegała. W jego spokojnych, błękitnych oczach czaił się smutek. Po rozmowach telefonicznych, odbywanych późnym wieczorem, stawał się rozkojarzony i drażliwy, a ostatnio gruba złota obrączka po prostu zniknęła z jego palca.

Potem stał się jakby trochę pogodniejszy. Odprężony. Jakby z serca spadł mu jakiś ciężar.

Jednak w ten lutowy piątek nie robił wrażenia pogodnego człowieka. Wyglądał jakby był... wściekły.

- Potrzebuję twojej pomocy. Chodź ze mną do pacjenta.
- Jasne, natychmiast.

Z takimi prośbami zwracała się do niego niemal nieustannie. „Czy mógłbyś zrobić badanie jamy brzusznej? Chyba wyczuwam czubek śledziony, ale nie jestem pewna”. I chociaż zawsze ją to zaskakiwało, nieodmiennie uprzedzał jej wnioski. „Według mnie to objaw Blumberga, a jak ty uważasz?” I uśmiechał się z rozbawieniem na widok jej oszołomionej miny.

Ale wtedy się nie uśmiechał. Oczy pociemniały mu jak nigdy dotąd, a mocne mięśnie na karku napięły się wyraźnie. Nawet w jego głosie brzmiało napięcie. ... a także dziwna skrucha.

— To skomplikowany przypadek? - spytała.
— Bardzo.
- Na co...
- ..uskarża się pacjentka? Guzek w piersi i ból w miednicy. Ale nie jesteś mi potrzebna jako konsultantka. Masz być moją przyzwoitką.
I bez dalszych wyjaśnień poprowadził ją do gabinetu.

- Gabrielle, to doktor Caitlin Taylor. Caitlin, to Gabrielle St. John.

Gabrielle St. John była oszałamiająco piękna, wyraźnie rozgniewana i niezaprzeczalnie naga. Przysłoniła nagość szpitalnym kitelkiem, ale nic, nawet furia, nie mogło przysłonić jej urody i wydawało się absolutnie jasne, że Gabrielle *nie* ma najmniejszego zamiaru powściągać swojego gniewu.

- Co ona tu robi?

- Doktor Taylor będzie mi asystować przy badaniu.

- Asystować? Od kiedy to potrzebujesz asysty, żeby mnie zbadać?

Caitlin zdążyła się zorientować, że ta rozgniewana piękność nie jest porzuconą żoną Patricka. Ale może to przez nią przestał nosić obrączkę? Jeśli tak, jeśli to przez nią rozpadło się jego małżeństwo, to teraz i ona znalazła się na zagrożonej pozycji.

- Każ jej wyjść.

- Ona tu zostanie. W przeciwnym razie nie będzie żadnego badania.

- To niekompetencja! Boję się, że jestem chora, że mam raka, a ty odmawiasz mi pomocy! Ciekawe, co ordynator powiedziała by na takie traktowanie pacjentki.

- Pochwaliły mnie. Jeśli znajdę coś, co choćby w najmniejszym stopniu obudzi moje obawy, doktor Taylor powtórzy badanie, dzięki czemu otrzymamy niezwłocznie opinię drugiego fachowca. Nie mogłabyś sobie życzyć lepszej opieki.

- Choćby w najmniejszym stopniu? Uważasz, że nic mi nie jest, prawda?

- Tego nie powiedziałem. Nigdy bym tego nie powiedział.

- Cierpisz na jakieś urojenia! Pewnie ci się zdaje, że mnie pociągasz, co? Że się w tobie zakochałam? Chyba oszalałeś.

Gabrielle odwróciła się do Caitlin.

- Jestem zaręczona i wkrótce wychodzę za mąż - oznajmiła z wyniosłą pobłażliwością. Wyciągnęła ku niej wypielegnowaną dłoń, na której połyskiwał przepiękny brylant. - Mój narzeczony nazywa się Kyle Fairfax. Musiała pani o nim słyszeć. Wszyscy go znają. Jesienią Kyle będzie się ubiegał o miejsce w Senacie Stanów Zjednoczonych. Pragnę być przy nim, pomóc mu najlepiej, jak potrafię. Ale nie chcę go martwić swoimi kłopotami, za bardzo go kocham. Ten stan go potrzebuje. Potrzebuje go cały kraj! A jeśli przekonam się, że jestem chora, cóż... - Gabrielle zrobiła pauzę, mającą oznaczać, że w razie potrzeby zdobędzie się na ofiarę w imię wyższych celów. Przyszyła

pani Fairfax zapowiadała się na wymarzoną żonę senatora, jeśli nie na Pierwszą Damę. Caitlin byk tego absolutnie pewna, tak jak była pewna tego, że Gabrielle cieszy się znakomitym zdrowiem... i dobrze o tym wie.

- Przyszłam tutaj po otuchę lub po gorzką prawdę, którą łatwiej mi będzie przyjąć z ust kogoś, komu ufałam. - Gabrielle zerknęła na Patricka; jej oczy stały się nagle lodowate. - Byłeś mi to winien! To i jeszcze więcej, ale nie jesteś lepszy od niego, prawda? Jesteś równie okrutny, jak...

- Dość, Gabrielle. A teraz powiedz doktor Taylor to, co mnie... o tym guzku, który rzekomo znalazłaś.

- Ty draniu... Wynoś się! Pani także. Jestem zbyt zdenerwowana, nie pozwolę się badać. Tylko poczekajcie, aż Kyle dowie się, co mnie tu spotkało. Ten szpital działa za pieniądze podatników, takie oburzające traktowanie jest policzkiem wymierzonym społeczeństwu!

Zdarzało się, że to Patrick służył Caitlin jako przyzwoitka. Na sali nagłych wypadków, kiedy musiała badać pijanego mężczyznę, zawsze stał tuż obok, milczący, lecz budzący respekt strażnik, samą swoją obecnością dławiający zdrożne myśli. Czy teraz zdołała się mu zrewanżować? Czy jej obecność stonowała furię tamtej, stłumiła gniew? Raczej nie. Ale nie dopuściła do sytuacji, której pragnęła Gabrielle: ręce Patricka na jej nagim ciele, intymny dotyk w poszukiwaniu wymyślanego guzka i nieistniejącej przyczyny bólu w miednicy.

Jeszcze nigdy nie spotkała się z tak zaskakującym tupetem. Zamiary Gabrielle były jak najbardziej niestosowne, ale z jaką pewnością siebie je realizowała! Była to pewność płynąca z przekonania, że mimo wyraźnie dwuznacznej sytuacji, nie wspominając już o narzeczonym, Patrick pragnie jej dotykać. Czy i ona tego pragnęła, czy tylko chciała go dręczyć? To ostatnie na pewno się jej udało, choć może nie tak to sobie wyobrażała.

Kim była Gabrielle?

Caitlin nie sądziła, żeby udało się jej tego dowiedzieć. Kiedy opuścili gabinet, Patrick milczał, zamknięty w sobie, wściekły.

Nie lubiła, kiedy był w takim stanie. Widziała wpływ tej wściekłości mi stan serca, naczyń mózgu, śluzówki żołądka.

- Chce pan usłyszeć moją opinię, doktorze? - odezwała się ze śmiałością, która zdumiała ją samą. - Zgadzam się z pańską diagnozą. Rzeczywiście, bardzo skomplikowany przypadek.

Patrick zatrzymał się, odwrócił w jej stronę. Czy na jego poważnej twarzy pojawi się ten słynny, seksowny uśmiech? Nic z tego. Spoglądał na nią jeszcze bardziej surowo, jeśli to w ogóle było możliwe.

- Masz jakieś plany na ten wieczór?

Na czternastego lutego? Oczywiście. Tej nocy miała być pełnia, a mimo grubej zasłony chmur światło księżycy powodowało szaleństwo nawet u zupełnie rozsądnych osób. Nigdy nie wiadomo, co może się stać, gdy spotkają

się walentynkowy wieczór i pełnia księżyca. Caitlin zamierza spędzić najbliższe godziny na oddziale nagłych wypadków. Nie chciała wybierać dla siebie najlepszych pacjentów, nie chciała pozbawiać kolegów możliwości nauki. Postanowiła, że wieczorem zajmie się zwyczajnym zszywaniem ran. I będzie szczęśliwa.

- Caitlin?

- Nie. Nie mam żadnych planów.

- To dobrze. Chodźmy się upić.

- Upić?

- "Ważnie. Niech zgadnę: nie pijesz zbyt często, a może w ogóle? Ja też nie. Ale dziś zamierzam się upić. I chciałbym, żebyś mi towarzyszyła.

- Żeby prowadzić?

Nareszcie została nagrodzona słynnym uśmiechem Patricka Falconera.

- Nie. Żeby pić. Dzisiaj nikt nie będzie prowadzić.

Zaprowadził ją piechotą do modnego pubu na wybrzeżu. Po drodze minęli księgarnię na Chatham; Patrick przystanął na chwilę przed wystawą, by przyjrzeć się bestsellerom tygodnia. Uśmiechnął się z aprobatą - nie zdecydował się wyjaśnić Caitlin dlaczego - i ruszył w dalszą drogę.

W tę zimną, śnieżną noc nic nie wydawało się bardziej odpowiednie niż grzany rum. Przynajmniej tak to sobie wyobrażał Patrick, kiedy impulsywnie zaproponował wyprawę. Ale na miejscu zamówił butelkę Dom Perignon, co wywołało wyraźne zaskoczenie kelnerki.

- Coś świętujecie, tak?

- Jasne - odpowiedział. - Czemu nie?

- To znaczy, coś innego niż Walentynki. Jesteście rodzeństwem, prawda?

To zdarzało się im bez przerwy - wszyscy brali ich za brata i siostrę. Caitlin doszła do wniosku, że rzeczywiście byli do siebie odrobinę podobni. Oboje mieli ciemne włosy i jasne oczy, oboje byli poważni i skupieni. Ale gdyby ktoś zechciał przyjrzeć się dokładniej...

- Jasne - powiedział Patrick spokojnie. - Czemu nie?

Jego odpowiedź zawierała dwie informacje: że Caitlin nie jest jego krewną i że komentarze nie będą mile widziane. Kelnerka zniknęła, zostawiając za sobą zakłopotaną Caitlin i niewzruszonego Patricka.

- Ja się tym zajmę — odezwał się Patrick, gdy dziewczyna pojawiła się z zamówionym trunkiem. Jego uśmiech wybaczał wszystko. - Dziękuję.

Budzące zaufanie dłonie chirurga, silne i pewne, nalały bursztynowy, musujący płyn do kryształowych kieliszków.

- To chyba nie koniec świata, co? - spytał Patrick. - Zawsze chciałem mieć młodszą siostrę. A kto by się do tego nadawał lepiej od ciebie?

Mówił poważnie i jak najbardziej serio. Caitlin poczuła, że rozpiera ją głęboka, cicha i tajemnicza radość, jakby właśnie rodziło się coś pięknego.

- Caitlin? Nie chciałbym się narzucać. Jeśli już masz starszego brata...

- Nie mam. Kto by się nadawał lepiej od ciebie?
- Więc? - Uniósł swój kieliszek. - Zgadzasz się?
- Tak - szepnęła, gdy kryształ zadźwięczał cichutko o kryształ.

Pijąc szampana i przyglądając się, jak śnieg zasypuje zatokę, Caitlin opowiedziała mu o Maggie. Chciała, by Patrick dowiedział się wszystkiego o jej ślicznej matce, atakże - tego pragnęła jeszcze goręcej - by Maggie dowiedziała się o nim.

- Czy zdawała sobie sprawę, że chcesz zostać doktorem?
- Doktorem filozofii, nie medycyny.
- Naukowcem?

Skinęła głową i odwróciła wzrok ku zasypanym śniegiem falom, w które kiedyś zrzucano ładunek herbaty, zanim zalały je strumienie krwi. Zanim nastała wolność.

Nie chciała widzieć reakcji Patricka. Naukowiec? Miałaś być naukowcem? To by był znakomity wybór. Probówki, mikroskopy, menzurki... i żądnych okazji do prowadzenia błyskotliwych rozmów. Ale gdyby nawet Patrick tak pomyślał, a ona patrzyła mu przy tym prosto w oczy, nigdy by nie dostrzegła niczego krępującego. Patrick Falconer był zbyt dobrze wychowany, by zdradzać myśli tego rodzaju.

Poza tym, doszła do wniosku, był także zdecydowanie zbyt miły, by w ogóle mieć takie myśli. Jej niepewność wynikała z kompleksów. Nie dał jej żadnego powodu, by podejrzewać go o nieżyczliwość. Przed chwilą poprosił, by została jego siostrą.

- To mój brat bliźniak.

Odwróciła wzrok od ośnieżonych fal.

- Kto?

Odpowiedział uśmiechem.

- Ty mi powiedz.

- Graydon Slake.

- Graydon Slake - powtórzył. - Czy to takie oczywiste?

— Właściwie nie. - Zauważyła tylko słaby błysk w błękitnych tęczęwach, gdy spojrzenie Patricka padło na *Ruchome piaski*, bestseller Graydona Slake'a, wystawiony w witrynie księgarni na Chatham. - Myślałam, że to ty nim jesteś.

- Podejrzewałaś mnie o pisanie powieści w wolnym, czasie? To cholernie miłe.

Po to właśnie są młodsze siostry, prawda? Powinny podziwiać swoich braci i wierzyć, że są zdolni do nadludzkich czynów.

- Byłbyś do tego zdolny.

- Nie, Caitlin, to nieprawda. Ale Jesse to potrafi,

Jesse. Ile czasu upłynęło, odkąd wypowiedział jego imię? Wiele, wiele lat. Ale teraz opowiadał o nim Caitlin, ponieważ tego właśnie pragnął.

- Jesteśmy bliźniakami. On urodził się piętnaście minut wcześniej. Nie rozmawiamy ze sobą od czasu, gdy skończyliśmy dziewiętnaście lat.
- Z powodu Gabrielle? - Wizja Gabrielle St. John, która stała się powodem wojny pomiędzy braćmi, sama się narzucała. Brat przeciw bratu, walka aż do śmierci.
- Gabrielle zadała ostatni cios, ale Jesse i ja już od czterech lat byliśmy sobie obcy. Może nawet zawsze tak było.
- Nie spodziewałeś się tego.
- Nie. Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi. Okazało się, że nie miałem racji.
- Na pewno?
- Tak.
- A teraz? Obaj jesteście starsi i...
- Nie ma powrotu.
- Mówisz tak, jakby Jesse umarł, a przecież on najwyraźniej żyje pełnią życia. Tak jak ty.
- Obaj dla siebie umarliśmy. To nasza tajemnica. Tak musi być.
- Rozumiem. Nigdy jej nie zdradzę nikomu. Ale...
- Nie ma żadnego „ale”, pani doktor. Nie ma powrotu. Moje stosunki z bratem skończyły się już dawno temu.

Nigdy więcej o tym nie rozmawiali - tego wieczoru czy kiedykolwiek później, ale Caitlin nie przestała myśleć o Jessem i konflikcie tak gwałtownym, że nie pozostawiał nadziei na przyszłość. Gabrielle zadała ostami cios, powiedział Patrick, ale kryzys zaczął się cztery lata wcześniej. Wtedy bracia mieli po jakieś piętnaście lat. Byli młodzieńcami wchodzącymi w wiek męski. Być może po raz pierwszy znaleźli się w sytuacji, w której jeden z nich -- wspaniały Patrick - zdobył wyraźną przewagę. Naturalnie nie mogło chodzić o naukę. Wydawało się oczywiste, że obaj bracia są niezwykle inteligentni. Prawdopodobnie Jesse wyglądał jak typowy mól książkowy, niezręczny i zaniedbany, tak że nie mógł nawet marzyć o rywalizacji z wysportowanymi i obytym w towarzystwie bratem. Być może nawet nie starał się z nim konkurować. Może po prostu wycofał się w świat książek... aż wreszcie przyciągnął go magnes, któremu nie miał siły się oprzeć - oszałamiająca Gabrielle, zakochana w jego bracie.

Jesteś mi coś winien, krzyknęła wtedy, w gabinecie.

Dlaczego? Czy Patrick opuścił ją w nadziei, że zainteresuje się Jessem? Czy usiłował pogodzić się z bratem, składając mu tę ofiarę z miłości?

To się nie mogło udać. Nawet dziewiętnastoletni chłopak musiał zdawać sobie z tego sprawę. Ale może był tak zdesperowany, że nie cofał się przed żadnym sposobem? Czy Gabrielle wyśmiała Jesse'a? Oczywiście. Wściekłość na pewno kazała jej zemścić się na obu braciach. A jak na pogardę Gabrielle zareagował wrażliwy, niekochany Jesse? Niespodziewaną agresją boleśnie zranionego, łagodnego dotąd zwierzęcia.

Nie jesteś lepszy od niego, krzyczała Gabrielle. Jesteś równie okrutny, jak...

Jesse.

- Jeszcze szampana?

Caitlin drgnęła, wyrwana % zamyślenia. Czujny kelner z tacą pełną kieliszków. Wirujące tęcze, wirujące wspomnienia.

- Nie, dziękuję. Muszę już iść.

Kelner uśmiechnął się domyślnie, jakby był pewien, że jego podopieczna udaje się na romantyczne spotkanie przy księżycu. Ale ją czekało spotkanie z księżycem - Jessem Falconerem, czarnym księżycem przy promiennym słońcu Patricka. Była to konkluzja, do której doszła już dawno temu. Zamierzała spędzić tę noc ze *Śnieżnym lwem*, by dowiedzieć się z niego, jak przemawiać do człowieka, który tak długo pozostawał w cieniu. Chciała podarować mu szansę zabłyśnięcia mocniej niż wszystkie gwiazdy. W zamian miała prosić go o odrobinę własnego ja; parę kropel księżycowego pyłu z jego szpiku.

Czy Jesse wykorzysta tę szansę?

Czy jego serce jest równie zimne jak ciemna strona księżyca?

12

*„Queen Elizabeth 2”
piętnaście mil morskich na północ od Bermudów
środa, 24 kwietnia*

Mówi doktor Caitlin Taylor. Szukam pana Asquitha.
- Doktor Taylor? - w głosie sekretarki Timothy'ego Asquitha zabrzmiało zaniepokojenie. - Czy coś się stało?

- Nie, wszystko w porządku. - Przynajmniej z punktu widzenia dynastii Asquithow. - Dzwonię w sprawie prywatnej. Chciałabym poprosić o pewną przysługę.

- Niestety, pan Asquith jest na zebraniu. Czy mam go poprosić, by zadzwonił do pani?

- Właściwie wygodniej będzie, jeśli sama zadzwonię jeszcze raz. Czy możemy się tak umówić? Najlepiej na dzisiaj. To zajmie najwyżej parę minut.

- Tak, oczywiście. Zechce pani poczekać?

- Naturalnie. - Caitlin wstrzymała oddech. Musiała porozmawiać z Jessem Falconerem najszybciej, jak to możliwe, dopóki jej się wydaje, że zdoła go przekonać. Czy to szaleństwo? Czy wyczerpany bezsennością umysł wreszcie odmówił jej posłuszeństwa?

Nie spała, nawet nie starała się zasnąć. Ale mimo braku wypoczynku czuła wypełniający ją wielki spokój i energię. W końcu znajdowała się pośrodku błękitnego morza, w świecie magii, gdzie rządzą wyłącznie prawa serca. Zamierzała zadzwonić do Jesse'a z lądu, gdzie połączenie z pewnością byłoby lepsze niż na statku. Bermudy to finansowe centrum Imperium Brytyjskiego; tamtejsi bankierzy z pewnością nie życzyliby sobie dokonywać miliardowych przelewów przez pełne trzasków satelitarne łącza.

Jej rozumowanie było jak najbardziej słuszne. Już teraz rozmowy telefoniczne ze statku wydawały się podlegać lądowemu systemowi. Połączenie z Londynem okazało się tak doskonałe, że Caitlin zmieniła decyzję i posta-

nowiła porozmawiać z bratem Patricka już teraz, nie czekając na zejście na ląd, dopóki jeszcze otacza jąten świat morskiej magii. Oczywiście jeśli uda się jej zdobyć jego numer.

Jeśli? Wypuściła z płuc wstrzymywane powietrze. Zdobędzie go i już. Jeżeli ma przekonać Jesse'a Falconera, by rozstał się z połową litra swojego szpiku - a przekona go - to nakłonienie nawet najbardziej zasadniczej sekretarki do ujawnienia jego numeru będzie dziecinną igraszką.

- Doktor Taylor! Przysługa? Wreszcie!

- Och! Pan Asquith! Jestem bardzo wdzięczna, że zechciał pan podejść do telefonu.

- Cała przyjemność po mojej stronie. A tę przysługę może pani uważać za fakt dokonany. Proszę mnie wprowadzić w szczegóły, zanim złożę pani życzenia.

- Nie do wiary... - Skąd wiedział o jej urodzinach? Ach, prawda. Tamtej nocy, kiedy było już wiadomo, że życiu Timmy'ego nic nie zagraża, pielęgniarka powiedziała Faye Asquith, że dla każdego lekarza, a dla Caitlin w szczególności, jest to najpiękniejszy prezent urodzinowy. Faye wiedziała, podobnie jak Robert i Lillith. Więc, naturalnie, Timothy Asquith także. Ale...

- Jak to „nie do wiary?”

- Że pan pamiętał.

- Dzień, w którym uratowała pani życie mojemu wnukowi? Jak mógłbym go zapomnieć?

- Hmm...

Pan Asquith pewnie zobaczył w wyobraźni jej wzruszenie ramion.

- Nie chciałem pani stawiać w niezręcznej sytuacji, ale musi pani wiedzieć, jak bardzo czuję się wdzięczny. Ja i my wszyscy. To się nigdy nie zmieni. Więc przysługa, jakakolwiek by była, wydaje mi się drobnostką... i faktem dokonanym.

- Chciałabym się skontaktować z Graydonem Slake'iem.

- Czytała już pani *Złodzieja*? Nie wiedziałem, że ostateczna wersja już się ukazała.

Złodziej! Złodziej serc! Więc autorem przyszłego przeboju kinowego Gemstone jest Graydon Slake? Tak, najwyraźniej.

- Nie, jeszcze nie, ale muszę z nim porozmawiać. Niestety, nie mogę zdradzić powodu.

- No cóż, w takim razie nie będę nalegać. Pan Slake ma dwa numery - telefonu i faksu. Poproszę Estelle, żeby dała pani obydwa. Jeśli po czterech sygnałach nikt nie odbierze, włączy się centrala pagerów. Oni zawsze wiedzą gdzie go szukać.

- Ciekawe dłaczego.

- Ja także się zastanawiałem. Być może ten bezpośredni kontakt ze światem jest mu niezbędny, ponieważ jego dom leży na odludziu.

Caïtlin wyobraziła, sobie okolicą zimną i pustą niczym ciemna strona księżyca. Góra lodowa na Północnym Atlantyku. Lodowiec na morzu Beringa.

- A gdzie mieszka?

W słuchawce rozległ się cichy chichot.

- Zabrzmiało to ponuro, co? A tymczasem to prawdziwy raj. Jego dom znajduje się na Maui, w odludnej, lecz przepięknej części wyspy.

- Był pan tam?

- Tak. Pojechałem z Lillith i Robertem, by porozmawiać z nim o *Złodzieju serc*.

A teraz, pomyślała, ja muszę się tam wybrać i porozmawiać o prawdziwym sercu.

Decyzja bezpośredniej rozmowy z Jessem Falconerem zaskoczyła ją samą. A co z magicznym wpływem morza?

Zabiorę go #e sobą.

I jakby lazufowy bezmiar nadal szumiał za jej plecami, zdoła przekonać Jesse'a, by uratował życie swemu bratu. *Śnieżny lew* opowiadał o ochronie zagrożonych gatunków. Jego autor powinien zrozumieć, jeśli mu powie: „Twój brat jest zagrożony, musisz mu pomóc. Musisz”.

- Może przypadkiem wie pan, czy pan Slake znajduje się obecnie na Maui?

- Wiem, że tak. Nie ruszy się stamtąd, dopóki scenariusz *Złodzieja* nie zostanie zaakceptowany przez wszystkich zainteresowanych.

- Więc pojedę do niego, żeby porozmawiać z nim osobiście:

- To dla pani ważne?

- Tak. Bardzo. Da mi pan jego adres?

- Pod jednym warunkiem. Musi mi pani obiecać, że zachowa pani wyjątkową ostrożność.

Ostrożność? Z powodu Jesse'a Falconera? Czy dawne rany są tak bolesne, że skrzywdzone zwierzę nadal szaleje?

- Dlaczego?

- Droga do jego domu jest bardzo niebezpieczna. To właściwie wąska ścieżka, pełna zakrętów i wybojów, z obu stron otoczona przepaściami. Należy nią jechać wyłącznie w dzień, najlepiej z kimś, kto ją dobrze zna. Może spotka się z nim pani w Kapalua i dalej pojedziecie razem? Myśmy tak postąpili, zresztą za jego sugestią, więc z pewnością i tym razem nie będzie miał nic przeciwko temu. Jeśli uważa pani, że nie powinna tego mu proponować, z radością wezmę na siebie to zadanie.

- Nie, dziękuję. Będę bardzo uważać, obiecuję. I wolę... to bardzo ważne... żeby pan Slake nie wiedział o mojej wizycie,

- Doprawdy, wolałbym go powiadomić.

W głosie Timothy'ego Asquitha brzmiała nieskończona uprzejmość... ale także zdecydowanie człowieka, który rządzi całym imperium i nie przywykł

do sprzeciwu. Caitlin milczała. Wydawało się jej, że w ciszy rozlegają się słowa: „Gdybym mógł coś dla pani zrobić, cokolwiek, kiedykolwiek...” Oboje wiedzieli, że stary dżentelmen traktuje te słowa jako wiążącą przysięgę.

- Dobrze - odezwał się Timothy Asquith takim tonem, jakby się uśmiechał. - Dobrze, pani doktor. Ani słowa.

- Dziękuję.

Teraz jesteście kwita. Spłacił pan z nawiązką swój wymaginowany dług. Życie za życie. Za każdym razem w moje urodziny.

Zanim „Queen Elizabeth 2” przybiła do portu, Caitlin była już gotowa do zejścia na ląd. Zarezerwowała sobie miejsce w samolocie lecącym na Maui, wykupała się, ubrała i spakowała. Sportowe stroje przeznaczone na pobyt na Bermudach z łatwością zmieściły się w mniejszej z dwóch walizek. Większa zawierała bardziej efektowną odzież i miała pozostać zamknięta aż do powrotu do Los Angeles.

Caitlin zostawiła wiadomość - wraz z załączonym napiwkami - dla stewarda Paula. Wyjaśniała w niej, że sytuacja zmusza ją do zmiany planów i dziękowała mu za uprzyjemnienie pobytu na statku. Kajuta numer 2063 opustoszała.

Caitlin odebrała jeszcze faks od Estelle: numer telefonu Graydona Slake'a oraz szczegółowe informacje o drodze do jego domu na Maui, następnie uiściła opłatę za rejs. Rachunek za „nieprzewidziane wydatki” robił wrażenie. Długie rozmowy telefoniczne po dwanaście i pół dolara za minutę, a także prezenty dla Amandy i Patricka.

Amanda i Patrick. Jedną z najkrótszych rozmów odbyła z Amandą tuż po jej spotkaniu z Patrickiem. Jej przyjaciółka wypowiadała się oględnie i zwięźle. Spotkanie było miłe. Miłe i już.

Ostatni przystanek zrobiła w gabinecie lekarskim na pokładzie numer dwa.

- Jestem chirurgiem - zwrócił się do dyżurującego doktora - i zamierzam zejść na ląd. Wiem, że rzadko się zdarza, żeby ktoś rezygnował z rejsu w jego połowie, ale wydarzyło się coś nieprzewidzianego. Oto rachunek oraz kopia mojej licencji lekarskiej.

- Co mogę dla pani zrobić?

- Pewien mój znajomy... również lekarz... czeka na transplantację szpiku. Znalaziono potencjalnego dawcę, ale może się on nie zgodzić, dlatego zamierzam go odwiedzić i przekonać. Chciałabym wtedy pobrać mu krew. Widzi pan, to samotnik, a jego dom leży w zupełnej głuszy. Być może mogłabym go przekonać, żeby udał się ze mną do najbliższego szpitala, ale..

- Do tego czasu będzie pani miała dość przekonywania? - zgodził lekarz z uśmiechem.

- Otóż to. Dlatego mam prośbę, żeby mi pan udostępnił odpowiedni sprzęt. - Caitlin urwała, widząc, że twarz lekarza poważnieje. Wyciągnęła

ku niemu obnażone ramiona, alabastrową skórę nie skażoną najmniejszą plamką. — Nie jestem narkomanką, przysięgam. Nie kłamię, ale jeśli pan chce, proszę zadzwonić do doktora Stephena Sheridana z Los Angeles.

- Nie zrobiła na mnie pani wrażenia narkomanki. Zastanawiałem się tylko, ile mam zapasów. Właściwie jest tu wszystkiego pod dostatkiem z wyjątkiem jednorazowych strzykawek, więc jeśli zadowolili się pani zwyczajną...

- Oczywiście.

- A zatem umowa stoi. Pokażę pani szafkę z zapasami. Proszę wybierać.

- Mam nadzieję, że pozwoli mi pan zapłacić.

- Pani doktor - powiedział lekarz z przekąsem - biorąc pod uwagę zyski, jakie ciagniemy z rozmów telefonicznych na statku, wydaje mi się, że strata paru igieł i strzykawek nas nie zrukuje.

Dwadzieścia minut później Caitlin stanęła na lśniąco żółtych kamieniach portu i pomachała na pożegnanie statkowi. Miała nadzieję, że zabierze ze sobą nieco morskiej magii. Dla Patricka. Lecz kraina czarów miała na zawsze pozostać tutaj, gdzie było jej miejsce - z Maggie i Michaelem.

Tańczyłaś z nim, mamó. Widziałam cię. Jesteś migotliwą tęczą... i będziesz tańczyć ze swoim Michaelem do końca świata.

Córka Maggie wyruszyła do Nowego Jorku, gdzie czekała ją przesiadka do Honolulu. Pomiędzy lotami pozostało jej dokładnie tyle czasu, by kupić *Czarny księżyc* Graydona Slake'a,

Otworzyła książkę w chwili, gdy koła samolotu oderwały się od ziemi... i zapomniała o wszystkim, oszołomiona zdumiewającymi słowami i uczuciami, które w niej te słowa obudziły.

13

Maui
środa, 24 kwietnia

Caitlin nie mogła się oderwać od czytania nawet wtedy, gdy samolotem zaczęło tak rzucać, że pasażerowie porzucili wszystkie zajęcia, chwycili się kurczowo oparcie i zacisnęli zęby. *Czarny księżyc* był mroczny, zmysłowy, erotyczny. Niebezpieczny. Czy naprawdę tę książkę napisał człowiek, który nie potrafił konkurować ze swoim wspaniałym bratem? Niezdarny i prawdopodobnie nieatrakcyjny mężczyzna z wyjątkową wyobraźnią?

Czy ktokolwiek zdołałby wyobrazić sobie takie uczucia? Przed przeczytaniem tej zaskakującej prozy Caitlin z pewnością odpowiedziałaby przecząco. Ale teraz czuła namiętność, pragnienie, głód, żądzę. Te uczucia obudził w niej Jesse Falconer. To on kazał jej je odczuwać.

Jesse Falconer? Nie. Nieudany brat nie mógł wyczarować takiego uniesienia. To dzieło Graydona Slake'a. Graydon Slake, *alter ego* gorszego brata, wyimaginowana postać, która stworzyła najwspanialszą ułudę: wizję miłości.

Być może Graydon Slake nie byłby zachwycony taką interpretacją. Jego thrillery były zapierającymi dech w piersiach podróży w tajemne głębie umysłów zbrodniarzy - a także w głębinę seksu. Seksu, nie miłości. Na sześćdziesięciu stronach *Czarnego księżyc*a ani razu nie pojawiło się słowo „kochać”. Nie było go w ciętych ripostach, jakie wymieniali ze sobą główni bohaterowie, nie zawierały go ich prowokacyjnie erotyczne szepty. Główny bohater Graydona Slake'a także nie przypominał prawdziwego bohatera. Był nim eks-policjant, dobrze - zbyt dobrze? - rozumiejący pragnienia morderców, niebezpieczny, a czasami okrutny. Prawdę mówiąc, granica pomiędzy nim i jego diabolicznym przeciwnikiem była bardzo cienka. Ale istniała. Bohater nie wahał się ani chwili przed poświęceniem życia w obronie kobiety, którą „kochał”.

Podczas tego niespokojnego lotu do Honolulu Caitlin wiele razy wracała myślą do nieznanego brata Patricka. Dotąd uważała go za jego satelitę; wyobrażała sobie, że świeci odbitym światłem, nie ma własnego uroku, jest nieatrakcyjny i nieprzystosowany do rzeczywistości. Oczywiście namiętności nie były mu obce... namiętność do pisania i śnieżnych lwów całego świata. Namiętność utajona, lecz zaciekła, niepowstrzymana i nieprzejednana. Podobnie jak jej własna namiętność do leczenia ludzkich serc. Ten nieudany brat o wiele bardziej niż Patrick przypominał ją samą.

Teraz znała już *Czarny księżyc*. Być może był to następny dowód na to, jak bardzo jest podobna do Jesse'a: dwoje samotników, obdarzonych gorzkim darem wyobrażania sobie miłości.

Oczywiście możliwe było także to, że się pomyliła.

Przekona się o tym już niedługo. Dziś wieczorem.

Opóźniony samolot linii lotniczych Aloha dotarł na Maui późnym popołudniem. Tropikalna burza sprawiła, że Valley Isle wcześniej niż zwykle pograżyła się w mroku. Droga Honoapiilani stała się zdradziecką wstęgą z czarnego atłasu.

Będę uważać, obiecała Caitlin. Taka obietnica wykluczała jazdę po ciemku. Właściwie w jej przypadku jazda po takim terenie o każdej porze byłaby w najwyższym stopniu ryzykowna. Caitlin rzadko prowadziła samochód. Jej mi eszkanie na Barrington znajdowało się naprzeciwko szpitala, a „Ariel” był od niego oddalony o trzy przecznice. Ulica zawsze wydawała się jej nieprzyjazna, a jeśli do czynników ryzyka doliczyć jej wieczne niedospanie...

Właściwie mogła odłożyć podróż do następnego dnia. O tej porze nie było już powrotnych lotów, ale uważała, że powinna dotrzeć do celu jeszcze dziś - w swoje urodziny, kiedy niebo stało się morzem i zalało ziemię migioliwą płaszczyzną magii.

Być może przybędzie do samotni pisarza nieco zmęczona. No, przynajmniej to wprost, obolała i wykończona. Ale dotrze do celu dziś.

Już teraz zaciśnięte na kierownicy ręce zaczęły ją boleć, oczy piekły od wpatrywania się w grubą zasłoną deszczu, a jeszcze przecież nie dotarła nawet do Kaanapali. Zmierzch zapadł dawno temu, miała przed sobą bardzo długą drogę. Za Kaanapali. Za Kapalua. Za Pineapple Hill.

Jechała zupełnie sama po śliskiej nawierzchni, usiłując zachowywać największą ostrożność. Latarnie prowadziły ją w aksamitną czerń... aż wreszcie skręciła w prywatną drogę do domu Jesse'a Falconera. Najwyraźniej pisarz-samotniknie miał ochoty zdradzać nocnym gościom tajemnic swojej pustelni, a także niebezpieczeństw czyhających na drodze do niej. Goście? Ktoś, kto wybiera sobie takie miejsce zamieszkania, nie tęskni za nimi.

Cóż, drogi panie, zamierzam złożyć panu wizytę i już prawie dotarłam na miejsce. W każdej chwili ta potworna droga może zmienić się w podjazd i wtedy wreszcie zapałą się światła. Prawda?

Tak. Oczywiście. Chyba że...

Umysł, od dawna dręczony bezsennością, zaczął jej podsuwać wizje domu Jesse'a Falconera, Średniowieczny zamek z fosą i mostem zwodzonym. Albo, co byłoby zrozumiałe u człowieka zafascynowanego morderstwami, najeżone wieżami potworne gmaszysko, pasujące do filmu o Frankensteinie. Może nawet siedziba Draculi z trumną w każdej komnacie.

Timothy Asquith pewnie by ją ostrzegł przed takimi osobliwościami, ale on przecież był tu w środku dnia. W jasnych promieniach słońca na Hawajach nawet najbardziej upiorne zamczysko musi wyglądać przyjemnie. Timothy Asquith nie miał okazji ujrzeć jego transformacji, podobnej do tej, jaką przechodził Jesse Falconer, zmieniając się w Graydona Slake'a.

Czy znany autor pracuje nad książką? Czy przenosi na papier grozę, strach i najburzliwsze namiętności, nawiedzające go w tych przerażających ciemnościach?

Ciemnościach?

Nagle, w mgnieniu oka, świat uległ transformacji, Pojaśniał. Zapłonął. Nastął dzień w pełnym blasku sztucznego słońca, wielokrotnionym przez pryzmat kropel deszczu. Żółte błyski oświetlały kamienie, po których jechała. Był to łupek w kolorze zieleni, zieleni niczym z pawiego ogona, na końcu zaś podjazdu tkwiło zielone ogrodzenie, broniące dalszego dostępu. Najeżona kolcami barykada, masywne wrota zawieszane na kamiennych słupach. Na jednym z nich widniał głośnik interkomu. Czy były tu także kamery, które prześlą do domu obraz jej twarzy? Czy Jesse Falconer już teraz się jej przygląda?

Tak, pomyślała. Czuję jego spojrzenie. Uważne, szacujące i nieprzychylnie.

Na pewno zauważył jej podkrążone oczy, szarą cerę i bezkrwiste dłonie na kierownicy. Czy poczuje litość do tej ofiary burzy, czy pozwoli jej wejść, nie zadając dalszych pytań? A może będzie musiała rozgiąć zeszywniałe palce - jeśli jej się to uda - opuścić okno i prosić o audiencję pana tej posiadłości?

Odpowiedz nadeszła szybko; najwyraźniej Jesse poczuł zaniepokojenie na widok niespodziewanego gościa. A może wolał rozmowę w cztery oczy? W lochu zamczyska. Tam, gdzie zwykł torturować natrętów, dopóki nie wyznajamu wszystkiego? W każdym razie brama otworzyła się dostojnie i jakby złowrogo, a kiedy masywne wrota zatrzasnęły się na powrót, ten dźwięk przywiódł na myśl więzienne drzwi.

Caitlin poczuła, że serce bije jej szybciej - pierwotny odruch przerażonego zwierzęcia, choć na razie nie wydarzyło się nic złego, Świat znowu się zmienił, złagodniał. Oślepiające światło przygasło, zmieniło się w złocistą mgiełkę, sączącą się z latarni nad falującym oceanem palm. Droga także wydawała się teraz bardziej przyjazna, niczym zielona rzeka wijąca się mię-

dzy kępami tropikalnych roślin. Adom Jesse'a Falconera? Za ostatnim zakrętem objawił się wreszcie jej oczom. Nie był to średniowieczny zamek, twierdza szalonego naukowca ani siedziba księcia wampirów. Niska, wielosegmentowa budowla przypominała raczej sznur pereł, porzucony niedbale pomiędzy kwiatami.

Caitlin zatrzymała samochód u stóp zielonych schodów, ostatniej przeskody. Powoli rozwarła palce; ciało zareagowało przenikliwym bólem i odrętwieniem, dziwnie nie na miejscu u chirurga. Wyłącznie dzięki siłom woli zdołała przekręcić kluczyk w stacyjce, zaciągnąć hamulec, zgasić reflektory, rozpiąć pasy i wysiąść.

I oto stała przed domem w strumieniach deszczu, drżąc z ulgi i zmęczenia. A może także z podniecenia, które ją nagle przejęło? Było tak, jakby zasłona deszcz rozstała się na boki, by Caitlin mogła zobaczyć pana tego domu z całą wyrazistością. Oczywiście na ile było to możliwe w ciemności.

Patrzyła na czarną sylwetkę bez twarzy, ale jej kontury wydawały się wystarczająco wymowne. Jesse Falconer okazał się człowiekiem o niezaprzeczalnie pociągającej powierzchowności. Był szczupły, elegancki, silny i władczy. Może jego tonąca w cieniu twarz jest pocięta bliznami tak groteskowymi, że żadna kobieta nie zechciałaby na niego spojrzeć? I tego miała się wkrótce dowiedzieć, bo Jesse ruszył ku niej.

Światło latarni dosięgło najpierw jego włosów. Miały kolor nocnego nieba, tak jak i jej. Gęste, lśniące, wspaniałe. Potem złociste promienie wydobyły z mroku jego twarz.

Nie było na niej szram. Twarde rysy, ostre linie, niczym wykute w kamieniu. Bez skazy, bez jednego błędu, absolutnie...

Nagle, poprzez deszcz, wydało się jej, że dostrzeża inne blizny, głębokie rany zadane w samo serce. Chwila minęła, głębokie obrażenia okazały się złudzeniem, grą cieni i Caitlin ujrzała prawdziwego Jesse'a Falconera.

Łagodny? Wyobcowany? Nieatrakcyjny? Tak go sobie wyobrażała. Jakież bezpieczne słowa, jakie wygodne obrazy. Teraz rozpadły się na jej oczach. Co zajmie ich miejsce? Nowe określenia pojawiły się wraz z podmuchem wiatru. Mroczny, szumiący wiatr. Namiętny. Seksowny. Niebezpieczny. Taki sam jak thrillery Graydona Slake'a, a ta nadzwyczajna wyobraźnia, którą mu przypisała? Być może wcale jej nie posiadał. Te podniecające opisy czułych chwil musiał zaczerpnąć z własnych bogatych wspomnień.

Czułych chwil? Nie, seksu. Czystego i niefałszowanego. Przynajmniej jak na Jesse'a Falconera, któremu namiętność musiała być równie potrzebna jak oddychanie. I równie naturalna. Mężczyzna, który się do niej zbliżał, był autorem bestsellerów, panem wiatru i deszczu. Lubił obserwować gości, którzy zbliżali się do jego domu w zupełnych ciemnościach. Ale wszystkie te rozrywki musiały mu służyć tylko do zabijania czasu, kiedy nie znajdował się tam, gdzie powinien - w łóżku, uprawiając seks.

Caitlin trafiła do posiadłości niebezpiecznie pociągającego człowieka. Zbliżał się do niej krokiem drapieżnika, silnym i pełnym wdzięku... i wreszcie ujrzała jego oczy. Lśniły ostrzegawczo i obiecująco. Tak samo jak bohater Graydona Slake' a ten mężczyzna był niebezpieczny i mógł się stać okrutny. Od zła dzieliła go najcieńsza granica.

Ciche, skradające się kroki zatrzymały się blisko niej, choć nie za blisko. Jej przestrzeń nie została zagrożona -przynajmniej fizycznie.

- Chodźmy stąd, pani mokino.

Był równie przemoczony jak ona, ale najpierw zatroszczył się o wszystko, czego mogła potrzebować. Dopiero wtedy zajął się własnymi włosami i twarzą.

- Tak... - powiedział wtedy. - Więc kim pani jest?

- Nie wie pan?

- Skąd miałbym wiedzieć?

Jej przybycie przyjął z takim spokojem, że uznała, iż Timothy Asquith jednak go uprzedził.

- Czy Timothy Asquith nie powiedział panu o moim przybyciu?

- Ani słowa. A rozmawialiśmy mniej więcej dwie godziny temu.

- Prosiłam go, żeby o mnie nie wspominał.

- A on się zgodził? To do niego niepodobne. Musicie być sobie bardzo bliscy.

- Co? Och, nie. Nie całkiem. Znam dobrze jego żonę i syna, ale...

- A więc w jakiś sposób udało się pani go nakłonić, żeby mnie nie uprzedzał o pani przyjeździe. Pytanie brzmi: dlaczego?

Ponieważ chciałam cię zaskoczyć. Chciałam mieć pewność, że nie uciekniesz, żeby nie musieć stawiać czoła gorzkim wspomnieniom.

Jakaż była głupia, uważając go za brzydkiego, łagodnego chłopca. Ten człowiek - drapieżnik - nigdy nie dałby się zaskoczyć. I nigdy by nie uciekł. Przed niczym.

Chciałam ci dać szansę, byś mógł stać się człowiekiem równie wspianym jak twój brat. Byś mógł uratować jego życie.

Ale Jesse nie był satelitą swojego brata. Świecił własnym światłem. Innym niż Patrick. Był mroczny. Zaciekły. Niebezpieczny. Ajednak oszołamiający.

A chęć pomocy? To najgłupszy pomysł ze wszystkich. Jesse Falconer nie czekał na Caitlin, by dzięki niej pomóc swemu bratu. Niczego od niej nie potrzebował. Niczego. A czego w ogóle potrzebował? Hmm, może była tu jakaś kobieta, z którą dzielił wyrafinowany seks i cięte riposty? Może ta kobieta czekała na niego niecierpliwie w łóżku, nienasycona i perwersyjna?

Taka jak on. Widziała w nim namiętność i niecierpliwłość, a także siłę, dzięki której trzymał je na uwierzy.

- Dlaczego? - powtórzył niebezpiecznie łagodnym głosem.

Tego człowieka nie można było okłamać. Przynajmniej ona tego nie potrafiła. Od razu przyłapałby ją na kłamstwie, a wtedy jadownicie zielone płomienie objęłyby jej duszę.

„Ponieważ potrzebuję twojej krwi”, powinna powiedzieć. Ale w tej chwili zrozumiała, że to zadanie jest niewykonalne.

Magiczna aura morza rozproszyła się, zginęła w burzy. Trzeba było opracować zupełnie nowy plan, całkowicie inny sposób podejścia człowieka, tak różnego od pokrewnej duszy, jaką sobie wyobrażała. Postanowiła grać na zwłokę.

- Timothy prosił, żebym przeczytała pański scenariusz. - I zrobię to, kiedy wrócę do Los Angeles, jak tylko dam Stephenowi Sheridanowi próbkę twojej krwi.

- I przyjechała pani porozmawiać? W środku nocy? Podczas burzy? Musiała pani mieć poważne powody.

Zielone oczy lśniły rozbawieniem. Najwyraźniej nie poczuł się zaniepokojony zastrzeżeniami, które mogła mieć do jego scenariusza.

- Tak - przyświadczyła. - Bardzo poważne.

Twój brat umiera, a ja chcę cię przekonać, żebyś go uratował.

Magia morza powróciła, a może była to moc jej namiętności do ratowania zagrożonych serc. Jej misja, jej zawód, jej życie.

Wraz z nagłym przypływem pewności siebie poczuła także przenikliwy dreszcz.

- Musi pani wziąć gorący prysznic i przebrać się w coś suchego.

- Wiem - powiedziała, zaciskając zęby, bo zaczęły jej szczekać.

- A może chce się pani przespać? Czy ta rozmowa może poczekać do jutra?

Nie spodziewała się *tak* pomyślnego zwrotu sytuacji. Dzięki temu mogła zastanowić się nad obraniem innej taktyki.

- Byłabym bardzo wdzięczna. O której godzinie się spotkamy?

- Kiedy się pani obudzi.

- Czy mam zadzwonić przed wyjazdem?

- Jakim wyjazdem?

- Z Kapalua. Wynajmę pokój w hotelu.

Był to ułamek chwili, mgnienie, lecz Caitlin nie miała wątpliwości, że naprawdę to zobaczyła: zaskoczenie człowieka, którego niełatwo zaskoczyć. Potem jego spojrzenie wyostriżyło się jeszcze bardziej, jakby od nowa ją ocenił, jakby jej gotowość do ponownego przemierzenia niebezpiecznej drogi sprawiła, że postanowił zmienić opinię, którą już sobie wyrobił.

- Niepodobnego - powiedziała. - Będzie pani spała tutaj, w pokoju, który zajmowali Timothy i Lillian.

Lillith, poprawiła go w myślach.

- Dziękuję.

Uśmiechnęła się, choć czuła, że usta ma sine z zimna. Nie zobaczyła uśmiechu w odpowiedzi. Cień zaskoczenia zniknął już dawno.

- Jeszcze jedno pytanie -usłyszała.

- Tak?

- Ma pani jakieś imię?

14

Maui
czwartek, 25 kwietnia

Spała dobrze i obudziła się tuż przed wschodem słońca, wypoczęta i pełna energii. Niebo wyglądało jak czarny aksamit naszywany srebrnymi gwiazdami. Burza ucichła; to pewnie przez nią i przez zmęczenie podróżą Jesse Falconer wydał się jej bardziej groźny, niż był w istocie. W świetle dnia wszystko będzie wyglądać pogodniej.

Przybyła zmęczona i zrobiła na nim jak najgorsze wrażenie. Była przemoczona do suchej nitki, drżała i staniała się z wyczerpania. Dziś będzie ideałem lekarza. Nie miała białego fartucha, ale i tak zaprezentuje się schludnie i profesjonalnie w sukience w pasy koloru kości słoniowej i indygo.

Jesse nie oprowadził po domu swego półprzytomnego ze zmęczenia gościa, ale rozkład budynku wydawał się prosty. Dwa skrzydła przytykały z obu stron do marmurowego holu – jedno dla właściciela, drugie dla jego gości. Cała budowla miała łagodny łukowaty kształt niczym młody księżyc, którego wewnętrzną krzywiznę stanowiła szklana ściana, ukazująca osłonięty dziedziniec i rozpościerające się za nim morze.

Zeszłej nocy zdążyła obejrzeć część drugiego skrzydła: salon, przestronny i wspianały, a także wyłożoną lustrami jadalnię. Dalej pewnie znajdowała się kuchnia, a za nią gabinet i sypialnia. Pokój, w którym spała, mieścił się po przeciwnej stronie budynku, w drugim rogu księżycy. Mogła się wykapać i umyć włosy bez obaw, że obudzi swojego gospodarza. Potem wybrała się na przechadzkę po domu.

Przechadzka? Właściwie była to wyprawa badawcza w poszukiwaniu śladów zdradzających, kim naprawdę jest Jesse Falconer. Być może ta ciekawość wyglądała na wścibstwo, lecz misja miała szlachetny cel; Caitlin musiała dobrze poznać brata Patricka, by znaleźć argumenty, które go przekonają.

Jeszcze zanim opuściła swój pokój, wiedziała, że Jesse ma znakomity gust i kocha przyrodę. Wystrój jego domu był elegancki i pełen umiaru, pomyślany tak, by uzupełniał krajobraz za oknem, nie zaćmiewając go. Skrzydło gościnne składało się z trzech sypialni z łazienkami oraz biblioteki, wyposażonej w księgozbiór mogący zaspokoić najbardziej wyrafinowane upodobania. Książki, które w nim znalazła, dotyczyły wszelkich dziedzin życia, od starożytnych cywilizacji po współczesne prawo. Szczególnie bogato wyposażony był dział medyczny. To naturalne, pomyślała Caitlin, że ktoś piszący o morderstwach chce znać wszystkie sposoby, na które można zadać śmierć. W rogu pomieszczenia, we wnęcie, stały powieści Graydona Slake'a. Jegd thrillery, w sumie osiemnaście, ustawiono według dat wydań. Każdy tytuł był w kilku egzemplarzach: wydania w twardych i miękkich okładkach oraz tłumaczenia na najróżniejsze języki, od chińskiego po grecki. Na półkach znajdowały się także trzy scenariusze, według których nakręcono filmy.

Pierwsza książka Graydona Slake'a, *Patrzący w gwiazdy*, zajęła całą górną półkę. Wydana niegdyś jako broszura, od tego czasu była nieustannie wznawiana. Wyglądało na to, że autor zachował także jej manuskrypt. Ale zauważyła Caitlin, jego tytuł brzmiał inaczej: *Odrzucona kobieta*. Może był to tytuł roboczy, a może rękopis innej, nigdy nie opublikowanej powieści? Jeśli tak, *Odrzucona kobieta* miała przed sobą przyszłość. Każdy wydawca z rozkoszą zająłby się nieznanym dziełem sławnego pisarza.

A może, dodała w myślach, to wcale nie jest powieść, tylko spis byłych kochanek? W każdym razie ten czarny zeszyt znajdował się na niedostępnych wyżynach. Hmm, nie aż tak niedostępnych... mogłaby przyciągnąć do półki rattanowe krzesło... trzeba dowiedzieć się o Jessem, ile tylko można; Ale krzesło okazało się zbyt ciężkie. Zostawiłoby wymowne koleiny w puszystym, fioletowym dywanie. Poza tym nawet tutaj, na poziomie wzroku, znajdowało się wiele wiadomości na temat brata Patricka. Była to półka poświęcona zagrożonym gatunkom; większej części zajmowały dziesiątki egzemplarzy *Śnieżnego lwa* oraz kasyety wideo z filmem. Na honorowym miejscu stała figurka tytułowego bohatera, zarazem dostojna i sympatyczna.

Kiedy Timmy Asquith został przywieziony do szpitala Westwood, tulił w ramionach identyczną maskotkę. A może zwierzątko na półce w Maui było prezentem od niego dla autora jego ulubionej książki? Może ten mały, roztropny chłopczyk był wspólnym znajomym Caitlin i Jesse'a?

Jeśli rzeczywiście puszysty lew był prezentem, to jego właściciel bardzo go cenił, stawiając na tak poczesnym miejscu. W gruncie rzeczy ten zakątek wydawał się czcić uczucia, nie sukces. Celebrował wspomnienia, nie arogancję. Był to pomnik, niegdyś czule dogładany.

Szybkie spojrzenie na trzy stojące obok, zamknięte skrzynie przekonało Caitlin, że nikt się już nie opiekuje tym miejscem pamięci. Na boku jednej ze skrzyń widniała data sprzed szesnastu miesięcy. Napis na każdej z nich informował o za-

wartości - były to wydania *Wietrznych dzwoneków* i *Czarnego księżycy*. Prawdopodobnie egzemplarze autorskie, pomyślała Caitlin. Książki, które pisarz może rozdać rodzinie i przyjaciołom. Książki, których nie chciał oglądać.

To miejsce, dowód sentymentalnej pamięci, nie zostało stworzone przez Jesse'a. Co do tego Caitlin nie miała żadnych wątpliwości. Więc kto mógł tu mieszkać, kto zniknął stąd przed szesnastoma miesiącami? Żona? Nie, to by do niego nie pasowało. Stała kochanka? Jesse wyglądał na człowieka, który gustuje raczej w jednonocnych romansach. Więc kto? Wnęka z książkami wyglądała smutno i samotnie. Jak wystygłe popioły niegdyś buzującego ognia.

Czy ognisko domowe miało jakieś znaczenie dla brata Patricka? Czy możliwe, że człowiek tak opanowany, spełniony i pewny siebie żyje z bolesną pustką w sercu? Czy bliźni, które ujrzała w nim przez chwilę, były tylko tworem jej wyobraźni?

Może Jesse Falconer naprawdę tęsknił za bratem. Ta myśl napełniła ją otuchą, słabą i nietrwałą. A jeśli spotkanie braci nastąpi w samą porę, by Jesse mógł stać się świadkiem śmierci Patricka? A jeśli Jesse spróbuje go uratować i nie zdąży? Co będzie wtedy?

Nic podobnego się nie zdarzy, powiedziała sobie. Ale do tego trzeba było czegoś więcej niż słów. Musiała zacząć działać. Niegdyś wesołe miejsce wydało się jej upiornie zimne, zimne jak grobowiec... pomnik zapomnianego ciepła. Opuściła je pospiesznie.

W salonie znalazła światło i nadzieję. Właśnie wschodziło słońce. Niebo stało się różowe, a pokrywające je chmurki, delikatnejak koronka, miały kolor gołębiej szarości. I po raz pierwszy od przybycia na Valley Isle Caitlin zobaczyła morze. Rozpościerało się za dziedzińcem, daleko w dole - przepastna głębia o barwie indygo. Zapragnęła podejść bliżej do tego magicznego żywiołu, spojrzeć w lśniącą taflę, odbijającą wiernie różowe koronkowe niebo. W oddali zauważyła zachęcającą sylwetkę wieżyczki widokowej. Idealne miejsce do obserwacji wschodu słońca.

Morze wabiło ją jak sobie, zachęcało do podjęcia czarodziejskiej podróży między kępami kwiatów i stawami, łukami mostków i ścieżkami z zielonego łupku. Gdy zbliżyła się do budowli, Caitlin przekonała się, że jej pierwsze wrażenie było mylne: nie miała przed sobą wieżyczki, ale bungalow, być może schronienie dla nadprogramowych gości. Czy kiedykolwiek zdarzało się, że wszystkie pokoje w domu były zajęte? Czy Jesse miał liczne grono znajomych, dla których organizował weekendowe zabawy? Nie było trudno wyobrazić go sobie w roli gospodarza, eleganckiego i opanowanego. Ale wizja wspaniałych zabaw, podobnych do tych, jakie wyprawiał Gatsby, jakoś nie chciała się pojawić. Kameralne przyjęcia wydawały się bardziej w stylu Jesse'a Falconera. Przyjęcia dla jednego gościa. W sypialni.

Z wyjątkiem niezbędnych elementów konstrukcyjnych cały bungalow był zbudowany ze szkła. A to oznaczało, że jeśli stanęło się w dokładnie wyzna-

czonym miejscu, można było obserwować wschód słońca przez szklaną taflę i jednocześnie odbity w jej powierzchni. Prawda i jej bliźniacza iluzja.

Samo szkło było wyjątkowe: szlifowane w fasety, migotliwe jak ogromny brylant, który chwyta blask i zamienia go w żywy ogień. Widowisko już się rozpoczęło. Niektóre fasety pochwyciły rodzący się promień świtu, tak blade, że niewidzialny dla ludzkiego oka. Tutaj, powiększony, zwielokrotniony, maleńki promień wypełnił cały budynek, rozświetlił go złotzielonym blaskiem, który zdawał się powstawać wewnątrz domu. A może, może... może istniało inne źródło tego blasku - ukryty gigantyczny meteor, jarzący się szmaragd, złożony w tym szklanym domu jak w szkatule.

Caitlin uśmiechnęła się blade do swoich myśli, ale uśmiech natychmiast zniknął z jej warg, bo oto stanęła przed prawdziwym źródłem zielonego blasku. Nie było to słońce ani lśniący kamień z innej galaktyki. Miała przed sobą narzędzie pracy nowoczesnego pisarza - komputer, włączony i gotowy do pisania.

A zatem Jesse pracował właśnie tutaj.

Czy było to sanktuarium, do którego inni nie mieli wstępu? Czy muza Jesse'a Falconera była tak kapryśna, że wejście intruza mogło nieodwracalnie zniszczyć starannie ułożoną frazę? Czy jego temperament był równie gorący jak temperament chirurga? Czy w chwili niepowodzenia Jesse cisnąłby komputerem przez cały pokój, jak chirurg rzuca skalpelem?

Patrick Falconer, wirtuoz wśród chirurgów, nigdy nie poddawał się atakom wściekłości - w sali operacyjnej czy poza nią. Ajego brat?

Porozmawiamy, kiedy się pani obudzi, powiedział Jesse. Ta chwila właśnie nadeszła, pełna porannego światła i różowych koronek, a tam, gdzie fiołkowe fote spotykały się z różowym blaskiem, morze nabierało koloru indygo. Nie mogłaby znaleźć lepszej chwili na ujawnienie prawdziwego celu swojej misji. Teraz zdobędzie zgodę Jesse'a i próbkę jego krwi. Tropikalne słońce me zdoła jeszcze wypełznąć wysoko na niebo, kiedy ona wsiądzie w samolot do Los Angeles.

Między miejscem, w którym stała, a szklaną ścianą znajdowała się jeszcze jedna przeszkoda. Caitlin zatrzymała się na chwilę, by zaczerpnąć powietrza i odetchnąć wonnym porannym powietrzem. Dopiero wtedy dostrzegła żelazne ogrodzenie, wysokie i najeżone kolcami, stapiające się kolorem z zielonym gąszczem, który się za nim rozciągał. To ogrodzenie świadczyło wyraźnie, że w posiadłości znajduje się coś, czego należy się strzec.

Bungalow nie przerywał tej żelaznej barykady. Nie był jej słabym ogniwem. Za szklaną taflą widniała imponująca brama. W tej chwili była otwarta - pewnie po to, by nie zasłaniać widoku pochłoniętemu pracą pisarzowi.

Takiego widoku naprawdę nie godzi się zasłaniać, pomyślała Caitlin, przyglądając się przestrzeni za szklaną ścianą. Był to krajobraz pełen sprzeczności, jednocześnie bujny i surowy; ściany odwiecznego wulkanu porośnięte

żywym lasem. Niczym księżycowy krajobraz, na swój sposób hipnotyzujący. Spokojny, lecz pełen siły. Majestatyczny, lecz groźny. Zmysłowy, lecz twar-
dy. Mroczny i niebezpieczny.

Tak jak człowiek, który tu mieszkał.

Po raz ostatni zacerpnęła łyk powietrza pachnącego gardeniami i mor-
rzem. Potem przeszła po łukowatym mostku nad stawem i zajrzała do wnętrza bungalowu. Spodziewała się nieskazitelnej elegancji, lecz wystrój tutaj był równie surowy jak powierzchnia księżycza.

Jak człowiek, który tu mieszkał.

Umeblowanie ograniczało się do biurka, krzesła i paru niezbędnych sprzę-
tów: komputera, drukarki, telefonu, faksu. Nigdzie nie dawało się zauważyć niczego, co by umilało ludzką egzystencję - kubków gorącej kawy, smukłych butelek alkoholu, czegośkolwiek.

Był tu za to on, jego sylwetka, nieruchoma, lecz pełna siły, skupiona przy tworzeniu nowego świata. Czy teraz odgrywał rolę mordercy? Czy też ko-
chanka? Miała nadzieję, że przeszkodziła mu w tworzeniu sceny morderstwa. Tb wydawało się bezpieczniejsze.

Bez względu na wszystko, zamierzała mu powiedzieć prawdę. Teraz. Natychmiast.

Chciała zapukać w szklaną ścianę, lekko i pewnie, lecz jej ręka zamarła w połowie ruchu. W pustym pokoju zobaczyła jeszcze jakiś kształt; leżał na podłodze obok Jesse'a, biały i duży. Pierzyna? Puchowy śpiwór zarezerwo-
wany na nieczęste chłodne noce w tropikalnym raju? Przecież Jesse Falconer nie potrzebował ciepła; wyraźnie widziała płonący w nim ogień. Nie potrafi-
ła go sobie wyobrazić skulonego pod kocem. W końcu zauważyła, że biały kształt jest żywy; podniósł się z podłogi i zbliżał się w jej stronę z niezwy-
kłym wdziękiem jak na tak duże stworzenie.

Wiadomo, że na naszej planecie pozostała zaledwie garstka śnieżnych lwów, zagrożonych zupełną zagładą. Ale temu osobnikowi nie groziło nic złego.

W przeciwieństwie do niej.

Spojrzenie drapieźnika - chłodne i szacujące - mówiło bez ogródek o nad-
chodzącym niebezpieczeństwie. Miękkie kroki zatrzymały się na chwilę. Zapadła złowroga cisza. Nie było wątpliwości, że to potężne zwierzę może przebić szklaną ścianę jak bibułkę. Jeszcze bardziej oczywisty wydawał się fakt, że tak właśnie przedstawiały się zamiary bestii. Lew zwlekał tylko po to, by zabawić się z Caitlin, dać jej posmakować strachu, zanim przerwie jej życie.

Kiedy tylko przebiję szkło, które musi mu się wydawać cienkie jak paję-
cza sieć, rozerwie jej gardło jednym kłapinięciem Idów. Ręka Caitlin, zawieszona w powietrzu przed szklaną taflą, instynktownie sięgnęła do szyi. • - jak-
by drżące palce były jakąś ochroną.

Przez chwilę miała uczucie, że jej szyja jest otoczona pancerzem mocniejszym niż zbroja. Zdobił ją sznurek sztucznych pereł, dar miłości. Wydawał się promieniować czarodziejską mocą... ale wtedy właśnie lew ruszył ku niej leniwym krokiem, otwierając szeroko paszczę w niewinnym ziewnięciu. Ręka Caitlin drgnęła nerwowo, sznurek pereł pękł i paciorki rozsypały się na łupek chodnika. Niektóre potoczyły się do jej stóp, uderzając białe w kontraście z zielenią podłoża, inne, niczym pożegnalne łzy, wpadły do stawu. Caitlin prawie nie zwróciła uwagi na zniszczenie swojego najdroższego skarbu. Na to przyjdzie czas później - jeśli w ogóle istniało dla niej jakieś „później”.

W ciszy przedświtę rozległ się ryk, pierwotny i dziki. Ten dźwięk wywołał wreszcie reakcję we wnętrzu bungalowu. Być może Jesse Falconer zatonął w wymyślnym świecie, lecz na szczęście potrafił w mgnieniu oka wrócić do rzeczywistości. Nagle w szklanym budynku znalazły się dwie bestie, dwa stworzenia pełne przerażającej siły i wyjątkowego wdzięku. Czy człowiek sięgnie po pistolet? Półautomatyczny, pełen kul - lub pocisków usypiających - który zawsze trzyma na biurku?

Nie. Caitlin nie zauważyła broni w jego rękach.

Więc może ludzka bestia rzuci się do gardła zwierzęciu? Czy złapie go za grubą obrożę, ukrytą pod strzępiastą grzywą, obrożę obwieszoną plakietkami ze świadectwem szczepień ochronnych i, oczywiście, jedną z napisem: „Nazywam się Pan Lew. Jeśli czytasz te słowa, to znaczy, że się zgubiłem, więc zadzwoń pod numer...”

Teraz już wiedziała, dlaczego Jesse nosił przy sobie pager. Tę ciągłą czujność stosował ze względu na lwa, śmiertelnie niebezpieczną bestię, która na pewno miała na szyi obrożę. Może nawet była przywiązana łańcuchem.

Nie. Nie było obroży ani łańcucha.

Ponieważ nie są potrzebne, pomyślała odważnie. Wystarczy komenda: siad, zostań. Jesse zaraz ją wypowie.

Jeszcze chwila... niech tylko nacieszy się jej strachem. Niech poczuje jego smak. Wtedy zanurzy dłoń w śnieżną sierść, zmierzwi tę lśniącą grzywę, nagrodzi lwa pieszczotą i pochwałą i powie mu, że jest dobrym, grzecznym lewkiem, ale nie musi zjadać tej kobiety, która tak zuchwale wtargnęła na jego teren.

Potem spojrzy na nią, drwiący i rozbawiony, a jego zielone oczy błysną pogardliwie.

Nie bój się, powie. On tylko tak wygląda.

Otworzy bungalow i zachęci ją do pogłaskania uspokojonego lwa. Pokaże jej, że jego pupil nie ma pazurów.

Wspaniały scenariusz. Scenariusz z happy endem. Niestety, nieprawdziwy.

Jesse Falconer był daleki od pogardliwego rozbawienia. Jego spojrzenie, skupione i pełne napięcia, spoczywało na lwie; nie zachowywał się jak pan drapieżnika, lecz jak jego poddany.

Lew ryknął.

Nie był to ryk szukający potwierdzenia swojej siły, Ale może, może... wydawało się, że zniknęła z niego żądza krwi. Jeśli Jesse przemawiał do bestii, jego głos był zbyt cichy, by dobiegł uszu CaitUn. Mijały sekundy. Minuty. Wieczność.

W każdej chwili ryk mógł rozbrzmieć znowu, wściekły i krwiożerczy, a zwierzę, znudzone podchodami, mogło po prostu skoczyć i zabić.

I wreszcie, wreszcie usłyszała ludzki głos. także podobny do warknięcia drapieżnika, niski i opanowany:

- Wracaj do domu. Idź powoli, nie biegnij. Nic nie mów. Idź.

15

Maui
czwartek, 25 kwietnia

Caitlin usłuchała rozkazu. Zaczęła powoli wycofywać się w stronę schronienia w kształcie sierpu księżycy. Serce biło jej tak mocno, że nie słyszała nic oprócz jego oszalałego łomotu. Ale po chwili dotarły do niej zadziwiające odgłosy: śpiew ptaków na powitanie słońca, szelest pierzastych liści palm niczym trzepotanie tysiąca wachlarzy.

Wyteżała słuch, by wychwycić także inny dźwięk: stapanie ogromnych łap po wykładanej kamieniem ścieżce. Ale przecież najpierw rozległby się brzęk tłuczonego szkła. I krzyk.

Bo Jesse Falconer chyba by krzyknął? Czy to możliwe, żeby zachował milczenie?

Caitlin widziała już śmierć, bywałą jej świadkiem. Umierający pacjenci nie krzyczeli. Przynajmniej nie głośno. Ale w chwili gwałtownego zgonu wszystkie żywe istoty wydają krzyk, odruchowe błaganie o życie. Caitlin słyszała tylko szelest ptaków, szelest palm i szmer kryształowo czystej wody. Dotarła do bezpiecznego schronienia domu. Dopiero tutaj obejrzała się w stronę bungalowu. W jego wnętrzu nadal trwały dwie nieruchome postacie: jedna hebanowo czarna, druga biała, obie ozłoczone światłem poranka.

Aż w końcu lew odwrócił się leniwym ruchem pełnym gracji i godności, nie wyglądającym na chęć ucieczki, i wyszedł przed otwarte drzwi. Zniknął ^zaroślach księżycowego krajobrazu.

Dopiero wtedy druga postać drgnęła.

Król zwi ^rzął oddalił się godnie i beztrzesko. A jego towarzysz? Jego krok także miał w sobie grację, lecz wydawał się bardziej ociężały. Może z wyczerpania po tym nieruchomym starciu. A może dlatego, że krępowała go wściekłość. Zamknął masywną żelazną bramę, najeżoną stalowymi kolcami.

Potem powolnym ruchem i jakby jeszcze bardziej osłabiony, wyjął z komputera małą niebieską dyskietkę, zamknął system i ruszył ku domowi.

Ku niej.

Caitlin poczuła ulgę, kiedy Jesse opuścił bungalow, ale ulga nie trwała długo, bo oto teraz zmierzał w jej stronę. Jego pochmurne spojrzenie padło na rozsypane na ścieżce sztuczne perły.

W powieściach Graydona Slake'a, a przynajmniej w *Czarnym księżycu*, granica pomiędzy bohaterem a przestępcą była wyraźna, choć cienka. Okrutny, lecz szlachetny bohater mógłby zginąć w potężnych szczękach lwa, by ochronić kobietę. Nie przekroczyłby cienkiej linii, dzielącej go od zła. I nie wyglądałby, wracając do domu, jakby miał za chwilę popełnić morderstwo. Słońce padało na twarz Jesse'a, gdy kroczył ku niej pomiędzy gardeniami; złociste promienie podkreślały gotującą się w nim wściekłość.

Drzwi, przez które Caitlin weszła do salonu, nadal były otwarte. Jeszcze przed chwilą, gdy ujrzała sylwetkę Jesse'a w zamkniętym wnętrzu bungalowu, miała ochotę pobiec ku niemu. Ale teraz cofnęła się odruchowo, jakby instynktownie chciała uciec... To samo uczucie pchało ją do ucieczki na widok lwa.

Teraz bała się bardziej.

Jesse stanął w drzwiach, zasłaniając sobą słońce. Dlaczego wydawało się jej, że za dnia będzie bardziej ludzki? Jakaż była głupia!

- Przepraszam - szepnęła do mrocznej sylwetki. Nie miała pojęcia, czego się spodziewać. Do tej pory nie miała do czynienia z rozgniewanymi mężczyznami, z wyjątkiem paru chirurgów, którzy bardziej przypominali rozkapryszone dzieci. Potrafili krzyknąć, zakląć, może nawet uderzyć.

Ten mężczyzna nie zamierzał tego robić, tak jak nie krzyknąłby, gdyby skoczył na niego ogromny lew. Jesse Falconer nawet rozrywany na strzępy pozostałby spokojny, chłodny, opanowany.

Głos cienia także brzmiał chłodno.

- To nie była twoja wina,

- Owszem, była.

- Jesteś bardzo zmęczona - powiedział cicho, jakby do siebie. - Myślałem, że będziesz spać dłużej. Nie powinienem go wpuszczać.

Z tymi zdumiewającymi słowami wszedł do środka. Caitlin nagle zrozumiała przyczynę jego furii. Był wściekły na siebie za to, że naraził ją na niebezpieczeństwo. Ją lwa. Bez wątpienia czuł się odpowiedzialny za nich oboje.

- Postąpiłeś słusznie.

- Cóż... Już po wszystkim. Jesteś cała?

- Tak. Dzięki tobie. Nic mi nie jest.

- To dobrze.

Bestia odetchnęła; był to zdecydowanie ludzki odruch, szczerze przyznanie się do strachu i ulgi. Także ona poczuła, że spada jej z serca wielki ciężar. .

A zatem miała to już za sobą - incydent z lwem i strach przed tym, co mogło jej grozić ze strony brata Patricka.

Wraz z ulgą pojawiło się gorączkowe uniesienie, które rozpoznała jako efekt przyływu adrenaliny. Wiele razy widywała już taką nieoczekiwaną radość, następującą po stresie. Pacjent z głęboką raną zjawiał się na pogotowiu przerażony i nieufny. Po zaaplikowaniu mu znieczulenia i dawki kojących słów pojawiała się ulga, a przy zakładaniu szwów pacjent stawał się nieznośnie gadatliwy.

Czy ulatniająca się adrenalina ma właściwości szampana? Jeśli tak, to ta reakcja dopiero czekała na swojego odkrywcę. Caitlin wyraźnie odczuwała jej wpływ, musujące bąbelki w żyłach. Nie wiedziała, czy również Jesse odczuwa to uniesienie, to uderzenie ciepła. Czuła jedynie jego gorące spojrzenie. Płonęło zielonym ogniem, olśniewającym, choć mrocznym... i rozkazującym. Jesse Falconer oczekiwał czegoś. Może prawdy.

Powiem ci prawdę, już niedługo... ale nawet ta fala uniesienia nie daje mi dość odwagi, by przemówić wprost do żywego ognia.

Pewnej zimowej nocy w Bostonie poznała czyjeś sekrety. Teraz, w innym miejscu i czasie, innemu człowiekowi, sama musiała ujawnić tajemnicę. Kiedy odwróciła głowę od pytających oczu Jesse'a, ujrzała smugę bieli.

Lew stał na zboczu księżycowego wzgórza. Wiatr rozwiewał mu grzywę, a promienie wschodzącego słońca barwiły jego sierść na różowo.

- Jaki on piękny - szepnęła.

- To prawda.

- Nie ma imienia?

- Nie. To nie jest zwierzę domowe. Nie moje zwierzę. Nie należy do nikogo.

- Ale ty najwyraźniej jesteś jego człowiekiem. Ma szczęście. Dobrze się nim opiekujesz.

- Bronię go, to wszystko. Dafem mu miejsce, w którym jest bezpieczny. On zajmuje się resztą.

W jego spokojnym głosie zabrzmiała nuta niespodziewanej żarliwości. Caitlin zrozumiała, że Jesse podjął pewne zobowiązanie, zarazem niezbędne i niebezpieczne. Król zwierząt nie miał żadnej szansy wobec uzbrojonego człowieka. I choć wydawało się niemożliwe, by ktoś zechciałby skrzywdzić tak piękne stworzenie, jego śnieżnobiałe futro było warte fortunę. Ludzie zapłaciliby każdą sumę, by ta nieskalana biel ozdobiła podłogę pałacu, płaszcz króla lub szatę księżniczki.

- Ale jesteście przyjaciółmi - powiedziała. - Dzielicie ze sobą dom.

Albo powierzchnię księżycy.

- Nie, raczej nie.

W głosie Jesse'a zabrzmiało lekkie rozbawienie,

- On pomaga ci pisać - dodała, ośmielona. - No dobrze, pilnuje cię.

- Pozwala mi chodzić po swoim lesie. Ja pozwalam mu wchodzić do mojego bungalowu.

Przyjaźń z lwem, pomyślała. Niezwykła przyjaźń. Ale z jakiegoś powodu Jesse nie chce się do niej przyznać. Gdyby darzył ją uczuciem choćby w połowie tak ciepłym, jak tego ogromnego lwa, spytałaby go o przyczynę takiego zachowania.

Gdyby cię darzył uczuciem, powtórzył głos w jej głowie. Skąd jej się to wzięło?

Adrenalina już dawno wywietrzała, szum zniknął. Ale euforia nadal rosła, jakby to Jesse był przyczyną tego oszołomienia.

- Chyba nie przypisujesz temu lwu ludzkich cech, prawda?

- Nie. - Uśmiech w jego głosie słyhać już było całkiem wyraźnie. - Choć ty najwyraźniej tak.

- Tak. - Tak, jeśli to cię bawi. - Czy on ma dziewczynę?

- Dziewczynę? Chcesz powiedzieć: kochankę?

- To chyba nie jest odpowiednie słowo? - Może i nie, lecz w ustach tego mężczyzny zabrzmiało wyjątkowo.

- Pewnie chodzi ci o samicę.

- Nie - szepnęła prawie bez tchu. - Przypisuję mu ludzkie cechy, pamiętasz?

- Ach, prawda. W takim razie chodzi ci o jego narzeczoną, lwicę jego serca.

- Czy przyszła małżonka Pana Lwa istnieje?

- Tak. Ale przecież wiedziałaś o tym, prawda? Czy nie dlatego tu przyjechałaś? Żeby się dowiedzieć, kiedy mają ją tu przywieźć? Żebyś mogła mieć ich oboje?

- Co?

Głos jej zadrżał. W środku tropikalnej wyspy powietrze ścięło się lodem. Jego głos także był zimny. Ale nie oczy. Widziała w nich ogień... płonące piekło.

~ Co? - powtórzyła, zmrożona widokiem tych lodowatych płomieni.

- Słyszałaś.

~ Powiedziałam już, kim jestem.

- Ale oboje wiemy, że to nieprawda. Nawet nie widziałaś tego scenariusza. Robert Asquith dostanie go dopiero dzisiaj. A Timothy nigdy nie dałby ci mojego adresu, nie uprzedziwszy mnie. A jego żona, którą podobno znasz, ma na imię Lillith, nie Lilian.

- Wiem. - Ale wydawało mi się, że zmieniłeś zdanie na mój temat i nie chciałam tego psuć. - Tylko... sądziłam... że to nieistotne.

- Naprawdę? Fakty pozostają faktami. Przybyłaś tu nieproszona.

- Naprawdę sądzisz, że chodzi mi o lwa? Że chcę go zabić? Bo muszę włożyć jego śnieżne futro? Jeśli tak, groziło ci dziś wielkie niebezpieczeństwo. Mogłam stanąć ci za plecami z karabinem...

- Ale ty nie masz karabinu. Przynajmniej nie chowasz go w walizce, którą wniosłeś do domu. Co do drugiej, hrnm... jest w bagażniku samochodu, do którego nie mam kluczyków.

Czy rzeczywiście przeszukałeś bagaż? Jeśli tak, zrobił to szybko i z dużą wprawą. Nie zauważyła, żeby cokolwiek leżało nie na swoim miejscu.

- Przeszukałeś moją walizkę?

Tak, była oburzona tym pogwałceniem jej prywatności, ale jednocześnie poczuła żal, że nie zajrzała też do większej walizki, tej z ałasami i migotliwą lamą. Ta mniejsza zawierała same praktyczne rzeczy, nie wspominając już o tym, że brakowało w niej perfum i kremów, które każda bardziej wyrafinowana kobieta... Co to za głupie myśli? Jesse Falconer szukał strzelby na lwy, nie jedwabnej bielizny bogatej kobiety.

- Nie musiałem. Wystarczy powiedzieć, że w różnych częściach domu zainstalowałem detektory.

„Wystarczy powiedzieć”. Czy rzeczywiście wierzył, że ma przed sobą morderczynię lub szpiega? Pewnie uznał, że ta pierwsza możliwość jest bardziej prawdopodobna. Nawet Mata Hari nie wydobyłaby z niego żadnych tajemnic.

Nie czuła się obrażona, że Jesse uznał ją za zdolną do zabicia lwa. W końcu przybyła nie zapowiedziana i wyjaśniła powody swojego przybycia w sposób, który od początku wydał mu się podejrzany. Zrobił wszystko, co mógł, by obronić zagrożone zwierzę przed największym drapieżnikiem - człowiekiem. Nie pozwolił jej wrócić do Kapalua, by tam nie doniosła współnikom, czego się dowiedziała. Nie była mile widzianym gościem w tym domu o kształcie sierpu księżycy. Jesse uważał ją za wroga. Za chwilę mogła stać się jeńcem wojennym.

A uśmiech, który słyszała w jego głosie? To tylko podstęp, by poczuła się bezpiecznie i popełniła wreszcie jakiś błąd. A tak naprawdę jej żarty musiały mu się wydawać głupie, prymitywne.

- Dlaczego przeszkodziłeś lwu? Mógł mnie zabić.

- Nie lubię takich komplikacji. Poza tym istniała możliwość, że jednak nie przyjechałaś tu ze względu na lwa. Możesz być na przykład szaloną wielbicielek.

Tak, to prawda. Jestem wielbicielek i zdecydowanie jestem szalona.

- Chciałaś mnie uwięzić? Przywiązać do krzesła i zmusić, żebym napisał to, o co ci chodzi? Wybacz, ale takie rzeczy na mnie nie działają. A na ciebie?

Kpił z niej; wyczuła takie samo lekceważenie jak pewnego dnia w Bostonie. Gabrielle St. John chciała znaleźć się sam na sam z Patrickiem, a kiedy jej się nie udało, wpadła w szał. „Jesteś tak samo okrutny, jak...”

- A zatem, czy jesteś miłośniczką filter zdartych z ciał martwych lwów?

- Nie!

- Nie? - powtórzył już mniej ostro, choć w jego głosie nadal dźwięczał dramatyczny ton, jakby pragnął uwierzyć, że Caitlin nie jest aż tak okrutna. - Więc jesteś moją wielbicielką.

- Powiedziałaś już, że jestem kardiochirurgiem i że zamierzam przeczytać *Złodzieja serc*. Nie powiedziałaś, że go czytałam.

- I nie wspomniałaś, że jesteś kardiochirurgiem.

- Wydawało mi się, że dałam ci to do zrozumienia. Oboje wiemy, że także psychiatra ma przeczytać twój scenariusz. Pewnie uznałam, że nie wyglądam na psychiatrę. Podejrzewam, że nie pasuję także do twojego wyobrażenia kardiochirurga.

Ależ tak. Jesteś ucieleśnieniem moich wyobrażeń... i czymś więcej.

Sam nigdy by nie wymyślił zjawiska, które pojawiło się u jego drzwi w środku burzliwej nocy. Bo było to zjawisko, w którego realność nie mógł uwierzyć, nieprawdopodobnie piękne pomimo wichru i deszczu. Krople wody w jej czarnych włosach wydawały mu się podobne do brylantów, migotliwych i jasnych. A jej oczy, oczy koloru morza, lśniły nieustraszoną odwagą. Deszcz przemoczył jej bawełnianą sukienkę, która stała się niemal przezroczysta. Jesse zauważył, niema! nie patrząc, że Caitlin zdaje sobie sprawę z tego obnażenia i żejąto zawstydzona. Uroczą skromność. A jednak stanęła przed nim z podniesioną głową.

Była niczym Wenus wyłaniająca się z morza - delikatna, lecz pełna królewskiej godności. I choć Jesse nie należał do mężczyzn, których łatwo omo- tać, na parę oszałamiających chwil znalazł się pod jej urokiem.

Potem zaczęły się kłamstwa.

A teraz piękna kusicielka mówi mu, że te kłamstwa nie prowadziły do niczego złego. Była kardiochirurgiem, tak twierdziła, a powiedziała to cicho i z niepewnym wzruszeniem ramion, choć uniosła przy tym wyzywająco głowę. **Czuł**, że znowu zaczyna się poddawać jej czarowi. Trzeba z tym skończyć.

- Po co tu przyjechałaś? Powiedz.

W płucach nie zostało jej ani odrobiny powietrza. Czowała tylko ciepło tego człowieka. Jego ogień.

- Chcę cię prosić, żebyś uratował życie swojemu bratu.

Jesse znieruchomiał. Stał przed nią niczym śnieżny lew, potężny i niebezpieczny. Śmiertelnie niebezpieczny.

- Patrick umiera. Ma anemię aplasryczną, to znaczy...

- Wiem, co to znaczy. Potrzebuje transplantacji?

- Jak najszybciej.

- Czy to on cię wystął?

- Nie. On nie ma pojęcia, gdzie jestem.

- Ale musiał ci o mnie powiedzieć,

- Tak. Wiele lat temu, kiedy razem byliśmy na stażu w Bostonie.

- Czego się dowiedziałas?
- Powiedział... że się rozstaliście.
- Tak... a czy powiedział dlaczego?
- Nie.
- Nie przyjechałabyś tutaj, gdybyś wiedziała.
- Przeciwnie.

Tak, przyjechałaby, zdał sobie sprawę Jesse. Tropikalne brylanty zniknęły wraz z burzą, ale kruczoczarne włosy nadal lśniły, a niebieskie oczy miały wyraz determinacji. Przyjechałabyś tutaj bez względu na wszystko. Dla Patricia.

- Jesteście kochankami?
- - Co?
- Jesteście kochankami?

Powtórzone zdanie zabrzmiało z przerażającą gwałtownością.

- Nie.
- Byliście?
- Nie.
- Czy Patrick opowiadał ci o mnie, czy tylko o Graydonie Slake'u?
- Opowiedział mi o was obu. Wie, że jesteś pisarzem. Bardzo się interesuje twoją...
- Czy powiedział ci, jak mam na imię?
- Tak. - Nie chciał rozmawiać o bracie, widziała to wyraźnie. Nie chciał wiedzieć, że Patrick czytał jego książki, cenił je, cenił jego. -Jesse.

Jesse. Dźwięk tego imienia poruszył coś w tyra tajemniczym człowieku, coś głęboko ukrytego przed światem. Caitlin odwróciła wzrok, spojrzała na otaczający ją świat. Po świcie pozostało już tylko różowe wspomnienie, biały lew także zniknął. Niebo miało barwę kobaltu, podobnie jak morze, a słońce słało ku ziemi niemiłosiernie palące promienie.

Spojrzała na Jesse'a dopiero wtedy, gdy poczuła, że się poruszył; poczuła, nie usłyszała, bo jego miękkie kroki były zupełnie bezgłośne. Poczuła, że źródło ciepła zniknęło i ogarnął ją chłód.

Jesse stał przy granitowym kominku jak kamienny wojownik spoglądający na ruiny ukochanych stron rodzinnych. Podobne słowa przyszły jej na myśl całkiem niedawno, kiedy obserwowała bladezielone cyferki na ekranie komputera. Bracia Falconerowie nie byli do siebie podobni, ale coś ich łączyło. Może była to godność, duma, cierpienie? Kiedy wojownik odezwał się po długiej chwili milczenia, jego głos, ochrypły i pełen nadziei, brzmiał dokładnie jak głos Patricka.

- Czego ode mnie chcesz?
- Na razie tylko próbki twojej krwi. Mogę ją pobrać tutaj, zaraz. Jutro lub pojutrze będę potrzebowała twojego szpiku. Sądzę, że można to załatwić w Honolulu, ale najlepiej byłoby, gdybyś pojechał ze mną do Los Angeles.

- Patrick tam mieszka?
- Przeprowadził się mniej więcej miesiąc temu.

Jesse zmarszczył brwi; najwyraźniej nie tylko Patrick interesował się losem swojego brata. Więc spodziewał się, że Patrick nadal mieszka w Nowym Jorku. W tej rozłące, która trwała od lat, jeden miesiąc wydawał się faktem bez znaczenia, a jednak Jesse najwyraźniej wyrzucał sobie brak aktualnych informacji.

- Jest ordynatorem chirurgii urazowej w szpitalu Westwood.
- Szpital Westwood...

W głosie Jesse'a zabrzmiała dziwna nuta, niemal bolesna, całkiem jakby nazwa szpitala obudziła złe duchy. Może to zazdrość z powodu nowego sukcesu tego lepszego, bardziej kochanego brata? Nie, pomyślała Caitlin z przekonaniem. Jesse nie żyje w niczym cieniu, nigdy tak nie było. Choć sam wyglądał jak cień-mrok i kamień, kryjący czarny ogień. Ten ogień ujrzała właśnie w jego zielonych oczach, które odnalazły ją, przeszły, unieruchomiły.

- Patrick nie może się dowiedzieć, że to ja jestem dawcą.
- Aie...
- Mówię poważnie. Jeśli Patrick zacznie coś podejrzewać, nigdy nie dojdzie do transplantacji.

Czy to znaczy, że Jesse nie zechce uratować życia swemu bratu? A może to Patrick zaprotestuje? Nie przyznał się Stephenowi Sheridanowi do posiadania rodzeństwa, a tym bardziej brata bliźniaka. Czy odrzuciłby tkankę Jesse'a, gdyby wiedział, od kogo pochodzi?

W każdym razie słowa Jesse'a były ostrzeżeniem: jeśli Patrick odkryje prawdę, nie dojdzie do transplantacji... a on umrze. Powinna powiedzieć o wszystkim Stephenowi. Ale on z pewnością zgodzi się na to niewinne kłamstwo, jeśli dzięki niemu zdoła uratować życie swego pacjenta.

- Zgoda. Patrick nigdy się nie dowie.
- Dobrze. Powiedz mi, Caitlin, czy robiłaś już biopsję szpiku?
- Ja? Parę razy. Jako stażystka. To bolesne, ale... - urwała gwałtownie. Jesse Falconer, przyszły dawca, najwyraźniej nie bał się bólu. Dla tego zmysłowego człowieka liczyła się tylko przyjemność, ból - nigdy.

Jesse uśmiechnął się leniwie... i seksownie.

- Chcę, żebyś to ty pobrała mi szpik,
- Wiesz coś o transplantacji szpiku?
- Czytałem to i owo.
- Więc musisz zdawać sobie sprawę, że nie mogę tego zrobić.

*- Przeciwnie, pani doktor. Właśnie usłyszałem, że robiłaś już biopsje.

- To co innego.
- Chyba nie. Tyle, że teraz wszystkiego będzie więcej. Więcej czasu, więcej tkanki.

Większa ingerencja w kość, dodała w duchu. I więcej tkanki, dziesiątki próbek, nie tylko jedna.

Cały zabieg przeprowadza się pod narkozą. Dawca jest uśpiony, nieprzytomny. Po przebudzeniu, oczywiście, zacznie odczuwać ból, którego natężenie zależy od rozmiaru uszkodzeń kości. W przypadku zabiegu wykonanego przez znakomitego specjalistę takie uszkodzenia są minimalne. Dobry specjalista, taki jak Stephen Sheridan, doskonale zdaje sobie sprawę z tego, na jakie zniszczenia *może* narazić tkankę. Jego doświadczone dłonie są spokojne, sięgając po bezcenny szpik. Nawet gdyby Caitlin zgodziła się spełnić życzenie Jesse'a, Stephen musiałby stanąć u jej boku, nie spuszczać z niej oka, kiedy wbijałaby igłę w kość. Ale... nie ma sensu dyskutować o bólu z człowiekiem, który się go nie bał.

Czego chciał Jesse? Kary? Czy ten seksowny, niebezpieczny uśmiech krył wściekłość? Czy chciał, żeby cierpiała za to, że zmusiła go do tego daru?

Wcale go nie zmusiłam.

Nie wahał się nawet przez chwilę. A jednak decyzja, którą podjął, była dla niego ciężarem. -

- Dlaczego to ja miałabym pobrać szpik?
- Ponieważ wtedy staniesz się moim lekarzem i nie będziesz mogła zdradzić tożsamości swego pacjenta.
- I tak bym dochowała tajemnicy.
- Ale w ten sposób będzie łatwiej, prawda? Nie będziesz musiała kłamać. Chyba już ustaliliśmy, że kłamstwa nie są twoją specjalnością. - Uśmiech, tym razem mniej niebezpieczny, zmiękczył jego twarde rysy. - To miał być komplement, pani doktor.

- Więc robisz to dla mnie?

Uśmiech zbladł.

- Robię to dla nas wszystkich. W porządku, a teraz proszę mi pobrać krew.

16

Maui
czwartek, 25 kwietnia

Jesse uniósł brew na widok licznych probówek, które Caitlin ustawiła na stole w jadalni.

- Uznałam, że mogę od razu pobrać tyle krwi, ile potrzeba - wyjaśniła. - Dzięki temu, kiedy tylko Stephen określi zgodność, będziemy mogli rozpocząć przygotowywania do transplantacji.

- Kiedy to nastąpi?

- Nie jestem pewna. Wiem, że Stephen zacznie pracować natychmiast, gdy dostanie krew, co oznacza, że jutro po południu będzie już coś wiedział. Być może szpik będzie można pobrać nawet jutro wieczorem.

- Zakładając, że będzie nadawał się do przeszczepu.

- Na pewno. Być może antygeny zgodności tkankowej nie okażą się zupełnie identyczne, ale i tak będzie o wiele lepszy niż szpik dawcy nie spokrewnionego z Patrickiem.

- Może właśnie ja nim jestem.

— Jesteś jego bratem.

- Wątpię. Jak zapewne zauważyłaś, nie jesteśmy do siebie podobni.

Rzeczywiście, przyznała. Ale emanuje z was ten sam duch, szlachetność, siła wojownika.

Nie mogła mu tego powiedzieć. Pozostawało jej tylko pobrać krew, a resztę pozostawić nauce. Współczesna nauka była tak zaawansowana, technologia tak nowoczesna, że mówienie o emanacji ducha i innych równie nieistotnych drobiazgach wydawało się reliktem minionej epoki. Tym razem można było zapomnieć o badaniach DNA.

- Jesteś bratem Patricka - powtórzyła, podnosząc głowę. - Dowodzi tego twoja żyła.

- Słucham?

Caitlin powiodła czubkami palców po wyraźnie widocznym pod skórą naczyaniu krwionośnym.

- Przede wszystkim ta żyła dopływową, o tutaj. Patrick ma identyczne rozwidlenie. To anomalia, z którą nie spotkałam się aż do chwili, gdy pobierałam mu krew. Teraz widzę ją znowu.

Jesse nie odpowiedział. Spojrzał na miejsce, gdzie nadal spoczywał palec Caitlin.

. Czują jego ciepło i uderzenia serca. Puls był wyczuwalny w arterii przylegającej do żyły - mocne, równe uderzenia. Patrick jest moim bratem, здаwały się oznajmiać, jakby przez wszystkie te lata Jesse naprawdę żywił co do tego wątpliwości.

Spojrzała mu w twarz i ujrzała spokój. Emocje były ukryte głęboko w jego sercu. Przynajmniej miała taką nadzieję.

Kiedy Jesse wreszcie przemówił, jego głos zabrzmiał ochryple.

- Muszę załatwić parę rzeczy przed wyjazdem.

- Dobrze - szepnęła. Widziała wyraźnie, że jest wstrząśnięty. Nie stało się właściwie nic, ale potrzebował chwili spokoju i zastanowienia. Miała zamiar wycofać się natychmiast, gdy pobierze krew. Ana razie... usłyszała własny głos, przekorny i pewny siebie, jakby nie miało dla niej znaczenia, czy ten wyrafinowany, zmysłowy mężczyzna uzna ją za beznadziejną idiotkę. - Przygotowania dla przyszłej małżonki Pana Lwa?

Jesse uśmiechnął się blade.

- Między innymi. Na razie dopilnuję, żebyś znalazła się wraz z próbkami krwi na pokładzie najbliższego samolotu. Przylecę parę godzin po tobie.

Odesłanie Caitlin nie mogło mu dać ukojenia, którego tak bardzo pragnął. Ale co mogłoby mu je dać?

Wsiadli do wypożyczonego samochodu, którym Jesse miał potem wrócić do siebie. Jak ostrożnie prowadzi, pomyślała Caitlin. Z jaką wprawą. Nie jechał zbyt wolno czy z nadmierną ostrożnością, ale i nie szarżował. Prowadził odpowiedzialnie, to wszystko. Czy myślał o bezpieczeństwie ładunku - próbek z krwią dla brata? Czy o niej? A może był zawsze taki czujny, jak lew, który polega tylko na sobie?

Jest ostrożny za nas wszystkich, doszła do wniosku. Ochronia nas wszystkich.

Po raz pierwszy ujrzała Valley Isle w pełnym blasku dnia. Turkusowe fale iskrzyły się złotymi plamkami.

- Czy są tu wieloryby? - spytała.

- Może trafiłoby się parę zabłąkanych, ale większość już wyruszyła na północ. Najlepiej jest je obserwować w marcu. To wspaniały widok, warto dla niego wybrać się na Maui...

Jesse prowadził cały czas pewnie i ostrożnie, a po drodze opowiadał jej o swojej wyspie. Mówił o Maui, bogu słońca, Haleakali, tutejszym wulkanie, wyjaśnił związki Maui z Pele, boginią ognia. Stare legendy zafascyno-

wałyjątek, że prawie zapomniała o swojej misji. Dopiero w pobliżu lotniska spytała:

- Jak ci się podoba Michael Lyons?

Pytanie padło zniemacka i każdemu innemu mogłoby się wydać zaskakujące. Ale on powiedział spokojnie, całkiem jakby rozmawiali o pomniejszym polinezyjskim bóstwie:

- Nie wydaje mi się, że bym go znał.

- To będzie twój pseudonim. Skoro Patrick nie powinien się dowiedzieć, że jesteś dawcą, wszystko, począwszy od próbek z krwią, musi być oznaczone innym nazwiskiem.

- Zgoda - powiedział Jesse z uśmiechem. - Michael Lyons, bardzo ładnie. Kto to taki?

- Nikt.

- Wiesz co, naprawdę nie umiesz.

- Czego?

- Kłamać.

Nie powiedziałaaby tego nikomu innemu. Nawet Amandzie. Nawet Patrickowi. Ale teraz...

- Michael to mój ojciec. Podobno jest wspaniały... ale nigdy się nie spotkaliśmy.

- To prawda?

- Przecież ustaliliśmy, że nie potrafię kłamać.

- I nie czujesz goryczy? Żadnej urazy?

Zawahała się. Przypomniała sobie przysięgę, którą złożyła w noc wirujących tęczy. I poczuła... spokój. Nareszcie spokój.

- Żadnej. Już nie. - Mogłaby dłużej rozkoszować się tym uczuciem, tą cichą radością, ale wokół nich pojawiły się już znaki świadczące, że dojeżdżają do lotniska. -A skoro jesteśmy przy oszustwach... Patrick sądzi, że jestem na wakacjach i wrócę dopiero w niedzielę po południu. Jeśli jutro zobaczy mnie na sali operacyjnej, zwłaszcza przy pobieraniu szpiku, może się domyślić.

- Transplantacja nie nastąpi jutro. Stephen musi najpierw przyjrzeć się próbce, którą ode mnie pobierze, by określić ilość możliwego do pobrania szpiku, a sądzę, że przedtem zechce dać Patrickowi transfuzję z mojej krwi. Ale bez względu na datę zabiegu, nie znajdziesz się na sali operacyjnej.

- Więc postanowiłeś oddać się w ręce Stephena?

Jesse zwolnił i odwrócił się do niej z uśmiechem.

- Postanowiłem załatwić to poza salą operacyjną.

Czyli obyc się bez znieczulenia. Dlaczego? Czy lew nie chciał dać się uspić, by nie stracić kontroli nad sobą? Jeśli tak, znieczulenie mogło być tylko lędźwiowo-rdzeniowe. Chyba że człowiek, który nie zgadzał się powierzyć siebie rękom lekarzy, nie mógłby znieść także czasowego paraliżu.

Bez względu na czekający go ból.

- Zabieg musi być przeprowadzony w sterylnych warunkach.
- To jest jak biopsja szpiku, do czego nie potrzeba sali operacyjnej.

Wystarczy gabinet zabiegowy. W klinice hematologicznej bez wątpienia można je znaleźć, a w piątkowy wieczór lub sobotni poranek z pewnością będą puste, prawda?

- Tak - przyznała niechętnie.
- Nie masz ochoty pobierać mi szpiku, co?

Czy chcę wywiercić ci dziurę w miednicy i bez znieczulenia wyciągać z kości kolejne porcje szpiku?

- Naprawdę wolałabym tego nie robić.
- Zgoda.
- Zgoda?
- Tak. Ale Stephenowi przydałaby się asystentka.
- Doskonale. Będę tam.

Może nie była najwspanialszą oszustką na świecie, ale kiedy Jesse wysiadł z samochodu, by wyjąć bagaże i otworzyć drzwi po jej stronie, Caitlin poczuła cichą radość. Uczę się, drogi panie, robię postępy.

Jesse nawet nie uniósł brwi, kiedy powiedziała, że będzie asystować Stephenowi. Prawda wyglądała tak, że Stephen nigdy nie pozwoliłby na pobranie szpiku bez znieczulenia... a to znaczyło, że zabieg będzie miał miejsce w sali operacyjnej, z inną asystentką. Ona zaś zostanie we własnym mieszkaniu, czytając powieści Graydona Slake'a, które kupi sobie podczas przesiadki w Honolulu.

*Centrum Nauk Behawiorystycznych, Seattle
dwadzieścia dziewięć lat wcześniej*

To złodziej.

Było to proste stwierdzenie faktu, ale dla Stuarta Falconera sytuacja dopiero zaczęła się komplikować. Złodziejem, o którym mówił, był Jesse, jego dziewięcioletni syn. Ale słowa „mój syn jest złodziejem” nigdy nie przeszłyby Stuartowi przez usta. Prawdę mówiąc, ani on, ani jego żona Rosemary nie uważali już Jesse’a za syna.

- Złodziej - powtórzył znany psycholog zawodowo spokojnym głosem. Spokój płynął z wieloletniego doświadczenia w kontaktach ze zdenerwowanymi rodzicami. Dziewięcioletek, który lubi kraść, w nim samym nie budził wielkiego wzburzenia. W przeciwieństwie do rodziców, którzy przyjechali ze wspaniałej rezydencji w Connecticut, by zasięgnąć porady znawcy złych charakterów. - Proszę mi powiedzieć, kiedy chłopiec zaczął się *tak zachowywać* i co kradnie.

- Zaczęło się wiele lat temu - stwierdziła Rosemary, nie ujawniając tego, co naprawdę myślała: Jesse zawsze był złodziejem. Ten proceder zaczął się już w jej łonie, gdzie kradł Patrickowi niezbędne do życia składniki.

Oczywiście zdawała sobie sprawę, że takie wyznanie zabrzmiałoby zbyt emocjonalnie, wręcz irracjonalnie! Zwłaszcza w zastosowaniu do małego Jesse’a - milczącego, obojętnego, jakby z pogardą obseni ającego wysiłki, by utrzymać przy życiu jego chorowitego brata. A w dodatku jej absurdalne podejrzenie, że w szpitalu zamieniono dzieci i Jesse nie pochodzi z jej krwi. Bo jak inaczej wyjaśnić jego obecność w domu Falconerów?

Stuart Falconer urodził się jako dziedzic wielkiej fortuny. Rosemary, *de domo* Williamson, była słynną dziedziczką z Montclair. Przez wiele pokoleń członkowie obu rodzin mogli się poszczycić błękitną krwią. Ale ten Jesse... jego ciemnozielone oczy lśniły dziko, tak, właśnie dziko, a długie czarne włosy

nie dawały się ujarzmić; poza tym był leworęczny, pozbawiony wdzięku, cała jego sylwetka świadczyła o niskim pochodzeniu. Zaś zachowanie - cóż, tak nie postępował żaden Falconer ani Williamson. Nigdy.

Ale Jesse był ich dzieckiem... i złodziejem... a może kimś jeszcze gorszym?

- Początkowo okradał tylko nas - wyjaśniła. - Klucze, pieniądze, bibeloty, biżuteria. Teraz bardziej go bawi okradanie miejscowych kupców.

- Bawi go?

- To zabawa, jedna z wielu, wymyślona po to, żeby nas dręczyć. Nigdy go nie przyłapaliśmy. Przedmioty, które zabierał, wracały w tajemniczy sposób tam, gdzie powinny się znajdować. Kiedy okrada sklepikarza, zwraca nie naruszony przedmiot i twierdzi, że zapomniał zapłacić.

- Czy to może być prawda?

- Nie - ucieła władczo Rosemary. - Nikt nie sprzedaje dziewięciolatce papierosów, alkoholu czy pism w rodzaju „Playboya”.

- Co się dzieje, kiedy z nim rozmawiacie?

- Bagatelizuje naszą troskę - odezwał się Stuart. - Jakby pytał, dlaczego go dręczymy. Ale, doktorze, nie chodzi nam o jego kradzieże. Wiemy o nich i już się z nimi pogodziliśmy. Chodzi nam o Patricka. Boimy się, że Jesse może mu zrobić krzywdę.

- Czy coś takiego miało już miejsce?

- Nie.

- Czy wydarzył się jakiś akt agresji? Przeciwko przedmiotom lub zwierzętom?

- Nie, nie przeciw zwierzętom. - Rosemary zniżyła głos. — Ale mieliśmy pożar.

- Proszę mi o tym opowiedzieć.

- To było, trzy lata temu. - Stuart zmarszczył brwi. - Dopiero niedawno, po przeczytaniu pewnego artykułu w „New York Timesie”, zdaliśmy sobie sprawę, jak wielkie znaczenie miał ten fakt - i że to postępowanie charakterystyczne dla urodzonych morderców.

- Tylko wtedy, gdy stanowi część systemu zachowań - uściślił psycholog. - Proszę opowiedzieć szczegółowo o tym pożarze.

- Był małyJ szybko go ugaszono, ale Jesse podłożył ogień w sypialni Patricka. Namówił nawet brata, żeby wziął winę na siebie.

- Fascynacja ogniem jest bardzo częsta i normalna w przypadku inteligentnych, ciekawych chłopców. Patrick mógł...

- Patrick nigdy by nie zrobił czegoś takiego. Wziął na siebie winę, ponieważ Jesse mu tak kazał. Patrick zawsze jest mu posłuszny. Broni go, podziwia, bez względu na to, co Jesse robi.

- A jednak z jakiegoś powodu uznali państwo, że Jesse może skrzywdzić brata.

- Z jakiegoś powodu? Jesse jest złodziejem, podpalaczem i prostakiem, bez żadnego szacunku dla zasad. Najwyraźniej nie ma sumienia ani moralności. To chyba definicja socjopaty? Amoże psychopaty?

- Tak, ale...

- Chcemy dociec, doktorze, czy Jesse może skrzywdzić Patricka, czy istnieje choćby najmniejsze zagrożenie. Musimy to wiedzieć już teraz, żebyśmy mogli ich rozdzielić... odesłać Jesse'a... zanim będzie za późno.

Słowa Stuarta zabrzmiały jak rozkaz.

- „Choćby najmniejsze zagrożenie” to rzecz bardzo trudna do określenia, drogi panie. Lekarze nigdy nie mówią „nigdy”. Ale kiedy porozmawiam z chłopcami, zapoznam pana z wnioskami, do których dojdę.

Badanie zaczęło się od rozmowy w cztery oczy z Jessem. Chłopiec przyglądał się lekarzowi bez słowa; nigdy nie był zbyt rozmowny w towarzystwie dorosłych - właściwie unikał wszystkich z wyjątkiem Patricka. Przy nim stawał się wymowny i pełen pomysłów, już wtedy oryginalnych. Ale o sobie nie potrafiłby opowiadać nawet bratu. Nie wiedział, że rodzice oczekiwali z miłością Patricka, a jego odsunęli, lecz na długo zanim nauczył się chodzić czy nawet myśleć, jego serce wyczuło prawdę: musiał mieć jakąś straszliwą wadę, przez którą nie zasługiwał na miłość. Jego pierwsze świadome wspomnienie było potwierdzeniem tej prawdy. Trzymał brata w objęciach, przytulał go do siebie, najwyraźniej zbyt mocno, bo nagle rodzice rzucili się ku niemu. „Ty niedobry!”, krzyczeli, wydzierając Patricka z jego kochających objęć. „Nie dotykaj go, nigdy więcej go nie dotykaj! Robisz mu krzywdę!”

Był niedobry i nie zasługiwał na miłość, bo gdyby zrobił krzywdę Patrickowi... wspomnienie tamtego przerażenia przetrwało w ciemności duszy Jesse'a, w niezgłębionym czarnym morzu, dzielącym go od wszystkich, nawet od brata. Było to burzliwe morze, kipiące, nie znające spokoju. Było także niszczące i żarłoczne; z czarnych głębin wyłamały się impulsy, które popychały go do różnych czynów. Potem morze stawało się jeszcze bardziej rozległe, on zaś coraz bardziej oddalał się od ludzi.

Jesse nie odezwał się do psychologa ani słowem, nie pozwolił mu zajrzeć w siebie. Ale jego zraniona duma, wyzywające zachowanie podsuwały odpowiedzi, które nie umknęły uwagi lekarza. Utwierdził się w swoich przekonaniach, obserwując bliźniaków osobno i razem. Osamotniony Jesse Falconer stawał się zwierzęciem w klatce, niespokojnym, rozdrażnionym, nieufnym. Ale kiedy znalazł się w pobliżu brata, psycholog ujrzął rozpaczliwą ulgę i rozdzierającą serce radość.

- Jesse jest wyjątkowy -oznajmił jego rodzicom po ukończeniu obserwacji. - Prawdę mówiąc, to niezwykle opiekuńcze dziecko. Uważa, że jest odpowiedzialny za Patricka w zupełnie dorosły sposób...

- Ale to my jesteśmy opiekunami Patricka. Nie trzeba mu jeszcze Jesse'a. Manas.

- Tak, oczywiście. Nie chcę przez to powiedzieć, że Jesse został zmuszony do podjęcia roli, którą sobie wybrał. A jednak ją podjął; w rezultacie nie macie się, państwo, czego obawiać. - Opinia ta została wyrażona w bardzo zdecydowany sposób. Koledzy psychologa nie pochwaliliby tak kategorycznych stwierdzeń, ale on czuł się wyjątkowo pewny swoich racji. - Nie wyobrażam sobie, żeby Jesse mógł kiedykolwiek skrzywdzić Patricka. Prawdę mówiąc, to jego bezpieczeństwo budzi moje obawy.

- Jego bezpieczeństwo? - powtórzyła Rosemary z niedowierzaniem. Do tej pory mały dzikus wydawał się jej niezniszczalny.

- Gdyby Patrick kiedykolwiek znalazłby się w niebezpieczeństwie, Jesse bez wątpienia zrobiłby wszystko, żeby go ratować. Wszystko. A gdyby Patrickowi coś się stało... hmm, nie wiem, czy Jesse by to przeżył.

Lekarz zdecydowanie odradził rozłączanie braci, a ponieważ zachowanie Jesse'a nasuwało pewne problemy, zalecił także rodzinną terapię. Stuart i Rosemary nie mieli zamiaru się jej poddać. Słowo „terapia” było im równie obce, jak pojęcie „złodziej”. Liczyło się tylko bezpieczeństwo Patricka, a teraz zyskali nową nadzieję.

Wizyta u psychologa miała jednak natychmiastowy - i to pozytywny - efekt. Dziewięcioletni Jesse nigdy więcej niczego nie ukradł. Co nie znaczy, że wyrósł na idealnego nastolatka. Przeciwnie: palił, pił i uprawiał seks. Chłopiec, który nigdy nie był dzieckiem, nie interesował się dziewczynkami w swoim wieku, lecz ich starsze siostry wydawały mu się pociągające. To właśnie z nimi, dziewczętami z grona znajomych Falconerów, Jesse nawiązywał „znajomości” - krótkotrwałe związki oparte wyłącznie na seksie. Dla wytwornej sfery z Montclair nawet rozmawianie o takiej rozwiązłości, tak ostentacyjnym pożądaniu było niesmaczne. Rodzice dziewcząt, najwyraźniej zniewolonych niewytłumaczalnym czarem chłopca, znajdowali pocieszenie w jednym szczególe; ten mały łobuz Falconer z pewnością nie zamierzał zostać ojcem. Czarna owca rodziny, chłopak niesforny i nieujarzmiony, w tej jednej sprawie okazywał niezwykłą odpowiedzialność. Oczywiście jego partnerki znały przyczynę: Jesse zbyt cenił sobie wolność.

Wolność - i brata- Jesse i Patrick byli tak różni jak dzień i noc, jak dobro i zło, a jednak razem tworzyli harmonijne wcielenie niewzruszonej lojalności i dumy. Ten stan pozostawał niezmienny przez wiele lat, choć drogi braci rozchodziły się coraz bardziej.

Jednak istniała granica, poza którą łącząca iob nić musiała pęknąć. Tę granicę przekroczyli pewnego fatalnego dnia w lipcu, kiedy mieli po piętnaście lat...

Sztuczny zbiornik, wyłobiony w granicie, powstał na rozkaz i koszt pradiadka Rosemary Graydona Williamsona. Jego właściciel nazwał go „En-

terprise", lecz mieszkańcy Montclair ochrztili go Jeziorem Graydona na pamiątkę człowieka, który zapewnił im malownicze miejsce, idealne do letnich zabaw. Chłodna, czysta woda sama w sobie była już skarbem, lecz Graydon pomyślał także o śnieżnobiałej plaży z drobniotkiego piasku, przywiezionego specjalnie z tropików.

Posiadłość Graydona - a co za tym idzie, także Rosemary - stała na południowym brzegu jeziora w otoczeniu innych letnich domów. Było to miejsce ulubione przez elitę miasta, pełne kortów tenisowych, różnanych ogrodów i basenów. Dorośli zbierali się na tarasach, zaś ich dzieci, dziewczeczki i dziedzice Montclair, w dzień biegły nad wodę, a wieczorem szalały na balach.

Owego pamiętnego dnia, trzeciego lipca, Jesse zamierzał pojawić się na tańcach nad brzegiem morza tylko na chwilę, by spotkać się tam z Beth, studentką drugiego roku Vassar, z którą był poprzedniej nocy. Kiedy przybył, Beth rozmawiała z koleżankami, więc wziął sobie piwo - nie pierwsze tego wieczoru - i wycofał się w mrok. Spojrzał z niechęcią na swoją rękę, która uniosła butelkę do ust. Jakże niegdyś nienawidził tej lewej ręki, która z taką gracją trzymała jednocześnie butelkę i papierosa. Jak starał się zatrzeć jej wstydliwą przewagę. Już jako siedmiolatek postanowił, że ją pokona. Nikomu nie zwierzył się z tego planu, nawet bratu. Po wielu miesiącach nie kończących się ćwiczeń, gdy opanował pisanie drukowanych liter, dał rodzicom gwiazdkowy prezent - swoje opowiadanie, najlepsze ze wszystkich, pracownie wykaligrafowane prawą ręką.

Opowiadanie nie zyskało aprobaty. Rosemary skrytykowała historię czarodziejskiego smoka. Jest... dziwna, nieprawdaż? Nie pasuje do świąt Bożego Narodzenia. I, doprawdy, mógłbyś poprawić interpunkcję, tu są błędy. A co do pisania prawą ręką... Musisz poćwiczyć kaligrafię, napomniał syna Stuart. Brzydki charakter pisma to brzydki charakter człowieka. Spróbuj wzorować się na ćwiczeniach Patricka.

Ale ja nie jestem Patrickiem! - krzyknęło zranione serce Jesse'a. I próbowałem! Byłbym taki jak on, gdybym tylko mógł, ale nie potrafię! Jestem, jaki jestem, i nie umiem tego zmienić!

Świąteczne niepowodzenie nie było najbardziej dramatyczną sceną w historii stosunków Jesse'a z rodzicami, lecz jego wspomnienie nigdy nie zbladło, nie straciło siły. Bez względu na ilość wypitego piwa, nadal go raniło. Zwykle jednak alkohol łagodził ból. A jeśli zawodził, pozostawało zawsze uniesienie, jakie dawał seks.

Jesse pociągnął ostatni łyk i spojrzał w kierunku Beth. Pochwycił jej spojrzenie - czekała na jego sygnał - i wymówił bezgłośnie: idziemy. Beth usłuchała natychmiast i razem ruszyli ku jej krwistoczerwonej corvette. Po drodze dziewczyna wyjęła kluczyki z torebki i podała mu je.

- Jesse...

Przyciszony głos był znajomy. Jesse odwrócił się w stronę brata powoli, złowrogo jak czające się do skoku zwierzę.

- Patrick.

W nocnej ciszy padły tylko te dwa słowa, ale ich ton wystarczył za całą rozmowę.

Wszyscy wiedzieli, że między braćmi narasta obcość. Osamotnienie Jesse'a pogłębiało się wraz ze wzrostem popularności jego brata, ale aż do tej chwili nikt nie zdawał sobie sprawy z uczuć, które dotąd nie znalazły ujścia. Teraz te tłumione uczucia wreszcie się ujawniły. Szeptem Patrick ostrzegł brata, że nie powinien prowadzić. A odpowiedź Jesse'a? Jego ciemnozielone oczy załśniły furia - lodowatą wściekłością, dziką i nieopanowaną.

Jej widok zaskoczył Patricka, który jednak nie zamierzał się poddać.

- Nie pozwolę ci prowadzić.

- Naprawdę? - mruknął drwiąco Jesse. - Wybacz, ale nie masz tu nic do gadania.

- Mówię poważnie.

- Nie, to ja mówię poważnie. Zostawmy to. A ty zostaw mnie. —Lodowate oczy Jesse'a wpijały się w Patricka. - Weź piwo, dobrze, Beth? Na drogę. I otwórz dla mnie butelkę. Szybka jazda wy susza gardło.

Wtedy także oczy Patricka błysnęły gniewem - równie gorącym, jak lodowata była furia jego brata.

- Idź do diabła, Jesse.

- To właśnie zamierzam zrobić. No więc jak, Beth, jesteś gotowa?

Ale Beth stała niczym zahipnotyzowana, wstrząśnięta jak wszyscy wokół.

- Może., .może to ja powinnam prowadzić - szepnęła.

Jesse uśmiechnął się złośliwie.

- Tak. Może i powinnaś.

Płynnym, choć gwałtownym ruchem rzucił jej kluczyła i 'tuszył przez biały piasek. Przeszedł przez grupkę nastolatków, którzy skwapliwie ustąpili mu z drogi. Mijając stół zastawiony piwem i chipsami, zgrabnie chwycił dwa sześciopaki piwa, po jednym w każdą rękę.

Potem zniknął pomiędzy drzewami.

W lesie było sekretne miejsce, pachnąca igliwem kryjówka, w której niegdyś dwaj chłopcy zwierzali się sobie z tajemnic i marzeń i gdzie doskonały gawędziarz Jesse opowiadał bratu o dalekich, magicznych miejscach. To właśnie do tego od dawna zapomnianego schronienia trafili bracia tamtej nocy i tam wreszcie wyszeptali w ciemność: „Przepraszam”.

To wypowiedziane jednocześnie słowo dotyczyło nie tylko wydarzeń tego wieczoru, ale także kłótni z całego zeszłego roku. Tylko chłopcy o nich wiedzieli, choć Rosemary i Stuart przyjęliby tę wiadomość z zachwytem. Nareszcie ich ukochany syn stanął przeciwko temu drugiemu, niekochanemu, nareszcie opowiedział się po ich stronie.

Przepraszam cię, Jesse. Aż do tej chwili nie miałem pojęcia, jak bardzo cię ranią moje zarzuty. Lekceważyłeś je, jakby cię nie obchodziły. Ale tak nie było, prawda? Czujesz się zdradzony, nadal się tak czujesz. Teraz już to wiem i strasznie cię przepraszam.

Przepraszam, Patrick, ale zbyt wiele ode mnie oczekujesz. Zawsze tak było. Uważasz mnie za lepszego, niż jestem. Starałem się ich zadowolić - Boże, jak bardzo się starałem - ale to niemożliwe. Ja tego nie potrafię. A te długie lata prób i rozczarowań zraniły mnie bardziej niż najgorsza kara. Teraz zawiodłem i ciebie.

Niewypowiedziane słowa płynęły w ciemności wśród balsamicznej woni sosen. Nad głowami braci rozległo się pohukiwanie sowy.

- Nie chciałem tego robić przy wszystkich, naprawdę - odezwał się Patrick. - Ale nie mogłem ci pozwolić prowadzić. - Zobaczyłem w tobie tyle rozpacz, taki brak nadziei, że nie mogłem pozwolić, żebyś odjechał, nie z tym bólem. Powstrzymałbym cię, nawet gdybyś nie był pijany. - O czym myślałeś, zanim odszedłeś?

Że nie jestem dość dobry i nigdy nie byłem. Ale tego nie mogę ci powiedzieć. Nie powiem ci nawet, że to dlatego byłem zły, a nie przez ciebie. Nie mogę cię rozczarować jeszcze bardziej.

- O niczym specjalnym. Ale zastanawiałem się nad tym, co powiedziałeś. Spróbuję jeszcze raz. Wiesz... z nimi.

Bez względu na ból.

- Ja także się zastanawiałem. Nad tobą nad nimi. Nie są dobrymi rodzicami, przynajmniej dla ciebie.

- Co? - W zdumionym szepcie drgnęła słaba nutka nadziei. Czy Patrick naprawdę wziął jego stronę przeciwko rodzicom - rodzicom, których kochał i którzy go uwielbiali? Może, może... coś ostrzegło go, by nie zadawał pytań, nie nakłaniał Patricka do zwierzeń. Patrick w ciebie wierzy. Nie psuj tego, nie mów mu prawdy. Nie opowiadaj mu o ciemności, osamotnieniu, o tym, że nie zasługujesz na miłość.

Ajednak coś - być może impuls płynący z ciemnego morza - kazało mu wyznać:

- Jestem... inny.

- Jesteś sobą, a oni są rodzicami. Powinni cię zaakceptować, zrozumieć. Nie zrobili tego. I chyba nigdy nie zrobią.

To nieważne, śpiewało serce Jesse'a.

- I tak spróbuję.

Dołożę wysiłków, zrobię wszystko, i nie będę już cierpieć, już nigdy me będę cierpieć...

Nazajutrz, czwartego lipca, pogoda była wspaniała. Letni wietrzyk pieścił biały piasek najdelikatniejszymi podmuchami, a błękitne wody burzyły się pod uderzeniami zabłąkanego wiatru. Graydon Williamson wydał fortunę na stworzenie rajy, w którym można było rozkoszować się urokami żeglownia niemal bez wiatru. Granitowe ściany zostały ukształtowane w ten sposób, by chwytały jak najwięcej podmuchów i potęgowały je przez nie kończące się rykoszety.

Praprawnukowie Graydona znali się na żegludze i na zmianę zajmowali miejsce przy sterze. Tego błogosławnego dnia, spędzonego w zupełnej zgodzie, Jesse jako pierwszy objął wachtę. Czekał na ten dzień od dawna; miał ochotę sprzeciwić się porywistemu wichrowi, okiełznać go i uczynić sobie posłusznym.

- Jess, zamieńmy się!

Patrick poderwał się z miejsca, nie wiedząc, że Jesse właśnie zaczął zmieniać kurs. Ruch miał być łagodnym obrotem i byłby taki, gdyby bom, porwany podmuchem wiatru, nie uderzył Patricka w głowę.

Jesse zareagował natychmiast, instynktownie; puścił ster i grot, by rzucić się w stronę brata... który cofnął się, jakby przed nim uciekał!

- Patrick? - rzucił Jesse bez tchu. Ze skroni brata spływała strużka krwi, a jego twarz wyrażała oszołomienie i... tak, strach. - Patrick!

Patrick cofnął się jeszcze o krok, zachwiał się i runął we wzburzone fale Jeziora Graydona. Jesse skoczył w ślad za nim, ale Patrick zaczął się z nim szarpać, odpychać go! Walczyli na powierzchni i pod wodą, łapiąc gwałtownie powietrze, aż wreszcie ciało Patricka, do tej pory tak silne, ogarnęły gwałtowne drgawki.

Wiele lat później, kiedy Jesse Falconer poznał tajemnice medycyny, zrozumiał, że uderzenie zdezorientowało Patricka i wywołało w nim reakcje obronne, gwałtowne drgawki zaś były następstwem wstrząsu. Ale wtedy, tego dnia na jeziorze, wiedział tylko, że bardzo się boi. I że nie ma nadziei.

Długie chwile walki wydawały mu się wiecznością; usiłował trzymać głowę Patricka nad wodą, uspokajać go. Ale wstrząsy nie dawały się opanować i stopniowo zaczęło do niego docierać, że cierpienie dopiero się zaczyna - że jedyny człowiek, którego kochał, może umrzeć, i to przez niego.

Powinien uprzedzić Patricka, że chce obrócić łódź. Była to kardynalna zasada, do której zawsze się stosował, choć dotąd nigdy nie była potrzebna, bo porozumiewali się bez słów. Dziś Jesse nie wyczuł, że Patrick zamierza wstać, a Patrick nie domyślił się, że Jesse chce zmienić kurs... Tego dnia, kiedy znowu się do siebie zbliżyli, kiedy zapanował między nimi pokój, Jesse miał gardło ściśnięte radością tak wielką, że musiał milczeć.

Drgawki ustały w chwili, gdy w pobliżu pojawiła się cała flotylla kosztownych łodzi, ale bezruch Patricka jeszcze bardziej przeraził Jesse'a. Brat był nieprzytomny; miał sine usta i oddychał z trudem, płytko.

Reakcja powstrząsowa. Teraz już to wiedział. Ale wtedy...

- Przepraszam - wyszeptał, gdy ciało Patricka wciągnięto na pokład wspaniałej motorówki. - Przepraszam...

Jego słowa usłyszeli ci sami młodzi ludzie, którzy poprzedniego dnia byli świadkami dramatycznego wydarzenia na plaży. Już po odejściu braci doszli do wniosku, że gdyby wzrok mógł zabijać, Patrick Falconer byłby już martwy. Teraz stali się świadkami finału tragedii. Nikt z nich nie dostrzegł uderzenia bomu, lecz usłyszeli upiorny trzask drewna i zobaczyli przerażającą scenę, która rozegrała się chwila później: Patrick wpada do wody, cofając się przed morderczym chwytem Jesse'a, a potem szarpie się z nim w wodzie, gdy brat stara się go utopić.

Stuart i Rosemary dowiedzieli się jako jedni z ostatnich. Najbliżsi przyjaciele, Lenore i Dominick St. John, poinformowali ich o strasznym wydarzeniu. Żadne z nich nie było świadkiem tego, co się stało; w tym czasie grali w tenisa, ale w tłumie gapiów znalazła się ich córka Gabrielle. I to ona usłyszała wyszeptane przeprosiny Jesse'a, przyznanie się do winy.

Chciałeś zamordować brata.

Nie, rodzice nigdy tego nie powiedzieli.

Nikt tak nie powiedział.

Nie ośmieliliby się.

Poza tym takie oskarżenie było zbyt cenne,

Jesse obnosił poczucie winy jak żelazne pęta, których ciężar przyginał go prawie do ziemi. Niektórzy uważali, że ta skrucha to dobry znak. Być może chłopak da się jeszcze przywrócić społeczeństwu. Tego optymizmu nie podzielali ci, którzy zajrzeli mu w oczy - w jego spojrzeniu udręka graniczyła z wściekłością, a wściekłość z szaleństwem.

Może Jesse nie dręczył się z powodu tego, co zrobił swemu bratu. Może był wściekły, że mu się nie udało.

Zabroniono mu odwiedzać brata w szpitalu, a na długo przed powrotem Patricka do domu odesłano go do Brookfield,

- Brookfield? - powtórzył Patrick. Znał tę nazwę. Była to szkoła z internatem, do której miano zesłać Jesse'a w razie złego zachowania. - Dlaczego?

- Przecież wiesz, kochanie..

- Bo się pokłóciliśmy? To była moja wina, nie jego, i nic się nie stało. Nie'.

- Ale ta kłótnia do czegoś doprowadziła.

Tak, pomyślał, do przymierza. Zgody. Spokoju. Do pięknego dnia. A potem zapadła ciemność. Pustka.

- Co się stało? Powiedzcie wreszcie, proszę.

Nie mieli wyboru. Gdyby Patrick nie dowiedział się tego od nich, na pewno powiedziałyby mu ktoś inny - nie tak delikatnie, nie tak czule.

Więc Rosemary i Stuart opowiedzieli mu delikatnie i czule, że jego ukochany brat chciał go zabić. Złodziej powrócił, by się zemścić. Ale tym razem zrobił zamach na ich najcenniejszy skarb.

A ten skarb, ich najdroższy syn, nie chciał o niczym słyszeć.

- To nieprawda!

- Ależ prawda, skarbie. Bardzo nam przykro. Wiemy, jak go kochałeś.

- Kochałem? On nie umarł. Nie mówcie o nim, jakby nie żył. ~ Moja miłość nie umarła. Nadal go kocham. Choć on chciał, żebym umarł. Czy to możliwe? Aż do tego wieczoru na plaży nie zdawałem sobie sprawy z głębi jego gniewu. Może jednak go nie znam? Może... - Nie wierzę, że Jesse to zrobił. Nie wierzę.

Nie mogę uwierzyć.

- Jesteś taki dobry, taki szlachetny, a Jesse... cóż, on zawsze był inny. Trudny. Wiesz, że to prawda.

- Bo nigdy go nie rozumieliście, nawet nie próbowaliście zrozumieć!

- Próbowaliśmy - zapewnił go Stuart. - I rozumiemy go. Zawsze tak było. Od samego początku martwiliśmy się, że jest... upośledzony. Specjaliści orzekli, że się mylimy, a my im zaufaliśmy, bo bardzo chcieliśmy wierzyć, że Jesse jest normalny.

- Ale teraz znamy już prawdę - dodała Rosemary. - I zapewniliśmy mu pomoc, jakiej potrzebuje.

- Chcę z nim porozmawiać.

- To niemożliwe. Żadne spotkanie nie wchodzi w grę. - Rosemary zawahała się na chwilę, po czym zamiast powiedzieć: „Dla twojego dobra”, czego Patrick pewnie by nie ścierpiał, dodała: - Dla jego dobra. To dla jego dobra.

Falconerowie mogli postawić syna przed sądem dla nieletnich, lecz skąd mieli wiedzieć, czy po pobycie w zakładzie poprawczym chłopak zostanie przyzwoitym obywatelem? Postanowili sięgnąć po znacznie skuteczniejsze środki - najbardziej brutalne, jakie można było kupić. Elitarna akademie wojskowa pod Colorado Springs została stworzona specjalnie z myślą o chłopcach takich jak Jesse, nieokreślonych dzieciakach z bogatych rodzin. A jej zwierzchnicy gwarantowali sukces wychowawczy. Ujarzmiało się tu dzięki charakterowi i łamało wszelki opór.

Poza tym, że oferta edukacyjna Brookfield rzeczywiście nie miała sobie równych, akademie bardziej przypominała więzienie niż szkołę. I faktycznie, w razie potrzeby jej wychowankowie znakomicie poradziłoby sobie w wię-

ziennej celi. Ograniczenie wolności nie wstrząsnęłyby nimi, podobnie jak brak kontaktu ze światem zewnętrznym.

Ale w przeciwieństwie do więźniów, uczniowie Brookfield nie mieli żadnych praw. Jeśli ich rodzice wyrazili zgodę, pobyt w Brookfield mógł stać się czymś znacznie gorszym niż więzienie. Rodzice Jesse'a wybrali dla niego właśnie taki program. Nie przyznano mu nawet prawa do rozmów telefonicznych. Stuart zalecił ponadto, żeby szkoła zatrzymywała jego listy i nie dostarczała mu żadnej korespondencji. Nie przysługiwały mu przepustki nawet na Boże Narodzenie i Wielkanoc. Nawet na wakacje.

Wakacje w Brookfield upływały w duchu sportowym. Jednak nie przypominały obozu kondycyjnego; raczej kurs przetrwania, rygorystyczny, surowy, organizowany w odludnych górach, tak oddalonych od cywilizacji, że ucieczka nie wchodziła w grę. A jednak miejsce to było pilnie strzeżone. Śmierć studenta byłaby jeszcze gorsza niż jego ucieczka - oznaczała stratę czesnego, nie wspominając już o zaskarżeniu za spowodowanie śmiertelnego wypadku.

Większość chłopców już po tygodniu błagała, by ich ratować.

Ale nie Jesse.

Przetrwał całe lato.

Do Montclair wrócił dopiero po dwóch latach. Dyrekcja Brookfield orzekła, że już czas przywrócić go społeczeństwu, przynajmniej na okres wakacji. Nikt nie wspomniał, że szkoła ma go serdecznie dosyć. Jesse Falconer wystawił ich na pośmiewisko. Mimo wysiłków nie zdołali go złamać. Z każdym mijającym dniem, z każdą sadystyczną i upokarzającą karą, Jesse stał się coraz silniejszy, twardszy, bardziej wzgardliwy.

Szkolni eksperci od psychologii wyrazili przekonanie, że Jesse nie zabije nikogo. Nie był tak głupi i doskonale panował nad sobą. Zawsze. Bez względu na sytuację.

Całe Montclair oczekiwało powrotu Jesse'a z niepokojem, ciekawością i niecierpliwością. W przypadku Gabnelle St. John to ostatnie uczucie było całkowicie zrozumiałe; seksowny i niebezpieczny Falconer miał zostać jej kochankiem.

Taką decyzję podjęła tej nocy na plaży - zaskakującą decyzję, bo aż do tego dnia ignorowała Jesse'a z najdoskonalszą obojętnością. Jej uwaga była skierowana na Patricka, bardziej udanego z braci. Ale tamtej nocy spojrzała w lśniące, zielone oczy Jesse'a i... zatonęła w nich. Chłopak spoglądał na nią, jakby jej nie widział, ale jego wzrok odczuwała niczym pieśczętą, niewidzialną i śmiałą, budząca uczucia tak rozkoszne, że... że co? Czy miała mu pozwolić na pocałunek, dotknięcie, coś więcej? Sama myśl o Jessiem, pragnącym jej choćby tylko po to, by mogła go odepchnąć, byłaby niezwykle pociągająca., gdyby nie te niezwykle doznania, które w niej obudził.

Tak, pozwoli mu się dotknąć, postanowiła. Nie dla jego przyjemności, lecz dla swojej. Oczywiście do niczego nie doszło. Kiedy ona podejmowała tę niezwykłą decyzję, bracia spotkali się w lesie, a następnego dnia zły brat usiłował zamordować swojego bliźniaka.

Teraz, po dwóch latach, wracał do domu.

Nikt, zwłaszcza rodzice marnotrawnego syna, nie wierzył, że Jesse się zrehabilituje. Nikt? No, może Patrick, ale nikt nie wiedział, o czym on myśli, w co wierzy. Nigdy nie wspominał o bracie ani o tym dniu na Jeziorze Graydona. Za to Gabrielle doskonale zdawała sobie sprawę z lęku Stuarta i Rosemary.

- Jesse zamieszka w domku ogrodnika - podsłuchiwała kiedyś rozmowę rodziców. - I nie dostanie kodu dostępu do dworu, przynajmniej nie ten prawdziwy. Nie chcą, żeby się do nich zakradł w nocy.

~ I wymordował we śnie? - spytał Dominie St. John. - Egzekucja? Jeśli istnieje choć cień obawy, nie życzę sobie, żeby ten chłopak mieszkał w mieście, a co dopiero w naszym sąsiedztwie. Domek ogrodnika stoi znacznie bliżej od nas niż od nich. Zaraz zadzwonię do Stuarta.

- Nie! Proszę cię, nie rób tego. Nikt nie mówi, że Jesse jest nadal niebezpieczny. Oni tylko mają się na baczności, to wszystko. Chronią Patricka - Co mieliby zrobić? Pozwolić, żeby zamieszkali z bratem w sąsiednich pokojach?

*. Chyba nie przyjęłaś zaproszenia na żadne rodzinne uroczystości, co? Pikniki nad stawem? Na czwartego lipca? Powiem wprost: nie życzę sobie, żeby moja córka przebywała w towarzystwie Jesse'a Falconera.

- To nasza córka, Dom. I ja także tego nie chcę. Gabrielle nie będzie przestawać z Jessem. A co do jeziora, Rosemary i Stuart już zdecydowali, że Jesse będzie tam chodził sam. Mają nadzieję, że bracia nigdy się tam nie spotkają. A Gabby nie znosi Jesse'a. Pamiętasz?

Masz rację, mamó. Nie znoszę Jesse'a Falconera. Ale to nie znaczy, że będę go unikać. Chcę wiedzieć, jak smakuje dotyk takiego brutalnego ognia -

Gabrielle była gotowa. Jej dziewictwo należało już do przeszłości; pozbyła się go całkiem niedawno, podczas wiosennej przerwy, przy pomocy chłopca... mężczyzny... studenta drugiego roku. A teraz, w przeddzień powrotu złego bliźniaka, stała przy oknie swojej sypialni i spoglądała zza koronkowej firanki na domek ogrodnika, gdzie miał zamieszkać Jesse i gdzie mieli się spotykać.

O ich romansie nikt się nie dowie. Może tylko Patrick. A może i on nie - O tym zdecyduje w odpowiednim czasie. Wtedy, kiedy Patrick będzie już należał do niej, oczywiście zakładając, że już się otrząsnął po tym wszystkim. Nie co dzień rodzony brat okazuje się niedoszłym mordercą. Całkiem możliwe, że Patrick nie będzie specjalnie zachwycony, przynajmniej początkowo.

Ale po dwóch latach?

Oczywiście Patrick nie był specjalnie wylewny. Nie starał się wzbudzić w nikim współczucia, nie obnosił się ze swoim cierpieniem. Błyskotliwy jak zawsze, z każdym dniem coraz wspanialszy, t ciągle w denerwujący sposób pozostawał poza czymkolwiek zasięgiem.

Na cóż, może widok brata przywróci go rzeczywistości. Gabrielle spotka się z Jessem, bez względu na wszystko, a wtedy odkryje, jakie rozkoszne i nielegalne przyjemności ma do zaoferowania zły chłopak z Montclair.

Na to spotkanie obaj bracia czekali przez dwa lata... i przez chwilę ich serca zaczęły bić w jednym rytmie, przez jedną cudowną, chwilę, powróciła harmonia. Zmierzali ku pokojowi, ku zgodzie. Nareszcie.

Patrick sądził, że widzi skruczę... i wstyd.

A Jesse - że zobaczył wybaczenie i miłość.

Przez ten jeden oszałamiający moment czuli, że sąjednością.

A potem wróciły wspomnienia.

Patrick nie miał wątpliwości, że w ciemnozielonych oczach Jesse'a zobaczył skruczę, ale jednocześnie uświadomił sobie, za co przeprasza go brat. Wybacz, że chciałem cię zabić. Wybacz, że nienawidziłem cię tak, iż pragnąłem twojej śmierci... i za to, że udawałem miłość, choć nie miałem dla ciebie nic prócz pogardy.

Jesse spojrział w oczy Patricka i zrozumiał: brat nie wybaczył mu tego wypadku, w którym o mało nie stracił życia. Jakżeby mógł wybaczyć? Sam Jesse nigdy nie znalazł dla siebie żadnego usprawiedliwienia.

Pobył Jesse'a w Montclair trwał niespełna miesiąc - wystarczająco długo, by szacowni obywatele dowiedzieli się o jego zamiłowaniu do seksualnych uciech. Tak, Jesse nie krył się z tym, ale wszystkie radości tego świata nie mogły zagłuszyć bólu, który odczuwał - stojąc na śnieżnobiałych plażach Jeziora Graydona i przyglądając się, jak jego brat pływa wraz z przyjaciółmi - ludźmi, którym ufał.

Miesiąc to bardzo długi czas. Dla Jesse'a - zbyt długi. Dlatego o północy czwartego lipca opuścił Montclair.

Mieszkańcy miasteczka mieli nadzieję, że już nie wróci, lecz po dwóch latach pojawił się znowu. Jego powrót zapisał się w pamięci wszystkich jeszcze mocniej niż walka braci na wzburzonych wodach jeziora...

Ileż było w nim nadziei... Tak, Jesse Falconer ciągle miał nadzieję. Przez dwa lata robił wszystko, by zasłużyć na wybaczenie. Ostatni rok w Brookfield zakończył się niezwykłym sukcesem; pierwszy buntownik akademii stał stężej najlepszym studentem. Właśnie na tym ostatnim roku Jesse zapisał się na najtrudniejsze kursy i zakończył je z samymi szóstkami. Skończył z alkoholem, papierosami, narkotykami... i spotkał kogoś, młodą kobietę, odrzu-

coną przez rodzinę, lecz pragnącą- tak jak o n - przebaczenia. Wracaj do domu, powiedział jej, i napraw wszystko. A Lindsay powtórzyła jak echo: napraw wszystko, Jesse... załatw to z Patrickiem, j jeśli nie zdołasz przekonać nikogo innego.

Słowa, które chciał powiedzieć hratu, powtórzył przedtem w myślach tysiące razy. Przebac mi, proszę. To był głupi błąd, chłopięcy błąd. Teraz nie jestem już niesfornym chłopcem. Zostanę lekarzem, chirurgiem, wiesz? Będę godny tego, by pacjenci powierzali mi własne życie, i nigdy ich nie zawiodę.

Czy możesz mi zaufać? Czy zechcesz? Proszę, uwierz we mnie. Pokochaj mnie...

Ktoś zapukał do drzwi, energicznie i radośnie. Radośnie! To na pewno Patrick wyczuł, że brat powrócił do domu, usłyszał jego milczący monolog i zapragnął go usłyszeć równie mocno, jak Jesse chciał go wypowiedzieć.

Ale uniesienie minęło w chwili, gdy otworzył drzwi.

- Gabrielle.

- Witam. - Gabrielle wkroczyła beztrąsko do środka, ignorując wyraźną niechęć Jesse'a. Poznała dobrze ten domek przed dwoma laty, podczas tego namiętnego, zmysłowego miesiąca. Dobrze go zapamiętała... ze względu na Jesse'a. Jego kruczoczarne włosy lśniły wilgocią po kąpieli, muskularny tors był twardy jak kamień i nagi... Jesse dojrzewał równocześnie z Patrickiem, stając się z każdym dniem coraz bardziej pociągający.

- Czego chcesz?

- Dobry Boże, jakiś ty niegrzeczny! Nie tak powinno się traktować przyszłą bratową.

- Kogo?

- Słyszałeś - Gabrielle uśmiechnęła się uroczo. - Patrick mnie kocha.

- Wybacz, ale trudno mi w to uwierzyć.

- Lepiej uwierz. - Właściwie Patrick jeszcze się nie zadeklarował. Był daleki od tego, ale to jeszcze nie znaczyło, że się jej nie oświadczy. Po prostu musiał wyjechać z Montclair. Studiował w Princeton, a ona w Smith. Od marca spędzili ze sobą parę pięknych weekendów w Nowym Jorku. - Patrick jest rewelacyjnym kochankiem. Uważnym. Czułym. To zadziwiające, że bracia, bliźniacy, mogą się tak różnić. Oczywiście nie narzekam na to, co było pomiędzy nami.

- Między nami nic nie było. My tylko...

- Kochaliśmy się - przerwała mu szybko, nie pozwalając, by wypowiedział to brzydkie słowo, którego się spodziewała. Właściwie po chwili doszła do wniosku, że nie ma nic przeciwko temu, żeby je usłyszeć. Pamiętała, że podczas tego miesiąca Jesse używał go całkiem często, a w jego ustach brzmiało niewiarygodnie podniecająco. I właśnie to słowo najlepiej oddawało to, co ich łączyło i co uwielbiała.

- Nazwij to, jak chcesz. To bez znaczenia.

Dobrze zdawała sobie z tego sprawę. Wiedziała nawet więcej. Jesse zawsze, nawet w łóżku, traktował ją z odrobiną pogardy.

- Ale było nam wspaniale, przyznaj. Dobrze do siebie pasowaliśmy. I pasowalibyśmy jeszcze lepiej, gdybyś nie wyjechał. Gdybyś nie uciekł - dodała prowokująco. Pragnęła zobaczyć jego gniew, dzięki któremu „to” nabierało tak cudownego smaku.

- Powinnaś już wyjść.

Kim był ten nowy Jesse? Czy już nie dawał się sprowokować? Gdzie się podziała wiecznie obecna furia, dodająca skrzydeł dzikiemu, upojnemu seksowi?

- Prawdę mówiąc, przez najbliższe pół godziny jestem wolna, a potem ja i moi rodzice zjawimy się w twoim domu. Możemy pójść tam razem. Pół godziny to bardzo dużo, nie sądzisz?

Położyła mu dłoń na nagiej piersi - gest, który spowodował natychmiastową reakcję. Silne palce zacisnęły się na jej smukłych nadgarstkach. Tak, to było to, co poznała tamtego lata i pragnęła znowu poczuć; kontrolowana agresja, obietnica gorącego seksu na zimno.

- Chodź, mój morderco - szepnęła. - Za dawne czasy. Jeszcze nie jestem zaręczona z Patrickiem. Jeszcze nie.

Stalowe palce zacisnęły się na jej pulsującym ciele. Serce zaczęło bić szybciej.

- Coś ty powiedziała?

- Że jeszcze nie jestem...

- Jak mnie nazwałaś?

Poczuła, że przechodzi ją lodowate drżenie. Udało się jej sprowokować Jesse'a, ale czy nie posunęła się za daleko?

- Nazwałam cię mordercą, to naturalne. Właściwie nie wyraziłam się precyzyjnie. Jeśli wolisz, powiem; niedoszły morderco.

- Powiedz mi raczej, dlaczego mnie tak nazywasz.

- Puść, to boli.

- Powiedz.

- Dobrze wiesz dlaczego!

- Powiedz.

- Przez ten dzień na jeziorze. Wszyscy cię widzieli! Nie wierzę, że tego nie wiedziałeś. Myślałaś, że ci się upiecze tylko dlatego, że rodzice wysłali cię do Brookfield, a nie do więzienia?

- Co widzieli ci „wszyscy”?

- Że chciałaś zabić Patricka. Puszczaj!

Gwałtownie zwolnił chwyt. Widok jego furii znowu rozbudził w niej pożądanie. Od siły jego uścisku na ramionach wykwitły jej wielkie sińce, ale jej się to podobało, tak jak i wściekłość w jego głosie.

- Czy Patrick też tak uważa?

— Tak uważają wszyscy! Wszyscy to wiedzą!

- Także Patrick?

- Zwłaszcza on - skłamała. Patrick nigdy nie wspomniał ani słowem o dniu na jeziorze. W dodatku, czego dowiedziała się od swoich rodziców, zupełnie nie pamiętał tamtej walki w wodzie. - On też tam był, pamiętasz?

Przecież to był wypadek! Patricku, naprawdę uważasz, że chciałem cię zabić? Dlaczego? Dlaczego miałbym zabić jedyną osobę, którą kiedykolwiek kochałem?

Gabrielle patrzyła z satysfakcją na rozpacz Jesse'a, tak burzliwą hipnotyzującą, że nie mogła oderwać wzroku.

- Kochaj się ze mną, morderco- szepnęła wreszcie. Dotknij mnie tą furją, tym pragnieniem i bólem. - Nie obchodzi mnie, co zrobisz. Obchodzi mnie tylko to, co zrobisz ze mną.

Wypielegnowana dłoń musnęła znowu jego pierś, ruszyła pieszczotliwie ku szyi, by poczuć galopujący puls.

- No już, Jesse...

- Daj spokój, Gabrielle.

Teraz to ona zapłonęła wściekłością. Jak śmiał nią pogardzać, jak śmiał rozpałać w niej pożądanie, skoro jej nie chciał!

- Jak wolisz, morderco - syknęła. Delikatne palce zgięły się jak szpony i wbiły bezlitośnie w jego ciało.

Jesse nawet nie drgnął.

Gdyby nie krople krwi, spływające ze skaleczeń, można by sądzić, że nic się nie stało. Ale szkarłatne łyzy toczyły się powoli po nagiej skórze jego piersi.

Jesse nawet ich nie zauważył. Czym były w porównaniu z burzą, która szalała w jego wnętrzu? Patrick sądzi, że chciałem go zabić, wierzy w to, wierzy...

- Ratunku! Ratunku!

Krzyk autentycznego przerażenia wytrącił go z transu. Rzucił się w jego stronę.

Ku Gabrielle.

Stała na białym ceglany podjeździe, prowadzącym do domu jej rodziców. I nie była sama. Otaczali ją bliscy. Byli przy niej rodzice... i jego rodzice... a także jego brat.

Sukienka Gabrielle zmieniła się w strzępy, na jej szyi widniały ciemne smugi, a na ramiona wystąpiły ciemnofioletowe sińce. Jej piękna twarz, mokrą od łez, pobladła jak płótno ze strachu.

- Nie pozwólcie, żeby mnie znowu dotknął! Proszę!

- Gabby, kochanie - szepnęła bezradnie Lenore St. John. - O czym ty mówisz?

Gabrielle wybuchnęła histerycznym szlochem- Słowa, które padały wśród łkań, nieodwracalnie zniszczyły wszystkie jego piękne marzenia i głupią nadzieję. Wyciągnęła do Patricka dłonie umazane krwią Jesse'a.

- Jesse... chciał... mnie... zgwałcić!

Kłamiesz, chciał krzyknąć, ale serce mu zamarło. Całkiem jakby skuło się lodem, jakby lód pokrył go całego, zamknął w przezroczystej bryle. Taki sam lód błysnął w oczach ludzi, którzy na niego spojrzeli. Siniaki na ramionach Gabrielle, jego zraniona pierś wydawały się dostatecznym oskarżeniem. Z przerażającą jasnością zdał sobie sprawę z tego, co o nim myślą.

Gwałciiciel. Morderca.

Jesse nie drgnął nawet wtedy, gdy Dominick St. John rzucił się na niego i zaczął okładać pięściami. Nie czuł ciosów. Przekroczył już granicę bólu.

Przynajmniej tak mu się zdawało, dopóki nie spojrzął na swego brata.

Uwierz mi, Patricku. Zaufaj mi. Kochaj mnie-

Patrick patrzył na niego szeroko otwartymi oczami, ale Jesse nie potrafił już czytać w jego myślach. Patrick nie chciał mu na to pozwolić.

Mimo to spróbował je sobie wyobrazić.

Kochać cię, Jesse? Ufać ci? Wierzyć w ciebie?

Tak! Tak, proszę!

Nie. Nigdy.

Proszę cię...

Powiedziałem: nie, morderco.

Stuart Falconer życzył sobie, żeby jego syn trafił do więzienia. Jego zdanie podzielali wszyscy mieszkańcy Montclair. Nikt nie myślał o uczciwym procesie; już wydano wyrok. Jesse nie miał najmniejszej szansy, z czym zgodził się nawet przydzielony mu z urzędu adwokat.

Ani razu nie padło słowo „ugoda”. Przeciwnie, wszyscy zainteresowani pragnęli, by Jesse Falconer dostał jak najwyższy wyrok. Niestety, można go było oskarżyć jedynie o zwyczajną napaść. Gdyby naprawdę zgwałcił Gabrielle, gdyby chociaż zaczął... mimo to, dzięki wysiłkom prawników, wyne-gocjowano całkiem zadowolający wyrok.

Po raz kolejny Jesse Falconer został skazany na wygnanie. Ale tym razem przed opuszczeniem Montclair spotkał się z bratem. Nie był to jego wybór; zamknięto go w celi, z której nie miał ucieczki- Właśnie w tej małej celi odwiedził go Patrick.

- Powiedz mi, Jesse.

Co mam ci powiedzieć? Dlaczego to zrobiłem? A może: czy to zrobiłem?

Jeśli nawet Patrick mógł odpowiedzieć na bezgłośnie błaganie swego brata, Jesse tego nie zauważał. Nie widział już niczego prócz gniewu, zdrady i bólu.

- Czego się chcesz dowiedzieć?

Patrick spojrzał mu w oczy; były ciemniejsze i zimniejsze niż wtedy, na plaży.

- Wszystkiego - powiedział cicho. - Chcę wiedzieć wszystko.

Jesse poczuł, że coś w nim pęka. Skoro chcąc nim widzieć psychopatę, skoro go uznali za człowieka bez sumienia i moralności - proszę bardzo. I tak go już skazali. Nie miał nic do stracenia.

- Ten epizod na łodzi... to był impuls. Kaprys - rzucił z lodowatą nonszalancją. - Wtedy wydawało mi się, że to dobry pomysł. A co do Gabrielle... przecież jesteśmy braćmi. Powinśmy się wszystkim dzielić, prawda?

*Brentwood, Kalifornia
piątek, 26 kwietnia*

Negacja.
Zamknijcie się w sobie.

Gniew.

Targi z losem.

- Depresja.

Akceptacja.

I wątek nadziei.

Oto etapy umierania według doktor Elisabeth Kubler-Ross. Patrick zawarł z nimi bliską znajomość na długo przed studiami. W końcu przeżył śmierć części samego siebie - swojego związku z bratem.

Te etapy nie muszą występować po kolei. Nie trzeba także przejść jednego, by przenieść się w następny. Najczęściej przechodzi się przez nie jednocześnie, tak jak to było w przypadku Patricka po dniu czwartego lipca na Jeziorze Graydona. Zaprzeczając, że Jesse chciał go zabić, czuł mur oddzielający go od innych. Fatalna przypadłość, przez którą własny brat nienawidził go tak bardzo, że pragnął j ego śmierci, odsuwała go od ludzi. A pomiędzy atakami gniewu na Jesse' a wpadał w sidła depresji i rozpaczy.

I przez cały czas nieustannie prowadził targi z losem.

Powiedz, co ci zrobiłem, Jesse! Wyjaśnij mi, dlaczego mnie nienawidzisz. Zmienię się, przysięgam. I znowu będziemy braćmi. Czy to możliwe?

Przez cztery lata między pamiętnym dniem nad Jeziorcem Graydona i tym wieczorem, gdy Gabrielle stanęła na białym podjeździe, posiniaczona i krzyżująca, Patrick miotał się między sprzecznymi emocjami. Nawet tego lata, gdy obaj mieli po siedemnaście lat, nadal trzymał się cieniutkiej niteczki nadziei.

Ale ta nić pękła po rozmowie w celi. A gdy nadzieja umarła i otworzyła się brama ciemności, Patrick przeszedł do ostatniego etapu.

; Akceptacja.

Jego dusza już kiedyś umarła... a przynajmniej jej część. Teraz umierało jego ciało, ginęło w zastraszającym tempie. Tym razem, wśród odkurzonych twierdzeń doktor Kiibler-Ross, nadzieja była o wiele słabsza. A każda faza z konieczności uległa przyspieszeniu - nerwowe zabiegi, by zdążyć pogodzić się z losem, zanim będzie za późno. Ale tym razem czuł coś jeszcze: doznanie słodkie i przejmujące. Wydawało mu się, że to nostalgia. Nostalgia bez melancholii, wspomnienia bez goryczy, bezwarunkowe wybaczenie. Wspomnienia... Obrazy pojawiały się przed jego oczami tak czyste, jak kryształowe wody Jeziora Graydona.

Jezioro Graydona. Graydon's Lake. Czy literacki pseudonim Jesse'a był szyderstwem? A może to także wyraz nostalgii, tęsknoty za lepszymi czasami, szczęśliwymi, pełnymi miłości?

Aż do tamtego dnia Patrick zawsze myślał o Jessem z miłością, choć martwił się o mroczne tajemnice, których brat nie pozwolił poznać nawet jemu. Nigdy nie wierzył, że te tajemnice kryją w sobie zło... dopóki nie przekonały go słowa Jesse'a: epizod na łodzi był impulsem. Kaprysem. Wtedy wydawało mu się, że to dobry pomysł.

Wspomnienie przeszło go spazmem bólu, ostrym, lecz dziwnie słodkim, potęgującym to oszałamiające uczucie, które go ogarnęło. Nigdy nie palił marihuany - tym zajmował się jego brat - ale prawdopodobnie tak właśnie by się czuł pod jej wpływem: oszołomiony, lecz najzupełniej przytomny. Być może to dlatego podaje się jaumierającym. Żeby nie czuli bólu i leniwie rozkoszowali się słodką nostalgią.

Tak, to leniwe uczucie dziwiło go najbardziej. Jego ciało pędziło ku śmierci, a jednak on nie doznawał żadnego niepokoju. Chwile ciągnęły się w nieskończoność, jakby czas stanął w miejscu.

TU, na balkonie domu w Brentwood, miał wrażenie szczególnego wyostrzenia wszystkich zmysłów. Czuł każdy promień wiosennego słońca, każdą pieszczotę delikatnego wietrzyku. Rozróżniał wszystkie otaczające go zapachy: jaśmin, różę, czeremcha. I słyszał muzykę Mozarta.

Ten stan oszołomienia był najzupełniej naturalny. Naturalny? Tak, jeśli uzna się za naturalne, że komórki mózgu są niedotlenione, są na progu śmierci, w stanie, którego jeszcze nikt nie opisał.

Przez symfonię Mozarta i ptasie trele przebił się nowy dźwięk - dzwonek telefonu. Aparat stał niedaleko, lecz Patrick nie zrobił żadnego ruchu, żeby do niego podejść. Po czterech dzwonekach włączy się automatyczna sekretarka, a te parę zaoszczędzonych chwil to przecież tysiące słodkich myśli...

Być może dzwoni jego recepcjonistka, by mu przekazać dzisiejszą listę osób życzących mu powrotu do zdrowia. Na jego prośbę informowała wszystkich, że „Patrick czuje się bardzo dobrze”. A może to Caitlin, telefonująca nie z pokładu statku, lecz z sąsiedniej ulicy, bo nie dotrzymała obietnicy i skró-

ciła rejs. Ale ona nigdy nie łamała danego słowa. Jej planowy powrót przypadał na jutro.

Zamierzał się z nią spotkać. Może rzeczywiście prawie stracił kontakt z rzeczywistością, ale ona twardo stoi na ziemi. Zobaczy wyraźnie, jak straszne zmiany zaszły w nim przez ten krótki czas. Badzie chciała ukryć strach i ból. I przekona się, że to niemożliwe.

Drugi dzwonek zabrzmiał w jego uszach jak zawołanie, jak jęk Caitlin, który na szczęście umilkł, ustępując miejsca trzeciemu, początkowo ostremu, lecz potem coraz bardziej przyjemnemu dźwiękowi... który w końcu zmienił się w głos brata; „Pozwól mi sobie pomóc. Chcę tego. Kocham cię”...

- Jesse - szepnął Patrick i ruszył ku aparatowi. Nadzieja, do tej pory tak słaba, obudziła się w nim i nabrała sił, choć duma szydziła; „Już dawno powinienes wyciągnąć rękę do brata”.

- Halo?

- Witaj, Patricku, tu Stephen.

Stan leniwego oszołomienia przerwał się gwałtownie. Stephen zjawił się tego ranka w mieszkaniu Patricka, by pobrać mu*krw. Wydawało się wówczas, że jest to zbędne potwierdzenie tego, z czego obaj dobrze zdawali sobie sprawę. Liczba jego krwinek nie zwiększała się. Wystarczyło tylko na niego spojrzeć, żeby się o tym przekonać. Czuł to, z każdym dniem stawał się coraz słabszy i bardziej otepiały.

- Mam dobre wieści -powiedział Stephen.

- Tak? Założyłbym się, że wszystkie wyniki są jeszcze gorsze, zwłaszcza hematokryt.

- Owszem. Osiemnaście. Ale mamy dawkę!

Patrick zdawał sobie sprawę, że państwowy rejestr dawców szpiku został sprawdzony, a poszukiwania nie przyniosły rezultatów. A jednak nadzieja kazała mu wyszeptać;

- Jak to?

- Przesiałem faksem twój profil immunologiczny do bardzo wielu banków krwi. To zadziwiające, ale odezwał się do nas jeden, leżący całkiem blisko, w San Diego. Od razu rozpoznali profil. Mniej więcej rok temu dawca potrzebował transfuzji i, oczywiście, nie mogli znaleźć odpowiedniej krwi. Teraz, kiedy zwróciliśmy się do niego o pomoc, nie wahał się ani przez chwilę. Powinien być już w szpitalu.

- Kiedy?

- Jutro rano, ale musisz tu przyjechać dzisiaj.

- Już jadę.

- Nie, to ja do ciebie jadę. Nie powinienes prowadzić.

- Dobrze - zgodził się cicho. - Dziękuję ci, I proszę, podziękuj mu ode mnie. A może powinienes to zrobić osobiście? Czy dawca i biorca mogą się spotkać?

- Co do tego nie ma reguły. Zwykle takie spotkanie następuje... później. Kiedy przeszczep można uznać za niezaprzeczalny sukces, dodał w myślach Patrick. Kiedy biorca wraca do zdrowia.

- Dobrze. Ale podziękujesz mu już teraz w moim imieniu?
- Jasne, że tak. Załatwione.

- Jesteś urodzonym łgarzem - odezwała się Caitlin, gdy Stephen odłożył słuchawkę.

Znajdowali się w jej salonie, w którym przebywała od dwudziestu czterech godzin. Stephen zjawił się, by uzgodnić, co mają powiedzieć Patrickowi. Jak go oszukać.

Teraz Patrick usłyszał wreszcie tę pracownicę obmyśloną historię, a ordynator oddziału hematologii tylko westchnął.

- Nie, nie jestem. Czy dotarło do ciebie, że chciał osobiście podziękować dawcy?

- Patrick jest dobrze wychowany. Poza tym bardzo ładnie sobie z nim poradziłeś.

- Tak... Cel uświęca środki. Przynajmniej tak to sobie tłumaczę.

- Jasne, że uświęca. Co planujemy na jutro? Zdołałeś namówić naszego dawcę na znieczulenie, prawda?

Naszego dawcę. Zbyt szybko przywłaszczyła sobie prawo do niego. I oczywiście nie miała racji. To Stephen był lekarzem Jesse'a. Na jej wyraźne życzenie. Ona nie miała dostępu do jego sprawy. A jednak ciągle liczyła na to, że Jesse się do niej odezwie. Mieszkał - jako Michael Lyons - w hotelu „Chateau” na Barrington, dwie przecznice stąd. Dała mu swój adres i numer domowego telefonu.

Ale nie zadzwonił. Dlaczego spodziewała się, że zadzwoni? Była tylko szaloną wielbicieleką, jedną z tysiąca podobnych.

- Nie. Nie udało mi się.

- Co?!

- Zdecydowanie odmawia.

- Pytałeś dlaczego?

- Jasne. - Stephen uśmiechnął się krzywo; taki sam uśmiech pewnie zagościł na twarzy Jesse'a - Powiedział, że nie wierzy w upiększanie rzeczywistości za pomocą narkotyków.

- Ale wyjaśniłeś mu, jak to będzie wyglądać? Powiedziałeś, że pobieranie szpiku bez znieczulenia jest... - zamilkła, nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa.

- Jesse jest całkowicie świadomy tego, co go czeka. I jak powiedziałeś, cel uświęca środki. Powiedziałem mu, że spotkamy się o dziewiątej rano w klinice hematologicznej. Przyjdiesz, prawda?

Chciała znowu zobaczyć Jesse'a - która wielbicielka by tego nie chciała? - ale bała się ujrzeć jego cierpienie.

- Czy zamierza się zahipnotyzować lub coś w tym rodzaju?
- Nie mam pojęcia, jak to wytrzyma, ale wierzę, że mu się uda, Skinęła głową. Oczywiście, że tak.
- Więc... do dziewiątej, Caitlin?
- Do dziewiątej.

19

*Klinika hematologii, szpital Westwood
sobota, 27 kwietnia*

Barbarzyństwo. To właśnie tego słowa nie mogła wczoraj znaleźć - doskonałego na określenie zabiegu, podczas którego przebija się kość bez znieczulenia, by następnie odessać z niej szpik.

Nawet pod działaniem środków znieczulających przebijanie kości jest nieco brutalnym procesem. Zabieg wykonuje się przy użyciu trokara, igły potwornej wielkości, która przebija skórę i mięśnie, zanim dotrze do kości, a kieruje nią nie nowoczesna elektroniczna maszyna, lecz silne ramię człowieka.

Dziś tym człowiekiem był doktor Stephen Sheridan. Dopóty wbiął trokar w kość miednicową, aż wreszcie ostrze utworzyło w niej otwór. Jeśli jednak ten zabieg wydawał się okropny, to dopiero pobieranie szpiku było naprawdę bolesne. Przy każdej ingerencji uszkodzeniu ulegały nowe nerwy, a każda rozerwana komórka protestowała ze wszystkich sił.

Stephen miał pobrać prawie pół litra szpiku - co wymagało trzydziestu nakłuć, z których każde miało uszkodzić nowe nerwy, krzyczące z bólu.

Caitlin zaciskała w dłoni fiolkę morfiny. Miała nadzieję, że wkrótce Jesse pozwoli jej zaaplikować sobie dawkę silnego narkotyku. Wbrew jego obawom morfina nie zmniejszałaby obrazu rzeczywistości; to byłoby możliwe tylko w wypadku znieczulenia. Narkotyk złagodziłby tylko najgorszy ból, stłumił najbardziej rozdzierający krzyk tkanek.

To właśnie ze względu na konieczność zaaplikowania leków przeciwbólowych Caitlin zdecydowała się asystować przy zabiegu. Natychmiast po otrzymaniu odpowiedniej ilości szpiku Stephen zamierzał pójść się do laboratorium, żeby oczyścić tkankę przed infuzją. Caitlin miała zostać z Jessem, by uciskać miejsce po biopsji aż do ustania krwawienia, a także monitorować jego stan. Być może udałoby się jej także przekonać go do zażycia środka przeciwbólowego i spędzenia przynajmniej doby w szpitalnym łóżku.

Tak właśnie przedstawiały się jej obowiązki na sobotni poranek. Na razie Stephen dokonał dwunastu nakłuć, a ona mogła się tylko przyglądać, i próbować uspokoić dygot własnych nerwów. A przecież i w jej specjalności zdarzały się okrutne i brutalne zabiegi. Przecinanie mostka piłą elektryczną, podważanie żeber rozwieraczem... Wreszcie samo otwieranie serca. Więc dlatego na widok zwykłego pobierania szpiku czuła, że przechodzi ją dreszcz? Pewnie dlatego, że musiała stać beczynnym. Nawet najbardziej doświadczony chirurg może zasłabnąć na widok poszarpanego ciała, jeśli nie wolno mu go dotknąć, leczyć, pomagać.

Nie stój tak, rób coś. Z całego serca pragnęła się czymś zająć. Jesse zaproponował jej główną rolę w tym przedstawieniu. To ona miała być jego katem. Odmówiła, więc jej jniejsce zajął Stephen. A on nie znosił zabiegów bez znieczulenia, Dobrze wiedziała jakbardzo. Mimo to pracował bez słowa sprzeciwu, wprawnie i szybko. W milczeniu. Nie ostrzegał Jesse'a przed każdym nakłuciem, nie pocieszał go. Robił tylko to, co konieczne.

A pacjent? Czy rzeczywiście cierpiał?

Jeśli tak, to zasługiwał na miano aktora wszech czasów. Prawdę mówiąc, można by pomyśleć, że to nie pacjent, a hollywoodzka gwiazda podczas masażu. Tyle tylko, że przykryto go zwykłym sterylnym płótnem, a nie nie lukusowymi, mięsistym ręcznikami.

Caitlin ścisnęła fiolkę z morfiną tak mocno, że szkło lada chwila mogło się rozprysnąć; jej druga ręka pulsowała bólem tak ostrym, jakby już teraz utkwiiły w niej odłamki szkła. Krótko obcięte paznokcie, rozpoznawczy znak chirurga, wbiły się w ciało niczym małe skalpele. Tymczasem ręce Jesse'a, jakby na przekór, leżały spokojnie na stole zabiegowym. Jesse oparł na nich czoło, zamknął oczy, a jego twarz, pogodna i spokojna, wyglądała jak pogrążona w głębokim śnie.

Ale mięśnie szczęki stężały na kamień.

Czy Jesse także liczył nakłucia?

Dwanaście mieli już za sobą. Zostało jeszcze osiemnaście.

- Może zajmiesz się jeszcze drugim biodrem?

Jego głos był absolutnie spokojny, całkiem jakby wielki gwiazdor zwracał uwagę masażysty, że zaniedbuje swoje obowiązki.

- Co powiedziałaś?

- Skoro już tu jesteśmy, może pobrałyś tyle szpiku, żeby wystarczyło na drugi przeszczep? Na wypadek, gdyby to było konieczne.

Stephen spojrział na Caitlin wzrokiem pełnym najczystszej zdumienia. Odpowiedziała tym samym.

- To nie jest najlepszy pomysł. A może i jest, ale nie teraz. Efekty zabiegu dadzą o sobie znać, zwłaszcza wobec ilości krwi, którą wczoraj pobrałem.

Jesse leżał spokojnie, by nie naruszyć sterylnego miejsca, ale wydawało się, że góruje nad nimi i spogląda im prosto w oczy.

- Czuję się doskonale.
- Wierz mi, to nie potrwa długo. Wkrótce odczujesz efekty zmniejszenia ilości krwi, nie wspominając już o spadku hematokrytu...
- Jakim spadku? Z trzydziestu paru? To chyba nie to samo, co osiemnaście.
- Tak, ale u Patricka taki stan nie nastąpił w ciągu jednej nocy. Jego ciało miało czas, żeby się dostosować. Nie zamierzam cię wykrwawić na śmierć. Poza tym po wczorajszej transfuzji hematokryt Patricka zmienił się bardzo na korzyść.

- Będą potrzebne nowe transfuzje.

Jesse miał rację i wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Okres od transplantacji do wszczepienia mózgu trwać dowolnie wiele czasu. Zwykle była to kwestia tygodni. W tym czasie hematokryt Patricka mógł znowu ulec zmianie, a wtedy konieczna byłaby następna dawka krwi Jesse'a.

- To prawda - przyświadczył Stephen.

- Jeśli tak się stanie, zawiadomcie mnie. - Wydawało się niemożliwe, żeby człowiek leżący na szpitalnym łóżku, przesyty potężną igłą tkwiącą w jego kości, mógł odezwać się tak rozkazującym tonem. A jednak tak właśnie było.

Stephen uśmiechnął się blado.

- Bezwarunkowo.

Jego uśmiech zniknął zaraz potem. Rozpoczęła się dalsza część zabiegu, pobieranie kolejnych dawek szpiku, niszczenie następnych fragmentów kości. Aż do końca w sali panowała całkowita cisza, a potem, nareszcie, było po wszystkim.

Stephen wyjął trokar z ciała Jesse'a; w tej samej chwili Caitlin ucisnęła miejsce wprowadzenia igły. Po chwili Stephen zniknął, zostawiając ich samych. Oboje milczeli, choć ich ciała się stykały... Caitlin czuła, że sala zabiegowa staje się coraz mniejsza i cieplejsza...

- Gotowe - szepnęła w końcu, unosząc mały gazik, by sprawdzić, czy rana przestała krwawić. Zakleiła ją plastrem i wstała. Atmosfera zmieniła się w mgnieniu oka.

- Zaniosę tacę do autoklawu. To po drugiej stronie korytarza. Jak się czujesz?

- Doskonale.

- Tak? To dobrze. Za parę minut będę z powrotem. Kiedy tylko ogrzeję koce.

Była to sztuczka znana wszystkim lekarzom, zwłaszcza tym, którzy pracowali w pogotowiu podczas ostrej zimy. Szpitalne koce przedstawiały sobą żałosny widok, lecz kiedy się podgrzało w autoklawie, nawet najbardziej cienkie okrycie stwarzało pozory przytulności, bezpieczeństwa, stawało się ochronnym kokonem dla chorych, przerażonych i zziębniętych.

Jesse Falconer nie był chory ani przerażony. A jeśli ciepłota skóry mogła być jakąś wskazówką, nie odczuwał także zimna. Caitlin zdawała sobie sprawę, że nie zdoła go nakłonić do pozostania w szpitalu. To zaś oznaczało, że najbliższe parę godzin Jesse spędzi w nieprzyjemnej sali zabiegowej, na twardej leżance, czekając, aż rana się zasklepi...

- Co robisz? - wykrzyknęła, ledwie przekroczywszy próg. Niosła naręcz ciepłych koców, lecz teraz rzuciła je bezceremonialnie na leżankę. Mogła to zrobić, nie patrząc nawet, gdzie spadają, bo jej podopieczny opuścił miejsce, w którym miał odpoczywać przez parę następnych godzin. W pierwszym odruchu chciała podbiec do niego, ratować zagrożonego pacjenta - ale on najwyraźniej nie życzył sobie żadnej pomocy.

- Ubieram się - powiedział.

- Nie możesz!

- Wygląda na to, że jednak mogę. Prawdę mówiąc - Jesse zapiął pasek - już to zrobiłem. Może czegoś nie zrozumiałem? Przysiągłbym, że powiedziałeś „gotowe”, zanim wyszłaś, żebym mógł się w spokoju ubrać.

- To „gotowe” znaczyło tylko, że ucisnęłam ranę na tyle, by zapobiec dalszemu krwawieniu, zakładając, że pozostaniesz w pozycji leżącej! Przez kilka godzin! To miejsce musi się dobrze zbliznić. Poza tym...

- Tak?

Chciała wspomnieć o bólu, jaki musiał się odzywać przy nadwężeniu uszkodzonej kości, ale ten argument wydał się jej nagle bez znaczenia.

- Stephen cię nie uprzedził?

- Owszem, uprzedził. Ale moja krew szybko krzepnie, a muszę zdążyć na samolot.

- Na samolot?

- Chciałem wrócić na Maui. Pamiętasz przyszłą małżonkę Pana Lwa?

- Przybywa dzisiaj?

- Nie. Ale już niedługo.

- Naprawdę powinieneś zostać dzisiaj w łóżku.

Zielone oczy błysnęły.

- To bardzo kusząca propozycja, pani doktor, ale niestety mam już dziś spotkanie, - Spotkanie z samotnością. Niezbędne, nie do odwołania. - No dobrze, uciekam.

- Idziesz do hotelu piechotą?

- To po drugiej stronie ulicy.

- Może powinnam cię odprowadzić.

- Żeby się upewnić, że nie wykrwawię się po drodze? To bardzo miłe, ale zbędne. Chciałbym jeszcze tylko o coś spytać.

- Tak?

- Znasz doktora Franka Farrella?

- Pracuję z nim. A co?

— Nic, zbieram materiał do książki. Czytałem parę jego artykułów. Wydały mi się akademickie i przesadnie ostrożne, ale oczywiście nie jestem specjalistą.

- Frank jest znakomitym specjalistą zarówno jako chirurg, jak i naukowiec. Możesz z pełnym zaufaniem korzystać ze wszystkiego, co napisał.

Chciała dodać, że Frank specjalizuje się w kardiologii dziecięcej, ale poczuła, że mała salka zabiegowa znowu się kurczy. Jesse wydawał się spokojny, niedbały i chłodny, lecz czuła bijącą od niego siłę, gwałtowność i żar.

- Dobrze wiedzieć. Dziękuję. - Wzruszył ramionami. - A zatem, Caitlin, wychodzę.

Po paru minutach i ona poszła jego śladem. Stała na szklanym moście zawieszonym cztery piętra nad ziemią; zawiśła spojrzeniem na podwójnych drzwiach, przez które Jesse powinien opuścić budynek. Gdyby nie pojawił się w ciągu najbliższych trzydziestu sekund, popędziłaby za nim... i znalazła go leżącego w kałuży krwi z rozplatanego biodra... Czy trzydzieści sekund to długo? Dokładnie tyle razy Stephen okaleczył nerwy i komórki ciała Jesse'a. Trzydzieści, nie mniej, nie więcej.

Jesse pojawił się w dwunastej sekundzie, czarny lew, smukły, pełen gracji i siły. Nie utykał. Nawet ona, świadoma bólu, jaki musiał odczuwać, nie potrafiła dostrzec najmniejszego wahania w jego krokach. Dzikie zwierzęta nie mogą zdradzać własnej słabości - cóż dopiero król dżungli. Nieufny, jakby wyczuwał obecność innego drapieżnika, dumny lew ukrył przed wszystkim ból promieniujący z pękniętej kości i rozdartych komórek.

Jesse szedł tak spokojnie, że Caitlin zaczęła się spodziewać czegoś więcej: wesołości, energii. Świętowanie sukcesu byłoby oczywiście przedwczesne, lecz organizm Patricka tak znakomicie przyjął transfuzję, że można było mieć nadzieję na pomyślny przeszczep szpiku. Jesse musiał wiedzieć, że szanse jego brata znacznie się poprawiły, a jednak kiedy tak zmierzał do wyjścia - ciemna sylwetka cztery piętra niżej - wydawał się przytłoczony jakimś ciężarem, tak potężnym, że prawie wgniatał go w ziemię.

Poczekaj, Jesse. Nie odchodź.

Naprawdę o mało za nim nie pobiegła, pchnięta niespodziewanym impulsem. Ale umysł naukowca nie poddawał się tak łatwo. Zareagował natchmianem.

To, że czytałaś jego powieści i wydawało ci się, że to ty jesteś ich bohaterką, nie znaczy jeszcze, że się nią stałaś. Wyobrażasz sobie, co by zrobił, gdybyś za nim poszła? W jego ciemnozielonych oczach błysnęłoby najszczyrsze zdumienie.

Ale przecież w tych oczach zapaliło się tak wymowne światło, kiedy przyznał, że dzień spędzony w łóżku wydaje mu się pociągający...

To był żart! Jesse z ciebie kpił! Nigdy go nie poznasz, bo na szczęście nie będziesz miała okazji. On już odszedł.

Chciał odejść.

Gdyby została na pokładzie „Queen Elizabeth 2”, tego ranka znalazłaby się w Nowym Jorku. Gdyby wszystko potoczyło się bez przeszkód, o dziewiątej mogłaby złapać samolot z La Guardia, co znaczyło, że - zakładając przylot o czasie - znalazłaby się w szpitalu mniej więcej o pierwszej.

I dokładnie to właśnie zrobiła.

- Caitlin!

- Cześć.

- Wcześniej wróciłaś.

- Nie. Wszystko zgodnie z planem. Przedarłam się przez odprawę i złapałam pierwszy wolny lot. Nie zamierzałam tego przegapić. - Skinęła w stronę jego śmiertelnie bladego ramienia, w które wlewała się nowa dawka ciemnoczerwonej krwi.

Z wyjątkiem denerwującego okresu oczekiwania na dawcę, transplantacja szpiku kostnego była dla biorcy najłatwiejszą rzeczą pod słońcem, prawie równie niekłopotliwą jak transfuzja. Ale czekanie... Czekaliśmy już zbyt długo, chciała krzyknąć. Patrick wyglądał jak wynędzniały cień; teraz nawet krew jego bratanie mogła go uratować.

A jednak cień najwyraźniej nie pojmował własnego położenia. Na jego zapadniętej twarzy pojawił się uśmiech.

- Jak się bawiłaś?

- Co? A, wspaniale. Już wiem, dlaczego ludzie się od tego uzależniają. - Machnęła ręką i zdołała także się uśmiechnąć. - Ale dość o mnie. Jak się czujesz?

- Wbrew temu, co widzisz, czuję się znakomicie. Ten przeszczep to niesamowita niespodzianka.

- Cudowna niespodzianka.

- Tak. Mam wielkie nadzieje.

- Ja też. I Stephen. - Przechyliła filuternie głowę. - Śliczna ta broda.

- Zlikwidują natychmiast po transfuzji. Moje płytki... właściwiego płytki. - - są zdolne powstrzymać krwawienie, gdybym przypadkiem się zaciął.

Bardzo dobrze, pomyślała. Bujna broda była jedynym dowodem na to, że Patrick jeszcze nie umarł. Bez niej będzie się wydawać jeszcze bardziej upiornie chudy i blady.

Otrząsnęła się z ponurego zamyślenia i przypomniała sobie o ściskanej w dłoni torbie. Jak mogła o mej zapomnieć? Ręka nadal ją bolała w miejscu, gdzie paznokcie wbiły się głęboko w ciało.

- Przybywam z darami - powiedziała z ożywieniem. - Drobnym upominek od „Queen Elizabeth 2”.

- Dziękuję.

- Jakiś ty powściągliwy, doprawdy! Trudno mi sobie wyobrazić, żebyś nie marzył o kubku z emblematem statku albo o breloczku do kluczy!

- Jasne, że marzyłem.

*— Hmm... - Caitlin wyjęła okrągłą puszkę w szkocką kratę. - Tutaj mam coś, co możesz od razu wykorzystać: nadzwyczaj kaloryczne, kruche ciasteczka od Harrodsa.

Wychudzona ręka sięgnęła po czerwono-zielone pudełko.

- Dziękuję.

- Bardzo proszę. - Podziękowała za ciastko, które jej podsunął. - I jak, porwiesz mnie do sądu?

- Za co?

- Za to, że powiedziałam Amandzie. - To bardzo niewielki grzech, Patricku, bardzo niewielki. Zgadnij, komu jeszcze powiedziałam?

- Nie, cieszę się, że to zrobiłaś.

- Czy Amanda wie, że będziesz miał przeszczep?

- Nie wiem. Pewnie nie. Jesteś moim pierwszym gościem. Oczywiście wkótce dowie się o tym cały szpital.

- Więc mogę jej powiedzieć?

- Jasne.

W tym krótkim słowie odezwała się nuta, jakiej od dawna nie słyszała w głosie Patricka. Wydawała się bardzo bliska... nadziei.

Szpital Westwood
sobota, 27 kwietnia

Witamy, pani doktor. - W głosie Darli, operatorki z centrali pagerów, brzmiała autentyczna sympatia. - Fajnie, że już pani wróciła.

- Dziękuję.
- Ale chyba nie oficjalnie? W grafiku nie figuruje pani aż do poniedziałku.

Daria nie okazywała takich względów wszystkim lekarzom, lecz według pracowników centrali Caitlin Taylor pracowała zbyt ciężko. Nie mylili się. Przed chwilą Caitlin była w swoim gabinecie, żeby sprawdzić, czy nie nadeszły do niej jakieś listy.

Listy? Nie, chodziło jej o tylko jedną przesyłkę. Scenariusz.

Złodziej serc jeszcze nie nadszedł. Oczywiście nie było to wielką tragedią. Teraz mogła już nie kryć się w domu; oficjalnie wróciła z rejsu. Mogła odwiedzić okoliczne księgarnie i wyszperać w nich wszystkie dotychczas wydane powieści Graydona Slake'a. Było ich osiemnaście, nie licząc *Śnieżnego lwa*. Przeczytała dotąd cztery erotyczne thrillery i obejrzała film.

Nie uważasz, że to już przesada? - odezwał się w niej głos rozsądku. Jesse Falconer odszedł i nigdy nie wróci.

- Nie, oficjalnie jeszcze mnie tu nie ma - odpowiedziała Darli. - A tak na marginesie, usiłuję znaleźć doktor Prentice. - Nikt nie odbierał telefonu w domu Amandy, a choć zgodnie z grafikiem nie powinno jej być w szpitalu, lekarze często zamieniali się dyżurami. Jeśli miała właśnie pacjenta, Caitlin nie chciała jej niepokoić. - Nie wiesz, czy jest w szpitalu?

- Tak, jest. Ma pacjenta na Seven West. Mam panią połączyć?
- Nie, dziękuję. Zajrzę do niej.

Seven West był zamkniętym oddziałem, przeznaczonym dla pacjentów uznanych za niebezpiecznych dla siebie lub innych - samobójców, zabójców

lub osób tak chorych, że wymagały stałej opieki. Caitlin czasami bywała wzywana na Seven West na konsultację. Nawet zabójca może paść ofiarą choroby serca. Te wizyty zawsze budziły w niej dreszcz strachu.

Nie bała się pacjentów, lecz ich losu - zamknięcia, uwięzienia... jak za zielonym ogrodzeniem, który otaczał szklany bungalow, izolując jego mieszkańca i rzucając ponury cień na księżycowy krajobraz w tle.

Jesse Falconer odszedł. Tak naprawdę, upominał ją głos rozsądku, to nigdy go tu nie było. Nie dla ciebie.

Oddział Seven West znajdował się za grubymi metalowymi drzwiami, strzeżonymi przez personel. Wziew z metalowej siatki umożliwiał strażnikom przyjrzenie się ewentualnym gościom.

Caitlin rozpoznano od razu.

- Witam, pani doktor. Do pacjenta?

- Nie, szukam doktor Prentice. Czy może jest...

Przerwała, słysząc dźwięk znany wszystkim lekarzom: łomot łóżka o ścianę, oznakę szału pacjenta.

- Właśnie - powiedział strażnik. - To student, pewnie prymus, bardzo przykładowy. Niestety, w tej chwili nasz wzór cnót jest kompletnie niepoczytalny. Pijany, ale nie koniec na tym. Prawdopodobnie wziął fenocyklidynę. Wie pani, że nazywają to anielskim pyłem? Jaki anioł mógłby mieć coś wspólnego z tą trucizną?

Caitlin nie odpowiedziała, ale oczyma wyobraźni ujrzała innego anioła, jej przyjaciółkę, pełną współczucia opiekunkę. Psychotyczni pacjenci, zwłaszcza mężczyźni, przedstawiali sobą duże zagrożenie dla lekarek. Nawet jeśli kompletnie tracili kontakt z rzeczywistością, nie zapominali o własnych poglądach, a jeśli nienawidzili kobiet, każda lekarka w ich otoczeniu mogła znaleźć się w niebezpieczeństwie.

- Jest w pasach, prawda?

- Tak.

- Dostał coś?

- Zdołali go przytrzymać na tyle długo, by dać mu małą dawkę. Doktor Prentice jest bardzo ostrożna. Musi być, skoro nie wiadomo, czym się nafażerował ten idiota. Są tu też stażyści, ale nie wiem, czy doktor Prentice zechce zostawić pacjenta, przynajmniej teraz. Chyba że..., czy to coś pilnego?

- Nie, skąd. To dobre wiadomości. Może po prostu zostawię jej karteczkę?

- Tak będzie najlepiej.

A zatem napisała:

Amando, jeśli jeszcze nie słyszałaś, znaleziono dawkę dla Patricka. Robią mu przeszczep pewnie w tej samej chwili, kiedy to piszą. Jak widzisz, wróciłam. Siedzę w domu, więc jeśli się uwolnisz i będziesz miała ochotę pogadać, wpadnij!

„Znaleziono dawcę”... Caitlin miała nadzieję, że Amanda nie będzie zadawać zbyt szczegółowych pytań. Przez wszystkie lata ich przyjaźni zdarzały się im drobne grzechy niedomówień, zatajania prawdy zbyt bolesnej, by ją wywlekać na światło dzienne, ale od samego początku nigdy nie było pomiędzy nimi kłamstw...

- Nazywam się Amanda Prentice, a jeśli ktoś tego nie wie, jestem przewodniczącą Przyszłych Medyków, którymi - mam nadzieję - wszyscy zostaniemy. Jak wicie, jest to okres składania podań o przyjęcie, a zaraz potem rozpoczynają się rozmowy kwalifikacyjne. Są bardzo ważne, często decydujące, zatem warto je poćwiczyć. Wielu z nas rozmawiało ze studentami, którzy zdawali przed nami—dodam, że z pomyślnym skutkiem. Powiedzieli nam, o co będziemy pytani, i dali parę cennych wskazówek. Pytania nie są zaskakujące, ale nie stanie się nic złego, jeśli się przygotowujemy. To dlatego tu jestem - żeby zaprosić wszystkich zainteresowanych na sesje ćwiczeń praktycznych. Wszystkich, nawet jeśli nie należycie do PM. Nawet jeśli za żadne skarby nie chcielibyście do nas przystąpić!

Ostatnia uwaga Amandy została skwitowana cichym śmiechem, niespokojnym, choć pełnym ulgi. Nie wszyscy studenci zamierzający zdawać do Akademii Medycznej należeli do towarzystwa PM. Niektórym w zupełności wystarczyło chodzenie na zajęcia z przyszłymi medykami, których interesowało tylko jedno: jak zdać na akademię.

Wszyscy zgadzali się, że nie ma pewnego sposobu, ale wielu z nich miało swoje metody. Należało zgłosić się na ochotnika do pracy w szpitalu, utrzymywali jedni. Wystarczy przygotować sobie dobre zaplecze teoretyczne, upiekarali się drudzy.

Egzaminatorzy szukają ludzi Renesansu, twierdzili jeszcze inni. Doskonale wykształconych, biegłych w sztuce medycyny, a także filozofii, literaturze i historii świata - nie zapominając o fizyce, matematyce i biochemii.

Nie przyznawajcie się, że oglądacie telewizję, ostrzegali wszyscy. Mówcie, że w wolnym czasie układacie sonety.

Teorii było równie wiele, co chętnych na studia. Caitlin nie należała do Przyszłych Medyków. Zdecydowała się na drogę, którą uznała za sensowną: najlepsze stopnie ze wszystkich przedmiotów i doskonale zdany egzamin.

Na jesieni trzeciego- i być może ostatniego - roku w college'u udało się jej osiągnąć cel. Mogła się ubiegać o przyjęcia na akademię zaledwie po trzech latach... ale co będzie, jeśli się nie dostanie? Jeżeli najlepsze stopnie nie wystarczą?

Caitlin знаła tę dziewczynę, która przemawiała do studentów. Już dawno zauważyła Amandę Prentice. Jakby można jej było nie zauważyć! Ta dziewczyna promieniała pewnością siebie..., mimo swojego wzrostu. Była jak słońce,

w blasku którego wszyscy chcieli się wygrzewać. W blasku Amandy, w ciepłe Amandy. Jej zaproszenie było tak serdeczne i szczere, jakby naprawdę chciała, żeby wszyscy obecni dostali się na studia medyczne.

- Sesje zaczną się w poniedziałek i będą trwać sześć dni. Zapisujcie się na nie już teraz, żebyśmy mogli zarezerwować odpowiednio dużo pomieszczeń. Ale nie zapisujcie się od razu na wszystko. - Promienny uśmiech. — Jeśli uznacie, że ćwiczenia nie poszły wam dobrze i musicie spróbować jeszcze raz, proszę bardzo, możecie wziąć udział w kolejnych zajęciach. Ale nikt, powtarzam: nikt nie potrzebuje aż sześciu sesji!

Caitlin zapisała się na sobotę. Jej nazwisko było siedemnaste na liście, ale później okazało się, że wszyscy inni studenci, powodowani strachem lub mający obowiązki towarzyskie - byli i tacy szczęściarze - przenieśli się na wcześniejsze dni. A to oznaczało, że Caitlin znalazła się sama w wyznaczonej klasie. Caitlin... i dziewczyna, która promieniała takim ciepłem i nadzieją.

- Zdaje się, że zostaliśmy tylko my - powiedziała Amanda.

- Och... jeśli chcesz odwołać zajęcia, chętnie...

- Nie, poćwiczmy. Ale pozwolisz, że pominę wstępną przemowę. Jest pomyślana raczej jako sposób na uspokojenie nerwów niż wprowadzenie w temat, a ty chyba nie jesteś zdenerwowana.

Nie, Caitlin nie czuła najmniejszego niepokoju. Ani teraz, ani na myśl o prawdziwej rozmowie. Miała zostać lekarzem, chirurgiem. I to jej się uda.

- Możemy zaczynać? - spytała Amanda.

- Oczywiście.

- Dobrze. No więc, zacznę od łatwego pytania. - Amanda zrobiła pauzę, jakby dawała jej czas na przeniesienie się do sali egzaminacyjnej. - Proszę mi powiedzieć, dlaczego chce pani być lekarzem?

Ponieważ, ponieważ, ponieważ... przed oczami Caitlin stanęła ukochana postać. Cześć, córeczko, mówiła piękna wizja o oczach jaśniejących dobrocią, jak zwykle, gdy widziała swoją córkę, jak zwykle, gdy ją witała. Dzień dobry, córeczko. Jak było w szkole, córeczko? Obiad gotowy, córeczko.

- Caitlin? Co się stało? Możesz powiedzieć?

Zmarszczyła brwi; ten głos nie należał do Maggie, choć był równie łagodny i zatroskany. Wreszcie zdołała się opanować na tyle, by pokręcić głową.

Amanda na pewno nie będzie się dalej dopytywać. Widząc jej wyraźny niepokój - jej, zupełnie obcej osoby - na pewno uda, że nic się nie stało.

Ale Amanda nie pozwoliła się zbyć. Czekwała, spokojna, lecz zdecydowana... aż wreszcie Caitlin zaczęła mówić.

- Ponieważ chcę uratować moją matkę.

- To bardzo dobry powód, Caitlin. Wspaniały.

- Nie, nie jest wspaniały.

— Nie? Dlaczego?

— Ponieważ moja matka... nie żyje.

Ale Maggie nie umarła, nie w sercu swojej córki. Przez wszystkie te lata żyła i czekała na nią cierpliwie w sali operacyjnej... czekała, aż córka zostanie chirurgiem i uratuje jej życie, Witaj, córeczko. Tak się cieszę, że przyszłaś. Wiedziałam, że przyjdiesz. Wiedziałam.

Margaret Taylor nie czekała na córkę.

Umarła przed wielu laty.

Umarła.

Tego wieczoru rozpoczęła się najpiękniejsza przyjaźń w życiu obu dziewczyn. Wkrótce miały się stać kobietami i lekarkami, ale łączyło je coś o wiele ważniejszego i głębszego. Obie przeżyły śmierć matki.

Nigdy przed nikim nie przyznały, jak wielką poniosły stratę. Nigdy jej nie opłakały. Aż do chwili, gdy się spotkały.

Razem pożegnały swoje matki, razem poznały prawdę znaną każdemu osieroconemu dziecku: bez względu na wiek i rodzaj związku z matką, rana nigdy nie zagoi się całkowicie. Po wielu latach ich dusze nadal płaczą.

odzie jesteś, mammo?

Strasznie za tobą tęsknię.

Wróć do mnie, mamusiu! Mammo!

Proszę.

21

Westwood Court
sobota, 27 kwietnia

Pomijając fakt, że czytanie Graydona Slake'a było całkowicie nieestosownym i zaskakująco głupim zachowaniem, ten wieczór był wprost stworzony do zatonięcia w powieści *Przychodzisz z deszczu*. Za oknami szalała burza, przywiana tu znad Pacyfiku. Być może te same czarne chmury roniły łzy nad Valley Isle... tak jak tamtej nocy w raju, gdy Jesse Falconer zaprosił pod swój dach rzekomą morderczynię i białego lwa.

Przestań o nim myśleć, rozkazała sobie, zaciskając palce na okładce książki. Tak samo ścisnęła kierownicę, wjeżdżając na podjazd ze lśniąco zielonego łupku, który zaprowadził ją aż do błyszczących zielonych oczu...

Oczywiście rozkaz ten nie zdał się na nic, bo oto Jesse rzucił córkę bohaterki w skrajnie niebezpieczną sytuację. Dziewczynka miała na imię Risa; Caitlin z całych sił pragnęła jej pomóc, ale los wymyślanego dziecka spoczywał w rękach Graydona Slake'a.

Jesse ją obroni.

Stopniowo palce Caitlin zaczęły poruszać się niespokojnie; ręce chirurga, nieprzyzwyczajone do bezczynności. Nie stój tak, zrób coś. Rozpuściła kok, uwolniła burzę długich włosów, by nerwowe palce mogły zaplatać pasma, skręcać, szarpać...

Z zacytania wyrwał ją dzwonek do drzwi.

Wstała zaskoczona; była jedenasta wieczorem. Od chwili, gdy opuściła szpital, minęło osiem godzin - osiem godzin, które musiały Amandzie upłynąć całkiem niewesoło. Przyjaciółka z pewnością zjawiała się, by rozładować napięcie, ukoić nerwy.

Ale za progiem Caitlin ujrzała kogoś zupełnie niespodziewanego. „Przychodzisz z deszczu”, przemknęło jej przez głowę.

Jesse Falconer, o tej porze? Do niej?

Stał w cieniu, krople deszczu spływały mu z kruczoczarnych włosów, a on wpatrywał się w nią z napięciem.

Miała na sobie stary flanelowy szlafrok, a jej włosy były równie splecione i rozczochrane jak po przyjeździe do jego domu, choć nie przez porywisty wiatr, a równie burzliwą prozę.

Bez słowa zaprosiła go gestem do środka.

„Przychodzisz z deszczu”.

- Dziękuję - powiedział.
- Zaraz przyniosę ręcznik.
- Nic mi nie jest.

- Hmm... - mruknęła zawiedziona. Potem poczuła niepokój. Czyżby próbowała odtworzyć tę chwilę w raj, kiedy Jesse podał jej ręcznik i poprosił, by spędziła noc w jego domu?

Ale on uważał ją za morderczynię lub szpiega, zaś w jego domu o księżycowym kształcie znajdowało się całe skrzydło przeznaczone dla niespodziewanych gości. A gdyby chciała się zrewanżować? Miałyby mu do zafiarowania jedynie własne łóżko.

- Nie jesteś na Maui - wymamrotała na wpuł przytomnie. Chciała powiedzieć: „Nie jesteśmy na Maui”.

- Postanowiłem zostać tu przez jakiś czas.

Los Angeles kryło w sobie wiele niebezpieczeństw, ale Jesse na pewno nie bał się niczego, dopóki ryzyko dotyczyło tylko jego. A kiedy chodziło o dobro ludzi, których kochał? Opuścił księżycowy krajobraz Maui i sprawił, że jego serce i dusza zmieniły się w kamień. Dobrze znał niebezpieczeństwa i ich przyczynę, najbardziej pociągającą ze wszystkich pokus: nadzieję. To nadzieja skłoniła go do powrotu do Montclair. Teraz pociągająca kusicielka przypomniawszy sobie o nim, wykorzystała moment, kiedy był słaby i oszołomiony po utracie krwi.

Patrick przyjął jego krew i szpik tak, jakby przyjmował jego samego. A nadzieja przez cały dzień namawiała Jesse'a, żeby odwiedził brata. Walczył z nią równie zaciekle jak z jeszcze inną pokusą: domem w Bel Air. Tylko obok niego przejeżdż, namawiała go nadzieja. Wystarczy, że na niego spojrzysz, tylko po to, by upewnić się, czy jest na tyle silna, by przetrwać to, co ją czeka.

A w sprawie nieustraszonej lekarki... nadzieja zatryumfowała. Caitlin przybyła na Maui w czasie najgorszej burzy, nie bacząc na nic, kierując się tylko swoją misją. Dziś ogrzała koce, żeby poczuł się lepiej, a jej policzki zapłonęły rumieńcem, gdy wspomniawszy o dniu spędzonym w łóżku...

Na ten widok niewidzialny trokar dźgnął go boleśnie, odnalazł wrażliwe miejsce, z istnienia którego Jesse nie zdawał sobie sprawy. Uderzył znowu; Jesse spojrzawszy na tę kobietę, tak uroczy i tak niespokojna.

- Jak się czujesz?-spytała.

trokar dźgnął mocniej, ale Jesse zdobył się na uśmiech.

- Powiedzmy, że powoli do mnie dociera, iż straciłem mały kawałek kości biodrowej i parę szklanek krwi.

- A widzisz! - krzyknęła jakby wreszcie odkryła w nim człowieka i wcale nie czuła się rozczarowana jego słabością. - Odpoczywałeś przez cały dzień?

- Dokładnie jak kazałaś. Wypocząłem tak bardzo, że teraz niemożesz się dzieć na miejscu.

- I stąd te przechadzki w ulewnym deszczu? Naprawdę nie powinieneś wychodzić z łóżka.

- Ciągłe to pani mówi, pani doktor. Ciągłe te aluzje. Może to dlatego czuję taki niepokój.

Niepokój z mojej przyczyny, Jesse? Chcesz być ze mną?

Wydawało mu się, że zobaczył te pytania w jej oczach, błękitnych jak migotliwe morze.

- Mam coś dla ciebie. - Mój mrok, mój niepokój, ten przenikliwy ból, którego nie odważę się nazwać. - Chciałem, żeby w poniedziałek przystali ci to do szpitala, ale skoro uwinęli się szybciej, a ja jeszcze nie wyjechałem, postanowiłem odegrać rolę pośtańca.

„To” znajdowało się w papierowej torebce, przewiązanej wstążeczką i opatrzonej napisem „Jubilerzy Castille, Beverly Hills”. Butik tej firmy znajdował się też na pokładzie „Queen Elizabeth” i to w nim Michael kupił nieskazitelny sznur pereł dla swojej Maggie - a ona sprzedała podarek w sklepie Castille na Beverly Hills, dzięki czemu jej słabe serce przetrwało narodziny dziecka.

Teraz serce tego dziecka zatrzepotało na widok wyłaniającego się z torebki naszyjnika. Jej ukochane sztuczne perły, lakierowane szklane paciorki! Jesse zdążył - pomiędzy odwiezieniem Caitlin na lotnisko Kahalui i własnym odlotem - pozbiierać rozsypane koraliki. I zdążył - pomiędzy biopsją i pobraniem krwi - przekonać jubilerów z Rodeo Drive, by nawlekli tanią imitację na takie same sznurki jakie łączą bezcenne klejnoty, z małutkimi węzłkami pomiędzy perełkami.

- Nie są prawdziwe - szepnęła do swojego skarbu. - Na pewno ci o tym powiedzieli. - Zajrzała w jego oczy, lśniące jak prawdziwe klejnoty. - Na pewno nikt nie musiał ci o tym mówić.

- I nikt nie musiał mi mówić, że są dla ciebie bardzo ważne.

- Tak. To prawda. - Znowu spuściła głowę. Musiała. Zbyt wiele wyczytała w tym lśniącym spojrzeniu. - Należały do mojej matki. Dziękuję ci.

Jej splątane włosy zasłoniły twarz, czarne i dzikie jak jego serce. Powoli, delikatnie zanurzył szczupłe palce w ten jedwabisty gąszcz, rozgarnął go, zmusił ją, by znowu spojrzała mu w oczy. Pragnął ją pocałować, przytulić, zanurzyć obie ręce w oszłamiających lokach. Cofnął dłoń; Caitlin spojrzała

na niego z rozczarowaniem... i niepewnie, jakby naprawdę nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jej pragnął.

- Chciałbym znaleźć się z tobą w łóżku. Kiedy zechcesz i na jak długo zechcesz. Nawet dziś.

- Ale... przecież...

- Nie szukaj wybiegów, Caitlin. Wystarczy, że odmówisz. Albo, jeszcze lepiej, po prostu nic nie mów. Zaproszenie pozostaje aktualne. Kolacja przy świecach, a po niej... co zechcesz. To twoja decyzja. Twój wybór.

Tak trzeba. Nie mogę skazać cię na życie ze mną.

Ale przecież się nie znamy, Jesse! Tak, to był wybieg, którego nie chciałby słyszeć. A także kłamstwo. Zaś Jesse zauważył już, że Caitlin nie jest najlepszym kłamcą świata.

Oboje dobrze się znali. Przynajmniej ona poznała jego: lew, opiekun, cień, kamień.

A co wiedział o niej Jesse? Że Jubi wysłużone flanelowe szlafroki i że zależy jej na jego bracie. A także, że - podobnie jak Patrick - za cel życia wybrała sobie ratowanie zagrożonych serc. Ale z pewnością wyobrażał sobie, że jest inna, wspaniała i mądra jak jego bohaterki, delikatna jak Maggie.

- Zastanów się nad tym - powiedziała teraz. - Musisz być pewna. Dobrze?

- Tak. Dobrze.

W jego uśmiechu była niezwykła czułość i obietnica, której nie potrafiła nazwać.

- No to... dobranoc.

- Dobranoc.

Jesse Falconer odszedł w deszcz. A ona patrzyła za nim bez słowa.

Wtedy, w raju, nie pozwolił jej wrócić... ze względu na lwa. Tym razem ona pozwoliła, by jej lew odszedł. Zrobiła tak, bo Jesse miał rację. Musiała mieć zupełną pewność, rozważyć sumiennie, czy pokusa jest warta konsekwencji, które mogła za sobą pociągnąć. I czy warto narażać swoje niespokojne serce na takie niebezpieczeństwo.

22

*Szpital Westwood
sobota, 27 kwietnia, północ*

Każdy jej miesiąc pulsował bólem - ramiona, nogi, szyja, pierś... jakby to ona walczyła z więzami. Jakby to ona była spętana.

Dusza także ją bolała. Nie mogła ścierpieć sposobu, w jaki potraktowano pacjenta, choć chodziło tylko o jego dobro. Był czas, kiedy Amandę także krępowwały takie więzy, choć nie chodziło o jej dobro. Te chwile przerażenia zmieniły jej życie, wskazały cel. To dzięki temu przerażeniu stała się psychiatrą. To dlatego stała przy pacjencie, cierpiąc razem z nim, bez sprzeciwu znosząc jego atak szału. Mimo oszołomienia narkotykami człowiek poczuł, że jest związany i zareagował furją. Strach przed zniewoleniem jest tak pierwotny, że budzi się nawet podczas ataku szaleństwa.

Teraz pacjent jej młodego kolegi spał twardo dzięki środkom uspokajającym, które mu ostrożnie zaaplikowała, a także dlatego że wpływ „rekreacyjnego” narkotyku, który spowodował taki chaos, powoli słabnął. Rano chłopak będzie wyczerpany i oszołomiony, ale najprawdopodobniej znowu normalny. Uwolni się z więzów, odrzuci strach.

A Amanda nadal pozostanie w okowach dawnych lęków, jak zawsze w wirze walki, której nigdy nie zdołała wygrać, choć dzięki nieustannej czujności mogła utrzymywać stan wrogiego rozejmu.

- Pani doktor, proszę zaczekać! - zawołał za nią strażnik, kiedy zbliżyła się do zamkniętych drzwi.

- Tak? - spytała znużona.

- Mam dla pani wiadomość od doktor Taylor. Zostawiła ten list nocnej zmianie.

- Dziękuję. - To dobrze, powiedziała sobie w duchu, opuszczając oddział. Caitlin wróciła, więc Patrick nie będzie już sam. Caitlin będzie przy nim, będzie mu pomagać, rozmawiać z nim...

Patrick, Patrick. Nie opuszczał jej ani na chwilę, był w jej myślach i sercu, w każdej minucie każdego dnia. Co noc. Od czasu jego wizyty musiała bardziej panować nad sobą. To było konieczne, bo co by się stało, gdyby wyznała mu zarazem niemożliwą prawdę i kłamstwo, które nie mogło jej przejść przez gardło?

Nigdy nie czułam czegoś takiego. Nie sądziłam, że potrafię to czuć. To jest ta niemożliwa prawda. A kłamstwo? Wyzdrowiejesz, Patricku, a wtedy tyjia...

Patrick wyzdrowieje. Musi. Ale nie będzie żadnego „wtedy”, żadnego „ty i ja”. To właśnie było to kłamstwo.

Patrick musi żyć, będzie żyć. List Caitlin zapalał światło nadziei. Amanda mocno ścisnęła w dłoni karteczkę.

Patrick zwolnił i zatrzymał się, zanim Amanda zdała sobie sprawę z jego obecności. Stała na korytarzu przed jego szpitalnym pokojem, dokładnie przed drzwiami. Ale, jak zauważył Patrick, nie zamierzała zapukać ani wejść bez zapowiedzi. Nie zrobiłaby tego nigdy, zwłaszcza w środku nocy.

Więc co tu robiła?

Smukłe palce muskały tabliczkę z jego nazwiskiem -- FALCONER P. — sunęły po konturach liter. Pieszczota była delikatna, czuła, tak jak w „Arielu”, gdy dotykała cen herbat.

Amanda lubi dotykać, pomyślał. Dotyka etykiet w sklepie, tabliczek na drzwiach i puchatych kotków w kolorze dymu. A co z ludźmi? Z mężczyznami? Co z nim? Raz prawie go dotknęła, o zachodzie słońca, kiedy pazurki kotka zostawiły na jego ręce krwawiące ranki.

Prawie... być może naprawdę by go dotknęła, gdyby musiała go ratować, gdyby umierał na jej oczach. Ale wtedy umierał cicho, powoli, a jej ręce zatrzymały się w pół ruchu, jakby spętały je niewidzialne więzy.

Już nie umieram, Amando. To przełomowy dzień.

Czuł, że już teraz komórki dawcy przenikają do jego szpiku, że zadomawiają się w kościach. Oczywiście było to złudzenie, ale nie mógł się pozbyć wrażenia, że po ostatniej transfuzji w jego żyłach płynie strumień kipiącej życiem krwi.

Złudzenie przez cały dzień przybierało na sile. Wreszcie przed dwiema godzinami poczuł się na tyle dobrze, że ubrał się i ruszył w wędrowkę po mrocznych korytarzach. Najpierw szedł w konkretnym celu - szukał swojego dawcy. Ten szlachetny człowiek musiał tu gdzieś być; pewnie śpi w szpitalnym łóżku i dochodzi do siebie po zabiegu. A może czuwa, dręczony świdrującym bólem uszkodzonej kości.

Nie miał wątpliwości, że go pozna. Komórki w jego krwi na pewno wyczują obecność swoich bliźniaczek, a on poczuje ich tęsknotę, ich wołanie.

Ale kiedy tak przemierzał szpitalne korytarze, nie czuł nic - prócz głębokiej wdzięczności. W końcu zwolnił kroku; jeszcze nigdy nie oglądał szpitala z tej perspektywy. Korytarze ciągnęły się w nieskończoność, a on smakował świadomość życia tak, jak niedawno smakował umieranie.

Mógłby tak wędrować przez całą tę burzliwą noc, przyglądając się kroplom deszczu na szybie, ale nagły niepokój kazał mu zawrócić do pokoju.

Teraz już wiedział dlaczego.

Amanda zjawiała się, by dotknąć martwej tabliczki z jego nazwiskiem i odejść, zniknąć w deszczu, spiesząc do domu w Palisades i małego kotka koloru dymu.

Nie odchodź, Amando. Nie odchodź.

- Cześć.

- Och! To ty.

- Dobry wieczór, Amando.

- Caitlin zostawiła mi wiadomość.

- Czy wspomniała, że wyglądam jak żywy szkielet?

- Nie. Wyglądasz...

- Właśnie tak. Jak szkielet. Ale przynajmniej szkielet bez brody. Zresztą mam nadzieję, że wkrótce po szkielecie nie zostanie najmniejszy ślad.

- Jak udał się przeszczep?

- Bardzo dobrze. Dla mnie bez wysiłku. Akt niezwyklej szlachetności ze strony dawcy.

- Na pewno był szczęśliwy, mogąc ci pomóc.

Szczęśliwy, powtórzył w duchu. A ty, Amando? Jesteś szczęśliwa?

- Zostaniesz ze mną przez chwilę?

- Ja... muszę... - Niespokojnie zerknęła ku drzwiom.

- Chodź ze mną, znalazłem wspaniałe miejsce, z którego można podziwiać deszcz. Chodź, opowiedz, co dziś robiłaś.

Tym miejscem, okazał się Salon, nazwany tak przez tych, dla których został zaprojektowany. Ten pokój na ósmym piętrze Instytutu Kardiologii był oazą spokoju i elegancji. Wydawał się oddalony o tysiące kilometrów od świata chaosu i rozpacz, kipiącego wokół. Mógłby znajdować się w Manderley lub w posiadłości, której komnaty posłużyły za wzór - zamku na skalistym wybrzeżu Komwalii.

Szpital Westwood zapewniał pacjentom i ich rodzinom pomieszczenia, w których czuliby się równie bezpiecznie jak we własnym domu, ale Salon został zaprojektowany z myślą o lekarzach, aby mieli gdzie odechnąć i uspokoić nerwy. Przedtem mieli do dyspozycji tylko zimne, jaszkrawo oświetlone klitki, w których mogli porozmawiać i wypić kawę, lecz nie odpocząć.

O tej porze, sporo po północy, Salon tonał w ciemnościach, a za jego oknami widniała olśniewająca panorama Los Angeles, skrzącego się tysiącem świateł. Patrick stanął przed oknem zajmującym całą ścianę.

- Piękny widok-szepnęła.

- Tak. Piękny - powiedział, wpatrzony w jej odbicie w oknie. Zmarszczył brwi. On sam wydawał się przy niej upiorem; ona była aniołem z obrazów Tycjana. - Kiedy Caitlin zostawiła ci wiadomość? Pewnie minęło sporo czasu.

- Tak, ale przeczytałam jej list przed chwilą. Miałam pacjenta na Seven West.

- Już z nim lepiej?

- Chyba tak.

- Nie jesteś pewna?

Jestem pewna... pomyślała, nagle zdecydowana. Jestem jak najbardziej pewna. Muszę to zrobić, muszę, żebyś zrozumiał, że to niemożliwe.

- Jestem, przynajmniej co do niego. Mam także inną pacjentkę i to właśnie ona mnie martwi. To lekarka. Z pozoru wydaje się całkiem... normalna, ale *to* pozory. W rzeczywistości stoi na skraju przepaści. Dopóki nie zrobi żadnego ruchu, nic się jej nie stanie. To wszystko, na co ją stać. Musi jej to wystarczyć.

- Ale nie wystarcza?

- Owszem, wystarcza. - Wystarczało. - Ale czasami pragnie zrobić krpki do przodu. *I* nie może. Nie może.

- Jesteś tego bardzo pewna.

- Tak, jestem. Czy mogę ci o niej opowiedzieć?

- Oczywiście.

Dobrze wiedział, kto jest tą pacjentką. Chciała wyznać mu coś o sobie, ale nie wprost, by uniknąć zbytaiego zaangażowania. Czy on także zdoła zachować chłodny spokój lekarza?

Skinęła głową i odwróciła się od mokrej szyby, na której krople deszczu mieniły się wszystkimi barwami tęczy. Jej miedziane włosy załśniły niczym ogień. Podeszła do wielkiego kamiennego kominka i włączyła go. Cały pokój wypełnił się ciepłem i blaskiem. Amanda usiadła na drewnianym krześle o pięknych, lecz surowych liniach. Odwróciła się ku płomieniom, jakby stała przed plutonem egzekucyjnym.

Patrick zajął miejsce obok niej, na równie spartańskim krześle. Przysunął się z nim blisko.

- Moja pacjentka ma na imię Sherry - zaczęła Amanda chłodnym głosem lekarza opisującego skomplikowany przypadek. - Teraz nazywa się inaczej, ale zawsze pozostanie Sherry. Urodziła się w Las Vegas. Jej matka, Brandy, tańczyła w rewii. Zawsze powtarzała: „Brandy i Sherry - najbardziej oszłamiające dziewczyny w mieście”. Nie wiedziała, kto był ojcem jej córki.

Zaszła w ciążę przypadkiem, choć nigdy nie powiedziała tego Sherry. Zgodziła się na nią i nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby mogło być inaczej. Ale tak naprawdę nie była gotowa do roli matki, choć urodziła Sherry w wieku dwudziestu czterech lat.

- W tym wieku Sherry pewnie już odbywała praktykę w szpitalu. -I ratowała życie noworodkom, nawet tym zbuntowanym, rodzącym się z trudem.

- Tak- szepnęła Amanda. - Wydawałoby się, że Sherry jest zupełnie inna niż jej matka, prawda? Bardziej inteligentna i zaradna. Ale to nieprawda. Brandy była bardzo mądra, otwarta na wszystko... a jednak dziwnie odrywana od życia. Wydawało się jej, że Sherry jest dużą lalką, którą można odstawić na półkę, kiedy sprzykrzy się zabawa. Sherry pozostawiono samą sobie w zadziwiająco młodym wieku. W końcu czy lalka może sobie zrobić krzywdę? Czego jej potrzeba do życia?

- Może miłości?

W głosie Patricka dźwięczała czułość; lawendowe oczy Amandy zwilgotniały, załśniły, jakby w jej sercu rozbłysła iskierka. Iskierka, która wkrótce zgasła bez śladu.

- Sądzę, że Brandy kochała Sherry... na swój dziwny sposób. Ale nigdy nie rozumiała lęków swojej córki.

- Lęków?

- Lęków i niepokojów. Sherry miała ich wiele. Pierwszym, jaki zapamiętała, był lęk wysokości. Ich mieszkanie znajdowało się na ósmym piętrze, a okna, do których Sherry miała swobodny dostęp, były często otwarte. Wiesz, czego najbardziej boją się ludzie cierpiący na lęk wysokości? Że zdecydują się skoczyć. Że nie zdołają się powstrzymać. To ciekawość, nie pragnienie śmierci. Czy potrafię latać? Czy naprawdę jestem śmiertelny? A co się stanie, jeśli... To bardzo silny impuls, kuszący, lecz straszny - zwłaszcza w przypadku trzyletniego dziecka.

- Miała trzy lata? I pamięta?

- Bardzo wyraźnie. W tym samym roku przeprowadziły się do innego mieszkania - tym razem na dziesiątym piętrze, z balkonem. Sherry nie zwierzyła się matce, że czasami ma ochotę wyskoczyć przez okno. W tym wieku nie potrafiła tego ubrać w odpowiednie słowa. Ale powiedziała jej, że boi się, iż wypadnie.

- A reakcja Brandy? - spytał Patrick, ze strachem czekając na to, co miał usłyszeć. Odpowiedź była dla niego zaskoczeniem.

- Współczucie, choć bez zrozumienia. Brandy nie bała się wysokości... niczego się nie bała. Mimo to potraktowała poważnie obawy córki. Kazała zainstalować dobre zamki i, wychodząc, sprawdzała, czy są zamknięte. Lęk wysokości został zdławiony, ale jego miejsce zajęło uczucie uwięzienia. Sherry wydawało się, że przebywa w celi, z której nie ma ucieczki. Lęk najbardziej potęgował się w nocy.

- Brandy zostawiła ją samą?
- Tancerki rewiiowe nie mają wielkiego wpływu na godziny pracy. Przy-
najmniej tak było wtedy. I nie zarabiają dobrze. Pewnego razu -prawie o świe-
cie - Brandy zastała córkę śpiącą przy zapalonym świetle. Na takie marno-
trawstwo nie mogły sobie pozwolić. Brandy nie rozłościła się na Sherry,
nigdy się na nią niezłościła. Wyjaśniła, że nie są bogate, i zabroniła jej zоста-
wiać zapalone światła. Oczywiście Sherry posłuchała jej i w rezultacie spęd-
zała wiele godzin w ciemnościach, w których czaiły się potwory.

- To Brandy była potworem.
- Nie, to nieprawda. Ona tylko nie zdawała sobie sprawy, jak wrażliwa
jest Sherry.

- To nie jest okrucieństwo?
- Nie.
- Nie?
- Była lekkomyślna i niedbała, lecz nigdy okrutna. I choć nie rozumiała
łęków córki, nigdy ich nie lekceważyła i starała się im zapobiec.

Patrick nie zgadzał się z tak wielkoduszną opinią, ale nie zaprotestował.
Brandy nie miała dla niego znaczenia. Tylko Sherry.

Tylko Amanda.

- Więc co Sherry robiła w ciemnościach? - Czy było jej także zimno,
czy głodowała? - O czym myślała?

- Nie myślała. Liczyła. To była jej wersja liczenia owiec, ale nie widzia-
ła puszystych zwierzątek, tylko cyfry, piękne i lśniące. Każda miała inny ko-
lor i kształt, a razem migotały jak neony Las Vegas. Liczba "jeden" miała
barwę rubinów i była niezwykle ozdobna. „Dwa" jarzyła się szmaragdową
zielonią, „trzy" była srebrzysta i złota, „cztery" ... no, rozumiesz. Im dłużej
się liczyło, tym cyfry stawały się piękniejsze, jaśniejsze i bardziej migotliwe.
Później Sherry zdała sobie sprawę, że niektóre kolory nie pasują do siebie,
ale nie zmieniła niczego.

To naturalne, pomyślał Patrick. Cyfry stały się jej przyjaciółmi. Każda
miała własną osobowość, a razem pomagały jej stawiać czoło potworom ciem-
ności.

- Co wieczór Sherry zaczynała liczenie i nie przestawała, dopóki nie
zasnęła. Cyfry pojawiały się powoli, w starannie odmierzonej rytmie, ale
mimo to dochodziła do bardzo wysokich liczb. Wreszcie dziewczynka wy-
szła poza zwyczajne liczenie. Rozwiązywała matematyczne zadania. Talent
bezużyteczny ... i zgubny.

Bezużyteczny? O, nie. Raczej instynkt, przetrwania małej przerażonej
dziewczynki.

- Zgubny? - powtórzył. Czuł, że najgorsze dopiero ma się wydarzyć.
- Brandy miała narzeczonych. Przychodzili i odchodzili, stale zmienia-
jące się elementy krajobrazu. Przeważnie byli to przyzwoici ludzie, bardziej

zainteresowani nią niż ona nimi. Jak powiedziałam, Brandy była inteligentna i odnosiła się do mężczyzn w bardzo realistyczny sposób... aż do Royce'a. Zakochała się w nim na zabój i nie dostrzegała jego wad. A miał ich wiele. Był zły, nawet na trzeźwo. Nazywał siebie „zawodowym szulerem”, choć słowo „nałogowy” byłoby bardziej odpowiednie. Jak wszyscy hazardziści był opętany myślą o odkryciu idealnego systemu gry. Kiedy nie przesiadywał w kasynie, przychodził do mieszkania Brandy, gdzie sam ze sobą grał w kar'ty... a jeśli Sherry przypadkiem znalazła się w pobliżu, to ona odgrywała rolę krupierki.

Royce postanowił, że rozbije bank podczas gry w blackjacka. Pewnego razu, gdy Sherry rozdawała karty, miała ósemkę, a on dwanaście punktów. Zwykle w takich przypadkach gracz decyduje się na ryzyko, Royce dał jej znak, że chce następną kartę, a ona mimowolnie pokręciła głową. Oczywiście zignorował ją i dostał furę. Skąd wiedziałaś? - wrzasnął. Oszukiwałaś?

- Nie oszukiwała - wtrącił Patrick cicho. - Tylko liczyła.

- Tak, podświadomie. To był odruch, na który nie zwróciła uwagi. Oczywiście Royce uznał ją za swój klucz do bogactwa. Skończyła trzynaście lat, przedwcześnie dojrzała i już wtedy miała figurę i wzrost Brandy. Od jakiegoś czasu Royce robił sprośne uwagi na ten temat; przerażały ją śmiertelnie. Gdyby coś takiego powiedział inny mężczyzna, Brandy bez wątpienia by go wyrzuciła. Ale była tak zniewolona miłością do niego, że zgodziła się nawet na to, żeby ubrać Sherry w jej najseksowniejszą sukienkę, nałożyć makijaż na dziecięcą buzię, zabrać dziewczynkę do kasyna i wygrać majątek. Plan nie miał wad, oprócz jednej - Sherry odmówiła. To nielegalne, powiedziała. Nieuczciwe. Według prawa stanu Nevada do kasyna mogła wejść dopiero za osiem lat. Gdyby ją złapano, dodała, Brandy mogłaby stracić pracę. Nie dała się przekonać, więc Royce zażądał, żeby nauczyła go swojej techniki.

• - A ona nie mogła tego zrobić.

- Właśnie. Nie znała żadnych sztuczek, po prostu liczyła każdą kartę. Nie był to talent do hazardu, zaledwie konsekwencja jej lęków. Royce wpadł w furę. Zabrał wszystkie pieniądze - także te należące do Brandy - i poszedł do kasyna. Stracił wszystko. Wrócił pijany i straszny. Sherry obudziła się, słysząc krzyki; pobiegła do pokoju matki. Wszystko w porządku, zapewniła ją Brandy. Wracaj do pokoju i śpij. Sherry posłuchała, choć nie mogła zmrużyć oka. Leżała w ciemnościach, słuchała krzyków i modliła się, żeby wszystko dobrze się skończyło. Wreszcie zapadła cisza, więc wydawało się jej, że Bóg wysłuchał jej modlitw.

Także w szpitalnej sali zapadła zupełna cisza, przerywana tylko trzaskaniem płomieni i miękkim stukaniem kropel deszczu o szybę... i, słyszalnego tylko dla Patricka, łkania serca Amandy.

- Ale nie skończyło się dobrze, prawda?

- Nie. - Szczupłe ciało Amandy zeszywniało, jakby następne słowa musiały paść wbrew jej woli. Kiedy odezwała się znowu, jej głos brzmiał płasko i sucho, jakby uciekło z niego życie. - Royce przyszedł do Sheny i po raz pierwszy od wielu lat ujrzała swoją sypialnię pełną sztucznego światła. Royce chciał, żeby wszystko widziała, żeby widziała jego. Zrozumiała, że jest szalony, wiedziała to od razu, choć nie miała pojęcia, czym jest psychoza. To wszystko przez nią, ryknął Royce. Gdyby się mu nie sprzeciwiła, byłiby teraz bogaci i szczęśliwi. To przez nią musiał uderzyć jej matkę. To ona jest odpowiedzialna za wszystko, co jej zrobił. I to siebie będzie mogła obwiniać, jeśli Brandy umrze, jeśli on będzie zmuszony ją zabić - a zabije, jeśli Sherry nie zrobi wszystkiego, czego zażąda, i to tak, żeby był zadowolony. Nie chciała go nauczyć swoich sztuczek, dodał z ohydny chichotem, więc on będzie na tyle wielkoduszny, że nauczy ją swoich. Pokaże jej wszystkie możliwe sposoby zadowolenia mężczyzny.

Głos Amandy brzmiał nieznośnie martwo.

- Edukacja trwała całą wieczność. Sherry nadal pamięta liczby, które przepowiadała sobie w myśli. Tamtej nocy liczyła w nieskończoność, jakby znowu była małą dziewczynką. Zdawała sobie sprawę, że matka musi być bardzo poważnie ranna. Gdyby mogła przyjść jej z pomocą, na pewno by to zrobiła.

Sherry nie starała się bronić, nie krzyczała, ale Royce z jakiegoś powodu postanowił przywiązać ją do łóżka. A kiedy ją zgwałcił, zostawił tak, związaną, nagą.

Dość, chciał zawołać Patrick. Miał ochotę zabić Royce'a. Zrobiliby to, gdyby mógł.

- Royce ubrał się, zapalił papierosa i z uśmiechem, którego Sherry nie zapomniała już nigdy, zapowiedział, że zaraz wróci - z jej matką.

- Ale nie wrócił - odezwał się Patrick, zdumiony spokojem własnego głosu. Gdzie on jest, Amando? Powiedz mi. Proszę. - Bo Brandy nie żyła.

- Tak - szepnęła Amanda. Stała się znowu Sherry, małą dziewczynką. — Brandy nie żyła. Nie żyła od dawna. Ale Royce naprawdę z nią wrócił, tak jak obiecał.

- Och, nie...

Amanda- Sherry- lekarka i mała dziewczynka, mówiła dalej głosem wyczutym z emocji.

- Piękna twarz, Brandy była śmiertelnie blada i poznaczona sińcami. Miała otwarte oczy, w których - choć nigdy w życiu nie bała się niczego - malował się potworny strach, przerażenie widoczne jeszcze po śmierci. Royce położył Brandy na łóżku, obok jej córki; jedno z ramion matki przygniotło nagą pierś Sherry, To ramię, takie zimne i ciężkie, obezwładniło ją bardziej niż więzy. Royce ułożył Brandy, opowiadając jednocześnie o innych pozycjach. Żało-

wał, że Brandy umarła, pozbawiając go przedstawienia, jakim mogłyby uraczyć go obie, matka i córka. Na pożegnanie udzielił Sherry ostatniej rady: „Nigdy nie wierz w to, co mówi ci mężczyzna, zwłaszcza jeśli pożąda twojego ciała”.

Ale mnie możesz zaufać, Amando, możesz mi uwierzyć, pomyślał Patrick żarliwie. Nie, nie może, dodał natychmiast. Jak mogłaby zaufać jakimkolwiek mężczyźnie?

- Wychodząc, Royce zgasił światło. Sherry widziała w ciemnościach oczy Brandy. Zaczęła szeptać słowa miłości i wydawało się jej, że powoli przerażenie matki znika. Szeptała tak długo, aż ochrypła... od rozpacz i dymu, Royce podpalił mieszkanie.

Kiedy Sherry zdała sobie z tego sprawę, poczuła prawdziwą ulgę. Po ras; pierwszy, odkąd pamiętała, opuścił ją lęk. Powinna odczuwać ból, była przecież poważnie poparzona, ale pamięta tylko ognistą aureolę dookoła twarzy Brandy... i własne uczucie błogiego spokoju. Potem, niespodziewanie dla siebie samej, zapragnęła uwolnić się z więzów. Może chciała wziąć matkę w objęcia i tak z nią umrzeć. A może pr/yszło jej do głowy, żeby zanieść ją na balkon i skoczyć, pofrunąć...

- A może chciała żyć.

Nie był pewny, czy go usłyszała. Znowu znajdowała się w płonącym pokoju, widziała twarz matki i usiłowała zrozumieć, dlaczego Sherry zapragnęła się uwolnić.

A jednak jego głos dotarł do niej. Poruszyła przecząco głową w geście równie subtelnym, jak wtedy w „Arielu”... i pewnie także w chwili, gdy podała Royce'owi kartę, która zaważyła na jej życiu.

- Więzy trzymały mocno, zwłaszcza na nadgarstkach. Walcząc z nimi, pokaleczyła ręce. Nadal ma te blizny. Łatwo je wziąć za ślad samobójczej próby.

Zdał sobie sprawę, że nigdy ich nie widział. Amanda zawsze nosiła ubrania z długimi rękawami. Tego wieczoru jedwabne mankiety zielonkawej bluzki dokładnie kryły okaleczoną skórę.

- Czy ma także inne blizny?

- Parę. Przeszczep skóry przebiegł pomyślnie, niemal nie było widać szwów. Także jej płuca nie zdążyły doznać nieodwracalnej szkody.

A zatem, dopowiedział w myślach, pozostały tylko te blizny, których nie da się zobaczyć. Potworne blizny na sercu.

Amanda spoglądała w ogień, marszcząc brwi. Przechyliła lśniąca głowę na bok, jakby w zamyśleniu. Po chwili uniosła ją energicznie.

- Sherry została uratowana. W mieszkaniu nie było alarmu, ale sąsiad zobaczył dym. Do czasu przybycia strażaków zdążyła uwolnić się z więzów. Kiedy wbiegli, nadal siedziała na łóżku z matką w objęciach.

- A, Royce?

Gdzie jest teraz, Amando? Powiedz mi.

- Royce zginął tej samej nocy, kiedy policja ścigała go za przekroczenie szybkości. Na szczęście nikt inny nie ucierpiał.

Nikt z wyjątkiem ciebie, moja śliczna. Z wyjątkiem ciebie.

- Sherry leżała w szpitalu trzy miesiące'. Nikt nie wiedział, że Royce ją zgwałcił. Oczywiście wiadomo było, że zamordował Brandy i zostawił Sherry na pewną śmierć w płomieniach. Szpital przydzielił jej psychiatrę, z którym się regularnie spotykała. Wreszcie czuła się bezpiecznie, po raz pierwszy w życiu.

W moich ramionach także będziesz bezpieczna, do końca życia. Będę żył długo, żebyś już nigdy się nie bała.

Ze wszystkich sił pragnął wypowiedzieć te słowa, ale wiedział, że na to jeszcze za wcześnie. Nadal nie był pewien, czy może mówić o własnej przyszości. Zresztą tej burzliwej nocy Amanda postanowiła zapoznać go z „przypadkiem” - historią Sherry, skrzywdzonej dziewczynki, która dorosłe życie poświęciła pomaganiu innym.

- Pewnie to dlatego zdecydowała się zostać lekarką.

- Tak.

- Psychiatrą?

- Tak... po pewnym czasie. - Amanda zawahała się, jakby nie zdecydowała jeszcze, czy powinna zdradzić mu dalszą część historii. Wreszcie podjęła opowiadanie:

- Ponieważ Sherry nie miała żadnych krewnych, po wypisaniu ze szpitala przydzielono ją do rodziny zastępczej. Ojczym natychmiast zauważył to, co zobaczył Royce: jej rozkwitłą seksualność. Zobaczył też coś więcej: że Sherry już padła ofiarą przemocy, przez co tyra łatwiej byłoby ją ponownie wykorzystać. Przez jakiś czas Sherry zgadzała się na to. Klasyczne zachowanie. Wykorzystana seksualnie dziewczyna sądzi, że może być kochana tylko za swoje ciało. Jej samoocena dramatycznie podupada, co popycha ją do rozpaczliwego, niszczącego poszukiwania uczucia. Jednak dla Sherry sam dotyk tego człowieka był tak nieznośny, że wkrótce się zbuntowała. Lęk dodał jej siły; nie tylko sprzeciwiła się ojczymowi, ale zaczęła go szantażować. Zażądała dwustu dolarów w zamian za milczenie. W przeciwnym razie, zagroziła, opowie o wszystkim policji. Nie wiem, czy ten ojczym dał się zastraszyć, czy też przyjemnie podnieciła go myśl o płaceniu jej za seks. Być może chodziło raczej o to drugie, ponieważ, dając jej pieniądze, nazwał ją „swoją małą dziwką”. Sherry wykorzystywała je dokładnie tak, jak życzył sobie tego Royce. Umalowała się, ubrała w wyzywającą sukienkę i poszła do kasyna.

~ I wygrała?

- Majątek. To było takie łatwe... a ona czuła do siebie potworne obrzydzenie. Gdyby zgodziła się na plan Royce'a... W każdym razie w ciągu paru

godzin zdobyła dość pieniędzy, by opuścić Las Vegas i móc wynająć mieszkanie. Wyjeżdżając, zgłosiła na policji, że była molestowana przez ojczyma. Dała policjantowi dwieście dolarów i poprosiła go, żeby oddał je człowiekowi, który ją skrzywdził. Zgodziła się zeznawać przed sądem.

Przeniosła się do Los Angeles i znalazła mieszkanie w suterenie niedaleko UCLA. Właściciel był przekonany, że Sherry uczy się w college'u. Zresztą wkrótce tak właśnie się stało. Mieszkała w tej suterenie przez całe studia na akademii medycznej. Tego pierwszego lata, przed zapisaniem się do szkoły, zmieniła imię i wygląd. Bardzo przytyła; podobnie jak nadmiernie wyzywające zachowanie, zaburzenia łaknienia są klasycznymi następstwami molestowania seksualnego. Nie lubię słowa „zaburzenie”. Nie oddaje istoty nadmiernego objadania się czy odmawiania sobie jedzenia, które są jedynie rozpaczliwymi próbami zaprowadzenia porządku w szalejącym chaosie... Wtedy Sherry nie zdawała sobie sprawy, dlaczego tak przytyła, wiedziała tylko, że musi jeść. Przypuszczam, że to pierwotny instykt, strategia przetrwania, wprowadzana w życie na poziomie podświadomości. W ten właśnie sposób Sherry stworzyła dla siebie mocną broję.

- Usiłowała się uratować - szepnął Patrick. Po raz kolejny, dodał w duchu. Najpierw z płomieni, potem z rąk ojczyma... i wreszcie wszystkich mężczyzn.

- Co? A, tak. Chyba tak. - Amanda wzruszyła ramionami; lekki ruch szczupłych ramion i delikatnych kości. - Musiała to zrobić, żeby zniechęcić wszystkich, którzy zwracali na nią uwagę. Odziedziczyła po Brandy wzrost, figurę i postawę i nawet z dwudziestokilogramową nadwagą nadal ścigała ku sobie spojrzenia... lubieżne spojrzenia. Taki stan trwał przez trzynaście lat, aż wreszcie Sherry ważyła prawie pięćdziesiąt kilo więcej niż w tej chwili. Wyglądała naprawdę okazale, zwłaszcza że górowała wzrostem nad wszystkimi w klasie. Mogłaby stać się obiektem kpin i pogardy, gdyby nie to, że w swoim pancerzu czuła się wyjątkowo bezpiecznie. Była tak pewna siebie, że koledzy i koleżanki wręcz ją podziwiali. Wszyscy przychodzili do niej po radę. Uważali, że jest mądra i chyba rzeczywiście przeżycia dodały jej lat. To, co mówiła, sprowadzało się do prostych prawd. Radziła kolegom, by byli życzliwi dla innych i samych siebie... by pokochali siebie takimi, jakimi są. *I* nie wymagali od siebie zbyt wiele.

- To dobra rada. Ponadczasowa.

- Tak, i banalna. Z czasem. Sherry stała się nie tylko szkolną wyrocznią, ale i maskotką. Wszyscy się z nią przyjaźnili.

- Czy zauważyli, że to oni się z nią przyjaźnią, nie ona z nimi?

- Nie. Ale tak właśnie miało być. Sherry życzyła sobie, żeby tak to wyglądało. Nie chciała się nikomu zwierzać.

- A przecież nie była maskotką, prawda?

- Tak. Nikt jej nie dotykał i ona nikogo nie dotykała.

- I nikt tego nie zauważył.
- Nikt.
- Sherry jest lekarzem - ciągnął Patrick cicho. - Czy i teraz dotykanie sprawia jej kłopoty?
- '- Nie lubi być dotykana. - Amanda zastanowiła się na chwilę. Odpowiedzialny lekarz przedstawia przypadek choroby z jak największą dokładnością. - Właściwie nie może znieść samej myśli, że ktoś mógłby ją dotknąć. Ale może dotykać innych, jeśli to konieczne.
- Nawet mężczyzn?
- Tak... jeśli są jej pacjentami. Jeśli jest ich lekarzem, nie sobą.
- Powiedziałaś, że jest psychiatrą?
- Tak, teraz. Zawsze chciała się specjalizować w psychiatrii, ale zrobiła sobie krótki przystanek w położnictwie. Nie mogła sobie tego odmówić. Od chwili, gdy przyjęła pierwszy poród, złapała bakcyła. Nadal nie potrafi sobie wytłumaczyć tej fascynacji.
- Jak to? - Czy to nie jest oczywiste? - Czy to nie pragnienie posiadania własnych dzieci? Kochania ich tak, jak sama powinna być kochana?
- To logiczne wytłumaczenie, ale nie o to chodzi.
- Na pewno?
- Tak. Sherry ma niemiłosiernie ścisły umysł. Chce zrozumieć, dlaczego jest tym, kim jest, i choć boi się tego, czego może się dowiedzieć, bez lęku analizuje samą siebie. Mimo to jej fascynacja położnictwem nadal pozostaje dla niej tajemnicą. Niebezpieczną tajemnicą.
- Niebezpieczną?
- Od samego początku czuła, że to ryzykowne. Za bardzo pragnęła asystować przy porodach. Robiła to z rozpaczliwej potrzeby serca i wkrótce okazało się, że to destrukcyjna obsesja. Stała się zbyt opiekuńcza wobec noworodków.
- Czy można być zbyt opiekuńczym?
- Tak, jeśli kto inny jest matką dziecka.
- Sherry chciała zabrać dziecko każdej matce, która nie dałaby mu szczęśliwego dzieciństwa? To nie zbrodnia, Amando. To pragnienie kochającego serca.
- Nie. Sherry nie chce mieć dzieci. To niemożliwe.
- Byłaby wspanią matką.
- To niemożliwe. - Rudowłosa Joanna d'Arc, stojąca w blasku płomieni, prędzej by umarła, niż wyrzekła się swoich poglądów. - Zamierzała zatrzymać przy sobie dzieci tylko do chwili, gdy znalazłaby dla nich kochających rodziców. Oczywiście nigdy naprawdę nie porwała żadnego noworodka. A wiesz dlaczego? Bo pewnego dnia przyszło jej do głowy, że gdyby to Brandy była jej pacjentką, nie zechciałaby odzyskać Sherry.

- Co wyszłoby dziewczynie na dobre.
- Kto to wie? Sherry nigdy nie chciała mieć matki innej niż Brandy. Nigdy, przynigdy. Więc czy miała prawo decydować w imieniu innych matek i córek?

- To dlatego zrezygnowała z pośluznictwa?

- Tak. Ponieważ mimo wszystko ciągle czuła obsesyjną troskę o dzieci obcych kobiet. I ponieważ było coś jeszcze... tajemnicza i niebezpieczna fascynacja. Sherry nie potrafiła rozwiązać tej zagadki, ale nie umiała się także od niej uwolnić. Wreszcie, dla własnego dobra, musiała odejść.

- Czy teraz jest szczęśliwa?

Czy jesteś szczęśliwa, Amando?

- Psychiatria jest jej powołaniem. Pomagając innym, zмага się z ich lękami. Pomaga także dzieciom, organizując grupy wsparcia dla rodziców. Więc tak, jest szczęśliwa. Zadowolona.

- Czy poszła za własną radą? Czy pokochała siebie?

Krucze ramiona poruszyły się bezradnie.

- Jest z siebie dumna.

- I słusznie. - Ja także jestem z niej dumny. - Powiedziałaś, że zastanawia się nad następnym krokiem?

- Niezupełnie. Wie, że dalej nie może się posunąć. Lęki są nadal przy niej. Nieustannie stawia im czoło. Tylko tak może je utrzymać na wodzy.

- Jak to wygląda? Jak stawia im czoło?

- Och... leży w ciemnościach i wzywa potwory, które ją nękały. Czuje dawny strach, zmusza się do niego, a potem go uspokaja.

- Licząc?

- Nie. Już sobie na to nie pozwala. Czasami tego chce, kiedy myślenie sprawia zbyt wielki ból, ale zawsze opanowuje ten impuls.

- Może niesłusznie. Może nie powinna tyle od siebie wymagać. Wydaje mi się, że żąda od siebie zbyt wielkiej doskonałości.

Amanda zerknęła na niego zaskoczona.

- Ależ ona nie jest doskonała. Przecież ci powiedziałam, że nieustannie walczy z lękami, że musi stawiać czoło potworom ciemności i kuszącemu wołaniu wysokości, i wspomnieniom ognia...

- Och, Amando.

' Odwróciła się ku niemu, zaalarmowana uczuciem w jego głosie... i zmieszana. Jej spojrzenie zaraz uciekło ku płomieniom.

- I, oczywiście, straciła te pięćdziesiąt kilogramów, swoją broję. Kierowała się względami zdrowotnymi. Była młodą kobietą z dużą nadwagą, a wyniki badań są jednoznaczne: ludzie szczupli żyją dłużej. Gdyby nadal była otyła, pozwoliłaby Royce'owi zatryumfować... i wreszcie ją zabić. Teraz jest szczupła i wygląda zupełnie jak Brandy,

Smutna tancerka, pomyślał Patrick. Smutna, lecz silna. Wygrała z Royce'em, nie umarła, nie żyje w ukryciu. Porzuciła zbroję, odważnie ukazała wszystkim swoją olśniewającą urodę. Teraz jej jedyną obroną przed mężczyznami są niebotyczne obcasy i brylantowa obrączka.

Amanda drgnęła nagle, jakby wytrącona z transu... albo jakby zdała sobie sprawę, całkiem jak psychiatrzy w filmach, że czas sesji dobiegł końca.

- Przestało padać. Muszę już iść, Puszek jest sam.

Puszek... stworzenie, którego mogła dotykać. Czy jemu także zaofiarowała dom do chwili, gdy znajdzie mu lepszą opiekunkę?

Nie ma dla niego lepszego domu, pomyślał, przywołując wspomnienie kotka w ramionach Amandy, wtulonego w fioletową suknię, fałdziste wspomnienie czasów, kiedy czuła się bezpieczna. I nie miał wątpliwości, że mały Puszek czeka w domu ciepłym i jasnym, ma pod dostatkiem jedzenia i telewizję do towarzystwa. A dzięki systemowi alarmowemu Amanda mogła mieć pewność, że w razie gdyby pod jej nieobecność w bungalowie wybuchł pożar, straż pożarna przyjedzie i uratuje kotka.

Niegdyś miała dziewczynka kuliła się w ciemnościach, samotna, przerażona. .. A teraz zamieszkał z nią puszysty kotek koloru dymu,

- Co robi Puszek, kiedy zostaje sam?

Usta Amandy drgnęły w bladym uśmiechu.

- Śpi, a raczej ładuje baterie. Zdaje się, że po powrocie czeka nas szaleńcza zabawa. Nie było mnie tak długo, że baterie z pewnością się przeładowały.

Mimo zmęczenia będziesz się z nim bawić. Moja śliczna Amando, moja Sherry, i ty twierdzisz, że nie byłabyś dobrą matką?

- Odprowadzę cię do samochodu.

- Och, nie, nie musisz!

- Pozwól mi, proszę. Moje baterie też są naładowane.

Ruszyli na parking dla lekarzy, żywy upiór i umierający anioł. Niebo już nie płakało, lśniło jak świeżo umyte, piękne, jasne, kryształowe.

Pragnął wziąć ją w ramiona, ochronić przed całym światem. Ale przecież mu powiedziała, że sama myśl o dotykaniu jest dla niej nieznośna; więc tylko otworzył przed nią drzwi samochodu. A zanim odjechała, zapytał:

- Czy pozwolisz się zaprosić na kolację?

Podniosła na niego zdziwiony wzrok.

Może zdumiał ją żywy upiór, który tuż po przeszczepie szpiku twierdzi, że przyszłość należy do niego. Może... ale przypuszczał, że nie o to chodzi. Mimo to powtórzył z uśmiechem:

- Uroczystą kolację. Jak tylko przeszczep się przyjmie. Jeśli w ogóle...

- Na pewno. Jestem przekonana. Ale...

- Słyszałem każde twoje słowo - zapewnił ją cicho. - I pytam jeszcze raz: czy pozwolisz się zaprosić na uroczystą kolację?

Może i słyszałeś, Patricku, ale nie rozumiałeś. To niemożliwe. Nigdy nie będzie „nas”, ponieważ mnie tak naprawdę nie ma. Jestem ulotnym stworzeniem, powstałam z lejców i rozpływam się w rękach jak piana...

- Amando?

Głos, który odpowiedział, z pewnością nie należał do niej. Musiał być głosem szaleństwa, ale na jego dźwięk całe jej ciało zawibrowało radością.

- Tak - powiedział głos. - Tak, bardzo chętnie.

*Szpital Westwood
piątek, 3 maja*

Scenariusz jest wspaniały - powiedziała Caitlin w piątkowe popołudnie, w chwili przerwy pomiędzy operacjami. - Z medycznego punktu widzenia jest absolutnie bez zarzutu.

- Ale?

Aleja nie jestem nią, bohaterką *Złodzieja serc*, zarazem silną i delikatną.

- Nie ma żadnego „ale”. Jest doskonała.

- Więc nie mamy powodu, żeby się spotkać? Czy to chcesz mi powiedzieć?

- Tak. I nie. Chcę się z tobą spotkać, jeśli nadal...

- Kiedy? -przerwał cicho.

Wiele razy przepowiedziała sobie to, co miała powiedzieć, ale ton jego głosu kazał jej zapomnieć o wszystkich wyuczonych słowach.

Kiedy? Nigdy, upomniał ją głos rozważli. Nie jesteś nią!

Ale drugi głos, mądrzejszy, kazał jej mówić.

- W weekend mam dyżur. Może w poniedziałek?

- Będziesz wyspana?

- Słucham? Och, tak.

Nie! Oczywiście, że nie. Nawet jeśli ten weekend będzie najspokojniejszy w historii szpitala, jej serce nie zazna spokoju. Już teraz trzepotało na samo wspomnienie tego, co ma się wydarzyć.

W poniedziałek będzie się kochać z Jesse Falconerem.

Kochać się? Jesse nie wspominał o miłości. Obiecał jej seks, nic więcej...

- Tu Stephen, nie śpisz⁹

- O wpół do ósmej? Jestem na nogach od rana. - Od świtu, Patrick widział wschód słońca nad Miastem Aniołów i słuchał tysięcy dźwięków, bu-

dających się razem z nim. Nigdy nie przestał być chirurgiem, ale teraz doceniał każdą chwilę... wiedząc, że być może nigdy już nie stanie za stołem operacyjnym.

- To dobrze. Jak się czujesz?

Patrick zawahał się. Jak się czuje? Wspaniale. Zmysły, wyostrzone w obliczu nadchodzącej śmierci, pulsowały nadzieją. I ciągle wydawało mu się, że czuje, jak komórki dawcy wędrują krwiobiegiem do jego kości.

- Doskonale.

- Co powiesz na biopsję?

- Tak szybko?

- Przyjrzałem się twojemu ostatniemu wymazowi i wydaje mi się, że widzę retikulocyty. Nie wydaje mi się, naprawdę je widzę! Jeszcze nigdy nie byłem świadkiem tak szybkiego wszczepienia, ale jestem pewien, że się zaczęło,

Ja też jestem pewien. To dla życia. Dla miłości.

Dla niej.

Stał odwrócony w stronę fontanny; jej pióropusz migotał w promieniach słońca jak brylanty. Nikt tutaj nie powinien znać jego twarzy; jego zdjęcie nie pojawiło się na żadnej z powieści. Czekał. Zjawił się w wyznaczonym miejscu o wyznaczonej godzinie.

- Pan Slake?

Odwrócił się od migotliwych brylantów i spojrział.

- Doktor Prentice?

- Tak. Amanda.

- Mam na imię Jesse. - Przechylił głowę. - Ja cię znam, A raczej, już cię widziałem,

- Tak? A więc miałam rację. Naprawdę jesteś psychiatrą.

- Czuję się pochlebiony, ale nie jestem lekarzem. Choć widzieliśmy się w szpitalu. Tutaj, sześć lat temu. Prawda?

- Tak - mruknęła. - Ale w takim razie widziałeś mojąznacznie okazalszą wersję.

- Słucham?

Okazalszą. Bardziej pewną siebie. Spokojniejszą.

- Sześć lat temu byłam dość potężna.

Rzeczywiście, teraz zdał sobie z tego sprawę, ale to nie jej sylwetka zapisała mu się w pamięci. Spotkał ją na oddziale położniczym. Rozmawiała z kobietą w bardzo zaawansowanej ciąży. Kobieta krążyła niespokojnie po korytarzu, ale kiedy dołączyła do niej Amanda, jej ruchy stały się spokojniejsze, jakby udzielił się jej spokój i optymizm lekarki.

- Tak, to byłaś ty, jestem pewien - powiedział. - Byłaś ubrana w długą suknię, chyba fioletową, w małe błękitne kwiatki, może niezapominajki? Włosy miałaś rozpuszczone, a sięgały ci prawie do pasa. Czy tak?

- Tak - przyznała i nagle, jakby jego słowa przeniosły ją w czasie, poczuła przyływ pewności siebie, takiej samej, jaką dawała jej dawna zbroja. Było to bardzo dziwne uczucie, zwłaszcza wobec tego ciemnowłosego nieznajomego, tak niepokojąco zmysłowego. Nie wygląda niebezpiecznie, pomyślała, przynajmniej nie dla mnie. Ma już kogoś. Jest zakochany. A może uważa, że to ja mam kogoś, że to ja...

Od tamtej nocy w Salonie minęło dziesięć dni. Ani razu nie widziała się z Patrickiem. Przeczytała wszystkie książki Graydona Slake'a, wracała do nich po parę razy. Te historie kobiet, które bez lęku pozwalały się dotykać, dawały jej nadzieję. Może jeśli będzie je czytać dostatecznie często, taka odwaga zalegnie się także w jej sercu?

Teraz człowiek, który wskrzesił w niej nadzieję, stał obok niej, a ona czuła się przy nim tak spokojna i pewna siebie, że...

- Muszę ci coś wyznać.

- Tak?

- Twój scenariusz jest doskonały. Nie zmieniłabym w nim ani jednego słowa. Oczywiście mogłam ci to powiedzieć przez telefon, ale... chciałam się z tobą spotkać. Jestem twoją wielbicielką.

- A ja twoimi wielbicielem - odparł z uśmiechem. - Od sześciu lat, odkąd cię zobaczyłem. Więc może pójdziemy na tę kawę, jeśli nie czekają na ciebie stęsknieni pacjenci?

Spójrz. - Stephen zwolnił krzesło przed mikroskopem i gestem zachęcił Patricka, żeby zajął miejsce. - Zaufaj mi. Warto to zobaczyć.

Próbka komórek Patricka, pieczołowicie przygotowana i zabarwiona, czekała na swojego właściciela.

Długo oczekiwana chwila wreszcie nadeszła, a choć wydawało się, że nie przyniosła złych wieści, Patrick miał ochotę odsunąć ją od siebie, zwlekać jak najdłużej. Ujrzenie własnej tkanki wydawało mu się dziwnie krępujące... jakby to on sam znalazł się pod mikroskopem, ukryty wśród barwionych komórek. Wreszcie zbliżył się z ociąganiem i ostrożnie zerknął na leżący przed nim obrazek. Było to arcydzieło nie mające sobie równego, impresjonistyczne płótno, przedstawiające udany związek obcych sobie istot.

Jego kości, zabarwione na kolor cyklamenu, mieściły w sobie pastelowe błękity i różowości - komórki dawcy. Ten barwny obraz stanowił dowód tego, co Patrick przeczuwał od dawna. Obce komórki czuły się w jego organizmie doskonale, były zdrowe i szczęśliwe. Ich jądra sygnalizowały gotowość do

podziału, mnożenia się, tworzenia nowych rodzin w cyklamenowych ścianach nowego domu.

Stephen przerwał dłużące się milczenie.

- Mój syn ma dopiero trzy tygodnie, ale już zacząłem się zapoznawać z młodzieżowym językiem. Odjazdowe, co?

- Tak - szepnął Patrick, *nie* odrywając oczu od barwnego pozwolenia na życie, miłość... na nią.

Szedł do jej gabinetu lekkim krokiem, jakby u stóp wyrosły mu skrzydła.

- Doktor Falconer! - zawołała na jego widok recepcjonistka Amandy. Marianne nigdy nie poznała osobiście nowego ordynatora chirurgii urazowej, ale jak wszyscy inni dobrze go znała. I, jak wszyscy, wiedziała o jego chorobie i przeszczepie. W samą porę, mówiono na korytarzach. Zdażyli dośłownie w ostatniej chwili.

Doktor Patrick Falconer był błądy i wynędzniały, ale już nie umierał. Może czekanie na to, co przyniesie los, nadszarpnęło jego nerwy? Może przyszedł, żeby zasięgnąć rady doktor Prentice?

- Chce się pan widzieć z panią doktor?

- Tak, jeśli można. Czy jest u siebie?

- Nie, przykro mi. Nie ma jej w szpitalu.

- Tak?

- Niech pan sobie wyobrazi, upomniał się o nią film! Ma spotkanie w sprawie scenariusza z Graydonem Slake'em!

„Ariel” był o trzy przecznice od miejsca, w którym się znajdowali. Mały spacerek... jeśli nie ma się na nogach butów na niebotycznych obcasach. Amanda oznajmiła jednak, że jest przyzwyczajona do długich spacerów w szpilkach. Poza tym czuła takie uniesienie, że prawie płynęła w ciepłym wiosennym powietrzu. Graydon Slake, autor powieści o nieustraszonych kobietach, spoglądał na nią z szacunkiem - całkiem jakby uważał ją za zupełnie normalną, zupełnie zdrową osobę.

W zacisznym kąciку „Spizarni Prospera” mogłaby mu wyznać, jak ważne są dla niej jego powieści, ale nie czuła się aż tak swobodnie. Jeszcze nie. A więc w zamian, w ogrodzie pełnym orchidei, nad wspólnym imbrykiem herbaty opowiedziała mu, co jeszcze podoba się jej w jego powieściach.

— Nigdy nie usprawiedliwiasz czarnego charakteru. Nie usiłujesz wyjaśnić jego postępowania... albo, jeszcze gorzej, usprawiedliwić... krzywdami poniesionymi w dzieciństwie.

Jesse uśmiechnął się krzywo.

- Nie warto tworzyć negatywnej postaci, która budzi współczucie. Czytelnik nie chce dwuznaczności.

- Nie chodzi tylko o to, prawda? To coś więcej niż ustępstwo na rzecz masowego czytelnika. To twoje osobiste przekonanie.

- Tak, wierzę w to. Uważam, że każdy dorosły człowiek jest odpowiedzialny za swoje wybory, bez względu na to, co go spotkało, kiedy jeszcze nie mógł decydować za siebie. Tak, masz rację. Nie usprawiedliwiam czarnych charakterów. Kiepski byłby ze mnie psychiatra, prawda?

- Przeciwnie. Wiesz, jakie cierpienie sprawiają ci, którzy chcą krzywdzić.

- Czy twoimi pacjentami są ludzie, których skrzywdzono?

- W przeważającej ilości.

- Pewnie są wśród nich zgwałcone kobiety... może dzieci?

- Tak.

- A to znaczy, że słyszałaś o Gabrielle Fairfax.

- Oczywiście. Jestem zaskoczona, że i ty o niej słyszałeś. Na pewno nie jesteś psychiatrą?

- Na pewno. Staram się trzymać rękę na pulsie współczesnych wydarzeń. Czytuję gazety, czasem nawet oglądam telewizję... i obrady kongresu, na których od czasu do czasu pojawia się pani Fairfax.

Pani Fairfax. Gabrielle. I jej wzruszające wyznania o napaści seksualnej, której niegdyś padła ofiarą. Napastnik został schwytany i ukarany, zapewniła kongresmenów i widzów. Mimo to, z szacunku dla jego rodziny, którą również skrzywdził, odmówiła ujawnienia jego nazwiska.

- Uważasz, że mówi prawdę?

- Chodzi ci o to, że zbyt dobrze zniosła to nieszczęście?

- Tak. Dokładnie o to. Wydaje się, że wyszła z tego bez szwanku.

- Tak, rzeczywiście. Ale tak naprawdę nie została zgwałcona w pełnym znaczeniu tego słowa, a w chwili gwałtu miała już seksualne doświadczenia. Oba te czynniki mogły w znacznym stopniu złagodzić wstrząs.

- Więc jej wierzysz.

Amanda wzruszyła ramionami.

- Wydaje mi się, że *to* nie ma znaczenia. Dzięki niej dokonano się coś niezwykle pozytywnego - dlatego że poruszyła ten problem i doprowadziła do zmiany ustawy.

Więc tak to wygląda. Gabrielle St. John Fairfax, orędowniczka praw ofiar, pomogła tysiącom kobiet i niewinnych dziewcząt. W porównaniu z tym krzywdą, którą niegdyś wyrządziła jednemu jedynemu mężczyźnie, wydawała się niegodnym uwagi drobiazgiem.

Dla wszystkich z wyjątkiem tego mężczyzny.

*Instytut Kardiologii
poniedziałek, 6 maja*

Caitlin zerknęła na zegarek i zmarszczyła brwi. Trzecia trzydzieści dwie.

Minęło zaledwie pięć minut, odkąd po raz ostatni sprawdziła godzinę. Ten pierwszy poniedziałek maja był wyjątkowo spokojny, podobnie zresztą jak weekend. Pacjenci nie potrzebowali pomocy, operacje wyznaczono dopiero na następny dzień. Nie było listów, na które trzeba by odpowiedzieć. Nawet spotkanie doradcze w Air-Lift odznaczało się wyjątkową monotonią. Czy cały świat wstrzymał oddech w oczekiwaniu na jej spotkanie z Jessem?

Nie, nie o to chodziło. Niespełna kwadrans temu Caitlin poznała prawdziwą przyczynę tego dziwnego stanu oczekiwania. Stephen zadzwonił z wiadomością, że komórki Jesse'a już się przyjęły w szpiku Patricka.

Cudowna wiadomość pojawiła się i przebrzmiała, ale radość pozostała. Świat znowu się obudził do życia... a czas ciągle włókł się jak ślimak.

Trzecia trzydzieści trzy. Powinna już iść do domu. Ale co ma tam robić? Przez parę godzin przygotowywać się na spotkanie?

Dzwonek telefonu wydał się jej wybawieniem. Dokładnie osiem minut temu jej sekretarka, równie znudzona jak ona, wystąpiła z prośbą o wcześniejsze wyjście. Oczywiście, możesz iść, zgodziła się Caitlin. I teraz od ośmiu minut pełniła funkcję sekretarki doktor Taylor.

- Halo?-rzuciła z ożywieniem.

- Dzień dobry - odezwał się głos z wytwornym brytyjskim akcentem. - Czy to gabinet doktor Caitlin Taylor?

- Tu doktor Taylor we własnej osobie - rzuciła Caitlin lekko. - Lillith? To ty?

- Tak. Nie sądziłam, że sama odbierzesz.

- To wyjątkowy dzień. Tak się cieszę, że cię słyszę! Mam wrażenie, że nie jesteś daleko. Dzwonisz z Los Angeles?

- Tak. Jesteśmy tu wszyscy,
- Wszystko w porządku?
- Jak najbardziej. Cały klan Asquithów cieszy się doskonałym zdrowiem i samopoczuciem. Robert i Timothy szaleją na punkcie *Złodzieja serc*,
- *I* powinni. Jest rewelacyjny. Już go czytałaś?
- Oczywiście, i zgadzam się z tobą w zupełności. Nie chcę ci zajmować czasu, miałam nadzieję, że będziemy mogły się spotkać. Poza szpitalem.

Caitlin poczuła ukłucie niepokoju. Pamiętała okoliczności, w jakich spotkały się ostatnio.

- Och, Lillith, czy coś się stało? Czy chodzi o guz?
- Nie! Wszystko jest w najlepszym porządku. Naprawdę, jestem w bezwstydnie dobrej formie. Chciałam cię tylko namówić na spokojne pogaduszki przy herbatce.

- Już się nie mogę doczekać - zapewniła Caitlin, zaniepokojona pomimo spokojnego brzmienia głosu Lillith. Gdyby zadzwoniła wcześniej, gdyby zatrzymała się u Roberta i Faye w pobliskiej dzielnicy Hołmba Hills... Nie, stwierdziła. Powinnyśmy wybrać na spotkanie dzień, w którym będziemy mogły przegadać całe popołudnie, jeśli tego właśnie jej potrzeba. - Zaraz... spojrzę do kalendarza. Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że w ostatniej chwili coś mi wypadnie.

- Moja droga, jako babcia Timmy'ego, nieustająco wdzięczna babcia, jestem ci wdzięczna, że w ogóle znajdujesz dla mnie czas.

- Zobaczmy... - mruknęła Caitlin z zażenowaniem. Cały następny dzień miała zajęty od świtu do nocy. - Może w środę, o wpół do szóstej?

~ Cudownie.

- Więc spróbujmy się tak umówić. Możemy się spotkać u Prospera... to kawiarnia w sklepie „Ariel”.

- Doskonale.

- Och, tak się cieszę. Nie mogę się już doczekać.

- Ja też.

Natychmiast po zakończeniu rozmowy Caitlin nagryzmoliła w kalendarzu: „Lillith, Prospero”. Miała jeszcze zapisać dla pamięci, żeby przywieźć do pracy sukienkę odpowiednią na wytworną herbatkę z żoną Timothy'ego Asquitha, kiedy na jej biurko padł cień.

Uniosła głowę i spojrzała prosto w oczy... wampira. Patrick przypominał go teraz bardziej niż kiedykolwiek, choć to skojarzenie zawsze było jej niemiłe. Wiadomo było, że będzie żyć, że już żyje tak jak wszyscy ludzie, dzięki krwi, odrodzonej wewnątrz jego ciała, nie odebranej jakiejś niewinnej ofierze. Więc dlaczego to właśnie słowo nasunęło się jej w chwili, gdy go ujrzała? Ponieważ jego błękitne oczy płonęły - tak samo jak oczy Michaela z jej snów.

'- Patrick!

- To Jesse jest dawcą, prawda?

- Tak.

- Jak to się stało?

- Skąd się dowiedział? Ja mu powiedziałam. Czy trudno było go przekonać? Nie. Zgodził się w ułamku sekundy. - Wstała. - Wiem, że uważasz to za zdradę i masz do tego prawo, ale zrobiłabym to jeszcze raz, gdyby było konieczne. Możesz mnie podać do sądu.

W ciemnobłękitnych oczach mignęło zdziwienie, ale ogień nie zgasł.

- Myślisz, że jestem na ciebie zły?

- Nie wiem. Wyglądasz, jakby coś się w tobie gotowało.

Tak, pomyślał. Masz rację. W jego głowie szalał wir uczuć: uniesienie, bo komórki przyjęły się w jego organizmie; okropny niepokój, bo Amanda spotkała się z Jessem; a także wściekłość na siebie za ten niepokój. Wszystkie uczucia związane z bratem odżyły i uderzyły ze zdwojoną siłą. Ale w stosunku do Caitlin nic się nie zmieniło.

- Jestem ci głęboko wdzięczny, Caitlin.

- Och... — szepnęła z ulgą. - To dobrze.

- Jak go znalazłaś?

- Przez Timothy'ego Asquitha. Dał mi adres Jesse'a na Maui.

- I pojechałaś do niego? - Wzruszyła lekko ramionami. - Jesteś niezwykła,

- Nie, nie jestem. Zrobiłbyś dla mnie to samo.

Zaraz potem zmarszczyła brwi, zła na siebie; jak mogła tak zarozumiale porównywać się z Patrickiem?

A on to natychmiast zauważył i zrozumiał.

- Naprawdę nie wiesz, prawda?

- Czego?

- Że jesteś niewiarygodna. I... bardzo miła.

Miła... to zwyczajne słowo zabrzmiało pełnią miłości i nadziei. Opromienione jego uśmiechem wydało się jej o wiele wspanialsze od słowa „niewiarygodna”. Spuściła głowę.

- I nie kłóć się ze mną - dodał.

Nie będę.

— To dobrze. - A po chwili milczenia Patrick spytał: - Co powiedział?

- Że się zgadza. Natychmiast. Bez namysłu.

- I?

- Że nie chce, żebyś się dowiedział, kto jest dawcą. Wydaje mi się, że naprawdę sądził, że mógłbyś odmówić przyjęcia jego szpiku, gdybyś wiedział. Czy to prawda? Wolałbyś umrzeć, niż przyjąć jego pomoc?

- Nie, Caitlin. Nigdy.

Zawahała się przez chwilę, ale słowa Patricka dodały jej odwagi, więc podsunęła nieśmiało:

- Może powinieneś mu to powiedzieć.
- Może, Gdzie się zatrzymał?
- W „Chateau”. Zameldował się, jako Michael Lyons. - A dziś ma się z nią kochać. Aie czym była chwila namiętności wobec perspektywy pogodzenia się poróżnionych od lat braci? - Czy chcesz się dziś z nim zobaczyć?
- Nie - powiedział szybko. Jeszcze nie przywykł do myśli, że brat tu jest... a ten wieczór miał spędzić z Amandą. Ale Amanda poszła na spotkanie z Jessem. Znowu szarpnęły nim gwałtowne emocje, choć jego głos pozostał spokojny. - Nie, jeszcze nie dzisiaj.

- Piękne miejsce - zauważył Jesse. - Nie tylko „Spizarnia Prospera”, ale cały „Ariel”.

- Byłeś już tutaj?

- Nie w kawiarni. Ale przez jakiś czas przechadzałem się między półkami. - Tak, przechadzał się, a raczej krążył jak ranne zwierzę, niespokojne, rozdrażnione. Od wielu dni chodził tak po ulicach, niespokojny, zmartwiony... oczekujący wiadomości od Patricka. Albo od Caitlin. Wreszcie zajrzał do „Ariela” i ze wszystkich sił zajął się pomysłem, który kusił go już od ponad roku. A teraz, ku własnemu zdumieniu, zaczął rozmawiać o tym fascynującym -i auto-destrukcyjnym -projekcie, który przez to samo stawał się prawdziwy, jakby każde wypowiedziane słowo rył w kamieniu. - Robiłem małe rozpoznanie.

- Do następnego thrillera? Morderstwo w „Arielu”?

- Nie całkiem. - Jeszcze mógł się wycofać. Mógł udawać, że nic się nie stało. Ale nie potrafił oszukać tej miedzianowłosej lekarki, którą także dręczyły jakieś bolesne sekrety.

- Czy mogę ci to pokazać? Masz chwilę czasu?

- Tak.

Zaprowadził ją do miejsca, które niegdyś dobrze znała... aż wreszcie zabroniła sobie tam bywać, dla własnego dobra.

Zakazane miejsce w „Arielu” było jej obsesją, budzącą w niej dziwacznie poplątane uczucie tajemniczej tęsknoty i bolesnej radości. Śliniaczki ozdobione różowymi kotkami, żółtymi różyczkami i tłusciutkiemi szczeniakami w kolorze niewiarygodnego błękitu. Nietłukące się butelki z precyzyjnymi skalami. Wirujące rajskie ptaki i stada pluszowych zwierzątek.

Najbardziej bolesny był widok małych szklanych słoiczków, nie kończące się rzędy, metodycznie pogrupowane według grup żywnościowych i wieku dziecka. Niegdyś dotykała tych słoiczków, brała je do ręki, czytała każde słowo na kolorowych etykietkach i w wyobraźni przygotowywała idealnie zbilansowane posiłki. Dla kogo? - pytała samą siebie. Nigdy nie będziesz miała dziecka, nie powinnaś go mieć, nawet go nie chcesz, ponieważ tak mocno wierzysz, że to nie wyjdzie nikomu na dobre.

Jako psychiatra miała wiele do zaoferowania innym - dorosłym, dojrzałym na tyle, by nauczyć się miłości do siebie. Ale nie mogła dawać takiego podarku dziecku... córce. Nie mogła nauczyć tej ślicznej kruszyny miłości, nawet dotyku. A co by się stało, gdyby urodziła chłopca?

Nigdy nie zostanie matką, nie powinna. Podjęła tę decyzję raz na zawsze. A jednak nie nazwany ból przesywał ją za każdym razem, gdy tu przychodziła, ból tak przenikliwy, że brakło jej tchu. Kiedy widziała prawdziwe - prawowite - matki, ból stawał się nie do zniesienia.

- Masz ochotę na kurczaczka? - pytała matka, podsuwając dziecku słoiczek. Pulchne paluszki głąskały kolorową etykietę, a buzia uśmiechała się słodko. - Masz? To dobrze. Weźmiemy ten duży, tak szybko rośniesz. Robisz się dorosły - mówiła kobieta, nagle posmutniała, by po chwili znowu się uśmiechnąć. - A groszek? Zjesz groszek do kurczaczka? To zdrowe. Tak, moje kochanie, tak myślałam.

Na ten widok Amanda po raz kolejny przekonywała się z bolesnym skurczem serca, że nie może być matką. Potrafiłaby planować zdrowe posiłki, idealne dla noworodka... ale nigdy, przenigdy nie umiałaby mu dać najważniejszego - pewności siebie, odwagi, umiejętności kochania.

Dział artykułów dziecięcych w „Arielu” był bardzo obszerny. Dopiero teraz Amanda zauważyła, że w ostatnich czasach jeszcze się powiększył. Dział zabawek zajmował o wiele więcej powierzchni, pojawiła się mała księgarenka, a wideoteka oferowała najlepsze produkcje Disneya i Gemstone.

Osobną wystawę poświęcono śnieżnemu lwu Graydonu Slake'a. Piramida kaset tworzyła wielką białą górę, tysiące książek ciągnęły się jak okiem sięgnąć, a centralnym punktem wystawy była miniaturowa sawanna zamieszkała przez stada lwów.

Czy to właśnie tutaj prowadził ją Jesse? Chciał się przekonać, czy jego książki są odpowiednio zareklamowane?

Graydon Slake był bardziej niż bogaty. W tej chwili Amanda przysięgała, że nie dbał ani o pieniądze, ani o sławę. Minał stado wielkich kotów, nie zaszczycił ich nawet jednym spojrzeniem, i skierował się ku działowi małych słoiczków.

Nogi Amandy - nogi rewiowej tancerki, ściągające ku sobie pożądliwe spojrzenia - stanęły w miejscu, jakby nagle straciła w nich władzę. Nie mogła zbliżyć się bardziej. I tak znalazła się zbyt blisko.

A potem poczuła coś jak przyciąganie potężnej siły i nie mogła się dłużej opierać. Poszła dalej, w ślad za nim. I już po chwili przekonała się, jakie zmiany zaszły od czasu jej ostatniej bytności w zakazanym miejscu.

Na rynku pojawiły się nowe fabryki żywności dla dzieci, których produkty miały być najzdrowsze i najbardziej naturalne ze wszystkich. Każda etykieta podkreślała, jak bardzo są odżywcze, każda informowała, że zawierają najodpowiedniejsze ilości soli i tłuszczu. Amanda poczuła, że ręce same

się jej wyciągają w kierunku półtek. Jeszcze chwila, a zacznie dotykać słoiczków, pieścić je, czytać napisy, skierowane do matek zdrowych, szczęśliwych dzieci.

Ona nigdy nie będzie matką.

Zacisnęła ręce, a kiedy się odezwała, także jej głos brzmiał tak, jakby przeciskał się z trudem przez ściśnięte gardło.

- Dlaczego tu przyszliśmy? - Czyżbyś jednak był psychiatrą? Diabolicznym lekarzem, zwolennikiem zbawiennego działania szoku? Czy przyprowadziłeś mnie tu, by mi przypomnieć, czego nie mogę mieć? Czy chcesz mnie zmierzyć spojrzeniem zarazem mądrym i okrutnym, które zgani mnie za głupie rojenia o leczniczym wpływie powieści Graydona Slake'a?

Nie, pomyślała z ulgą. Jesse stał zamyślony, odległy, wpatrzony w słoiczki z takim samym natężeniem jak ona. Nie usłyszał jej rozpacźliwego pytania.

Jesteśmy jak bliźnięta, pomyślała. Miejsce stworzone dla uciechy dzieci budzi w nas przeszywający ból i smutne szczęście.

- Jesse? Dlaczego tu przyszliśmy? - spytała jeszcze raz, ale już bez lęku. Tym razem ją usłyszał i spojrzał na nią z wyraźnym zaskoczeniem, jakby zapomniął o jej obecności.

- Piszę książkę.

- Dla dzieci?

- Tak. Czy znasz *Śnieżnego lwa*?

~ Oczywiście. Zalecam go jako lekturę obowiązkową wszystkim przyszłym rodzicom, którzy do mnie przychodzą. Mówię, żeby zrozumieli, że ich dzieci są jak te białe lwy z Timbavati -bezcenne i zagrożone.

- Zagrożone?

- Mam na myśli ich serca i dusze. - Wzruszyła ramionami, lekko i niepewnie. - To taka przenośnia. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

- Nie, wcale nie — powiedział cicho. - Ja też tak uważam. Sądzę, że wszyscy jesteśmy bezcenni i zagrożeni.

Przez chwilę stali w milczeniu, bez skrępowania i w przyjaźni. Chwila zamyślenia prysła, gdy stado kukułek z zegarów podniosło wielki hałas, obwieszczając następną godzinę.

- Muszę uciekać, za dwadzieścia minut mam sesję grupową.

- Odprowadzę cię.

- Dziękuję, ale nie. Będę pędzić jak oszalała. To było... bardzo się cieszę, że cię spotkałam.

- Ja także. Naprawdę.

- Dziękuję.

Powinna wtedy odejść, uciec pędem do szpitala. Ale w ostatniej chwili przyszło jej do głowy, żeby zadać ostatnie pytanie o tytuł jego nowej książki, do której zbierał materiały w dziale żywności dla dzieci.

- *Słodkie ziemniaki, tatusiu* - usłyszała w odpowiedzi.

Głos Jesse'a był cichy, ale słowa zabrzmiały jak wystrzał. Te słowa, odpowiedź na dręczącą ją zagadkę, której rozwiązanie ciągle jej umykało - dlaczego musiała podjąć pracę jako położnik i dlaczego przez te wszystkie lata czuła ból zmieszany z radością.

Jednak chciała mieć dzieci. Dzieci... i jeszcze więcej.

Słodkie ziemniaki, tatusiu.

Tatusiu.

To właśnie to słowo, klucz od taj emnicy, odpowiedź na tak długą tęsknotę, przyczyna bólu. Chciała być matką, ale pod jednym warunkiem. Jej dzieci musiały mieć ojca.

Miały być darami i skarbami miłości.

Tego właśnie pragnęła Sherry. Sherry, która nie miała niczego. Sherry, dla której trudne było dotykanie kogokolwiek i która nie mogła ścierpieć, by ją dotykano.

Ból pojawił się wraz ze zrozumieniem, a był tak dotkliwy, że - idąc za dawnym odruchem - zaczęła liczyć. Pozwoliła sobie na to tylko do chwili, gdy zdołała się pożegnać z Jessem. Potem odesłała lśniące liczby w niebyt.

Wracała do szpitala jak na skrzydłach... na skrzydłach szaleństwa. Wysokie obcasy, na których zawsze poruszała się bez kłopotu, nagle zaczęły ślizgać się na chodniku. Potykała się, traciła równowagę, biegła pod palącymi promieniami słońca. Wydawało się jej, że chodnik, po którym tak trudno było jej stapać, jest usiany szczątkami jej marzeń o dzieciach, macierzyństwie, miłości.

Ani razu nie spojrzała na te rozrzucone odłamki. Nie mogła znieść ich widoku. Potykała się, lecz patrzyła przed siebie. W pobliżu szpitala jej wzrok padł na fontannę.

Brylantowy pióropusz znikł. Krople wody padały na ziemię jak ciężkie rdzawe łyzy.

- Doskonale, że wróciłaś dwie minuty przed czasem. Musisz... - Marianne zmarszczyła brwi na jej widok. - Czy coś się stało? Wyglądasz, jakby...

- Wszystko w porządku, biegłam przez całą drogę.

- Wiem, że nie lubisz się spóźniać, ale tym razem, niestety, musisz. Doktor Falconer chce z tobą porozmawiać,

- Doktor Falconer?

- Jest w swoim gabinecie. Czeka na twój telefon. Numer leży na biurku. Powiem pacjentom, że przyjdiesz troszkę później.

Patrick na pewno nie dzwoni w sprawie przeszczepu. Na to było za wcześnie. Więc co się stało?

Położyła drżące palce na telefonie, czekając, aż się uspokoją. Wyjrzała przez okno. Wstążka chodnika była szara i nie zaścieniały jej już szczątki marzeń. Rozwiały się w chwili, gdy marzenie umarło. A fontanna nadal płała.

Wykręciła numer; jej palce już nie drżały. Patrick podniósł słuchawkę po pierwszym dzwonku,

- Amanda?

- Tak. Jak się masz?

- Cześć. - Ulga, którą poczuł, natychmiast znikła na dźwięk jej głosu. Brzmiał pusto, martwo, równie jałowy jak jego szpik przed powrotem Jesse'a. - Jak się udało spotkanie?

- Spotkanie? Było... - Cóż, było przełomowe. Rozmawialiśmy o gwałcie, o zagrożonych sercach i książce zatytułowanej *Słodkie ziemniaki, tatu-siu*. Rozwiązaliśmy rozmaite zagadki, tajemnice Sherry, rozwialiśmy jej rojenia o szczęściu i miłości.

- Amando, czy coś się stało?

- Co? Nie. Jak się czujesz?

- Doskonale. Chcę cię zaprosić na uroczystą kolację.

- Och... Już? Tak szybko?

- Tak szybko. Jesteś dziś wolna? Wiem, że cię zaskoczyłem-..

Wolna? Nie, już nigdy nie będę wolna.

- Ja... Dzisiaj nie mogę...

- Trudno. - Jego głos brzmiał spokojnie, ale serce biło w przyspieszonym tempie. - Więc może kiedy indziej. Czy mogę dziś do ciebie zadzwonić?

- Czy coś się stało?

Tak, stało się coś strasznego... z tobą, Amando.

- Muszę ci coś powiedzieć o Graydonie Slake'u. To mój brat, Amando. Brat bliźniak. To on jest dawcą szpiku. Byliśmy rozdzieleni od wielu lat. Chciałbym... muszę... powiedzieć ci dlaczego.

25

Westwood Court
poniedziałek, 6 maja

Caitlin włożyła perły i naszywaną cekinami wieczorową suknię, migotliwą kreację, którą powinna była zaprezentować na pokładzie „Queen Elizabeth 2”. Włosy zaczesła do góry, w wyrafinowany gładki kok, ale miała ochotę rozrzucić loki równie niedbale jak tamtej burzliwej nocy, gdy czytała *Przychodzisz z deszczu*,

Jesse przyszedł do niej z deszczu i dotknął jej, żeby zobaczyć jej oczy za zasłoną dziko splecionych kędzierców.

Jesse będzie cię dzisiaj dotykał, bez względu na to, jak ułożysz włosy. Będzie cię dotykał wszędzie...

Ponieważ tego pragnie.

Ponieważ ty też tego pragniesz.

Ale czy będzie rozczarowany? Czy znajdzie tylko kawał lodu, który przybrał kobiece kształty?

Nie. Dotknęła pereł, symbolu miłości Maggie i Michaela, dziedzictwa namiętności i miłości.

Kto mówił o miłości? Na pewno nie Graydon Slake, w którego książkach to słowo nie padało ani razu. Na pewno nie Jesse Falconer. Jego propozycja brzmiała lekko jak zaproszenie na mecz tenisa. Oczywiście seks jest dla niego rozrywką, przyjemnym ćwiczeniem, dzięki któremu jego szczupłe ciało pozostaje w formie. Dzisiaj także nie będzie miłości. To tylko chemia, a z tego przedmiotu Caitlin zawsze otrzymywała najwyższe stopnie. Choć żaden wykładowca nie wspomniał o tej szczególnej gałęzi nauki.

Tak właśnie będzie. Oboje zdawali sobie z tego sprawę, zgodzili się na to, zaplanowali jak naukowy eksperyment. Bardzo nowoczesne zachowanie. Zdecydowali, że będą uprawiać seks, przemyśleli tę decyzję, upew-

nili się co do niej. We współczesnym świecie konsekwencje nagłego porwy namiętności mogły okazać się opłakane. Nie pozostawiajcie niczego przypadkowi, radzili eksperci. Bądźcie w pełni przygotowani i poiaformowani.

Nie wiedziała, czy przygotowała się emocjonalnie na to, co ją czekało, ale z punktu widzenia medycyny dysponowała pełną wiedzą. W końcu pobierała krew swojego przyszłego kochanka. Czy można poznać się bardziej intymnie?

Jesse doskonale przeszedł wszystkie testy, a dziś postanowili iść ze sobą do łóżka. Tak, będzie miejsce na chemię. Oboje byli dorośli, wiedzieli, co robią.

Jakie to nowoczesne, rozsądne, dojrzałe.

Ale ja go kocham! - Caitlin zacisnęła palce na sznurku, sztucznych pereł, symbolu miłości Maggie, pieczołowicie odrestaurowanym przez Jesse'a.

Sztuczne paciorki, prawdziwa miłość.

Och, mamó, stało się tak, jak przewidziałś. Jestem twoją córką. Moja miłość też nie może znaleźć spełnienia. Michael miał już zobowiązania, tak jak Jesse. On też ma inną kobietę... inne kobiety, a wszystkie liczą się dla niego mniej niż bezcenny, zagrożony lew.

A poza tym, i nade wszystko, Jesse Falconer poślubił samotność, odosobnienie, ciszę.

Zmarszczyła brwi; „samotność” to nieodpowiednie słowo. Swoboda, poprawiła się. Swoboda, nie samotność.

To ja jestem samotna.

A po tej nocy odczuję to jeszcze boleśniej.

Więc trudno. Przeżyję tę noc miłości i namiętności. Będę pielęgnować jej wspomnienia tak, jak Maggie pielęgnowała wspomnienia o Michaelu.

Jesse obiecał jej kolację przy świecach. Można by to uznać za zaskakujące ustępstwo na rzecz romantyzmu... chyba że czytało się powieści Graydonna Slake'a. Jego bohaterowie lubili poprzedzać namiętne noce wyrafinowanymi preludiami, prowokacyjnymi i uwodzicielskimi ucztami, które nieodmiennie odbywały się w najbardziej eleganckich lokalach.

Uwodzenie nie było dziś konieczne. Caitlin już teraz czuła się uwiedziona, a on o tym wiedział. Przyjmując jego zaproszenie na kolację, zgodziła się po prostu na całą resztę.

Kolacja przy świecach nie musiała oznaczać eleganckiego lokalu. W wielu pizzeriach na życzenie dostawało się kuliste świece w krwistoczerwonych kloszach oplecionych białą plastikową żyłką.

O szóstej pięćdziesiąt pięć, równie zdeterminowana jak w chwili opuszczenia statku, postanowiła pozbyć się tej sukni i rozpuścić włosy. Przebierze się w coś mniej romantycznego, może w codzienne ubranie... To bezpiecz-

niejsze, zwłaszcza jeśli Jesse wyjdzie po paru minutach - gdy dowie się tego, co musi mu powiedzieć.

Wyrafinowana czarna korona rozpadła się po jednym szarpnięciu - i jednocześnie rozległ się melodyjny dzwonek u drzwi.

Jesse przyszedł za wcześnie.

I za późno.

- Witaj, Caitlin - odezwał się cicho. - Wyglądasz olśniewająco.

- Och! Dziękuję. Ty też.

Jesse był ubrany w elegancki garnitur o barwie kamienia, cienia, nocy. Zielone oczy lśniły w mroku ciemnym ogniem, a granatowoczarne włosy, lekko wzburzone przez wiatr, okalały zmysłowe rysy. Dopiero teraz Caitlin przypomniała sobie o własnych włosach.

- Właśnie... zmieniałam fryzurę - wymamrotała.

- Jest wspaniała.

- Hmm... wejdz.

I zaczęło się oszałamiające działanie chemii. Poczwała to w chwili, gdy otworzyła drzwi, a w salonie reakcje stały się jeszcze silniejsze.

Jesteśmy jak dwie szklanki z magicznym napojem, który pojawia się tylko w rozgrzanym powietrzu, a dzisiaj, dzisiaj... och, jak bardzo tego pragnę, ale...

Dostrzegł jej strach i odczuł go jak policzek. Kiedy otwierała mu drzwi, wyglądała zupełnie inaczej. Na jej twarzy malowała się ciekawość, pożądanie, radość. O mało nie chwycił jej w ramiona, by ucałować ciemne podkowy pod oczami, splecione gąszcz włosów... Ale nagle wszystko się zmieniło, jakby Caitlin się czegoś bała, jakby wyczuła jego mroczne zło, przez które rodzice nie mieli dla niego nic prócz pogardy. Nawet Patrick sądził, że jego brat mógł popełnić najbardziej potworną zbrodnię. Może Caitlin się o niej dowiedziała. Może podczas minionego weekendu przekonała Patricka, by jej wszystko opowiedział.

Ten miniony weekend dłużył się mu w nieskończoność jak wycieńczająca podróż przez pustynię. Torował sobie drogę, brnął w rozpalonym piasku, umierał z pragnienia, z braku miłości i ciągle wierzył, że ona jest jego oazą.

Ale najwyraźniej dał się zwieść mirażowi.

Jego głos dochodził jakby ze spieczonej słońcem pustyni.

- Co się stało?

- Chodzi o Patricka.

Powiedział ci o wszystkim, a ty mu uwierzyłaś. W każdą zbrodnię.

- Tak?

Zadrżała, słysząc ten dziki głos, ale nie mogła się wycofać.

- Patrick wie, że to ty jesteś dawcą. Przepraszam!

Już raz musiała go przeprosić, pewnego dnia w raj. Spodziewała się wściekłości, słusznego gniewu.

Tak jak teraz.

I znowu ją zaskoczył.

Spojrzał na nią niemal z ulgą. Uśmiechnął się tym swoim krzywym, seksownym uśmiechem.

- To bez znaczenia. Już za późno.

- Na co?

- Nie może się pozbyć przeszczepu, prawda? Stephen mówi, że komórki już się przyjęły.

- Patrick wcale nie chce się go pozbyć. I nie odmówiłby, gdyby wiedział, że jesteś dawcą.

- Nie jestem tego taki pewny.

- A ja jestem. Patrick jest ci wdzięczny. Chce z tobą porozmawiać, o wszystkim ci powiedzieć.

- Tak?

Jesse Falconer sprawiał wrażenie całkowicie opanowanego, ale widziała niepokój, buzujący pod maską chłodu.

- Tak. Powiedział, że dzisiaj nie może, ale... zawsze wiesz, gdzie go znaleźć.

- Ja też mam plany na dzisiejszy wieczór. - W głosie Jesse'a, wyciszonym i łagodnym, drżała niebezpieczna nuta... pożądanie? - Pamiętasz?

- Tak - szepnęła bez tchu, - Pamiętam.

Wtedy dotknął jej szyi i pereł, a ona zadrżała pod tym dotykiem - z rozkoszy, nie ze strachu. Tej nocy strach miał przypaść w udziale tylko jemu.

Bał się dnia, kiedy będzie musiał ją zostawić, kiedy grożące jej niebezpieczeństwo stanie się zbyt wielkie. A gdyby ten okropny dzień miał nigdy nie nadejść, mogła go jeszcze czekać równie straszna chwila, w której opowie Caitlin o zbrodniach, za które został ukarany.

Zaufaj mi. Uwierz mi. Kochaj...

- Jesteś głodna? Czy tylko... pragniesz, tak jak ja ciebie?

- Pragnę - szepnęła.

Więc czar mógł się już zacząć. Ale Jesse widział jeszcze cień strapienia.

- Caitlin?

Jego silne dłonie spoczęły na jej szyi, otoczyły ją delikatnie, choć mogły zgnieść jednym ciosem. Lew... i opiekun.

- Pragnę - szepnęła znowu. - I boję się.

- Czego?

- Ciebie. Twojego doświadczenia. I oczekiwań.

.-" Tak... - powiedział cicho. - Ja też się ciebie boję.

- Mówię poważnie. - Urwała, czując na wargach najdelikatniejszą pieśczętę jego kciuka.

- Ja też. - Zaczekał cierpliwie, aż w jej błękitnych oczach pojawi się zrozumienie i zdumienie. - Liczy się tylko to doświadczenie, które zdoby-

/
wamy razem. Nie istnieje nic więcej, nigdy nie istniało. Co do oczekiwań, będę zawiedziony tylko, jeśli każesz mi teraz wyjść.

- Nie zrobię tego.
- Nie?-powtórzył z uśmiechem.
- Nie.

W powieściach Graydona Slake'a bohaterzy mówili bez skrępowania o seksie. Nigdy wulgarnie, choć czasem w szokujący sposób, podniecająco, namiętnie... i bardzo nowocześnie.

Caitlin i Jesse nie pamiętali o słowach, inteligentnych uwagach, nowoczesnych ripostach. Były tylko szept i westchnienia. I miłość, prawdziwa miłość, jakby po raz pierwszy zjawiała się z niebytu. Takiej sceny nikt się nie spodziewał.

- Na pewno nie on.
- Na pewno nie ona.

Żadne z nich nie wyobrażało sobie takiej czułości, takiego pożądania i na' mierności.

- Jesse - szepnęła Caitlin. - Jesse?

Wszystkie kobiety upewniają się w ten sposób, czy i kochanek czuje ta' kie samo zdumienie i radość.

- Caitlin - powiedział tylko. Tak, czuł to wszystko i zdumiewało go to równie mocno jak ją. I pragnąc jeszcze większej bliskości, jedności z nią, tylko z nią, wyszeptał jeszcze raz:

- Caitlin...

- Ale przecież nie pamiętasz, co się stało na Jeziorze Graydona.

Amanda odezwała się po raz pierwszy od chwili, gdy Patrick zaczął opowiadać o historii braci Falconerów. Nie przerwała mu ani razu. Opowieść skończyła się na celi Jesse'a w Montclair, na parę godzin przed wystąpieniem go do więzienia. W słuchawce zapadła cisza.

- Nie pamiętam -przyznał Patrick. - Jesse przyznał się do obu zbrodni...
- Ale...
- Ale?

Ale, pomyślała, jeśli Jesse jest gwałcicielem, jeśli żywi do kobiet taką pogardę, musiałabym to poczuć... prawda?

Ona także znała rozłąkę, podobną do tej, j aką przeżywali bracia Falconerowie. Pomiędzy Patrickiem a Jessem istniała tajemnicza nić, łącząca wszystkich bliźniaków. W przypadku Amandy przerwana nić była jeszcze bardziej mistyczna i magiczna: zadziwiające połączenie między kobietą a mężczyzną.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że nie wszyscy mężczyźni są tacy jak Royce, ale nic została zerwana, a ona bała się ich wszystkich, zwłaszcza tych, którzy się nią interesowali. Aż do chwili, kiedy poznała Patricka.

To dzięki niemu dostrzegła dobro... i takie samo dobro ujrzała w Jessem podczas tamtego spotkania w „Arielu”.

- Ale - odpowiedziała wreszcie - z Jessem czułam się bezpieczna.

Tak jak ja, pomyślał Patrick. Bezpieczny, chroniony, kochany. Dawno temu, w dzieciństwie... i teraz, uratowany, bezpieczny, gdy komórki Jesse'a rozrastają się w moich kościach.

26

Westwood Court
poniedziałek, 6 maja

Mieli się kochać przez całą noc. Całą noc.
Sie chcieli zasnąć. Nic nie mogło im przeszkodzić.

Caitlin nie miała dyżuru. A gdyby któryś z jej pacjentów jednak potrzebował pomocy, doktor Frank Farrell mógł mu jej udzielić.

Żadna katastrofa nie mogła im przerwać tej miłosnej nocy. Brat Jesse'a czuł się dobrze. To on był dla nich jedynym bliskim człowiekiem: brat prawdziwy i brat przybrany. Nie odezwie się telefon z tragiczną wieścią o śmierci matki Caitlin. Ta tragedia już się wydarzyła, zaś jej ojciec stanowił tajemnicę bez rozwiązania.

W mroku rozległ się pisk pagera, ale przecież jej aparat leżał na stoliku przy łóżku, a urywany sygnał dobiegał z drugiego końca pokoju.

- To mój.

Jesse wstał i przemierzył pokój paroma szybkimi, spężystymi krokami. Pager znajdował się w kieszeni jego eleganckich spodni, rzuconych w pośpiechu na podłogę. Wyjmując go, zaczął się ubierać, zupełnie jak lekarz, który wie, że sygnał późno w nocy oznacza nagły wypadek.

Do pokoju wlewały się strumienie światła z zewnątrz, promienie latarni, oblewające ich miłosną noc kolorem złota i kości słoniowej. Jesse - cień na tle cieni - włączył podświetlany ekran pagera. W upiornym blasku jego twarz wydawała się uderzająco biała. Biała jak śnieg.

Śnieg... Czy w jego fortecy wydarzyło się coś złego, czy rozbrzmiewają w niej alarmy? Jeśli tak, to pewnie już teraz w jej stronę pędzi mała armia ratowników, mających czuwać nad bezpieczeństwem lwa pod nieobecność Jesse'a. A teraz dowódca tej armii zawiadamia o powodzeniu akcji. Przybyli w porę, by zapobiec zabójstwu. Albo za późno i znaleźli jedynie krwawiące truchło odartego ze skóry zwierzęcia.

- Jesse? Czy coś się stało Iwiti?
- Nie. Gdzie telefon?
- Tutaj, przy łożku.

Rzucił się do aparatu. Caitlin sięgnęła po szlafrok. Zamierzała oddalić się dyskretnie do łazienki, by pozwolić mu swobodnie rozmawiać, ale zanim zdołała się podnieść, Jesse położył dłoń na jej karku. Po raz kolejny dał jej do zrozumienia to, co udowadniał jej od wielu godzin.

Potrzebuję cię, Caitlin.

W mroku przetykanym złotymi promieniami latarni dowiedziała się, dlaczego Jesse Falconer zawsze nosił przy sobie pager.

Numer, który wykręcił, miał siedem cyfer - numer miejscowy. Słuchawkę podniósł mężczyzna, niejaki Daniel; Jesse wydawał się zaskoczony, że go słyszy, jakby spodziewał się kogoś innego. Rozmawiał z nim chłodno i oficjalnie, choć z coraz większym niepokojem.

- Dobrze, chcę niaporozmawiać - rzucił rozkazująco.

Kiedy odezwał się znowu, jego głos brzmiał zupełnie inaczej - miękko, spokojnie, choć Caitlin widziała, jak bardzo był zdenerwowany. Podczas rozmowy z Danielem zachowywał się jak uwięzione zwierzę, krążące od światła do cienia, od hebanu do lśniącego złota. Teraz znieruchomiał w mroku.

- Halo? Risa? Tak, malutka, to naprawdę ja. I wiesz co? Jestem w Los Angeles. Dwa kroki od szpitala. Powiesz mi, co się stało? Dlaczego się boisz? Nie, ptaszku, lepiej będzie, jeśli to ty przyjdiesz do szpitala. Do mnie. Porozmawiamy, jak już tu będziesz, zgoda? Tylko my dwoje. Obiecuję. Dobrze? Tak. Do zobaczenia, Niedługo. A teraz, kochanie, daj słuchawkę tatusiowi.

Kiedy tatuś - Daniel - wrócił do telefonu, Jesse zakapiał we wściekłej furii.

- A coś ty myślał, że dlaczego się tak boi? Nie może oddychać! Macie natychmiast przyjeżdżać. Natychmiast!

Rozmowa skończyła się w parę chwil później. Kolejny rozkaz, który padł z cienia, brzmiał cicho, lecz przejmująco:

- Chodź ze mną, Caitlin. Chodź ze mną.

Risa. Było to imię dziewczynki, która znalazła się w takim niebezpieczeństwie w książce *Przychodzisz z deszczu*. Powieść została wydana wiele lat temu, co oznaczało, że dziewczynka, na cześć której Jesse nazwał swoją bohaterkę, musiała być teraz nastolatką. Ale Risa, z którą rozmawiał, robiła wrażenie małego dziecka. Przynajmniej tak wydawało się Caitlin.

Być może się myliła, ale jej domysły musiały pozostać niewyjaśnione, bo Jesse nie odzywał się przez całą krótką drogę do szpitala. A choć wejście do

pogotowia było wyraźnie oznaczone, on chyba tego nie dostrzegwał, jakby stracił kontakt ze światem. Jakby widział tylko małą dziewczynkę, która nie może oddychać.

Czy prowadzę go na miejsce tragedii? - myślała, wchodząc do sali nagłych przypadków.

Aż do tej chwili szpital był jej największą namiętnością, ale zdawała sobie sprawę, że nawet mimo heroicznych wysiłków nie zawsze udaje się uratować tych, którzy potrzebują pomocy.

Wszyscy będąjaratować. I, przekonała się z ulgą, w skład ekipy wejdzie najlepsza pielęgniarka, jaką kiedykolwiek zdarzyło się jej spotkać.

- Trish?

Trish podniosła głowę znad spisu narkotyków w zamkniętej apteczce za aparaturą EKG. Staranne ewidencjonowanie dostępnych narkotyków należało do obowiązków każdej zmiany. Fakt, że pielęgniarka zajmowała się tym zadaniem akurat teraz, oznaczał, że na oddziale panuje względny spokój.

- O, Caitlin. Cześć. Masz pacjenta?

- Nie. Jestem tu, ponieważ... spodziewacie się dziewczynki o imieniu Risa?

- Pacjentki Franka? Kardiologia?

Caitlin wyobrażała sobie dziecko z astmą lub jakimś schorzeniem układu oddechowego. Nie brała pod uwagę choroby serca... może umyślnie. Dziecko, którego serce jest tak chore, że uniemożliwia mu oddychanie, znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Ale przecież powinna się była tego domyślić. Jesse pytał ją o Franka, usiłując zamaskować niepokój nonszalancją. Pytał o kardiochirurga. A zatem Risë czekała operacja.

- Tak-rrjruknęła.

- Spodziewamy się jej lada chwila. Jest z nią Frank i Marty Ganfz. Frank jest przyjacielem rodziny, w dodatku sąsiadem, a razem z Martym prowadzą Risë od urodzenia. Ma ubytek przegrody międzykomorowej i... wiesz o tym?

- Nie. - Nie wiem nic oprócz tego, że Risa jest dla Jesse'a wszystkim. - Ale chcę się dowiedzieć.

- Ja dowiedziałam się przed godziną, kiedy Marty wpadł po parę specyfików i popędził do Bel Air. Risa ma pięć czy sześć lat...

- Sześć - usłyszały ochrypy głos, warknięcie uwiecznionego zwierzęcia.

Trish spojrzała na przystojnego, znękanego mężczyznę za plecami Caitlin. Kiedy stało się oczywiste, że nie zostaną sobie przedstawieni, podjęła opowiadanie.

- A więc sześć. Czuła się dobrze. Zamierzano usunąć wadę w czerwcu. Risa wiedziała o operacji i wyglądało na to, że się nie boi... aż wreszcie tydzień temu oznajmiła niespodziewanie, że nie będzie żadnej operacji. Nigdy.

Nikt się nie przejął, ponieważ do tej pory zdrowie jej dopisywało. Operację można było przełożyć o kilka miesięcy i poczekać, aż dziewczynka zmieni zdanie. Ale wczoraj coś się wydarzyło. Coś dramatycznego, choć nikt nie wie co. Risa jest tak przerażona samą perspektywą przyjazdu do szpitala, że nie zrobiono jej badań. Marty twierdzi, że wada gwałtownie się pogłębiła. A dziewczynka od dwudziestu czterech godzin odmawia przyjęcia lekarstw i twierdzi, że nic jej nie dolega. Dziś wieczorem wystąpił obrzęk płuc, który trzeba leczyć, a co najmniej kontrolować, dopóki Frank nie przekona jej do operacji. Wydaje mi się, że tak właśnie wygląda plan, przynajmniej na razie. Karetka już jest w drodze.

Trish ściągnęła brwi; nie wiedziała, czy może powiedzieć coś więcej w obecności cienia Caitlin... kimkolwiek był. Wreszcie podjęła decyzję.

- Podajajetlen,aleniewiem,czyjużsięmniejboi,czy... -Niedokończyła, ale wszyscy i tak zrozumieli, co chciała powiedzieć: czy też nie ma już wyboru.

- Na pewno mniej się boi -oświadczyła Caitlin z mocą. Dzięki Jesse'owi. Xekarze nie potrafili uśmierzyć jej lęków, podobnie jak ten nieznany Daniel. Ale Jesse'owi się to udało. Jesse... Czy jest prawdziwym ojcem Risy? Czy to dlatego w jego głosie brzmiało tyle ukrywanych emocji?

Powietrzem wstrząsnęło wycie syren.

Wszyscy obecni w sali natychmiast zajęli wyznaczone miejsca. Pielęgniarki zgromadziły się przy wejściu, gotowe eskortować nową pacjentkę na salę ilumer jeden - na wypadek, gdyby nie można było jej przewieźć na oddział kardiologii. Recepcjonistka stała nad telefonem, gotowa dzwonić na oddział natychmiast, gdy lekarz podejmie decyzję. Sanitariusz popędził do wind, by jzatrzymać jedną w pogotowiu dla pacjentki, którą należało niezwłocznie przewieźć na ósme piętro.

Proszę, proszę, proszę, powtarzała Caitlin w myślach, gdy sanitariusze otwierali drzwi karetki i przygotowywali się do wyjęcia noszy. Działali szybko, co było sygnałem, że mała pacjentka nadal żyła...

... i była przytomna, zdała sobie sprawę Caitlin, gdy kółka noszy dotknęły chodnika i pojawiła się Risa w asyście dwóch lekarzy.

Dziewczynka walczyła o życie. Siedziała; tylko tak mogła oddychać. Łapała powietrze z wysiłkiem, chrypliwie. Jasne włosy, mokre od potu, przylegały jej do główki, a oczy, widoczne nad maską tlenową, były przymknięte w rozpaczliwej koncentracji.

- Jedziemy na górę- rzucił Frank w przestrzeń. Nie zwracał uwagi na nikogo oprócz Risy. -Niech ktoś zadzwoni na OIOM.

- Już dzwonimy.

Nosze przemknęły przez salę tak szybko, że Frank i Marty nie zauważyli obecności Caitlin. Jesse ruszył za nimi, za Risą. Caitlin pobiegła za nim.

Przed windą chwyciła jego dłoń, by powstrzymać go przed wejściem. Jesse spojrzął na nią pustym wzrokiem.

- Pojedziemy drugą windą-wyjaśniła.
- Pójdę po schodach.

Nie, pomyślała. Liczba jego retykulocytów nic była tak wysoka jak powinna, niższa nawet od wyników Patricka; Caitlin dowiedziała się o tym tego popołudnia, kiedy Stephen poinformował ją, że komórki Jesse'a już się przyjęły w szpiku brata. Wygląda na to, dodał, że w organizmie Patricka czują się lepiej niż u Jesse'a.

Hematokryt Jesse'a, sprawdzany tego samego ranka, był nadal dość niski, niższy, niż można było się spodziewać. Stephen nie widział powodów do zaniepokojenia. Jesse był zdrowy. Wracał do normy powoli, ale konsekwentnie. Wkrótce wyniki bTaci miały stać się bliźniaczo podobne. Hematokryt Patricka wynosił dwadzieścia sześć i szybko rósł. A Jesse był jeszcze za słaby, by przebiec po schodach osiem pięter.

Caitlin nie musiała głośno protestować. W tej samej chwili zjechała wolna winda... a w drzwiach pojawili się rodzice Risy.

Mała grupka wsiadła do windy i w niechętnym milczeniu podążyła za Caitlin na OIOM Instytutu Kardiologii. Po drodze dokonano pospiesznej i niedbałej prezentacji. Daniel okazał się przystojnym, milczącym mężczyzną. Jego miłość do ciężko chorej dziewczynki dawało się zauważyć na pierwszy rzut oka. Równie dostrzegalne było inne uczucie, skierowane do Jesse'a - niekłamana pogarda.

Piękna kobieta u boku Daniela miała na imię Stephanie. Czy to matka dziewczynki, dawna kochanka Jesse'a? Kobieta, którą kochał i utracił, gdy wybrała Daniela? Tak, naturalnie. To z nią spodziewał się rozmawiać przez telefon. A Stephanie patrzyła na niego dokładnie tak, jak patrzyłaby dawna kochanka - ze skruczą z powodu cierpienia, na j jakie go naraziła.

- To uleczalne - odezwała się Caitlin, zatrzymując się przed salą. Za szklaną ścianą widać było lekarzy, zgromadzonych wokół dziewczynki. Byli wśród nich Frank i Marty, dwie pielęgniarki, sanitariusz i anestezjolog.

- Zaraz poczuje się lepiej - dodała, usiłując stłumić własne obawy. Nawet nie będą jej intubować. Za chwilę Risa opanuje oddech i będzie mogła porozmawiać z Jessem. Wyjaśni mu, dlaczego tak się boi.

Z miejsca, w którym stała, widziała profil Jesse'a - uosobienie bólu.

- Na razie nie możesz z nią porozmawiać, ale to nie potrwa długo.
- Ona musi wiedzieć, że tu jestem - rzucił, nie odwracając głowy.
- Dobrze - szepnęła.

Jesse odwrócił się do niej, z trudem odrywając wzrok od szyby. Kiedy się odezwał, z jego głosu zniknął rozkazujący ton.

- Teraz?

Uśmiechnęła się.

- Tak, teraz.

Z tymi słowami weszła do sali.

- Cześć, Frank - odezwała się cicho.

- Caitlin! Co tu robisz?

- Przyszłam z Jessem.

Frank zmarszczył brwi.

- Znasz go?

- Tak.

- Dobrze?

- Bardzo dobrze.

Nie, prawie go nie znam, ale go kocham.

Nie wiedziała, co kryje się za głębokim cieniem spowijającym człowieka, którego wybrała. Wyglądało na to, że Frank Farrell jest tego bardziej świadomy. Zwykle powściągliwy w sądach i stroniący od wydawania opinii, najwyraźniej wiedział coś nieprzyjemnego na temat Jesse'a. Cóż, możliwe, pomyślała. Frank jest przyjacielem Daniela, a przez to... wrogiem Jesse'a.

- Jesse prosi, żeby powiedzieć Risie, że przyszedł, tak jak obiecał, i że porozmawiają, kiedy tylko zaczniesz lepiej oddychać.

- Dobrze.

- Powiedz jej to już teraz, dobrze? Muszę oderwać Jesse'a od szyby, nie powinien tego oglądać.

- Tak samo jak Dan i Steph - mruknął Frank, spoglądając w stronę przyjaciół. - Zgoda, zaraz przekażę jej wiadomość. Znajdź jakieś miejsce dla Jesse'a, a ja odprowadzę Dana i Stephanie do poczekalni.

Caitlin skinęła głową, przyjmując do wiadomości to, co chciał jej powiedzieć: że ta trójka nigdy nie będzie się dobrze czuła w swoim towarzystwie, a zwłaszcza w tych okolicznościach nie można ich zmuszać do przebywania w tym samym pomieszczeniu.

- Ach, Caitlin! Jeszcze jedno. Jesse musi przekonać Risę, żeby poddała się operacji. Tak, ty to wiesz i ja to wiem. Ale czy on zdaje sobie z tego sprawę?

- Na pewno. Zabiorę go do Salonu. Zawiadomisz nas, kiedy będzie mógł się z nią spotkać? Albo...

- Oczywiście. - Frank uśmiechnął się z budzącym ufność spokojem, którego nie czuło żadne z nich.

Potem odwrócił się do Risy.

Caitlin nie słyszała, co powiedział, ale ujrzała natychmiastową reakcję na ślicznej dziecięcej buzi. Powieki Risy uniosły się z wysiłkiem i po chwili znów opadły, ale w tym ułamku chwili Caitlin poznała prawdę. Oczy Risy były zielone jak oczy Jesse'a, a choć powlekała je mgłą, zaślnęły żywnościem na wieść, iż jej ojciec jest w pobliżu.

Teraz pozostało jej jeszcze przekonać Jesse'a, żeby opuścił swoją córeczkę, oddalił się choć o parę kroków.

Przekonam go. Muszę.

Nie mogła za żadną cenę dopuścić do tego, by Jesse ujrzał sceny, które mogły się tu rozegrać: stalowy laryngoskop w buzi dziewczynki... wtłaczanie jej do gardła plastikowej tuby... i najbardziej ponury, nieznośny widok; lekarze, brutalnie uciskający wątłą klatkę piersiową dziecka.

*Instytut Kardiologu
godzina 23.30, poniedziałek- 6 maja*

Opowiesz mi o niej? O Risie? Znajdowali się w Salonie. Udało się jej go tam zaciągnąć. A teraz, w zupełnych ciemnościach, rozpraszanych jedynie skrzącymi się światłami miasta za oknem, nadeszła chwila, w której Jesse miał odsłonić jedną ze swoich tajemnic.

Mimo mroku dostrzegła, że zmarszczył brwi.

- Nie musisz mi mówić, ale...
- Zastanawiam się tylko, od czego zacząć - usłyszała w odpowiedzi.
- Może od początku?
- Początek... Poznałem matkę Risy w college'u, na pierwszym roku.

Wiele nas łączyło. Oboje zostaliśmy odrzuceni przez rodziny, oboje cierpieliśmy z tego powodu. Tamtej wiosny zawarliśmy umowę. Mieliśmy przez całe lato wyjednywać sobie przebaczenie... żeby na jesieni wszystko wróciło do normy.

~ Ale to się nie udało - szepnęła Caitlin. Tego roku Jesse miał dziewięćnaście lat. To lato należało do Gabrielle St. John, pięknej dziewczyny, która ostatecznie przypieczętowała rozstanie braci.

- Tak. Oboje się rozczarowaliśmy.
- Więc Stephanie stała ci się jeszcze bliższa,
- Stephanie? Nie, Stephanie jest macochą Risy. Jej matka miała na imię

Lindsay.

Więc dlaczego Risa nie mieszka z tobą?

Nie zadała tego pytania. Wiedziała, że wkrótce się dowie... jeśli Jesse zechce mówić dalej. Najwyraźniej zastanawiał się, jak zbudować swoją opowieść. Być może starał się zdecydować, czy Gabrielle zasługuje na wzmiankę.

Kiedy wreszcie podjął decyzję, wątek Gabrielle St. John został ominięty bez słowa.

- Żadne z nas nie wróciło już do college'u. Minęło trzynaście lat, zanim znowu się do mnie odezwała. Napisała do mnie na adres wydawcy...

Jesse, czy to Ty? Sprytnie ukryty jako Graydon Slake? To na pewno Ty. Kto inny wybrałby sobie taki pseudonim? Czy to na pamiątkę tego dnia, czwartego lipca, który zmienił Twoje życie?

Wygląda na to, że tych zmian jest więcej. Miałeś być chirurgiem. No, może nawet nim jesteś. W Twoich książkach jest tak wiele spraw medycznych. Zawsze się zastanawiałam, czy ten Graydon Slake to przypadkiem nie Patrick, dobry brat. Dzień na Jeziorze Graydona był pamiętny również dla niego.

Ale przecież tak często mi mówiłeś, jacy jesteście odmienni. Trudno mi uwierzyć -toby dopiero była gratka dla wszystkich kobiet na świecie - żebyście obaj mogli być równie pociągający. Równie zmysłowi.

To Ty, prawda, Jesse? Wiem, że to Ty. Poznałabym Cię nawet bez tego pseudonimu, po samym erotyzmie Twoich powieści. Nigdy nie zapomniałam tego, co przeżyliśmy- Wtedy, przed tamtym latem. Chciałam wrócić na jesieni, żeby się z Tobą spotkać, być z Tobą. Ale nie mogłam.

Chyba już się domyślasz, że to lato było katastrofą. W trakcie moich rozpaczliwych wysiłków, by pogodzić się z rodzicami, umarł dziadek. Jakimś cudem, choć wiedział, że to już koniec, zapomniał mnie wykluczyć z testamentu. Może jednak nie zapomniał. Może zrobił to świadomie. To do niego podobne. Pewnie pamiętasz, że problemy w naszej rodzinie trwają od paru pokoleń. Dziadek chyba chciał po raz ostatni dopiec ojcu. I udało mu się. Zostałam główną spadkobierczynią Naszej Słynnej Fortuny. Dziadek nie dał mi wyjścia. Nie chciał brać pod uwagę badań psychiatrycznych, niczego.

Rodzice nie byli aż tak wyrozumiali. Wyciągnęli na światło dzienne moją depresję i rozpoczęli walkę w sądzie, długą, brzydką i bolesną. Dowcip polegał na tym, że mogli dostać wszystko co do grosza, wszystkie te miliony. Oddałabym je im bez słowa sprzeciwu. Niska cena za ich miłość.

Ale nie przyszło im do głowy, żeby mnie poprosić. Od razu mnie zaatakowali (i przegrali, nawiasem mówiąc). Od tego czasu nie odezwali się do mnie ani słowem.

Więc tak wyglądało moje lato. Mam nadzieję, że Tobie powiodło się lepiej. Może do mnie zadzwonisz? Jestem tą samą dziewczyną, co wtedy... ale już mądrzejszą, twardszą i bardziej seksowną.

Nawet jeśli nie jesteś Jessem, tylko jego bratem (albo, niesamowitym zbiegiem okoliczności, naprawdę nazywasz się Graydon Slake), zadzwoń do mnie! Będziemy się dobrze bawić, naprawdę. Obiecuję.

1

Cholera, co ja piszą? Pragnę tylko Ciebie, Jesse, Ciebie, nikogo innego. Proszę, zadzwoń.

Lindsay mieszkała w Los Angeles i miała majątek, o jakim nie śmiała marzyć nawet jej dziadek. Zdobywanie pieniędzy stało się dla niej przygodą, fascynującym balansowaniem na granicy ryzyka, w czym nie małe usługi oddawał jej instynkt. Jej nazwisko pojawiało się na szczycie listy najbogatszych ludzi Hollywoodu, na szczycie każdej możliwej listy. Dzięki swojej pozycji poznała Daniela. Było to na przyjęciu po rozdaniu Oskarów. Daniel był prawnikiem, jednym z najlepszych w swoim fachu.

Ich romans, burzliwy i krótki, skończył się z chwilą, gdy w życiu Daniela pojawiła się Stephanie. A Lindsay zaszła w ciążę. Nie wiedziała tego jeszcze, opuszczając Daniela. Zawsze skrupulatnie stosowała środki antykoncepcyjne. Doświadczenia z własną „rodziną”, a także sposób, w jaki widziała siebie - niemiłosierny, nienawistny - upewniły ją że nie powinna zostać matką.

Ale uważała także, że nie ma prawa zabijać życia, które zdołało przetrwać pomimo jej starań.

Dowiedziała się o ciąży mniej więcej w czasie, gdy napisała żartobliwy - choć poważny - list do Jesse'a. Minęło dziesięć dni i oto Jesse zapukał do drzwi jej luksusowego mieszkania na Wilshire Boulevard, a ona zdradziła mu tajemnicę, która rosła w jej ciele.

- Może razem dalibyśmy sobie radę-powiedział.

- Cóż by to był za związek... wiódł ślepy kulawego - mruknęła, nie odrzucając jednak jego propozycji. Właściwie zdała sobie sprawę, że na to właśnie liczyła - że człowiek, który znał ją tak dobrze, zechce jej pomóc. Że zostanie z dzieckiem wtedy, gdy ona nie będzie mogła z nim być... gdy demony depresji znowu porwą ją w mrok. - Prawda?

- Może nie. Może oboje jesteśmy już na tyle mądrzy, by unikać najgorszych błędów.

Lindsay nie chciała powiedzieć Danielowi o dziecku, ale Jesse się przy tym upierał. Powiedział, że Daniel ma prawo wiedzieć. Jeśli nie zechce opiekować się dzieckiem - trudno, dadzą sobie radę.

Daniel chciał być obecny w życiu dziecka, Razem ze Stephanie.

Lindsay nie życzyła sobie, żeby był przy narodzinach dziecka. Zresztą Daniel wcale jej tego nie zaproponował. Ale zjawił się z żoną w szpitalu Westwood po urodzeniu Risy. Stephanie była w ciąży.

To Jesse asystował przy porodzie, to on był z Lindsay..., z Risą, którą wziął w ramiona w chwili przyjścia na świat i którą pokochał całą siłą osamotnionego serca.

Bał stę, że przydarzy się jej coś złego i że jąstraci, tak jak stracił ukochanego brata. Mimo to nie potrafił się z nią rozstać. Nie umiał jej od siebie uwolnić.

Jesse zamilkł, jakby emocje zacisnęły mu gardło. Jego opowieść była suchą relacją, ograniczającą się do faktów, lecz Caitlin wyczuwała buzujące w nim uczucia. Stał przed szklaną ścianą; za jego plecami migotały światła miasta, tęczowa galaktyka. On wyglądał na jej tle jak czarny księżyc.

- Nazwałeś ją Risa - odezwała się w mroku.
- Nieja, Lindsay.
- Ale zapożyczyła to imię z twojej książki?
- Tak. Słowo „Risa” oznacza śmiech.
- Piękne imię, nigdy go nie słyszałam. Skąd je wzięłeś?

Przez chwilę wydawało się jej, że w ciemnościach dostrzegła jego krzywy uśmiech.

- W taki sam sposób, w jaki wielu pisarzy znajduje imiona dla swoich bohaterów. Poszedłem do księgarni i kupiłem wszystkie możliwe książki imion. Sprzedawca myślał, że jestem przyszłym tatusiem.

- I byłeś - powiedziała cicho. - Wybierałeś imię dla swojej córki.
- Risa nie jest moją córką.

Ależ jest.

- Mieszkaliście razem, prawda? - Nie musiała pytać. Znała odpowiedź. Wiedziała nawet, kiedy Risa odeszła. Wnęka w bibliotece Jesse'a zdradzała datę zniknięcia dziewczynki: szesnaście miesięcy temu. Od tego czasu nikt o nianie dbał. To dlatego wyglądała jak zimne popioły, pozostałość po niedgdyś pięknym ogniu. - Wszyscy troje?

- Tak. Przez pięć lat. Z wyjątkiem okresów, gdy Risa przebywała w Los Angeles z Danielem. Wtedy Lindsay ruszała w drogę.

- Jak to? Bez ciebie?
- Musiała mieć czas dla siebie.
- A ty?
- Czy chciałem być sam? Nie.
- Dokąd odchodziła Lindsay?
- W różne miejsca. Dostawałem pocztówki ze wszystkich zakątków

świata.

- Była sama?

- Pytasz, czy poznała innego mężczyznę... innych mężczyzn? Wydaje mi się, że nie, ale tak naprawdę nie mam pewności.

- Nigdy jej o to nie pytałeś?

- Nie. To by nie miało sensu. Liczyła się tylko Risa. Dla niej byliśmy razem. I tak miało być już zawsze.

- Ale dla ciebie Lindsay była kimś ważnym, prawda?

- Oczywiście. Kimś bardzo ważnym. A ja dla niej. A jeśli chcesz wiedzieć, czy dochowywałem jej wierności, odpowiedź brzmi: tak. Risa urodziła się, kiedy miałem trzydzieści dwa lata. Urozmaicone życie seksualne jest ważne, zawsze tak sądziłem... zwłaszcza, gdy byłem młodszy. Teraz już nie.

- Ale dałeś Lindsay wolność, jeśli chodzi o kontakty z innymi mężczyznami?
 - Wolność - powtórzył cicho. - Wiesz, co o niej mówią, prawda?
 - Nie - szepnęła. - Co?
- Że zostaje nam wtedy, kiedy nie ma już nic do stracenia.

Kiedy Risa i Lindsay znikają z domu, Jesse oczekiwał ich powrotu i walczył ze strachem, że już ich nie zobaczy.

„Dziewczeta” nie opuściłyby go z własnej woli, był tego pewien, ale znał dobrze przewrotny los. Pamiętał, co stało się niegdyś na jeziorze... i ciągle czuł ból złamanego serca.

Przez pięć lat Lindsay i Risa wracały dokładnie wtedy, kiedy obiecały. Wreszcie, gdy nadeszła ta długo wyczekiwana chwila, to Jesse pozostawał poza domem.

- Musisz gdzieś wyjechać -oznajmiła Lindsay. - *Namiesiąc, jeśli chcesz.
- Dlaczego?
- Ponieważ Risa i ja mamy pewne plany. Tutaj. To prezent gwiazdkowy dla ciebie. A do tego jest potrzebna twoja trzytygodniowa nieobecność. W czwartym tygodniu Risa będzie w Los Angeles. Nie możesz zobaczyć niespodzianki, dopóki Risa nie wróci.
- Dobrze. Zniknę na miesiąc.
- Ale będziesz w Los Angeles, kiedy przyjadę z Risą?
- Dobrze wiesz, że tak.
- To dobrze, bo chciałybym, żebyś odwiedził z nami Franka Farrella.
- Co się stało?
- Wszystko w porządku. Wiesz, że Risa czuje się dobrze, ale przecież zdajesz sobie sprawę z tego, że operacja jest niezbędna i pora, żebyś znowu spotkał się z Frankiem, nie wspominając już o Danielu. Minęło pięć lat.

Pięć lat od dnia, kiedy Risa pojawiła się na świecie, a po paru godzinach wszyscy czworo już wiedzieli, co oznaczają szmery w sercu i co mogą przynieść później. Nie nastąpiło najgorsze: nie trzeba było operować niemowlęcia. Risa rosła zdrowo i nie cierpiała na powracające infekcje układu oddechowego. Nie cierpiała na nic.

Odroczona, lecz konieczna operacja miała nastąpić w przyszłym roku, gdy Risa skończy sześć lat.

- Nie wiem, Lindsay, chciałybym, ale... Daniel nie przepada za mną.
- Daniel zazdrości ci, że możesz przebywać z Risą.
- Na pewno chodzi tylko o to? Jesteś pewna, że...
- Jestem pewna. I mam taką samą pewność, że powinieneś być z nami przy spotkaniu z Frankiem Farrellem.

Z nami, powiedziała. Ale kiedy nadszedł ten dzień, powiedziała coś innego.

- Uciekam stąd, Jesse.
- Dziś? Przed spotkaniem, na którym mieliśmy być wszyscy?
- Chciałam, żebyś ty na nim był. A ja muszę się zbierać. Już dziś. Naprawdę. Mam własne spotkanie. Randkę z demonami.

Zdawał sobie sprawę, że ten dzień musi nadejść. Przez minione trzy tygodnie codziennie rozmawiał z nią przez telefon i z każdym dniem słyszał w jej głosie coraz gęstszy mrok, zwiastujący nadejście demonów, walkę z nimi. ... i wreszcie kapitulację. Niemal codziennie proponował, że wróci na Maui, a niespodzianka i tak będzie wspaniała. Dowie się o niej tylko trochę wcześniej. Mimo to Lindsay mężnie stawiała czoło depresji. Uparła się, że wytrzyma do chwili, gdy niespodzianka będzie gotowa.

I dotrzymała słowa. Dopiero gdy spotkał się z nią na lotnisku, zrozumiał, ile ją to kosztowało.

A teraz miała wyruszyć w podróż do obcych krajów, w których rozbrzmiewały nieznanne języki. W ten sposób walczyła z nadchodzącymi ciemnościami. Tylko tak mogła je pokonać. Leki nie pomagały. Przetestowała wszystkie, jakie istniały na rynku. Tylko czas potrafił ją uleczyć.

- Wiem, że musisz wyjechać, widzę to. Ale może tym razem wspólnie stawimy czoło demonom? Wiesz, ja też je znam. Spotkaliśmy się parę razy.
- Przelotnie.
- Może pora zapoznać się z nimi bliżej? Po spotkaniu, gdy Risa będzie u Daniela.

Wydawało mu się, że Lindsay się waha, ale wreszcie pokręciła głową.

- Nie. Muszę to załatwić sama. - Potem się uśmiechnęła. Spróbowała się uśmiechnąć. - Znajdziesz gabinet Franka bez trudu. Jest na ósmym piętrze Instytutu Kardiologii, w skrzydle z różowego szkła. Poza tym Risa zna drogę.

- Dobrze. - Dotknął jej policzka. Był zimny; naczynia krwionośne w jej ciele zamknęły się pod naporem adrenaliny. Uciekaj, bo inaczej strach powróci, podpowiadał jej instynkt. Poddała się mu. Uciekła przerażona. - Uważaj na siebie, Lindsay.

Podczas krótkiego wygnania z domu w kształcie półksiężyca mieszkał w skromnym motelu. Pisał, nie potrzebował niczego więcej. Ale teraz, spodziewając się przybycia Risy i Lindsay, przeprowadził się do apartamentu z dwoma sypialniami w „Chateau” na Barrington, wytwornym hotelu naprzeciwko szpitala.

Był w salonie i wprowadzał ostatnie poprawki do *Czarnego księżyca*, kiedy od strony drzwi dobiegł go cichy głosik. Dochodziła druga w nocy.

- Jesse?

Stała w korytarzu; spod falbanek ulubionej nocnej koszuli wyglądały jej bose stopy, a włosy przypominały obłok złotych kędziorków. Podbiegł do niej, ukląkł i zajął w jej śliczną, niespokojną buzię.

- Co się stało, kochanie?
- Boję się!
- Czego, kochanie? - O, moje maleństwo, *nit* bój się, nie bój... - Czego się boisz? Wiesz czego?

Złota główka poruszyła się w przeczącym geście. Jesse zawahał się; bał się zadać pytanie, które mogłoby zaszcześcić dziecku nowe lęki, ale musiał znaleźć przyczynę tego strachu.

- Czy chodzi o spotkanie z panem doktorem? - zaczął ostrożnie, najpierw badając najbezpieczniejszy teren.

Jeszcze trzy tygodnie temu Risa zaprzeczyłaby z przekonaniem. Nie bała się „bramy w sercu” - „bramy”, nie wady. Wada? Risa nie miała żadnych wad, a dzięki niej zapominał o własnych, potwornych i mrocznych. Perspektywa operacji na otwartym sercu wydałaby się przerażająca każdemu pacjentowi - ale nie Risie. Chyba że...

- Czy boisz się spotkania z panem doktorem?
- Nie.

Przeczenie nie było tak zdecydowane, jak się spodziewał. Mimo to Risa mówiła prawdę, jak zwykle. A zatem przyczyną jej lęku nie była „brama” w sercu. Czy boi się spotkania z Danielem? Czy bała się przed każdą wizytą u niego? I czy to dlatego Lindsay tak nalegała, żeby spotkał się z Danielem - ponieważ podejrzewała, że dzieje się coś strasznego, lecz nie potrafiła tego sama rozwiązać? A może winą należy obarczyć Stephanie, okrutną jak macochy w bajkach, których Risa nie znała - dzięki niemu. To on uznał, że nie ma powodu, dla którego jego śliczna dziewczynka miałaby się dowiadywać o macochach, które zabijają pasierbice jabłkami nasyconymi trucizną lub ukłuciem ciernia. Opowiadał Risie inne bajki, śnieżne, czyste, słoneczne - bajki o puszystych lwach, które, jak wszystkie stworzenia na ziemi, muszą być kochane.

Czy zanadto ją chronił? Czy cywilizacja naprawdę dotarła do punktu, gdzie konieczność zmusza pięcioletnie dzieci, by nie ufały nikomu?

- Boisz się tatusia? - „Tatus”. Za każdym razem to słowo, prawnie przynależne Danielowi, przeszywało go bólem. Teraz do bólu dołączyła wściekłość. Gdyby Daniel ją skrzywdził, gdyby to zrobił... człowiek, uznany niegdyś za zdolnego do morderstwa, mógłby wreszcie je popełnić, i to bez wahania.

- Tatus? - powtórzyła Risa z zaskoczeniem. - Nie.
- Stephanie?

Dziewczynka spojrzała na niego, jeszcze bardziej zdezorientowana. Potrząsnęła główką.

- Czy wiesz, dlaczego się boisz, malutka?
- Nie! Ale się boję!
- Wiem, kochanie. Widzę, Może miałaś zły sen.

Szczupłe ramionka uniosły się pod flanelowymi falbankami.

- Może...

- A może opowiem ci bajkę i przepędzimy złe sny? Co o tym myślisz? Nie wydawała się przekonana, ale skinęła głową.

- Dobrze. Więc spróbujmy. Jaka bajkę wybierasz?

Spodziewał się prośby o jakąś całkiem nową-jeszcze nie napisaną przygodę białego lwa. Puszysty zwierzak wypuszczał się na tysiące niebezpiecznych wypraw, a każda z nich od dwóch lat była naj-, naj-, najulubieńszą bajką Risy.

Ale tej nocy, tak pełnej lęku, mała dziewczynka sięgnęła do znacznie odleglejszych czasów.

- Słodkie ziemniaki, Jesse!

Zwinęła się w kłębek w jego ramionach na kanapie, tuż obok stołu z powieścią.

- Pewnego razu - zaczej - była sobie mała dziewczynka. Zaraz, zaraz, jak miała na imię?

Risa zachichotała jak zwykle. Pamiętała rytuał opowiadania tej bajki tak dobrze, jakby ostatni raz słyszała ją wczoraj, a nie dawno, dawno temu.

- Risa! Nazywała się Risa.

- Ach, prawda. Nazywała się Risa. A co lubiła robić?

- Chodzić do sklepu! Z Jessem.

Wkrótce delikatne powieki opadły ze znużenia. Jesse mógłby ją zanieść do łóżka, tak jak to robił wiele razy wcześniej, ale tym razem trzymał ją dalej w ramionach, przyglądał się jej... i widział, że nawet przez sen na jej buzi maluje się niepokój. Czy ciągle się boi? Miał nadzieję, że nie. Wraz z Lindsay podarował jej wolność od strachu, a musiał przyznać, że taki sam podarek dostała od Daniela i Stephanie.

- Nie, nie, nie! - Risa obudziła się z krzykiem i przywarła do niego z całej siły.

Dochodziło wpół do czwartej rano. Nigdy się nie dowiedzieli, czy właśnie w tej chwili samochód Lindsay spadł z urwiska. Jego wrak został znaleziony dopiero po wschodzie słońca.

Lindsay jechała na północ autostradą numer jeden. Trasa, piękna za dnia, w nocy stawała się niebezpieczna, zwłaszcza w tę noc tuż przed Bożym Narodzeniem. Mgła, która ją otuliła, przypełzła znad morza, gęsty całun, który przeszkodził Lindsay w podróży do Carmel, do domu, który nigdy nie był domem.

Jeszcze nigdy dotąd Lindsay nie wyprawiała się z pielgrzymką do tej zielonej doliny, do zwodniczego krajobrazu, w którym spędziła młodość. Nie raz zastanawiali się nad takim sentymentalnym powrotem: jej do Carmel, jego do Montclair.

Jak te miejsca wyglądałyby teraz, gdyby spojrzeli na nie oczami dorosłych? Czy wydawałyby się im równie nieprzyjazne jak zawsze, jakby żyły

i czuły do nich odrazę? Postanowili, że pewnego dnia pojedą tam, żeby się przekonać. Razem. A jeśli Lindsay nie zdoła ujrzeć prawdziwego oblicza dworu w Carmel, jeśli znowu zobaczy złośliwego potwora, Jesse miał jej powiedzieć, na co naprawdę patrzy; na marzenie agenta nieruchomości, nic ponadto.

A gdyby w błękitnych wodach Jeziora Graydona Jesse ujrzał tylko tonące duchy, Lindsay miała mu powiedzieć, że te migotliwe fale wyglądają jak wszystkie inne. Zaś domek ogrodnika, gdzie ostre paznokcie Gabrielle rozdarły mu ciało i zniszczyły nadzieję, to tylko ruina, którą przydałoby się odremontować.

Ale Lindsay postanowiła odbyć tę podróż sama. Ostatnią podróż.

Znalezienie zmiażdżonego wraku z jej okaleczonymi zwłokami wewnątrz rozpoczęło serię koszmarnych odkryć.

- Wiem o tobie wszystko, Jesse. Od lat.

Dwa lata po narodzinach Risy Daniel postanowił się dowiedzieć, z kim jego córka spędza część swego życia. Poszukiwanie mogło się rozpocząć wcześniej, ale Daniel miał pewne opory. Wiele zawdzięczał Jesse'owi i dobrze o tym wiedział. Gdyby nie on, nigdy by się nie dowiedział o swojej córce. Ale to właśnie ze względu na nią musiał poznać przeszłość jej opiekuna. Dzięki wykonywanemu zawodowi miał kontakt z wieloma prywatnymi detektywami. Wybrał najlepszego.

W ciągu paru miesięcy detektyw odkrył uśiłowanie morderstwa na Jeziorze Graydona i napaść, przez którą Jesse Falconer wylądował w więzieniu. Tam, twierdzili wszyscy, było jego miejsce. Nazwisko niedoszłej ofiary gwałtu zostało wymazane z akt sądowych i nawet najwięksi plotkarze milki, naga-bywani o nią.

Ten brakujący szczegół martwił detektywa, choć dla Daniela nie miał najmniejszego znaczenia. Tego właśnie potrzebował; i tak dowiedział się znacznie więcej, niż chciał. Miał nadzieję, że nie znajdzie żadnych kompromitujących informacji o Graydonie Slake'u, a tutaj...

Natychmiast powiadomił o wszystkim Lindsay.

- Wszystko to bzdury - ucięła.

- Bzdury? - powtórzył z niedowierzaniem. Spodziewał się, że Lindsay tego samego dnia zabierze Risę i przyjedzie z nią do Los Angeles. Mogłyby zamieszkać w Malibu, może w Colony... - Gwałt i morderstwo to bzdury?

- Nikt nie został zamordowany. Ani zgwałcony.

- Więc wszystko w porządku? Ponieważ mu się nie udało?

- To nieprawda. Oskarżenia są dęte.

- Jakie?

- Fałszywe. Dziwię się, że...

- On ci tak powiedział i od razu mu uwierzyłaś. Nie pytałaś go o nic!

- Tak, powiedział mi, ale nie musiał. Sama wiedziałam. A gdybyś go znał, także byś wiedział.

- Będę o nią walczył, Lindsay. Nie pozwolę, żeby moja córka spędziła choć jedną noc więcej w domu tego człowieka.

- To także moja córka. I dam ci słowo, jeśli spróbujesz mi ją odebrać, znikniemy wszyscy troje. Wiesz, że to możliwe. I tak będzie. Nigdy więcej jej nie zobaczysz. Tego chcesz?

- Chcę, żeby moja córka była bezpieczna.

- Ja także. I jest bezpieczna, kochana i szczęśliwa.

- Czy możesz mi coś obiecać?

- Być może.

- Nigdy jej z nim nie zostawiaj.

- Nigdy jej nie zostawiam.

„Nigdy jej nie zostawiam”. Daniel powtórzył mu te słowa. Zaboląły jak policzek. Czy Lindsay jednak mu nie ufała?

Jesse nigdy nie sprawdzał jej lojalności, nigdy nie chciał się przekonać, czy by się za nim ujęła w razie potrzeby. Powiedział jej całą prawdę, a ona przyjęła ją bez zastrzeżeń i lęków. „Miałbyś pożądać tej całej Gabrielle zaledwie w dzień po rozstaniu ze mną? Niemożliwe. Niemożliwe” - rzuciła lekko. Nie, nie wątpiła w jego prawdomówność. Jej testament, napisany na parę tygodni przed śmiercią, dawał wyraz przekonaniu, że Jesse nie był mordercą ani gwałtciicielem... ani też krzywdzicielem małych dziewczynek. Całą ogromną fortunę zostawiła w funduszu powierniczym dla córki. A ją samą, jedyną istotę, która miała dla niej znaczenie, powierzyła opiece Jesse'a. Miał *przejąć* prawa rodzicielskie Lindsay i dzielić się nimi z Danielem dokładnie tak, jak za jej życia.

Testament, sformułowany przez najlepszego prawnika w kraju, był jak najbardziej legalny.

- Ale - powiedział Daniel w tych strasznych dniach rozpaczony przed Bożym Narodzeniem - można go obalić. W każdym sądzie będę miał nad tobą przewagę. Obaj o tym wiemy.

Tak wielu rzeczy mi nie mówi, zdała sobie sprawę. Tak wiele tajemnic zachowuje dla siebie.

- Ale walczyłeś o nią, prawda? - spytała. - Mimo tego, co powiedział Daniel, walczyłeś, by zatrzymać Risę przy sobie.

- Nie.

- Dlaczego?

- Ponieważ wiedziałem, że nie wygram.

- Dlaczego? - powtórzyła, zniecierpliwiona własną niewiedzą i jego skrytością. - Nie rozumiem.

- Risa powinna być z Danielem, Stephanie i małą Holly, którą tak kocha. To dla niej najlepsze.

- A co z tobą? - Czy uznałeś, że samotna opieka nad dzieckiem jest zbyt obciążająca? Czy musiałbyś zbyt wiele poświęcić, zrezygnować z wolności? Wiesz, co mówi się o wolności, Jesse.

Nie zasypała go tymi pytaniami. To by zabrzmiało zbyt agresywnie, mogłoby go zranić, a ona nie chciała skrzywdzić tego mrocznego cienia na tle skrzęcego się nieba. W jego głosie słyszała ból, słyszała słowa, których nie wypowiedział, słyszała miłość do Risy.

- A ty, Jesse?

- Ja mam lwa. To właśnie był ten prezent. Ogrodzenie, system alarmowy, lew. To była ta niespodzianka, którą Lindsay musiała mi dać przed wyjazdem do Los Angeles. Chciała, żeby mi coś zostało. Cokolwiek.

- Więc... - szepnęła. - Uważasz, że Lindsay spodziewała się tego wypadku? Że popełniła samobójstwo?

W ciemnościach rozległo się westchnienie.

- Myślę, że to możliwe. W miejscu wypadku nie było śladów poślizgu. Co prawda, nadeszła wtedy mgła, więc nie jest to żaden argument. Może to wypadek, może samobójstwo. Zastanawiałem się nawet, czy Lindsay nie zamierzała po prostu zniknąć. Wtedy upozorowałyby właśnie coś takiego.

Tak, by można było otworzyć testament, dopowiedziała w myślach Caitlin. Musiała sobie zdawać sprawę, że mimo jej życzenia Jesse nigdy nie dostanie opieki nad Risą. Być może przeczuwała nawet, że podda się bez walki.

Dlatego dała mu lwa. Wiedziała, że Jesse Falconer zginie, jeśli nie będzie miał jakiegoś żywego stworzenia, które mógłby ochraniać i kochać.

- Kiedy widziałeś Risę po raz ostatni?

- W Wigilię, szesnaście miesięcy temu.

Daniel chciał, żeby wyjechał bez pożegnania. Jesse odmówił.

Nie powiedział też Risie, że tak będzie najlepiej dla niego* że chce mieszkać sam. Pożegnał się z Risą pod nadzorem Daniela.

- Muszę wyjechać.

- Dokąd?

- Na Mani.

- O...

Nie zrozumiała, a on nie oczekiwał, że zrozumie. Jeszcze nie teraz. Chciał, żeby zrozumienie pojawiło się z czasem, powoli, łagodnie... Tak, by pojęła jego nieodwracalne zniknięcie w chwili, gdy już przestanie za nim tęsknić.

- Ty zostaniesz tutaj, maleńka, z tatusiem, Stephanie i Holly. Jeśli chcesz, możesz tu pójść do szkoły. W styczniu. Będzie wesoło.

- Naprawdę?

- Oczywiście.

- A ty?

- Ja nie muszę iść do szkoły - zażartował. Po chwili dodał poważnie: - Zawsze będę przy tobie. Będziemy oboje, mamusia i ja. Mamusia jest w niebie, pomiędzy gwiazdkami. Pilnuje, żeby nic ci się nie stało, i bardzo cię kocha.

- Czy ty też będziesz między gwiazdkami?

- Tak. Wiesz gdzie? Na księżycu. Pamiętasz, jak to jest z księżycem? Jest na niebie przez cały czas, nawet jeśli go nie widzisz.

- Pamiętam.

- To dobrze - powiedział z uśmiechem. - Więc zapamiętaj i to, kochanie: będę przy tobie zawsze, nawet jeśli mnie nie będziesz widziała.

- Ale rozmawiałaś z nią, prawda? Od tamtej Wigilii?

- Nie.

- Przecież wiedziałaś, że operacja ma się odbyć w czerwcu.

- Stephanie mnie o wszystkim informowała. - A więc nie była złą macochą, lecz odważnym szpiegiem na terenie wroga. - Daniel pewnie już o tym wie. Musiała mu powiedzieć, kiedy kazała mu po mnie zadzwonić.

Caitlin chciała zauważyć, że Daniel musiał poczuć ogromną ulgę i wdzięczność, ponieważ dzięki żonie znalazł człowieka zdolnego przekonać Rise, lecz w tej samej chwili drzwi Salonu otworzyły się gwałtownie i potop jaskrawego sztucznego światła padł na mroczną postać.

Ujrzała twarz Jesse'a, dziką, posępną. Zobaczyła nagie uczucie w jego zielonych oczach, gdy spozirzał na postać w białym fartuchu.

- Jesse? - odezwał się Frank Farreli. - Możesz się z nią zobaczyć.

*. Oddział intensywnej opieki medycznej, szpital Westwood
godzina 1.00, wtorek, 7 maja*

Jaka ona mała, krucha, bezcenna.

Mała, krucha, bezcenna laleczka.

Jej blade rączki były oplecione plastikowymi przewodami, igły przesywały delikatną skórę. Inne przejrzyste rurki doprowadzały tlen, a różnokolorowe kable przewodziły elektryczne impulsy jej galopującego serca do monitora ponad łóżkiem.

Nadal siedziała wyprostowana. Oddychała z trudem, choć już swobodniej, a jej wargi, do niedawna sine, nabrały mniej przerażającego odcienia. Leki działały, ale czy mogła już mówić? A może to on nie był pewny własnego głosu?

Omal się nie cofnął, by dać lekowi jeszcze trochę czasu, lecz powieki Risy uniosły się powoli i zamglona zieleń zaczęła się powoli rozjaśniać. Na jego widok. Dla niego.

— Jesse...

— Cześć, kwiatuszku.

Zbliżył się do niej tak bardzo, jak pozwalała mu plastikowa pajęczyna. Spojrzała na niego i znalazła siły nie tylko, by przemówić, ale wręcz krzyknąć:

— Ty płaczesz... Nie płacz!

— Nic mi nie jest, kotku. Nie martw się o mnie. — Dotknął jej ślicznej twarzyczki. Poczul wilgoć skroplonego tlenu i pom. - Ale co z tobą?

Łapała powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg, jak tonący... jak Patrick. Znowu obudziło się w nim przeraźliwe poczucie bezradności, przeczucie nadchodzącej straty.

Nie! Nie tym razem. Nie ona. Nie dopuszczę do tego.

— Już mi lepiej - wykrztusiła. - Tylko...

Urwała. Mogła mówić tylko na wydechu. Znowu zaczęła wciągać powietrze, przygotowując się do następnego zdania. „Tylko trochę odpocznę i wrócimy do domu. Nie chcę operacji. Nigdy.”

Brak tchu, z pewnością przerażający, okropne uczucie duszenia się, to wszystko musiało się wydawać drobiazgiem w porównaniu ze strachem przed operacją

- Chyba wiem, czego się boisz. Przynajmniej częściowo. Boisz się, że pan doktor naprawi ci serduszko, prawda? Że „brama” stanie się ścianą?

Skinęła głową, unosząc ku niemu pytające i ufne spojrzenie.

- Ale przecież o tym wiedzieliśmy od dawna, prawda? Rozmawialiśmy o tym. - Czy przez ostatnie szesnaście miesięcy w sprawie operacji zapadła cisza? Czy Daniel i Stephanie uznali, że lepiej o tym nie mówić? - Wtedy się nie bałaś, prawda? Kiedy o tym rozmawialiśmy?

Pokręciła głową, mokre od potu, nie poruszyły się tak jak wtedy. tego wieczoru, gdy wyczuła zbliżającą się śmierć matki.

- Kochanie, czy wiesz, czego się tak boisz?

Skinęła powoli głową... niechętnie, pomyślała Jesse. I ze skruchą.

- Powiedz mi. Nieważne, co to jest, na pewno będzie dobrze. Naprawdę. Możesz powiedzieć mi wszystko.

Zawahała się, a może tylko zbierała siły, bo ani na chwilę nie odwróciła oczu. Nadal mu ufała.

Wreszcie wyszeptała:

- Pan doktor...

Jesse stłumił zaskoczenie. Risa знаła Franka Farrella przez całe życie. Był jej lekarzem, sąsiadem, ojcem jej najlepszej koleżanki. Nic dziwnego, że tak trudno było się jej przyznać do tego strachu... mała, śliczna dziewczynka, zawsze tak dbająca o cudze uczucia.

Zacisnęła zęby. Jeśli Frank Farrell skrzywdził Risę...

- Powiedz, dlaczego się go boisz.

- Miałam... sen.

- O operacji?

Skinęła głową, wciągnęła powietrze, wypuściła je.

- I umarłam!

- O, kochanie - szepnął, on także bez tchu. Dziewczynka, która już raz przeczuła zbliżającą się śmierć, znowu ją widziała. Tym razem własną.

- To nie była jego wina!

- Nie, oczywiście, że nie. Ale to nieważne, prawda? - Ponieważ sen był taki straszny i prawdziwy.

- I mamusia tam była.

- Mamusia - powtórzył machinalnie. Powstrzymał impuls, który kazał mu zgadywać, co Risa ma do powiedzenia, by oszczędzić jej ogromnego wysiłku. Ale wiedział - bo znał ją tak dobrze i tak bardzo ją kochał - że sama chce mu to przekazać.

Więc czekał cierpliwie, patrzył na jej wysiłki i walczył z impulsem najsilniejszym ze wszystkich: by złapać ją w ramiona, wypłatać z tej strasznej pajęczyny i uciec razem z nią. Biec tak długo, aż dotrą do magicznego miejsca, które znali z bajek.

Tak naprawdę nigdy nie powiedział Risie o miejscu, w które chciał ją zabrać, ale on sam znał je doskonale. Często uciekał tara myślami, a po raz pierwszy znalazł się w nim, gdy lekarze odkryli szmery w sercu dziewczynki. Było to miejsce prawdziwie czarodziejskie, gdzie mógł jednym dotykem zamienić chore serce Risy na własne.

- Ja chcę do mamusi...

Zdołała wymówić to zdanie na jednym oddechu i aż uniosła brwi ze zdumienia. Jej zdziwienie spotęgowało się jeszcze bardziej, gdy odkryła, że mimo wysiłku nie musi już łapać powietrza z takim wyężeniem. A zatem leki wreszcie zaczęły działać. Gdybyż jeszcze jakieś czary zdołały wymazać z jej pamięci ten sen, wizję wzywającej ją Lindsay, mówiącej, że w niebie czuje się samotna... Jesse widział rozterkę na ślicznej buzi Risy. Wiedział, że dziewczynka chce mu powiedzieć coś jeszcze... a on musiał jej pomóc.

- Chcesz być z mamusią, ale...?

- Ale co z tatusiem, Steph, Holly i tobą?

- O, kochanie. Mamusia jest z tobą zawsze, przecież wiesz. Teraz też tu jest... Ale masz rację, Riso. Jesteś nam potrzebna. - Jakimś cudem zdołał się uśmiechnąć. - Bardzo potrzebna.

- Aleja się boję!

- Wiem. A gdyby operację przeprowadził inny lekarz? Może strachy by zniknęły, o tak: puf!

Przez te pięć lat wspólnego życia przepędzali w ten sposób najróżniejsze strapienia, od stłuczonych kolan po popsute zabawki. Sama myśl, żeby to samo zrobić ze strachem, wywołała uśmiech na ślicznej twarzyczce Risy... który po chwili zniknął, zastąpiony zmarszczką między brwiami.

- A doktor Farrell?

- Nie będzie mu przykro, naprawdę. On chce tego, co jest dla ciebie najlepsze, i wie, jaką moc mają sny.

- Na pewno?

- Zdecydowanie. Więc to zmartwienie także możemy przegonić. I wiesz co? Tak się składa, że mam przyjaciółkę, która akurat tu przyszła i przypadkiem jest kardiochirurgiem.

- Tak?

- Tak. Zaufasz jej?

- A ty jej ufasz?

Powierzyłem jej całe moje życie, całe serce... i ciebie, która jesteś moim sercem.

- Tak, kochanie. Całkowicie i bez reszty.

- Więc ja też! - Uśmiech wreszcie pojawił się w całej okazałości, śliczny i radosny, a Risapowtórzył jego słowa, tak jaklubiła; -Całkowicie i bez reszty.

- Danielu, przestań.

- Nie życzę sobie, żeby się do niej zbliżał.

- Ale ona z nim rozmawia! - rzuciła Stephanie z naciskiem. -Może mu powiedziała, czego się tak boi,

Caitlin podśluchiwała ten fragment szeptanej rozmowy. Wszyscy, łącznie z Frankiem i Martym, obserwowali przez szklaną ścianę Jesse'a i Rise. Caitlin nie widziała jego twarzy, ale buzia dziewczynki promieniała miłością do czarnego lwa. Miłością i ufnością.

Dlaczego Daniel okazywał taką wrogość? Czy był do tego stopnia zazdrosny o uczucie Risy, że nie pozwalał się jej zbliżać do Jesse'a? Ale teraz nie mógł jej tego dłużej bronić, jeśli nie chciał jej stracić.

Jej rozmyślania urwały się gwałtownie. Czarny lew podniósł się i odwrócił! do wyjścia.

Serce ścisnęło się jej na widok jego twarzy. Na pewno nie okazywał tych uczuć, gdy spoglądał w małą, ufną twarzyczkę dziewczynki, ale teraz nie musiał już nad sobąpanować. Spoglądał na szklaną ścianę, szukał wzrokiem... tak, szukał jej- O, Jesse, czego ode mnie zażadasz?

Widziała, jeszcze zanim podszedł do niej i spytał cicho:

- Zrobisz to? Zoperujesz ją?

Nie miał wątpliwości, że Caitlin potrafi to zrobić. Chciał tylko wiedzieć, czy się zgodzi. Leczenie chorych serc było jej namiętnością, jedyną namiętnością w życiu do chwili, kiedy go poznała.

- Tak-szepnęła.-Oczywiście.

- Dziękuję. - Skupione spojrzenie spoczywało na niej przez chwilę, wyrażając wdzięczność znacznie lepiej niż słowa. Potem Jesse odwrócił się do Franka:

- Risa miała sen o operacji. Widziała ciebie... i własną śmierć. Zdaje sobie sprawę, że to tylko sen, ale nie potrafi pozbyć się lęku. Nie mówiła o tym, bo nie chciała cię urazić.

Lekarze są przedstawicielami nauk ścisłych, lecz wierzą w cuda jak zwykli śmiertelnicy. Jeśli pacjent jest pewien swoich przeczuc, biorą je bardzo poważnie. Doktor Frank Farrell również znał potężny wpływ sugestii.

- Powiedziałeś jej, że nie będę się czuł urażony?

- Oczywiście, ale sam musisz to potwierdzić, najlepiej od razu.

- Może teraz? Od razu przedstawia ją Caitlin.

- Nie, to j a ją przedstawię - w głosie Jesse'a brzmiała rozkazująca nuta. - Kiedy skończysz rozmawiać.

- A ja na razie skoczę do gabinetu - dodała Caitlin. - Wezmę fartuch i stetoskop.

I odbędę bardzo ważną rozmowę przez telefon,

29

Brentwood
godzina 1.30, wtorek, 7 maja

Patricku, tu Caitlin. Jesteś mi potrzebny.

- Caitlin -wymamrotał, powoli przytomniejąc.

Przez cały wieczór rozmawiał z Amandą.

Witaj, Amando. Możemy to zrobić. Zrobimy to.

Nie, nie zdobył się na tak prowokujące słowa. Starał się jej to tylko przekazać w inny sposób, milczeniem, spojrzeniem.

Rozmowa zaczęła się nieufnością, lecz skończyła obietnicą wspólnego świętowania w sobotni wieczór. Rozmawiali przez wiele godzin i rozstali się bardzo niechętnie. Wreszcie, całkiem niedawno, życzyli sobie dobrej nocy i pięknych snów, a kiedy telefon zadzwonił znowu, Patrick był pewien, że to Amanda, która czuje to samo co on - euforię i tęsknotę.

Ale w słuchawce odezwał się głos Caitlin.

- Potrzebujesz mnie?

- Tak. Ja i pewna sześćioletnia dziewczynka. Musi zostać zoperowana> ma ubytek przegrody międzykomorowej. Zgodziłam się przeprowadzić operację, ale potrzebuję asystenta. Ciebie.

- A Frank? Albo...

- Frank nie może, a nie prosiłam nikogo innego. Proszę ciebie.

- .Dlaczego?

- Ponieważ ta dziewczynka, Risa, jest przybraną córką Jesse'a.

- Och, Caitlin.

- Nie jest twoją bratanicą, nie w sensie biologicznym. Ale jest córką Jesse'a w tym najważniejszym sensie.

- Nie ma go przy tobie? Nie wie, że do mnie dzwoniysz?

- Nie wie i nie będzie wiedział, jeśli odmówisz, jeśli uważasz, że to ponad twoje siły. Ja to zrozumieję, a on nigdy się nie dowie.

- Zrobię to. - Muszę, pomyślał. - Kiedy zaczynamy?
- Zajakieś parę godzin, kiedy jej stan się ustabilizuje. Podaje się jej środki moczoopędne, organizm reaguje dobrze, więc podejrzewam, że będziemy operować między trzecią a czwartą. Mam do ciebie zadzwonić jeszcze raz?
- Caitlin, to ja! Już jadę, przecież wiesz. Chcę się z nią zobaczyć, przejrzeć jej wyniki. Pytałem o operację, ponieważ chcę sprawdzić, czy mam czas na transfuzję. Mogę operować, czuję się wspaniale. Ale jeśli czas... i Jesse... pozwoli, zastrzyk energii nie zaszkodzi.

Jesse czekał tam, gdzie go zostawiła - przed drzwiami pokoju Risy. Samotnie. Frank, Marty, Daniel i Stephanie znajdowali się za szklaną ścianą. Ale nawet gdyby razem z nimi stał przy łóżku Risy, pozostawałby poza ich kręgiem.

Samotny, odrzucony.

Zapagnęła go dotknąć, objąć, otoczyć ramionami jego mocne i szczupłe ciało. Nie zrobiła tego; objęła go tylko ciepłym uśmiechem.

- Cześć.
- Cześć - odpowiedział cicho, z wdzięcznością. - Wszystko na miejscu? Poklepała stetoskop w kieszeni białego fartucha.
- Wszystko.
- Jak tylko wyjdą, będziemy mogli z nią porozmawiać.
- Dobrze. - Wiedziała, że nie będą czekać długo. Frank zauważył jej powrót i już nakłaniał rodziców do wyjścia. Odsunęli się, odstawiając dziewczynkę. - Znacznie lepiej oddycha.

• — Tak - mruknął Jesse.

Stan Risy poprawił się na tyle, że tym razem bacznie przyjrzała się Jesse'owi. Przechyliła w zamyśleniu złocistą główkę; Jesse powtórzył żartobliwie ten sam gest.

- Tak, *mademoiselle*?
- Wyglądasz inaczej.
- Naprawdę? - Oczywiście, że tak, moja maleńka... skoro odeszłaś z mojego życia.

Najwyraźniej smutek zmienił jego twarz tak bardzo, że nawet Risa zauważyła to piętno, ale nie potrafiła go nazwać, więc przyglądała się mu zdezorientowana. Wreszcie znalazła coś, co rozumiała.

- Włosy ci urosły! - zawołała tryumfalnie i z ulgą.
- Tobie też, pączuszk.
- Ale moje mają być długie.
- Ach, tak? - Dotknął jej policzka. Był wilgotny, choć już ciepły. - Ławiej ci się oddycha, prawda?

Skinęła głową.

- Ale i tak trzeba mnie zoperować?
 - Tak, trzeba. Zgadzasz się?
- Znowu skinęła głową i spojrzała na Caitlin.
- Pani doktor mnie zoperuje?
 - Tak, Riso, jeśli się zgodzisz.
- Dziewczynka spojrzała na Jesse'a.
- To doktor Taylor-wyjaśnił jej. -Jest wspaniałym chirurgiem. Dopilnuje, żeby wszystko było dobrze. Tak?
 - Tak- szepnęła Risa. Nie chciała odrywać spojrzenia od Jesse'a, ale pamiętała, co trzeba zrobić, żeby okazać grzeczność. Zerknęła pośpiesznie na Caitlin. - Dobrze, pani doktor.
 - Cieszę się - uśmiechnęła się Caitlin. - Będzie mi pomagał jeszcze inny doktor. Jest znakomity, a Jesse zna go bardzo dobrze. - Czuła jego reakcję, nagły wstrząs. Nie odwracała spojrzenia od dziewczynki. - Zaraz tu będzie, więc sama się przekonasz, jaki on miły.
- Risa wysłuchiwała jej uprzejmie, ale po chwili zwróciła się do jedynej osoby, z ktÓrej zdaniem się liczyła.
- Jest miły, Jesse?
 - Bardzo. Prawdę mówiąc, to mój brat.
- Zielone oczy, tak podobne do jego oczu, a jednak zupełnie różne, otworzyły się szeroko,
- Brat? Twój?
 - Brat bliźniak. Ale wcale nie jesteśmy podobni, więc nas nie pomylisz.
 - Skoro to twój brat, czemu nigdy nie przyszedł w odwiedzinie?
 - Hmm... z wielu powodów. Był okropnie zajęty, ponieważ się uczył.
 - Bo chciał mnie zoperować?
 - Tak, kochanie.
- W tej samej chwili do pokoju wszedł przystojny lekarz.
- To on? - szepnęła Risa.
 - Nie - odparł Jesse półgłosem. Najwyraźniej Caitlin wezwała na pomoc nie tylko Patricka. - To doktor Sheridan.
- Doktor Stephen Sheridan mógłby wyglądać groźnie, gdyby nie był tak bardzo miły... i równie zatroskany jak wszyscy tu obecni. Jednak nie trapił się jedynie losem Risy, a o wszystkich troskach zdążył powiadomić Caitlin podczas „grzecznościowej”, jak ją nazwała, rozmowy.
- Caitlin spodziewała się, że Stephen zareaguje bez entuzjazmu, nawet niechętnie. Spodziewała się także, że zostanie go w domu; jednak, jak się okazało, Stephen od dawna był na Five South, gdzie zajmował się pacjentką z konfliktem serologicznym.
- A teraz zjawił się na jej wezwanie.
- Jestem ci potrzebny? - spytał Jesse.
 - Najwyraźniej.

- Dobrze. Muszę już iść, Riso - zwrócił się do dziewczynki.
- Dokąd?
- Do innego oddziału w szpitalu. Nie martw się, nie odejdę daleko. Nawet jeśli nie będziesz mnie widziała, ja będę nad tobą czuwał.
- Jak księżyc - szepnęła.
- Tak. - W krótkim słowie zabrzmiała niewymowna czułość. Jesse zamilkł ze ściśniętym gardłem. Dobrze wiedział, że to pożegnanie, takie jak w tamtą Wigilię. Dobrze o tym wiedział. Risa będzie żyć, na pewno, ale on zniknie z jej życia, raz jeszcze skazany na wygnanie. - Jak księżyc - powiedział z trudem. A potem, opanowując się, dodał: - Tak... Muszę już iść.

Caitlin pewnie odprowadziłaby go wzrokiem, gdyby mogła oderwać oczy od buzi Risy. Wydawało się jej, że przez chwilę przemknęło przez nią dzikie przerażenie, złowrogie przeczucie śmieci. A przecież wargi i policzki dziewczynki miały zdrowy, różany kolor, na dowód, że stan się poprawia, oddech zaś coraz bardziej się stabilizował.

Tylko monitor nad jej głową świadczył, że serce Risy zaczęło bić szybko. Nie odchodź, Jesse! -- krzyczało. Nie zostawiaj mnie tutaj!

Serce Caitlin także wypowiedziało te słowa... kiedyś, gdy zraniony lew odchodził równym krokiem w mgłę za drzwiami. Jesse nie usłyszał jej rozpaczliwego krzyku. Może nie chciał go słyszeć.

Ale nie mógł zignorować błagania tego małego serduszka. Odwrócił się z uśmiechem i powiedział cicho:

- Kocham cię, słodki ziemniaczku.

Przerażona buzia dziewczynki wypogodziła się jak pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki. W jednej chwili wszystko się zmieniło i Risa, tak jak to robiła dziesiątki razy wcześniej, odparła wesoło:

- I ja cię kocham, słodki ziemniaczku!

- Czy to ryzykowne?

Duża igła tkwiła już w żyłce Jesse'a, a jego krew spływała do sterylnego, szklanego pojemnika.

- Dwadzieścia lat temu - odpowiedział Stephen, nie odwracając głowy - przed AIDS i zapaleniem wątroby typu B, transfuzje były na porządku dziennym. Stosowano je nawet w umiarkowanie zaawansowanej anemii. Teraz mamy testy skriningowe na obecność AIDS i hepatitis. A co z innymi chorobami krwi, która dopiero czekają na opisanie? - Oderwał wzrok od naczynia z krwią i przeniósł go na pacjenta. - Mniejsza o to. Teraz jesteśmy mądrzejsi, rzadko zalecamy transfuzje. Ale mogę ci powiedzieć, że gdybyśmy cofnęli się o parędziesiąt lat, podawałbym ci krew, zamiast ją zabierać.

- Nie chodziło mi o moje ryzyko. Trudno, hematokryt spadnie mi o parę punktów, i co z tego? Może lekka anemia wyjdzie na zdrowie moim ospałym retikulocytom. Pytałem o ryzyko Patricka.

Stephen prawdopodobnie zdawał sobie sprawę, że Jesse myśli wyłącznie o zdrowiu Patricka, ale nie chciał budzić w nim nawet cienia wątpliwości w kwestii przyjęcia się przeszczepu. Co, oczywiście, mogło mieć miejsce. Jesse wiedział równie dobrze jak wszyscy, że komórki, które tak szybko zadomowiły się w organizmie Patricka, mogą równie szybko zacząć ginąć. Na razie odkryły anemię jego brata i przystąpiły energicznie do walki.

A jeśli po tej transfuzji komórki dawcy stracą orientację, osłabną lub wręcz poczną się rozdrażnione? Nie chcesz, żebyśmy walczyły dla ciebie? Świetnie! W takim razie kończymy występy. Może jednak nie będziemy chciały tu zamieszkać.

- Owszem, istnieje potencjalne ryzyko -przyznał niechętnie Stephen. - Ale Patrick się na nie zgadza. Mówi, że przyjmie tyle krwi, ile będziesz mu mógł odstąpić.

To dla Risy. Dla Risy.

- W takim razie bierz, ile tylko można.

*„Ariel”
godzina 3.00, wtorek, 7 maja*

Doktor Sheridan powiedział, że Jesse powinien spędzić resztę nocy na leżance w pokoju obok banku krwi. Chyba że, dodał cicho, woli pojechać na wózku na piętro hematologii, gdzie będzie mógł towarzyszyć bratu, przyjmującemu jego krew.

Stephen czuł, że Jesse nie chce jeszcze widzieć się z bratem. Teraz cała jego uwaga była skupiona na Risie, a nerwy, i tak już napięte do ostateczności, mogły ulec jeszcze poważniejszemu rozstrojowi.

Intuicja go nie zawiodła. Jesse odmówił spotkania z Patrickiem, choć poprosił, by Stephen przekazał jego bratu wyrazy najgłębszej wdzięczności za to, co zamierzał zrobić.

Stephen Sheridan nie przewidział tylko jednego - że Jesse zlekceważy jego zalecenie i spędzi czas trwania operacji Risy na stojąco, przed półkami maleńkich, szklanych słoiczków w dziale żywności dla dzieci.

- Słodkie ziemniaki, Jesse!

Była to część rytuału zakupów. Wymyślili go, kiedy Risa była bardzo mała, a Jesse chodził z nią do sklepu, trzymając dziewczynkę na rękach. Klepała go po policzkach, klaskała w rączki i wskazywała pulchnymi paluszkami na rzędy półek.

Jesse dawał jej zawsze tylko gotowe potrawy, zamknięte w małych słoiczkach. Nie ufał sobie - jeszcze - a Lindsay miała podobne obawy co do siebie. Później, kiedy przeczytał całą istniejącą fachową literaturę i stał się ekspertem od żywienia małych dziewczynek, zaczął gotować dla Risy. Przy jej pomocy. Szklane słoiczki stały się reliktem przeszłości, wszystkie z wyjątkiem jednego. Jej ulubionej potrawy.

Wtedy wynaleźli nowy rytuał, choć już nie zaopatrywali się w dziale dla małych dzieci. Za każdym razem, gdy wytaczali wózek w poblizkie kasy, Risa

wydawała okrzyk /uskoczenia i zakrywała usta rączką, choć w jej oczach migotały wesołe błyski.

- C o się;stało? pytał z udanym przerażeniem. - Zapomnieliśmy czegoś?
- 'lak! Słodkich ziemniaków, Jesse!

A teraz jego śliczna Risa, jego kochany słodki ziemniaczek, leżała w sali operacyjnej. On także miał się tam znaleźć, tak jak obiecał - jego krew i szpik. Niech pomogą Patrickowi, nich dadzą mu siłę, jakiej potrzebuje.

Wiedział, jak będzie wyglądać operacja. Caitlin i Patrick otworzą klatkę piersiową Risy i zastosują krążenie pozaustrojowe: wyizolują jej serce, odetną od niego dopływ krwi, która będzie przepływać przez pompę. Gdy maszyna zacznie pompować krew, serce znieruchomieje, i w tym stanie zawieszenia Caitlin rozpocznie pracę. Ze zręcznością urodzonego chirurga zmieni śmiertelnie groźny ubytek w mocną ścianę. I nie zdarzy się nic złego. Nic.

Serce Risy znieruchomiało już teraz. Jesse czuł to całym sobą - ponieważ, stojąc przed słoiczkami słodkich ziemniaków w „Arielu”, nagle znalazł się w stanie zawieszenia pomiędzy życiem i śmiercią.

Jego serce, tak jak serce Risy, jeszcze żyło... lecz zamarło w oczekiwaniu.

Caitlin skupiła się na czekającym ją zadaniu, odrzuciła wszystkie niepotrzebne myśli. Nie było tu miejsca na uczucia, nie mogła pamiętać, że jest odpowiedzialna za dwa serca jednocześnie: Risy i jego. Nie mogła sobie pozwolić na bolesne domysły, dlaczego Jesse zniknął: czy dlatego, że był tu tak niechętnie widziany, tak pogardzany, tak wzgardliwie wykluczony spośród kręgu bliskich? Nie mogła także zastanawiać się, gdzie schronił się jej ukochany.

Na to przyjdzie czas później, gdy Risa zacznie dochodzić do siebie. Bo zacznie. Nie była to tylko nadzieja, lecz prawie pewność, bo oglądając swoje dzieło, szukając miejsc, gdzie maleńkie szwy mogłyby sprawić kłopoty, nie znalazła nic złego. Nic.

- Wszędzie zdrowa tkanka, a nici i płatki są bez zarzutu - powiedziała do małego, znieruchomiałego serca. Nie patrzyła na Patricka, ale poczuła jego ulgę.

- To dobrze - szepnął. - Możemy zamykać ubytek łątą?
- Jestem gotowa.

Szło dobrze. Czuł to. Wkrótce, wkrótce stan zawieszenia zniknie, a jej serce, zdrowe i całkiem nowe, zacznie radośnie tętnić.

Tak jak jego serce, które już teraz galopowało, biło, trzepotało...

I zamarło.

Stało.

- Patrick?-w głosie Caitlinii było słycać przerażenia,które ją ogarnęło.

Nigdy nie mów w obecności pacjenta tego, czego nie powinien usłyszeć. Oboje wierzyli w słuszność tej zasady, która - według nich - powinna obo- wiązywać w każdej sytuacji: na sali operacyjnej, nawet przy znieczuleniu ogólnym, na OIOM-ie, choćby wszystko wskazywało na stan śpiączki... a tak- że w tych cichych chwilach po śmierci pacjenta. Wszyscy lekarze znają opo- wieści o pacjentach, którzy budzili się ze śpiączki i doskonale pamiętali to- czzone przy ich łóżku dyskusje. Czasami ich treść była kompromitująca i wy- rządziła straty nie do naprawienia: krewni kłócący się o spadek, lekarz twierdzący, że nie ma już nadziei.

A zatem Caitlin i Patrick stosowali się do tej zasady. Zawsze. Bez wyjąt- ku. Także teraz, choć ich serca krzyczały z rozpaczy.

Zabieg został przeprowadzony idealnie, od zamknięcia ubytku po zało- żenie szwów i odłączenie od aparatury. A mimo to serce Risy pozostało nie- ruchome. Nie chciała zareagować na zwykłe środki, okazało się obojętne wobec bardziej agresywnych technik. Nie byli jeszcze bezradni, ale...

Patrick zareagował w sposób, który zaskoczył jego samego. Jakby do czynu popychała go jakaś siła, która nie miała z nim nic wspólnego, tajemni- cza moc, promieniująca z jego kości. Ostrożnie otoczył palcami malutkie nie- ruchome serce.

A potem delikatnie i zdecydowanie zacisnął je; kiedy otworzył pięść, a ser- ce nadal nie dawało znaku życia, znowu zamknął je w uścisku, i jeszcze raz, i znowu. I znowu.

Dłoń otwierała się i zamykała, uciskała małe serduszko w wyważonym rytmie, tak pewnym, tak niezachwianym, że nawet po dwunastu próbach nie uległ przyspieszeniu.

Silna, lecz delikatna ręka Patricka, kierowana wolą jego brata, ściągała Risę na ziemię, przywracała ją życiu...

... co nastąpiło za piętnastym uciskiem.

Piętnaście. Tyle samo lat mieli bracia tamtego fatalnego dnia na Jeziorze Graydona.

- Tak, dzwonił. - Jonathan, przełożony pielęgniarek, zmarszczył brwi. - \ Niespełna minutę po tym, jak jej serce zaczęło bić. Nie wiem, gdzie jest. Chyba był zdyszany. Powiedział, że zadzwoni później, żeby dowiedzieć się o jej zdrowie. Aha, i powiedział, żeby podziękować wam obojgu, anestezo- logowi i pielęgniarce, i.,. no, wszystkim.

Jesse Falconer zniknął bez śladu na cały dzień. Ale zadzwonił na od- dział, a do gabinetu Caitlin przyniesiono dwa tuziny białych i różowych róż wraz z liścikiem, na którym widniało tylko jedno słowo - „Jesse”. O drugiej zadzwonił także do gabinetu brata.

- Przykro mi, ale nie ma go u siebie. Jest gdzieś w pobliżu - oznajmiła sekretarka. W jej głosie brzmiało niezaprzeczalne ciepłe uczucie do Patrika. - Najwyraźniej wrócił. Zupełnie wyzdrowiał. Przynajmniej tak mi się wydaje, bo godzinę temu był na sali nagłych wypadków i zajmował się rannym motocyklistą. Pan jest jego bratem? To może pan przemówi mu do rozumu?

Patrick wrócił minutę później, o minutę za późno. Sekretarka przekazała *mu* zwięzłą wiadomość: dzwonił Jesse, żeby jeszcze raz podziękować.

Caitlin miała wrażenie, że Jesse jest gdzieś w pobliżu, tak jak obiecał Risie - cień w cieniu, niewidzialny księżyc na metalicznie błękitnym niebie. Raz zadzwoniła do hotelu. Tylko raz, nie więcej. Jesse pojawi się, kiedy uzna, że powinien, zaś ten wtorek przyniósł *jej* sporo pracy, tak jak chciała. Tego dnia mogła wreszcie wykorzystać swoje umiejętności.

Świat mógł się zatrzymać w miejscu, zdumiony i zachwycony wydarzeniami w sali operacyjnej numer dwa, przebudzeniem niewinnego serca dzięki najdelikatniejszej miłosnej pieśczoce. Ale byli też inni pacjenci, inne rodziny, które nie traciły nadziei na cud. Risa, pozostawiona pod opieką Marty'ego i Franka, miała się doskonale.

31

*Wesfwood Court
wtorek, 7 maja*

Cień pojawił się o dziesiątej wieczorem, w samą porę, by odprowadzić ją do domu. Noc zapadła już dawno, choć świat nie zatonął w zupełnych ciemnościach. Latarnie na Barrington Avenue migotały złotem, a księżyc wyglądał jak wypolerowany bursztyn.

I oto stanął przed nią - cień, lew, opiekun, księżyc.

A ona stanęła przed nim - zakochana kobieta. Trzymała w dłoni dwie róże, które jej przysłał, białą i różową.

Ruszyli przed siebie i milczeli aż do drzwi jej domu.

- Chciałem się pożegnać.

Zacisnęła palce na ostrych cierniach.

- Jak to?

- Jutro wracam na Maui.

- Ach, tak - szepnęła. - Wejdiesz?

Nie wiedziała, co ma zrobić. Nic nie przychodziło jej do głowy.

Ale kiedy znalazła się w domu, nie zapaliła światła, wypuściła róże i wyciągnęła do niego ręce. Poczowała szorstkość nieogolonego policzka i tętniący puls w szyi. Jego serce biło mocno, pewnie i szybko.

- Kochaj się ze mną, Jesse.

Poczwała pod palcami jego krzywy, seksowny uśmiech.

- Nie mogę. Mam za mało krwi.

- Więc pozwól mi kochać sit- z tobą.

Uśmiech zniknął, czuła to, a kiedy wzrok przywykł jej do ciemności, ujrzała jego surową twarz.

- Nie, Caitlin.

- Jesse, ja...

- To, co się wydarzyło, było bardzo miłe.

Miłe. W jego ustach to słowo zabrzmiało pusto, jałowo, zimno. Caitlin cofnęła ręce, odsunęła się.

- Miłe? Chodzi ci o dobry seks?

- Wspaniały seks.

Lew, cień, księżyc, opiekun. Teraz nie chciał się nią opiekować. Jego ciemne oczy lśniły, lecz zielony płomień był zamknięty w bryle lodu. Dlaczego? Dlaczego?

Widział jej zdumienie, jej ból i z najwyższym wysiłkiem opanował chęć wyjaśnienia wszystkiego. Nie chce od ciebie odchodzić, Caitlin. Nigdy bym tego nie zrobił. Ale muszę, dla twojego dobra.

Przysiągł, że odejdzie, kiedy niebezpieczeństwo stanie się zbyt duże, kiedy pojawi się zagrożenie. I pojawiło się; teraz, gdy jego pożądanie niepostrzeżenie stało się zbyt silne, by mógł je kontrolować.

Za każdym razem, gdy kochał tak mocno - czy kiedykolwiek aż tak mocno? - los uderzał boleśnie w jego najbliższych. Los, nieprzejednany wróg jego serca, którego niespodziewanych ataków nie potrafił odeprzeć. Co mógł zrobić, żeby zatrzymać uderzenie bomu, zapobiec powstaniu potwornego ubytku w malutkim serduszku, wspomóc umierające komórki w ciele brata?

Muszę odejść, Caitlin, muszę cię zostawić. Będzie ci łatwiej, jeśli zapamiętasz okrucieństwo, nie miłość.

- Więc... dowidzenia.

- Poczekaj, Jesse. Czy przed odejściem nie zechcesz mi wyjawić choć kilku swoich tajemnic? Uważam, że mam prawo je poznać.

Tego nie przewidział. Nie chciał jej wtajemniczać w swoje życie. Nie śmiał mieć nadziei, że uzna jego zbrodnie za niemożliwe, że zaufa mu, uwierzy, pokocha...

Wzruszył ramionami, leniwie, nonszalancko.

- Czemu nie? W wieku piętnastu lat usiłowałem zamordować Patricka. Pływałem łódką po Jeziorze Graydona. Uderzyłem go w głowę bomem, a kiedy okazało się, że cios nie był śmiertelny, próbowałem go utopić.

- Nie wierzę ci!

Tak, teraz czuł zbliżające się wielkie niebezpieczeństwo. Jej nieustraszona miłość zapomniała o bólu i zdumieniu. Caitlin stanęła w jego obronie, zawsze lojalna, ufna, kochająca. Poczuli, że pulsuje w nim radość, ciepła radość płynie mu w żyłach, ogrzewa serce, rozpuszcza lód. Musiał ją zdławić, ugasić ten wspaniały żar - i zrobił to z bólem, który zapał mu dech w piersiach.

- Nie musisz mi wierzyć. Spytaj kogokolwiek w Montclair. Albo, jeszcze lepiej, spytaj Patricka.

- Nie muszę pytać nikogo. Wiem, że to nieprawda.

Jego oczy, błękitne jak morze, lśniły bezbrzeżną miłością. Jesse zacisnął zęby. Musisz mnie znienawidzić, Caitlin. Pogardzaj mną. Odepchnij mnie. To takie łatwe.

- Cztery lata później zaatakowałem dziewczynę Patricka. Napaść z zamiarem gwałtu. Następne cztery lata spędziłem w więzieniu.

Och, nie. Tylko nie to, Jesse.

- I to tyle. Prawda o Jessem. - Powinien już odejść, póki jego serce trwało w tym dziwnym letargu, tak mocnym, że prawie nie biło. Ale jakiś demon, złośliwy i okrutny, kazał mu zadać ostatnie pytanie: - A ty czujesz się zgwałcona?

- Nie! - Czuję, że byłam kochana, pomyślała.

Trokar, który utkwiał mu w sercu w chwili, gdy Stephen naruszył jego kości, ponowił atak. Kolejny cios, mocny i głęboki.

- Cóż... to dobrze. Więc zgodzisz się, że to było bardzo miłe. *Aloha*, Caitlin.

Z tymi słowami odwrócił się do drzwi, by wyruszyć w drogę, na Maui, do raju... bez niej.

Caitlin patrzyła za nim z takim samym przerażeniem jak Risa, kiedy miała zostać sama. Także jej serce wydało taki sam rozpaczliwy krzyk.

Nie odchodź, Jesse! Nie odchodź ode mnie!

Jesse usłyszał bezgłośnie wołanie dziewczynki, którą tak kochał. Odwrócił się z uśmiechem i szepnął: „Kocham cię, słodki ziemniaczku”.

A teraz - o dziwo - odwrócił się i do niej, całkiem jakby usłyszał jej krzyk... i jakby go to obchodziło.

- Caitlin...

- Tak?

- Co do Risy... - Mistrz słowa, który potrafił tak pięknie opisywać namiętność, przemoc, morderstwa i miłość, zamilkł... i wzruszył ramionami. ~ Na to nie ma słów.

Potem zniknął, a ona ciągle słyszała to, co powiedział.

Na to nie ma słów.

Powinna znaleźć te słowa, powinna je wypowiedzieć, choćby jego oczy załśniły lodowatą pogardą.

Czułam się kochana. Powinna to powiedzieć... i jeszcze więcej. Powinna mu powiedzieć, co się stało o świcie w sali operacyjnej numer dwa.

To nie ja uratowałam życie Risy. Nie ja i nie Patrick. Ty ją uratowałeś^ twoja krew, twoja wola, twoja miłość. Ty, Jesse, ocaliłeś tę śliczną dziewczynkę.

Tak, ponieważ słowa się znalazły. I wypowiedziała je, lecz nie do Jesse'a, a do Patricka. Do jego automatycznej sekretarki, która odezwała się zamiast niego.

- Patricku, tu Caitlin. Jesse wyjeżdża jutro, więc jeśli chcesz z nim porozmawiać, to tylko dziś. Jesse powiedział mi o wszystkim, co wydarzyło się na jeziorze, o tym niedoszłym gwałcie na twojej dziewczynie... podejrzewam, że była nią Gabrielle. On nie może być do tego zdolny. Naprawdę wie-

rzysz, że próbować cię zabić? Co do Gabrielle, wiesz... w jego domu znalazłam rękopis powieści, chyba niepublikowanej. Jest zatytułowana *Odrzucona kobieta*. Może Jesse odrzucił Gabrielle? Nie sądzisz, że to możliwe? Ja tak uważam, zwłaszcza jeśli sobie przypomnę jej zachowanie w klinice. Być może zanadto się emocjonuję, może to nie moja sprawa, ale... no, przypadło. Już się nagrałam.

Patrick był w szpitalu na oddziale kardiologii. Czekał na brata. Godziny odwiedzin minęły; Daniel i Stephanie zostali delikatnie, lecz stanowczo odprawieni. Oboje konali ze zmęczenia, choć byli szczęśliwi. Risa obudziła się z narkozy z uśmiechem, chociaż w jej krtani tkwiła rurka intubacyjna. Obce ciało w gardle nie przstraszyło jej, nie czuła bólu. Zresztą wkrótce rurka została wyjęta. Risa uśmiechnęła się, nadal bez strachu, bez bólu, ale jej zielone oczy ciągle kogoś szukały... aż wreszcie przypomniała sobie: on tu jest, nawet jeśli go nie widzę. Czuwa nade mną, jak księżyc.

Patrick pożegnał Daniela i Stephanie, życzył im dobrej nocy. A potem zaczął czekać na nadejście brata.

Wiedział, że Jesse na pewno przyjdzie. Pod osłoną nocy, całkowicie lekceważąc przepisy. Taki już był. Zbuntowany, niepokorny, dziki... i kochający, opiekuńczy.

Zjawił się po godzinie, tak skupiony, że nie dostrzegał nikogo prócz Risy. Patrick cofnął się w cień, niedostrzeżony, i przyglądał się bratu rozmawiającemu ze śpiącym aniołkiem.

- Kocham cię, słodki ziemniaczku - szepnął Jesse jak najciszej, by nie obudzić dziewczynki. Miał nadzieję, że jego głos zdoła przeniknąć w jej nieświadomość. I tak właśnie się stało - ponieważ Risa uśmiechnęła się przez sen.

- Zapamiętaj, co ci się śni, kochanie. Zapamiętaj, że tu byłem i że zawsze będę cię kochał.

Dotknął jej tak lekko, żeby poczuła ciepło i miłość, lecz się nie obudziła. Nauczył się tego przez wszystkie te lata, kiedy mógł ją mieć dla siebie. Musnął złote kędziorki, jedwabiste pasma, których nie sklejał już pot strachu i bólu, delikatnie, delikatnie przesunął palcem po różanych policzkach... i choć oczy zaszkliły się mu niespodziewanie, zobaczył jej nowy uśmiech.

Potem wyszedł.

Musiał.

Opuścił jej pokój jak w transie, pogrążony w przejmującym smutku. Patrick szedł za nim niezauważony. Zszedł na dół po schodach, osiem pięter - niewielki wysiłek dla człowieka, w którego żyłach płynęła ciemna, nasyciona krew.

Krew jego brata była rozrzedzona, blada. Ale to nie dlatego Jesse postanowił zjechać na dół windą. Zdecydował za niego los; winda znajdowała się tuż obok, z otwartymi drzwiami, kusząc jedyną rzeczą, która miała dla niego znaczenie - obietnicą szybkiej ucieczki.

Fontanna była podarunkiem Timothy'ego Asquitha, drobiazgiem w porównaniu z Instytutem Kardiologii, lecz niezapomnianym dla wielu pacjentów i pracowników, którzy nigdy nie przekroczyli progu Instytutu. Za dnia słońce barwiło jej pióropusz złotem, po zapadnięciu zmierzchu kolorowe reflektory zmieniały wodę w płynne pasma szmaragdów, rubinów, szafirów. W chwili, gdy Patrick: zbliżył się do brata, ruchoma kiść lśniła migotliwym błękitem. To przez ten świetlisty błękit bracia spojrzeli na siebie po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna.

- Witaj, Jesse - rzucił cicho Patrick ku sylwetce ciemniejącej za błękitnym welonem.

- To chyba bezpieczny dystans.

W głosie Jesse'a brzmiał gniew, gorzkie wspomnienie tamtego dnia na jeziorze. Znowu znaleźli się na Jeziorze Graydona, tam gdzie powinni... skąd powinni zacząć.

- Opowiesz mi o tym dniu?

- Ty mi opowiedz.

- Nie mogę. Nie pamiętam go.

Wodotrysk stał się nagle zielony. Nie był to kolor oczu Jesse'a, znacznie ciemniejszych, lecz przez deszcz szmaragdów Patrick zobaczył w nich zaśmieszony i nadzieję.

- Nie pamiętasz? Myślałem...

- Mam amnezję. Nie pamiętam, co się działo od chwili, gdy uderzyłem się w głowę, aż do przebudzenia się w szpitalu.

Dlatego możesz mi powiedzieć, co tylko zechcesz, a ja ci uwierzę.

- Ale przecież wiesz. Całe miasto to widziało. Zresztą sam ci powiedziałem, wtedy, w celi.

- Powiedz mi jeszcze raz - rzucił Patrick w deszcz rubinów czerwonych jak krew. Widział przez nie twarz brata i powoli poczuł, że budzi się w nim coś, co od dawna uważał za martwe. Chciał uwierzyć w każde kłamstwo, jakie zechciałyby mu opowiedzieć Jesse, ale teraz, teraz... - I tym razem powiedz mi prawdę.

Jesse nie odpowiedział od razu. Dopiero gdy zasłona kropel znowu stała się szafirowa, z jego spierzchniętych ust padły słowa:

- To był wypadek. Wstałeś, żeby przejąć ster, akurat wtedy, kiedy zmieniłem kurs. Patrzyłeś na wodę, nie na mnie. Nie wiedziałeś... i ja nie wiedziałem. - Po chwili dorzucił gwałtownie, z bólem: - Nie wiedziałem... i nie ostrzegłem cię w porę, choć powinienem.

Wypadek, wypadek! Radość eksplodowała w nim, uniosła go niemal pod niebo, choć słyszał wyraźnie ból w głosie brata.

- To nie twoja wina. To ja złamałem kardynalną zasadę żeglarstwa. To ja wstałem, nie spojrzawszy na bom.

Jesse go nie słyszał. Znowu był na pokładzie „Gemini”, jeszcze raz przeżywając dawne przerażenie.

- Chciałem ci pomóc, ale się cofnąłeś, Cios się oszołomił, zareagowałeś strachem, strachem przede mną! To chyba przez tę kłótnię z poprzedniego dnia. Kiedy wpadłeś do jeziora, skoczyłem za tobą. Walczyliśmy. Odpychałeś mnie. Walka skończyła się, kiedy dostałeś drgawek. Teraz wiem, że to był pourazowy atak padaczki. Oddychałeś tak głęboko, rozpaczliwie... Wygnanie do Brookfield wydawało mi się sprawiedliwą karą za to, co zrobiłem, za lekkomyślność, która niemal kosztowała cię życie. Aż do chwili, gdy Gabrielle mi powiedziała, nie zdawałem sobie sprawy, co sądzą inni. Także ty.

- Ja w to nie wierzyłem, Jesse. Dopóki tego nie potwierdziłeś.

Jesse nadal go nie słyszał. Może nie mógł przestać mówić, dopóki nie przyzna się do wszystkich przestępstw.

- To ja zrobiłem te siniaki na ramionach Gabrielle - rzucił w deszcz rubinów. - Chwyliłem ją i ścisnąłem, mocno, aż wreszcie wyjaśniła, dlaczego nazwała mnie mordercą. Potem ją puściłem, odepchnąłem i nigdy więcej nie dotknąłem.

- Choć ona tego chciała.

- Byliśmy razem przez miesiąc... przedtem.

W głosie Jesse'a znowu zabrzmiała skrucha za niezawinione przestępstwa. Tym razem to Patrick dał się ponieść gniewowi.

- Dlaczego, Jesse? Dlaczego?

- Co dlaczego? - spytał Jesse, zdezorientowany tym nagłym wybuchem.

- Dlaczego mnie okłamałeś? Czemu przyznałeś się do zbrodni, których nie popełniłeś?

Za galaktyką szmaragdów Jesse wzruszył ramionami.

- Byłem zrozpaczony, zły, osamotniony. Zdaje się, że chciałem zrobić ci przykrość, żebyś i ty cierpiał, żebyś czuł się tak jak ja. Głupi impuls, samolubny i okrutny.

- Zdaje się, że to nie wszystko. Zdaje się, że chciałeś mnie chronić, jak zwykle.

- Co ty wygadujesz?

- Tak, właśnie tak. Nie walczyłeś o siebie. Ale dlaczego? Straciłeś brata, rodzinę, znajomych. Ale może czułeś, że będę chciał cię bronić. Może zdecydowałeś, że to nie wyjdzie mi na zdrowie. Ty byłeś już stracony. Dla mojego własnego dobra postanowiłeś, że muszę cię znienawidzić. Ale nie udało się, Jesse. W zamian znienawidziłem siebie, przeklinałem się za tę jakąś straszną wadę, przez którą cię zawiodłem, przez którą chciałeś, żebym umarł. Znienawidziłem siebie, nie ciebie... i nigdy nie przestałem cię kochać.

- Jak mogłeś kochać brata, który sam przyznał, że chciał cię zabić?

Widzisz, Jesse? Miałem rację. Chciałeś mnie ochronić, dla mojego własnego dobra. Chciałeś, żebym przestał cię kochać. Ale plan się nie powiódł.

Za szkarłatną mgłą Patrick uśmiechnął się krzywo i z czułością.

- A ty, Jesse? Jak mógłbyś kochać brata, który uwierzył w twoją winę bez najmniejszego protestu, zdradził cię w najgorszy sposób? A przecież mnie kochałeś, prawda?

- Tak. - W ochrypłym głosie Jesse'a brzmiała nieśmiała nuta nadziei. - Tak...

Patrick poczuł, że teraz mógłby do niego podejść. Do niego, swojego brata... Ale na to było jeszcze za wcześnie. Musieli się wstrzymać, przeczekać przynajmniej jedną zmianę kolorów, migoczących w ciemnościach.

- Pamiętasz tamten dzień? - spytał, gdy w powietrzu załśniły miliony kropel błękitnych jak szafirowe wody Jeziora Graydona. - Przed wypadkiem?

Jesse zmarszczył brwi, niepewnie poruszył ciemną głową.

- To był przepiękny dzień, Jesse. Wiał ciepły, silny wiatr, a jezioro i niebo miały kolor szafiru.

- Szafirowe - szepnął Jesse, jakby zaczynał widzieć. - Szafirowe.

- Tak. - Chodź ze mną, Jesse. Odejdźmy poza ból. - To był cudowny dzień, ale najlepiej pamiętam, jaki byłem wtedy szczęśliwy.

- Szczęśliwy - powtórzył Jesse, jak słowo w obcym języku, dotąd nieznanie. Powtórzył je jeszcze raz, starannie, z namysłem. - Szczęśliwy.

- I bezpieczny - dodał łagodnie Patrick.

- Bezpieczny...

Bracia nadal stali oddaleni od siebie.

Ale ich serca stanowiły już jedność.

A gdy szafirowa woda zaczęła tańczyć pomiędzy nimi z radości, obu nawiedziła ta sama myśl w języku, który nie był już im obcy: szczęśliwy, bezpieczny i kochany.

Kochany.

Westwood
środa, 8 maja

Dopiero przechodząc przez Barrington, przypomniała sobie, że to środa, dzień jej spotkania z Lillith. Więc to już środa? Ten dziennie wydawał się jej podobny do żadnego innego. Był to dzień, w którym Jesse Falconer zniknął z jej życia, mroczny i ponury dzień, chociaż w powietrzu tańczyły jasne promienie olśniewającego, wiosennego słońca.

Weź się w garść, ofuknęła się się ze zniecierpliwieniem, zwracając na środku ulicy. Wiedziałaś, że tak to będzie wyglądać. Wiedziałaś, że nie obiecał ci nic ponad seks. Wspaniały seks, powiedział Jesse. Pochwała z ust mistrza. ... ale kiepskie pocieszenie.

Nie potrzeba ci żadnego pocieszenia, upomniała się w drodze do mieszkania. Ale może Lilith go potrzebuje, mimo tego, co powiedziała. Jestem jej potrzebna, jej i pacjentom, i...

Telefon zaczął dzwonić w chwili, gdy wkładała klucz do zamka. Z bijącym sercem rzuciła się ku niemu. To może być Jesse! Dzwoni z lotniska, żeby powiedzieć, że jednak nie może wyjechać, nie bez niej.

- Halo?
- To tylko ja.
- Patrick... - szepnęła. A potem, z odzyskanym entuzjazmem, dodała: - Cześć! Chyba dostałeś moją wiadomość. Wiem, była trochę arogancka, ale...
- Ale miałas rację.
- Rozmawiałeś z nim?
- Przez całą noc. Twoją wiadomość odsłuchiwałem przed chwilą. Właśnie wróciłem z lotniska.
- Więc odleciał.
- Tak. Caitlin?
- Tak?

- Jesteś w nim zakochana.
- On ci to powiedział?
- Nie, ty.
- Co mam jeszcze dodać? - rzuciła lekko, choć oboje wiedzieli, że udaje. - Jesse to wspaniały facet. Nie może być inny. Z takimi genami?
- Usłyszała jego westchnienie i czułą powagę, kiedy się znowu odezwał.
- Gdybym miał mu czegoś życzyć, to tylko ciebie.
- Patrick...
- Mówię poważnie.
- Dziękuję - powiedziała miękko. - Ale?
- Ale tobie nie życzę znajomości z nim.
- Jesse nie jest mordercą ani gwałcicielem. Przecież wiesz. Wiesz, prawda?
- Tak, wiem. Ale jest samotnikiem. Zawsze tak było. I jest w nim smutek, bardzo głęboki smutek, do którego nie można dotrzeć, a tym bardziej uleczyć, nawet miłością. Wiem, bo próbowałem... i będę próbował.
- Czy... znowu... jesteście sobie bliscy?
- Zaczynamy być sobie bliscy. Dzięki tobie.
- Więc będziesz z nim rozmawiać?
- Tak, i odwiedzać go.
- Nie mów mu, jak się czuję, dobrze? Proszę. Nie mów nikomu.
- Dobrze. Nie powiem nikomu.

- O, moja droga, jakaś ty zmęczona. Powinnaś odwołać spotkanie! Zresztcie możemy je odwołać.

Caitlin znalazła w sobie tyle sił, by uśmiechnąć się do tej eleganckiej kobiety, witającej ją w drzwiach „Spizarni Prospera”.

- Nic mi nie jest, Lilith. Miałam ciężki dzień i tyle, ale już po wszystkim. Pacjenci czują się dobrze, a ja powierzyłam ich trosce kolegi i wyłączyłam pager. Za to ty wyglądasz wspaniale.

- I tak się czuję. Nie dowierzałaś mi, przyznaj się?! Mimo zapewnień spodziewałaś się jakichś strasznych tajemnic.

- Nie byłam pewna.

- Nie ma żadnych okropności. A to oznacza, że możesz wracać do domu i wreszcie się wyspać. Może cię odprowadzę, tak dla pewności.

Życzliwość Lillith, mówiącej z takim samym brytyjskim akcentem jak Maggie, liczącej sobie tyle samo lat co Maggie, gdyby żyła, obudziła w niej niespodziewane wzruszenie. Kiedy zdołała wreszcie odpowiedzieć, głos jej drżał.

- Dziś położę się wcześniej, ale teraz za nic na świecie nie zrezygnowałabym z tego spotkania. Napijemy się herbaty?

- Tak. Herbaty z biszkoptami - powiedziała Lilith tonem pełnym zadziwiającej, macierzyńskiej czułości.

Czekając na herbatę, Caitlin podziwiała najnowsze fotografie pięknych wnuków Lillith i rozmawiała o ich ojcu.

- Oboje bawiliśmy się w telefonicznego berka - powiedziała. - Wreszcie nasze sekretarki wzięły sprawę w swoje ręce. Z wiadomości, którą dostałam, wynika że Robert i pan Asquith zamierzają jutro zwiedzić Instytut Kardiologii.

- To prawda. Robert rozmawia z dyrektorem na temat realizacji *Złodzieja serc* właśnie tutaj. Wygląda na to, że są tu sale, stojące czasami pustkami, a także sale operacyjne, które w nocy nie są używane.

- Tak, rzeczywiście.

- Więc zorganizowanie tu planu zdjęciowego nie będzie przeszkadzało pacjentom?

- Zupełnie. - Będzie przeszkadzało tylko mnie, mojemu sercu... zwłaszcza, jeśli Jesse Falconer zechce doglądać realizacji swojego wspaniałego scenariusza.

- Caitlin? Masz zmartwioną minę. Wolałabyś, żeby *Złodziej* był kręcony gdzie indziej?

Pokręciła głową.

- Nie, myślałam o czymś nie związanym z tematem.

- Odniosłam inne wrażenie.

Podniosła szybko głowę, zaskoczona uporem Lillith. Jednak temu uporowi towarzyszyła taka czuła troska, że nagle, wbrew własnej woli, powiedziała:

- No więc, w pewnym sensie... Zastanawiałam się, czy Jesse będzie na planie. To znaczy, Graydon Slake.

- Wiem, jak się naprawdę nazywa. Wiemy o nim wszystko. Sam nam powiedział. Uznał, że mamy prawo go poznać, zanim zainwestujemy czas i pieniądze w *Śnieżnego lwa*.

- Wszystko - powtórzyła machinalnie. - Jesse powiedział wam, że jest niewinny?

- Nie musiał. I wierz mi, gdyby Timothy nie miał absolutnej pewności w tej kwestii, nigdy nie pozwoliłby ci pojechać samotnie do jego domu. Wracając do tematu, nie sądzę, żeby Jesse zjawił się na planie.

- A Robert będzie? Chętnie bym go zobaczyła.

- A, tak, Robert będzie codziennie... a także Timothy.

- Naprawdę?

- Zamierzamy się przenieść do Los Angeles. Ja już to zrobiłam, przynajmniej w duchu. Z Londynem wiąże nas tylko przyzwyczajenie i historia, a także fakt, że Global News ma tam kwaterę główną. Uznaliśmy, że przyzwyczajenia są to, żeby je zmieniać, nawet w naszym wieku, a skoro my się może-

my przeprowadzić, to Global tym bardziej. Nie ma sensu, żebyśmy pozostawali w Londynie, skoro Robert i Faye są z dziećmi w Los Angeles.

- Nie macie innych dzieci w Londynie?

- Nie. Cała nasza rodzina jest tutaj. - Lilith uśmiechnęła się, pociągnęła łyżeczek herbaty i odstawiła bezgłośnie filiżankę na spodeczek. Dopiero wtedy spytała: - A ty? Masz tutaj rodzinę, czy mieszkacie w różnych miastach, tak jak my?

- Ja... nie mam rodziny,

- Och, kochanie... Bardzo przepraszam.

- Nic się nie stało, Lillith, naprawdę. Miałam wspaniałą matkę i przez szesnaście lat byliśmy razem. Dzieciństwo dało mi wiele szczęścia i poczucia bezpieczeństwa.

- To dobrze. - Lillith przechyliła głowę, marszcząc brwi.

Caitlin uśmiechnęła się.

- Chcesz spytać o mojego ojca?

- Zdaje się, że nie powinnam, ale... tak, właśnie o tym myślałam.

Caitlin dotknęła naszyjnika i poczuła, że nagle ma ochotę opowiedzieć o wielkiej miłości swojej matki.

- Mama spotkała go na pokładzie „Queen Elizabeth” w rejsie z Southampton do Nowego Jorku. Był żonaty, ale... zakochali się w sobie. To nie usprawiedliwienie, tylko stwierdzenie faktu. Oboje wiedzieli, że ich związek nie ma przyszłości. Mieli dla siebie zaledwie parę dni, podczas których zostałam poczęta.

- Mówisz tak, jakbyś nie miała żalu.

- Bo nie mam. Ojciec nigdy się o mnie nie dowiedział, więc nie czułam się odrzucona ani niechciana. Matka zachowała same najpiękniejsze wspomnienia. Może tak naprawdę jej nie kochał, nie wiem. Ona wierzyła, że tak. Umarła z tą wiarą. I za to będę wiecznie wdzięczna owemu tajemniczemu Michaelowi.

- Miał na imię Michael...

- Tak. Przynajmniej tak mi się wydaje. Matka nigdy mi tego nie zdradziła, ale moje drugie imię to „Michaela”, więc skoro był jedynym mężczyzną w jej życiu... Taki pozostał w pamięci swojej Maggie.

- Maggie...

- Miał na imię Margaret, ale on nazywał ją Maggie, swoją Maggie. - Uśmiechnęła się. - Jeśli się zapomni o jego niewierności, to nawet całkiem romantyczne.

- Tak, rzeczywiście.

- Był dobrym człowiekiem, tak twierdziła mama. Wspaniałym człowiekiem. Zdawał sobie sprawę z tego, że ich romans nie doprowadzi do niczego dobrego, miał poczucie winy... Mama sądziła, że wróci do swojej żony i zaw-

sze już będzie jej wierny. Może to stwierdzenie jest trochę na wyrost, ale tak właśnie uważała.

- I może tak było? Może jej Michael złamał przysięgę tylko raz, żeby powołać cię do życia? Bez względu na wszystko, to usprawiedliwia jego niewierność. - Lillith uśmiechnęła się na widok zdumienia Caitlin. - Przecież wiesz, ile dla nas znaczysz. A skoro nie masz rodziny, będziemy szczęśliwi, jeśli zgodzisz się należeć do naszej.

- Och, Lillith - szepnęła Caitlin. - Dziękuję.

*Pacific Palisades
czwartek, 9 maja*

A mando, to ja, Patrick.
Zacisnęła palce na słuchawce.

- Cześć.
- Cześć. Przeszkadzam?

- Nie. Puszek i ja siedzimy na dworze. Bawimy się wszystkimi fascynującymi rzeczami, które można znaleźć w trawie.

W jej głosie brzmiał wyraźny uśmiech.

- Czy mógłbym wam towarzyszyć? Wiem, że możesz zostać wezwana do szpitala, ale chcę ci coś pokazać.

Powiedział to niedbale, jakby spotykali się codziennie. Ale od tamtej nocy w Salonie nie widzieli się ani razu... a on, mimo wszystkich tych strasznych rzeczy, o których się dowiedział, nadal jej pragnął.

Tamtej nocy narodziło się jej wielkie marzenie. To marzenie ciągle rosło, rozkwitało. Przegadali prawie całą poniedziałkową noc, cudowną noc... we wtorek Patrick zadzwonił do niej z OIOM-u, gdzie czekał na Jesse' a. A wczoraj, dopóki nie rozdzwonił się jej pager, opowiadał jej o spotkaniu z bratem.

Za każdym razem było jej łatwiej rozmawiać, wierzyć, udawać, że się dotykają. Zacisnęła palce na słuchawce, a Patrick pieścił ją, dotykał głosem.

Wszystko to było udawanie, oszustwo. Teraz to wiedziała, bo na samą wzmiankę o jego wizycie poczuła przeszywający strach. Oszustwo. Złudzenia. Fantazje.

- A mando... mogę wpaść?

Nie!

- Tak, oczywiście.

Oczywiście, bo właśnie dzisiaj muszę położyć kres tym fantazjom o normalnym życiu. O miłości.

Miała na sobie błękitne dzinsy i bawełniany podkoszulek. Miedziane włosy splotła w warkocz. Nie umalowała się, nie włożyła butów ani brylantowej obrączki. Domowy strój, który mogła błyskawicznie zmienić na inny, gdyby wezwano ją do szpitala.

Czekając na przybycie Patricka, walczyła z gwałtowną potrzebą, by pojechać do domu i przebrać się w fioletową sukienkę w niezapominajki. Pozostała jednak na miejscu, obserwując szalone figle szarego kotka, baraszkującego w ostatnich promieniach wiosennego słońca. Spodziewała się, że usłyszy warkot samochodu Patricka, trzaśnięcie drzwi. Będzie miała czas, żeby wstać, przygotować się do rozmowy.

Ale nie usłyszała niczego. Być może jej serce biło zbyt głośno.

Nagle, niespodziewanie, na wygrzanej trawie pojawiło się drugie kociątko, właściwie kotka, mniejsza niż Puszek, choć równie puchata, wściekła ruda i niebywale bojowa.

Puszek jeszcze nie wyczuł jej obecności, ale ona go dostrzegła. Zaczęła się do niego skradać. Przyczajona w trawie kocia miniaturka sunęła z wdziękiem dorosłego drapieżnika, zwolnionymi ruchami, groźnymi i pełnymi gracji.

Jednak kiedy Puszek w końcu zorientował się w sytuacji i skoczył ku małemu intruzowi, kotka straciła cały animusz. Rzuciła się do panicznej i bezwstydnej ucieczki na złamanie karku. Po chwili, w bezpiecznej odległości, napuszczona ze strachu jak wielki rudy dmuchawiec, zaczęła krążyć, lękliwie, choć z zainteresowaniem. Z każdym stąpieniem jej ciekawość wyraźnie rosła.

- Kim jesteś, malutka? - odezwała się Amanda cicho, żeby jeszcze bardziej nie wystraszyć niespodziewanego gościa.

- To koleżanka Puszka. Przynajmniej taką miałem nadzieję.

- Patrick - szepnęła mimo woli, zdumiona i zaskoczona jego widokiem. Wyglądał wspaniale, jakby nigdy nie chorował. - Wyglądasz...

- Lepiej?

Lepiej, tak. A przez to o wiele gorzej. Tamtej nocy, gdy on przypominał szkielet, a ona pustą skorupę, wszystko było możliwe. Teraz, w pełnym blasku słońca, ujrzała straszną prawdę o Patricku Falconerze. Był oszałamiającym, stuprocentowym mężczyzną.

Nie mogę. Nie potrafię nawet zacząć.

Patrick widział jej strach. I choć serce ścisnęło się mu boleśnie, wskazał z uśmiechem w stronę obchodzących się nieufnie kociąt.

- Wydawało mi się, że Puszek chciałby mieć koleżankę, z którą mógłby się bawić pod twoją nieobecność. Ale wygląda na to, że Puszek jest innego zdania.

Starał się, żeby zabrzmiało to tak, jakby wpadł na ten pomysł przypadkiem i wcale nie czuł zawodu. Ale pomysł wcale nie przyszedł mu do głowy przypadkiem, był starannie obmyślonym planem. Z pozoru gest miał być zupełnie prosty. Towarzyszka zabaw dla Puszka, Ale to wszystko miało służyć

przekazaniu innej prawdy: towarzystwo jest dobrodziejstwem dla wszystkich stworzeń, a zwłaszcza dla nich obojga,

Było też coś więcej; przypomnienie, że niektóre lęki należy zwalczać przy pomocy drugiej osoby. Samotne czekanie w ciemnościach na demony nocy bywa zgubnym zwyczajem, tak jak stawanie w oknie na szczycie wieżowca lub wdychanie trujących wyziewów pożaru.

Ale dotykanie, umocń, miłość...

Mimo jego wysiłków Amanda z pewnością już zrozumiała, jakie znaczenia kryją się za tym podarunkiem. Czy mogło być inaczej, skoro kotek nie tylko miał kolor płomieni, ale w dodatku okazał się kotką?

Tak oczywista metafora nie leżała w zamiarach Patricka, ale tak się stało, że właśnie to stworzonko szukało rodziny, potrzebowało miłości. Jego miłości. Koteczka powiedziała mu to w sposób zupełnie jednoznaczny — wyciągając pomiędzy prętami klatki małą łapkę i chwytając go pazurkami za rękaw koszuli.

A więc i ja mam swojego kotka, pomyślał Patrick, obserwując obchodzącą się ostrożnie maluchy. Ta myśl nie wydawała mu się przykra. Już teraz przywiązał się do małej istotki koloru płomieni... a ona do niego. Przez całe popołudnie spała na jego kolanach, mrużąc przez sen, ładując baterie. A kiedy zamieszka z Amandą... bo zamieszka, tak musi być... trzeba będzie uporać się z klasycznym problemem samotnych rodziców, których dzieci nie pałają do siebie sympatią.

Poradzimy sobie, Amando. Poradzimy sobie ze wszystkim.

Oba kotki skoczyły na siebie jednocześnie, splotły się w kłębek, wczepiły w siebie, jakby padły sobie w objęcia, choć ich tylne łapki drapały jednocześnie jak oszalałe.

- Chybaje rozdzielenie - mruknął Patrick, zawiedziony tą nagłą, obustronną antypatią, ale kotki odskoczyły od siebie, zanim zdążył do nich podejść. Nie odeszły daleko. Po chwili Puszek zaczął gonić nieproszonego gościa, a gdy koteczka zmęczyła się wreszcie rolą ofiary, zawróciła niespodziewanie i tak gwałtownie, że szary kotek wpadł na nią i przewrócił się jak długi. Teraz to ona zaczęła go gonić, aż znowu zwarli się w bezpośrednim starciu.

- Czy to normalne? - spytał Patrick z obawą.

- Nie wiem. Nigdy przedtem nie miałam kota, choć Puszek bawi się w ten sposób nawet, gdy jest sam. Ma zabawkę, którą uwielbia. Lubi ją chwycić w objęcia i drapać.

- Hm... w takim razie popatrzmy na nich.

Przez chwilę, choć przez chwilę, dodał w myślach. Amanda skinęła głową; promienie zachodzącego słońca otoczyły jej miedziane włosy aureolą z czystego złota. Twarz w oprawie świetlistych kolorów tchnęła zapierającym dech w piersiach spokojem, anielskim spokojem. Tak jakby jej lęki usnęły. Lawendowe oczy lśniły łagodnie, cień uśmiechu czaił się w kąciку ust...

Trwajmy tak przez chwilę, Amando. Może na zawsze.

Kotki bawiły się ze sobą, a słońce żegnało się z dniem bursztynowymi promieniami, pozostawiając po sobie szczególny podarek - rozświetlone nadzieją niebo koloru jej oczu.

Pod tym pastelowym niebem kotki zawarły ostateczny rozejm. Zwinięte w jeden kłębek, wyglądały tak naturalnie, jakby zwały się w jedno ciało, jakby do tej pory były tylko połówkami większej, piękniejszej całości.

- Wydaje się, że to takie proste - szepnęła Amanda.

Co miał jej powiedzieć? *Ze* dotykanie drugiego człowieka naprawdę jest łatwe? Tak, dla niego. Dotykanie, całowanie, stąpienie się w jedność. To miłość wydawała mu się trudna, niemożliwa... aż do chwili, gdy poznał Amandę.

Trudna. Niemożliwa. Amanda użyła tych samych słów, mówiąc o dotykaniu. A miłość? Nie musiał pytać, wiedział. Amanda bała się tylko fizycznego wyrażania tego najbardziej intymnego uczucia. Miała do tego powody... mnóstwo powodów, by niewinny dotyk budził w niej paniczny lęk.

Nie mógł jej obiecać, że wszystko uda się bez wysiłku. Nie mógł też powiedzieć, że fizyczna intymność jest niczym w porównaniu z bliskością emocjonalną. Kochanie się nigdy nie będzie dla niej całkiem naturalne - a dla niego kochanie się z nią stanie się czymś niewyobrażalnie wspaniałym.

Już nigdy nie będzie tak jak kiedyś.

A jeśli dla niej fizyczna bliskość nie będzie równie wspaniała? Jeśli dotyk na zawsze pozostanie barierą nie do przekroczenia?

Niech będzie i tak. Już się zbliżyliśmy, Amando, w najważniejszy z możliwych sposobów.

Oderwał wzrok od kociąt, by powiedzieć jej, że liczy się tylko miłość. Był gotów na przyjęcie jej lęku. Ale ona patrzyła na niego ufnie, oczami tak rozjaśnionymi i lśniącymi, jakby nie kryły się za nimi mroczne tajemnice.

- To naprawdę proste - powiedziała tonem, którego Patrick dotąd *nie* słyszał z jej ust.

Wyciągnęła do niego rękę, palce drżące ze strachu, choć w jej oczach obok ufności zobaczył sztuczną pewność siebie - światło tak nierealne, jak migotanie neonów Las Vegas,

- Nie, Amando.

Zatrzymała rękę w pół drogi i zamarła we wdzięcznym ruchu baletnicy:

- Nie?

- Liczyłaś, prawda? - Wypełniasz umysł szeregiem liczb, pięknych i kojących, skupiasz się na nich, żeby przetrwać wszystko. Noc z potworami ciemności... jeden wieczór albo całe życie ze mną. - Prawda?

- Ja... - Muszę to robić, nie rozumiesz? To jedyny sposób. Nie chodzi o to, że nie mogę uprawiać seksu. Mogę. Potrafię. Szczerze mówiąc, jestem specjalistką. Jeśli będę sobie wyobrażała liczby w tym jednym momencie na-

sze go życia, tylko w tym momencie, wszystko inne nam się uda. - Tak. Liczyłam. Ale tak trzeba...

- Trzeba? Mylisz się. Źle mnie oceniłaś. Nie Jestem Royce'em czy twoim...

- Wiem. Ale nie mogę tego robić inaczej. I nigdy nie będę mogła.

„To”. Ból, upokorzenie, przerażenie. Nigdy miłość.

- Może masz rację.

- Mam.

Przed oczami stanęła mu przyszłość Amandy... taka, jak musiała wyglądać, gdyby nadal należała na zbliżenie. Przyszłość pełna wiecznego napięcia, świadomość, że Patrick ciągle czeka, aż będzie gotowa, i nieustanny niepokój, że zauważy, jeśli Amanda zacznie liczyć.

Taka przyszłość musiała stać się dla niej więzieniem gorszym od tego Z przeszłości, w ciemnym pokoju pełnym potworów. Nie mógł jej na to skazać.

- Dobrze - odezwał się cicho. — Tak trzeba.

- Więc...

Uśmiechnął się.

- Więc wykluczmy dotykanie z naszego życia. -1 z naszej miłości. -
.To nie jest najważniejsza sprawa. Nie dla mnie. Nie dla nas.

A zatem będą się kochać na dystans. Koniec, kropka. Nigdy nie przeszłyby mu przez usta słowa: oczywiście, Amando, sama rozumiesz, że będę musiał mieć inne kobiety. W końcu jestem mężczyzną.

Nigdy by tego nie powiedział. Nawet nie przyszło mu to do głowy. Zamierzał żyć tak jak ona - tak, jak kazały jej żyć lęki.

- Ale to dla mnie bardzo ważne - szepnęła. Musimy się dotknąć, dodała w myślach. Musimy żyć normalnie, w pełni. Jeśli nie, ruszymy ramię w ramię prosto w szaleństwo. - Proszę cię...

- Tak?

- Pozwól mi... - Liczyć, kiedy mnie pocałujesz. Pozwól mi zapełnić mózg wirującymi kolorami, żebym nigdy, przenigdy nie wzięła twojej namiętności za okrucieństwo Royce'a. Nawet jeśli pożądasz mnie tak jak... -
Pozwól mi odejść.

Nie dotknę cię, moja śliczna Amando, odpari bez słów. Już nigdy. Czy prosisz, żebym uwolnił cię od niewidzialnych pieszczot mojego serca?

- Amando?

- Nie mogę. Nie mogę. To niemożliwe.

A on usłyszał coś więcej: nie mogę tego zrobić. Proszę, nie zmuszaj mnie. Tak dobrze sobie radziłam, tak dobrze radziła sobie Sherry, a teraz...

A teraz, dla niej, musiał odejść.

Żegnaj, Amando. Żegnaj, moja ukochana.

*Instytut Kardiologii, szpital Westwood
czwartek, 9 maja*

Caitlin westchnęła ciężko. Skąd to westchnienie? To ze zmęczenia, powiedziała kategorycznie. Z ulgi, że nagła operacja zakończyła się szczęśliwie. A także ze smutku i tęsknoty, ogromnej tęsknoty, żalu, że nie znaczyła dla niego więcej. Że była dla niego bez znaczenia.

Wszystko, co kochał, znajdowało się tutaj, w szpitalu.

Odetchnęła głęboko, by nabrać otuchy. Stała u stóp sekretnych schodów, wiodących z przebieralni do jej gabinetu o cztery piętra wyżej. Pacjenci czuli się dobrze, podobnie jak mała dziewczynka, której oficjalnie nie miała pod swoją opieką. Risa została przeniesiona na oddział, a wkrótce miała wrócić do domu. W Bel Air, nie na Maui...

Przerwała tę myśl, ale nie zdążyła stłumić przeszywającego bólu. Skupiła się na wyobrażeniu dochodzących do zdrowia pacjentów, potem na wspomnieniu herbatki z Lillith, a także wielu innych, które nastąpią w przyszłości. Asquithowie przeprowadzają się do Los Angeles!

Naturalnym" biegiem rzeczy jej myśli podryfowały ku Robertowi i Timothy'emu... i ból znowu pojawił się nieuniknionym refleksem, wraz z autorem *Złodzieja serc*, największym złodziejem serc na świecie.

Zdołała powstrzymać lawinę myśli tylko na chwilę, zanim straciła nad nią kontrolę. Dyrektor już oprowadził po szpitalu przedstawicieli Gemstone Pictures, którzy zjawili się na tyle późno, że mogła się z nimi zobaczyć. Pacjenci jej nie potrzebowali, więc skończyła pracę na dzisiaj i przez dwadzieścia minut Robert rozmawiał tylko z nią. Czy Caitlin zechce być ich konsultantką podczas kręcenia filmu? Czy zdoła wygospodarować tyle czasu, by ocenić, czy aktorzy trzymają skalpele w odpowiedni sposób, zarazem delikatnie i mocno? I czy zdjęcia rentgenowskie są odpowiednio wyeksponowane? Wszyst-

ko wskazywało na to, że Robert najchętniej uczyniłby ją członkiem ekipy, a Timothy Asquith, chociaż zachowujący większą rezerwę, wydawał się z nim zgadzać.

Z pewnym zdziwieniem słyszała własny głos, wyrażający zgodę na każdą ich prośbę. Czowała się tak potrzebna, tak ważna... Potem włączył się jej pager, choć nie miała dyżuru, i po chwili ruszyła biegiem ku pacjentowi, którego otwarta klatka piersiowa ukazywała zmiany patologiczne o wiele bardziej zaawansowane, niż można się było spodziewać.

Wspomnienie tego ciepłego uczucia dodało jej sił i pomogło wspiąć się po schodach. Wyszła z korytarza bez okien; jej oczom ukazał się widok tak piękny, że aż westchnęła, wpatrzona w lawendowe niebo.

- Wspaniałe, prawda?

- Och! Pan Asquith. Nie wiedziałam, że pan czeka.

- Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć.

- Nie szkodzi. Jeszcze nie odjechaliście? - Zerknęła za jego ramię, spodziewając się zobaczyć Roberta.

Korytarz był pusty.

- Jestem tu sam. Robert pojechał jakiś czas temu. Chciałem o czymś z panią porozmawiać.

- Ach, tak... Przykro mi, że musiał pan na mnie czekać.

- Chciałem zaczekać, a przez ten czas podziwiałem zachód słońca.

- Eee, no tak. To dobrze. Wejdziemy do mojego gabinetu czy...

- Możemy porozmawiać tutaj. Proszę spojrzeć.

Na wyłożonej chodnikiem podłodze stała aktówka, dokładnie naprzeciw miejsca, w którym stali. Zupełnie jakby Timothy wiedział, z której strony nadejdzie Caitlin po skończonej operacji. To oczywiste, na pewno powiedział mu o tym dyrektor szpitala, gotów poinformować najhojniejszego dobroczyńcę o wszystkich tajemnicach budynku, wszelkich ukrytych schodach. Pewnie jemu także podobał się ufundowany przez Timothy'ego Asquitha Salon, ceniony przez cały personel Instytutu Kardiologii.

Coś kazało jej zostać bez ruchu w punkcie, w którym stała, w miejscu osnutym lawendową mgiełką. Nie chciała spoufalać się nadmiernie z surowym panem Asquithem. A jednak miała wrażenie, że za chwilę coś się wydarzy. Tutaj, oparta o ścianę, znajdowała się w bezpiecznym miejscu.

Timothy Asquith odwrócił się do niej z małą kopertą w dłoni. I wtedy wydarzyło się coś dziwnego. Nie wiedziała, czemu ma to przypisać; *może to* ten wspaniały zachód słońca obudził w niej coś dziwnego, bo po raz pierwszy inaczej spojrzała na stojące przed nią mężczyznę.

i Jego twarz była zmieniona uczuciem, oczy nabrały odcienia ciemnego błękitu... a srebro w kruczoczarnych włosach migotało niczym światło księżyca.

Potem Timothy Asquith odezwał się:

- On nie miał na imię Michael.

Czekała z zapartym tchem, bez słowa... jak dobrze, że mogła oprzeć się o ścianę. Gdyby nie ona, pewnie by upadła.

-- Michael był jego bratem.

Pamiętała tego brata, którego śmierć zmieniła całe życie ukochanego jej matki. Więc to na jego cześć została nazwana.

- Jego imię brzmiało inaczej. Timothy. - Głos starszego pana załamał się niebezpiecznie. Wydawało się, że wzruszenie nie pozwoli mu mówić dalej... ale nie dopuścił do tego. Zbyt długo czekał na tę chwilę. Czekał na nią przez całe życie. - Twój ojciec miał na imię Timothy.

Timothy.

Caitlin poczuła, że wybucha w niej radość, ogromna, rozpierająca. Miała ochotę krzyknąć ze szczęścia... ale milczała. Jej ojciec - jej ojciec! - chciał powiedzieć coś jeszcze.

- Tej nocy... wiedziałem, jeszcze zanim usłyszałem twoje nazwisko. Wyglądasz... wyglądasz zupełnie jak ona.

- Jak Maggie - szepnęła.

O, mammo, gdybyś zobaczyła wyraz jego oczu, gdy usłyszał twoje imię... tę czułość, tę miłość... Ale przecież to widzisz, prawda? Mammo? Mamusiu? Czuję twoją obecność w tej lawendowej mgle. Wiem, że tu jesteś.

- Maggie - szepnął czule, jakby zwracał się do ukochanej, jakby i on czuł jej obecność. Wzruszenie znowu chwyciło go za gardło, ale nie poddał mu się.

- To byłaś ty, moja córka... i miałaś zoperować mojego wnuka.

Timmy jest moim bratankiem - tak, bo przecież Robert to mój brat. Robert, który dziś traktował ją z taką życzliwością. Robert, przez którego żona Michaela... Timothy'ego... nie mogła udać się w rejs.

Otworzyła usta, żeby o coś zapytać, i zamknęła je, tknięta bolesną myślą. Żona Timothy'ego. Teraz nie była już bezimienną kobietą, zapomnianą, porzuconą panną młodą. Przecież to...

- LilHth.

Przez twarz Timothy'ego przemknął cień bólu.

- Aż do wczoraj nie zdawałem sobie sprawy, że LilHth wiedziała o wszystkim. Od samego początku. Przypadkiem na statku była także jej koleżanka, daleka znajoma. Nigdy jej nie spotkałem, a zresztą byliśmy bardzo dyskretni. Przynajmniej staraliśmy się zachowywać pozory. Aż do wczoraj sądziłem, że się nam udało. W tych rzadkich przypadkach, kiedy wychodziliśmy pospacerować po pokładzie, szliśmy osobno. To właśnie podczas jednej z tych przechadzek zostało zrobione to zdjęcie. Nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy.

Timothy Asquith spojrział na kopertę z taką czułością, jakby widział zdjęcie oczami wyobraźni. Oczami miłości.

- Stałem daleko od Maggie, ale i tak nie zdołaliśmy ukryć swoich uczuć, choć bardzo się staraliśmy. Autorka zdjęcia, ta rzekoma przyjaciółka, wprost nie mogła się doczekać, żeby oddać je Lillith.

Lillith, która nie wspomniała, że jest chora na raka, bo nie chciała nikomu psuć wakacji.

- A ona nigdy nie napomknęła o tym ani słowem.

- Lillith mogłaby nadać sprawie dalszy bieg i pewnie by tak zrobiła, gdyby nie to, że wróciłem jako odmieniony człowiek. Podczas tego rejsu dowiedziałem się, czym jest miłość, i zdałem sobie sprawę, że Lillith naprawdę mnie kocha. Zawsze mnie kochała, nawet jako narzeczona Michaela. Przez te następne miesiące oczekiwania na narodziny naszego syna ja też się w niej zakochałem. Nigdy by do tego nie doszło, nigdy nie pokochałbym jej tak głęboko i prawdziwie, gdyby nie Maggie. Miłość do twojej matki obudziła we mnie coś, czego dotąd nie znałem. To dzięki niej, dzięki Maggie, moją miłość do Lillith jest tak silna, głęboka i prawdziwa. Lillith nigdy, ani razu, nie miała już powodów, by w to wątpić.

Jest tak jak mówiłaś, mamo. Skąd wiedziałaś?

' A co zrobił Timothy Asquith? Wybudował Instytut Kardiologii dla Caitlin, zaprojektował dla niej sekretne schody i Salon, być może kopię własnego salonu w domu w Anglii... miejsce, w którym- winnych okolicznościach - ojciec i córka mogliby spędzać długie godziny przed płonącym kominkiem.

Dał jej także w prezencie fontannę. W dzień, gdy Caitlin była w pracy, jej strumienie lśniły złotem, lecz późnym wieczorem widziała z okien swojego mieszkania feerię lśniących klejnotów. Jej ulubionym kolorem był szafir, ciemny błękit oceanu, na którym jej rodzice się poznali, tańczyli ze sobą, dali sobie miłość.

Ale te migoczące symbole błękitnego oceanu nie wystarczały Timothy'emu Asquithowi. Nie zadowalała go fizyczna transformacja szpitala, który był domem Caitlin. Do powstania domu potrzeba o wiele więcej, a on miał tego świadomość. Dom oznaczał rodzinę.

A jaką rodzinę mógł dać swojej córce? Przybranego brata Patricka, którego szpital ściągnął tutaj z tak nieustępliwym uporem - a także jego bliźniaka, Jesse'a, utalentowanego pisarza, którego Timothy znał i szanował, i który cierpiał, osamotniony. Timothy Asquith nie mógł zarządzić, by bracia się pogodzili, lecz zrobił wszystko, żeby do tego doprowadzić, wybierając na miejsce kręcenia filmu właśnie ten szpital.

Los - choroba Patricka - wprowadził poprawki do planu Timothy'ego. Ale nawet gdyby nie było kogoś takiego jak Patrick Falconer, Timothy wybrałby Jesse'a, żeby napisał *Złodzieja serc* - podarunek dla Caitlin, uhonorowanie jej namiętności, jej zawodu... a zarazem pretekst do widywania jej często i długo.

A teraz, kiedy wreszcie ją spotkał, mógł do niej przemówić.

- Lillith zrozumiała, że nie zamierzam jej powiedzieć prawdy. Nie mogłem jej wyznać niczego, nie wiedząc, czy wiesz o moim istnieniu i co o mnie sądzisz. Nie miałem pojęcia, jak się do tego zabrać - wyznał, nareszcie ludzki, bezradny. - Gdybym zaprosił cię na herbatkę i zaczął wypytywać o rodziców... to by cię chyba przestraszyło, prawda?

Ale Lillith znakomicie nadawała się do takich dyskretnych wywiadów, dodała w myślach Caitlin, przypominając sobie jej gładkie przejście od rodziny Asquithów do jej własnej.

- Nie wiedziałeś, że Lillith wzięła sprawy we własne ręce?

- Nie. Dopiero kiedy wróciła z kawiarni, dowiedziałem się, że zawsze wiedziała o Maggie. Postanowiła porozmawiać z tobą, ponieważ... ponieważ, Caitlin, kocha nas oboje.

A ja kocham ją, pomyślała Caitlin. Kocham tę szlachetną, piękną kobietę, która tak o mnie dba, ma dla mnie tyle ciepła i poprosiła, żebym należała do jej rodziny.

- Czy powiedziała ci, że...

...Maggie nie żyje?

Nie dokończyła; nie mogła, ponieważ nie powiedziałaaby prawdy. Maggie ciągle żyła, w jej sercu, w jego sercu, a w tym mglistym, lawendowym powietrzu Caitlin widziała jej postać jak wirującą tęczę. On z tobą tańczy, mamó. Wtedy, teraz, zawsze. Twój Michael, twój Timothy, tańczy z tobą, kocha cię nadal... i zawsze będzie cię kochać.

Timothy Asquith chyba rzeczywiście tańczył. Kiedy znowu przemówił, miał lekko przyspieszony oddech.

- Kiedy tylko cię zobaczyłem, dowiedziałem się wszystkiego... o was obu.

zaczarowane lawendowe niebo zaczęło gasnąć, szarzeć. Dopiero w tej szarości zdała sobie sprawę, jakie uczucia targają Timothyem Asquithem.

- Czy mi wybaczysz?

- Wybaczyć? Tobie?

- Czy mi wybaczysz, że nie zająłem się tobą... wami? Że nie było mnie przy tobie, kiedy...

...Maggie zmarła.

On także nie potrafił wymówić tych słów.

- Ależ byłeś! Byłeś z nami przez wszystkie te lata. Zawsze byłeś w jej sercu. Zawsze byłeś przy nas.

- A teraz, czy teraz mogę być przy tobie? - spytał drżącym głosem.

Tak, zawołała w myślach. O, tak.

Nie miała najmniejszych wątpliwości, lecz przez parę chwil milczała. Szukała... jego imienia. Wreszcie zrozumiała, dlaczego pozostał dla niej panem Asquithem. Nie potrafiła go nazywać Timothyem.

Więc jak się ma do niego zwracać? Ojciec? Nie; ten arystokrata, dumny posiadacz niewyobrażalnej fortuny, nie był już dumny ani surowy.

Tato? Tak jak nazywał go Robert? Tak. To chyba...

- Caitlin? - powtórzył cicho, ochryple, przerażony przeciągającym się milczeniem. - Caitlin? Caitie?

To jedno słowo zmieniło wszystko. Mrok rozbliśnieł, szarość zmieniła się w srebro, zamigotała magicznym blaskiem.

Kiedyś powie do niego: tato. Kiedyś. Może jutro.

Ale w tę srebrną noc, gdy w drżącym powietrzu tańczyły tęczowe duchy wiecznych kochanków, istniało tylko jedno słowo odpowiednie dla człowieka, który tak kochał swoją Caitie.

- Tatusiu - szepnęła zdławionym głosem. - Tatusiu...

*Ostry dyżur, szpital Wesfwood
czwartek, 6 czerwca*

Czerwony alarm oznaczał pożar. Błękitny - wstrzymanie akcji serca. Zielony ogłaszał zbiorową katastrofę.

- Zielony alarm, sala nagłych wypadków - ogłosiła z zadziwiającym spokojem Daria, recepcjonistka.

Wiadomość pojawiła się na pagerach całego personelu szpitala.

Przyczyny takich masowych wypadków mogły być różne, od zaważenia się wieżowca po zatrucie pokarmowe, dlatego na wezwanie zareagowali lekarze wszystkich specjalności; Kiedy rozpozna się przyczynę wypadku, będzie czas na selekcję.

Amanda i Patrick nadbiegli z przeciwnych kierunków. Przed salą nagłych wypadków zatrzymali się gwałtownie naprzeciw siebie.

- Patrick...

- Witaj, Amando.

Nie widzieli się prawie od miesiąca, choć nie zapomnieli o sobie. Każde z nich żyło z ciągłym, dokuczliwym i nieustępliwym bólem. Oboje wyobrażali sobie słowa, które kiedyś mogą paść, snuli marzenia, w których nie było miejsca na przeszłość, jedynie piękną teraźniejszość i wspaniałą przyszłość.

I teraz, w korytarzu wykładanym linoleum, przez chwilę wydało się im, że te marzenia stały się rzeczywiste. Czy to właśnie to spotkanie, ich szansa, o której śnili? Połączenie, dzięki któremu zapełni się puste miejsce w ich życiu?

Potem brutalna rzeczywistość obudziła ich ze snu.

- Wiesz, co się tam dzieje? - spytała Amanda.

- Tak - odpowiedział. Opanowany ordynator. Chłodny specjalista. - Podczas zebrania w liceum jeden z uczniów zaczął strzelać z półautomatycznego karabinka.

- Och, nie. Znowu...
- Właśnie. Znowu. Jest bardzo źle. Wiele przypadków śmiertelnych. Ranni trafiają tutaj, do UCLA i do Świętego Jana. Będziemy mieli mnóstwo roboty. Już teraz ściagam ludzi z miasta.
- Jeśli jestem ci potrzebna... -urwała, widząc jego reakcję. W ciemno-błękitnych oczach pojawił się ból.
- Wiesz, że jesteś mi potrzebna, Amando. Zawsze.
- Ja... Zaraz się przygotowuję - skończyła niezręcznie. - Jeśli potrzebna ci para rąk do pomocy.
- Dziękuję. - W oddali rozległo się wycie syren. - Ale będziesz zajęta krewnymi i przyjaciółmi rannych i zmarłych.

Miała na imię Evie i ledwie trzynaście lat. Odrzuciła uczucia szesnastoletniego chłopca. Teraz ten chłopiec stał się mordercą, a Evie znalazła się pomiędzy tymi, których skazał na śmierć.

Evie wydawała się martwa, gdy wwieziono ją na salę nagłych wypadków. Jej długie kasztanowe włosy były zlepione krwią, skóra miała kolor lodu, a jasnobłękitne oczy już nie widziały. Oddychała tylko dlatego, że sanitariusz tłoczył w nią powietrze, a inny rytmicznie ugniatał jej klatkę piersiową.

Jeden z nich spojrział pytająco na Patricka. Przestać?

- Przewieźcie ją na operacyjną - rozkazał Patrick.

- Wzywał mnie?
- Nie, Caitlin. Ale jest tam rana postrzałowa serca.
- Patrick jest kardiochirurgiem. Ma doświadczenie w operacjach serca.
- Wiem. - Trish zmarszczyła brwi. - Wydawało mi się po prostu, że dobrze by było, gdybyś mu pomogła. Nie wiem, może cię nie prosił, ponieważ sądzi, że jesteś zajęta. Ale tutaj wszystko pod kontrolą, prawda?
- Prawda - przyznała Caitlin.

Wszystkie ofiary zostały opatrzone. Pięć, w tym Evie, trafiło od razu na salę operacyjną. Stan sześciu innych, z nie tak ciężkimi obrażeniami, ustabilizował się przez operacją. Żaden z pacjentów nie znajdował się pod opieką Caitlin. Ci z ranami brzucha trafili do chirurgów ogólnych, ci z urazami klatki piersiowej - choć nie serca - znaleźli się w doświadczonych rękach specjalistów, a jeden z raną głowy, sam zabójca, trafił pod opiekę ordynatora neurochirurgii. Nie rokowano, że przeżyje.

Caitlin pomagała wszędzie, gdzie mogła. Aż do chwili, gdy Trish powiadomiła ją szeptem, że jest jeden pacjent z raną serca, nie zdawała sobie z tego sprawy. Zresztą to nie było konieczne. Skoro Patrick miał się nim zająć...

Ale to właśnie on, nie pacjent, wzbudził jej niepokój. Patrick, dobry przyjaciel. Przez ostatni miesiąc prawie go nie widziała. Jak również Amandy. Unikała ich obojga.

Unikali się nawzajem.

Wiedziała, że Patrick zdrowieje, ale nie mogła swobodnie rozmawiać z człowiekiem, którego brata kochała i który wiedział o tym nieodwzajemnionym uczuciu. Pewnie rozmawiał z Jessem nieraz i zauważył, że Jesse o nią nie pyta. Widywała Patricka w przelocie, na sali operacyjnej lub na OIOM-ie. Wymieniali uśmiechy i pozdrowienia. Ale w jego uśmiechu było sporo smutku. Tak przynajmniej się jej wydawało.

Aż do tego straszego dnia Caitlin nie spotkała Amandy nawet przelotnie. Dopiero teraz ujrzała ją w oddali, pochyloną pocieszaniem rodzin zmarłych i umierających.

Nigdy się nie okłamywały.

Ale unikały się starannie, kiedy prawda była zbyt bolesna, by ją wyznać. Grzech zaniechania, pomyślała Caitlin. Coś zbyt bolesnego, by o tym mówić, dzieje się z nami wszystkimi - z Patrickiem, Amandą i ze mną. Ona nie mogła się pogodzić ze stratą Jesse'a. Był także inny problem, głęboka rana, która nie chciała się zagoić. Przysięgła sobie, że wyleczy tę jęczącą się ranę. Zrobi to. Już w ten weekend. Potem zapomni o smutku i spróbuje pomóc przyjaciółom.

Ale jeśli któreś z nich potrzebowało jej już teraz...

Uśmiechnęła się.

- Może rzeczywiście skoczę na salę operacyjną. Sprawdzę, co się dzieje.

— To dobrze - pochwaliła ją Trish. - Bardzo dobrze.

Nie było dobrze. Trzynastoletka zmarła. Nie mógł jej uratować nawet najświetniejszy chirurg. W chwili przybycia Caitlin klatka piersiowa Evie nadal była otwarta, nieruchoma, serce rozerwane na strzępy. A Patrick nadal próbował ją ratować, z zapamiętaniem, bez zmęczenia. Przecież wiedział, że ołowiane pociski poczyniły zbyt wielkie szkody. Na pewno to wiedział.

Caitlin patrzyła w milczeniu na ten obraz rozpaczny, beznadziejny koniec nadziei. Wreszcie przeniosła spojrzenie na Patricka, który jej dotąd nie zauważył. I długo jeszcze mnie nie dostrzeże, pomyślała. Nawet nie wie, że tu jestem.

On także wpatrywał się w rozdarte ciało dziewczynki, jakby i jego serce było w równie opłakanym stanie, jakby i ono zostało rozdarte na strzępy.

Wreszcie delikatnie zsztył bezkrwistą, martwą pierś. Zakładał szwy tak ostrożnie, jakby nie chciał sprawić cierpienia dziewczynce, która już nie żyła. Kiedy nie pozostało mu już nic do zrobienia, wyszedł bez słowa z sali.

Caitlin odprowadziła go wzrokiem przez szklaną szybę.

Tuż za drzwiami sali czekał na niego młodszy lekarz. Patrick słuchał go uważnie, gotów ruszyć na pomoc następnemu pacjentowi, który potrzebował jego umiejętności. Nie było czasu na rozpacz, żal, rozpamiętywanie. Trzeba było działać, natychmiast.

Kiedy Caitlin znowu spojrzała na Evie, anestezjolog zdążył już odsłonić jej ciało, wyjąć rurkę dotchawiczną, zdjąć czapeczkę z kasztanowych włosów. Caitlin zagryzła dolną wargę. Na stole spoczywała, blada i niezmiernie spokojna - Amanda.

- Doktor Prentice! W czym mogę pomóc?

Amanda odwróciła się w stronę, z której dobiegał uprzejmy głos, nieco zaskoczona, że ktoś ją rozpoznaje. Niegdyś miewała tu pacjentów, ale ostatni został wypisany wiele miesięcy temu, jeszcze przed przybyciem Patricka.

Pielęgniarka, która ją zagadnęła, asystowała przy jednej z *tych* konsultacji.

- Szukam doktora Falconera, Laurel. Nie chciałabym mu przerywać, jeśli ma pacjenta.

- Nie ma nikogo. Nasi młodzi pacjenci, odpukać, są względnie stabilni.

Minęła już północ; koniec dnia, który dla wielu okazał się dniem ciężkiej próby. Evie nie żyła, podobnie jak jej morderca. Ale Susannah, jej jasnowłosa, złotooka siostra, została uratowana przez Patricka. Tuż po wyjściu od Evie dokonał tego, co wszyscy uznali za cud.

Amanda nie spotkała go dotąd. Jakoś się z nim rozmijała, choć zajmowali się tymi samymi rodzinami - ona w sali operacyjnej, ona w poczekalni, gdzie rodzice i rodzeństwo ofiar modlili się i czekali.

W tej samej chwili, gdy Patrick rozmawiał z rodziną Evie, Amanda znajdowała się w innym pokoju, bardzo oddalonym, gdzie pocieszała zrozpaczonych rodziców szesnastolatka, który rozpętał to piekło. Ich syn nie żył, a ich, prócz bólu i rozpacz, nękały także wyrzuty sumienia, bo gdzieś w głębi czuli ulgę, że syn, który okazał się potworem, zniknął z ich życia. Dzięki łagodnej pomocy Amandy rodzice chłopca wreszcie wyrazili tę ulgę, a zanim Amanda doszła do ludzi, którzy stracili jedną córkę - gdyby nie Patrick, straciliby obie - doktor Falconer wrócił już na salę operacyjną. A teraz?

- Poszedł już do domu?

- Nie - zaprzeczyła z troską pielęgniarka. - Choć mógłby i powinien, prawdę mówiąc. W tej chwili jest na dachu, na lądowisku dla helikopterów. Pół godziny temu wysłaliśmy pacjenta do innego szpitala. Inni już zeszli, ale on tam nadal jest. Ja bym nie została na tym dachu ani sekundy dłużej niż to konieczne, choć zwykle nie boję się wysokości.

Amanda była niegdyś na lądowisku, by przyjąć pacjentkę z rzucawką. Całą uwagę poświęciła ciężko chorej kobiecie, ale każdy krok stawiała z bolesną starannością. Dach był bardziej przerażający niż balkon. Nie miał balustrady, tylko niski murek. Jeden krok i...

Dach czekał na nią, przyzywał, prowokował. Przysięgła sobie, że pewnego dnia, w jasnych promieniach słońca, wróci tam i przywoła strach po to, by go odrzucić.

Teraz nie było jasnych promieni słońca, lecz najgłębszy mrok nocy.

Ale na tym dachu czekał Patrick.

- Jak się tam dostać? Tak dawno tam nie byłam...

- Trzeba wsiąść do środkowej windy, ale ona nie dojedzie aż na dach, jeśli nie ma się klucza... który, o ile sobie przypominam, leży w kieszeni Patricka. Można też wejść po schodach, to tylko trzy piętra. Kiedy się wchodzi na klatkę schodową, od razu widać drugie drzwi. Zamykają się automatycznie, zawsze są zamknięte, ale obok jest kontrolka zamka szyfrowego i trzeba tylko wystukać szyfr. Chce pani?

- Tak, proszę.

- Dobrze, zaraz... Jeden -jeden - cztery - siedem. Może zapiszę? Przy wyjściu na dach też trzeba go wystukać, w przeciwnym razie będzie pani jak w pułapce.

Jak w pułapce.

- Nie, nie trzeba zapisywać. Zapamiętam.

Jeśli chodzi o liczby, jestem prawdziwym ekspertem.

Ciężkie drzwi zamknęły się z hukiem za jej plecami. Klatka schodowa przypominała ciemny tunel.

Dach znajdował się piętnaście pięter nad ziemią. Może nigdy do niego nie dotrze? Może zapomni szyfru i utknie w tym mroku, a potem w szpitalu wybuchnie pożar, a ona zapomni także szyfru wyjściowego, bo inne cyfry wtargną do jej umysłu, błagając, by zaczęła je liczyć?

Na zbyt długo o nich zapomniała! Teraz tańczyły przed jej oczami, migocząc i wołając. Po co zapuszczasz się tak daleko?, dziwiły się. To bardzo niebezpieczne. Co, dałaś już za wygraną? Zdecydowałaś się zrobić ostatni krok w przepaść?

Nie martw się, zapewniały ją migotliwe cyfry. Będziemy z tobą aż do końca. Zapłonimy tak jasno, że nawet spadając w ciemność, poczujesz się bezpieczna... oczywiście do czasu, do czasu.

A ona odpowiadała im ciągle tym samym zdaniem: muszę się spotkać z Patrickiem.

Ta świadomość towarzyszyła jej przez całą *dzień*, kiedy wszędzie widziała niezawinione cierpienie. Te dzieci miały przeważnie po trzynaście lat, dokładnie tyle, co ona, kiedy jej życie w nieodwracalny sposób wymknęło się spod kontroli.

Muszę się spotkać z Patrickiem. Zdanie powracało uparcie, zaskakująco radosne wśród cierpienia i rozpacz. Powtarzało się coraz głośniejsze i na-

tarczywiej w miarę, jak dzień zbliżał się do końca. A kiedy doktor Amiinili Prentice pomogła wreszcie wszystkim tak, jak mogła, zaczęła szukać Patricka.

Nie, to Sherry ruszyła na poszukiwanie. A na pewno to właśnie ona kuliła się w ciemnościach, widząc przed sobą płonące cyfry. I to ona zadawała sobie pytanie: dlaczego? Dlaczego?

Ze względu na Patricka.

Muszę się spotkać z Patrickiem.

Zdanie powtarzało się monotonnie jak mantra, tak kojąca, że jej przerażenie powoli rozplynęło się w mrocznym powietrzu. Liczby także zniknęły, a przynajmniej zmieniły położenie. Zająły miejsca wzdłuż ścian, służąc jej za latarnie w tej krótkiej podróży.

Ruszyła ku przeznaczeniu wśród migotliwych barw. Schody tonęły w ciemnościach; może czały się w nich najstraszliwsze potwory nocy, to nie miało znaczenia. Szła przed siebie, w górę, popychana uczuciem, którego nie znała i nie potrafiła nazwać... uczuciem bardziej świetlistym niż nieskończony zbiór liczb, bardziej płomiennym niż całe piekło, bardziej oszałamiającym niż skok w przepaść. A kiedy znalazła się na dachu, ujrzała noc jaśniejszą, niż sobie wyobrażała. Miasto w dole migotało milionem iskier, zaś na niebie skrzyła się galaktyka gwiazd.

Patrick stał na krawędzi dachu. Wiedziała, że nie wolno się jej odezwać, przestraszyć go. Na pewno nie słyszał jej kroków, bo prawie unosiła się w powietrzu. Zbliży się do niego bezszelestnie i odezwie cichutko, tak by ledwie ją dosłyszał.

Ale on odwrócił się, zanim zdołała otworzyć usta. Jego twarz, mroczna i bolesna, nosiła piętno śmierci, której był świadkiem.

- Amanda... - szepnął, jakby zobaczył ducha... lub anioła. - Co tu robisz?

Bo on, stojąc tak na krawędzi przepaści, starał się poczuć jej strach, pragnienie, by skoczyć, pofrunąć. Wydawało mu się, że zrozumiał... na tyle, by na jej widok poczuć dotkliwy niepokój.

Ale na jej ślicznej twarzy nie było widać strachu.

- Przyszłam się z tobą spotkać.

- Dlaczego? - rzucił szorstko, może zbyt szorstko. Pamiętał dobrze, jak przyszła do niego, do umierającego pacjenta, który mógłby potrzebować jej fachowej porady. Teraz także umierał, lecz czymże były jego uczucia wobec piekła, którego dziś był świadkiem? Czy Amanda wiedziała, jak rozpaczliwie starał się ratować życie tych młodych ludzi, właściwie dzieci? Czy wiedziała o Evie? Czy to Caitlin podsunęła jej myśl, by pospieszyć z urzędową pociechą do znękanego lekarza? - Dlaczego, Amando?

Muszę się spotkać z Patrickiem. Przez cały dzień słyszała te słowa, powracające jak refren. Teraz zdała sobie sprawę, że towarzyszyły jej od mie-

siąca, zbyt cichej by mogła je dosłyszeć, lecz uparte i ciągle obecne. Muszę się spotkać z Patrickiem.

Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Nie miała odpowiedzi na to pytanie, a potem nienazwane uczucie popchnęło ją dalej, ku niemu, i kiedy przed nim stanęła, natychmiast zrozumiała, jak brzmi odpowiedź.

- Ponieważ cię potrzebuję. Ponieważ cię kocham.
- Och, Amando.
- Muszę...

Muszę cię dotknąć.

Myśl, tak wstrząsająca, tak cudowna, zaparła jej dech w piersiach. Zresztą słowa nie były już potrzebne. Jej dłonie powiedziały mu wszystko, gdy wyciągnęły się, by musnąć jego twarz. Nie zawały się nawet wtedy, gdy przechodziły przez niewidzialną granicę, niegdyś niezdobytą.

Więc dotykała go, mogła go dotknąć. Czują chłód i szorstkość nieogolonego policzka... potem czubki jej palców przesunęły się lekko po ciemnych sińcach pod jego błękitnymi oczami.

Zobaczyła w nich miłość, zdumienie i troskę.

Sherry nie może nikogo dotykać. Tak mu kiedyś powiedziała. Ostrzegła go. I nie może być dotykana, to niemożliwe.

Jego dłonie, niespokojne, bezsilne, zacisnęły się w pięści.

- Dotknij mnie, Patricku.
- Amando...
- Proszę cię.

Wydawało się jej, że jego szczupłe palce drżą.

Tak, naprawdę drżały. Dotknął jej - och, tak! - jakby była najbardziej kruchą istotą na świecie.

Czy rzeczywiście jestem taka krucha? - pomyślała. Czy nawet ta miłośna pieśczoła, delikatna jak muśnięcie skrzydła motyla, przywoła dawne przerażenie i migotanie tysięcy liczb?

W jego oczach widziała to samo pytanie, ten sam niepokój. Przez parę chwil czekali, wstrzymując oddech.

Ale liczby widać znalazły sobie nowy dom pomiędzy gwiazdami, bo ciągle widziała tylko jego. I miłość. Wydawało się jej, że przyszła tu, unosząc się w powietrzu, ale dopiero teraz poczuła, że ulatuje naprawdę, przemierza zdradliwą przepaść - by znaleźć się w jego ramionach.

- Obejmij mnie. Przytul mnie mocno.

Obejmij mnie. Pocałuj. Kochaj mnie, Patricku.

Wśród tysięcy konstelacji gwiazd tej czarodziejskiej nocy zobaczył jej lawendowe oczy, rozbłyśnię nową, nieznaną radością.

Wyciągnął ręce ku aniołowi, który go przyzywał, i objął go tak, jakby mieli się już nigdy nie rozdzielić.

Westwood Court
godzina 21. 00, piątek, 7 czerwca

Ubytek w sercu Risy został zamknięty, ale była w nim jeszcze jedna rana, mroczna i głęboka. Dopóki się nie zagoi, trudno mówić o pomyślnym wyniku operacji.

Doktor Caitlin Taylor postanowiła, że wyleczy i tę usterkę. Już w najbliższy weekend. Operacja zapowiadała się na delikatną, a zarazem radykalną - walka z silnym i godnym szacunku przeciwnikiem.

Jej najpotężniejszą bronią była prawda. Broń, przed którą nie ma ucieczki.

Zwycięzę, przysięgła sobie. Muszę.

Stała przy oknie sypialni, zafascynowana widokiem tęczyowych klejnotów... i wspomnieniem błękitnego magicznego morza. Rodzice byli przy niej, zgodnie z obietnicą Maggie. Oboje mieli ją wspomóc w walce.

Mogłaby poprosić ojca, żeby jej towarzyszył. Zgodziłby się natychmiast. Jego jedno słowo mogłoby dokonać tyle, co godziny jej nalegań.

Nie poprosiła go o pomoc. Musiała tego dokonać o własnych siłach. Timothy i Maggie i tak mieli stać za jej plecami.

Z oddali dobiegł ją melodyjny zew dzwonka do drzwi. O kwadrans za wcześnie. Taksówka przyjechała. Świetnie. Wszystko było gotowe. Być może była gotowa na to przez całe życie.

Otworzyła drzwi z rozmachem i znieruchomiła.

- Jesse.

- Witaj, Caitlin - odezwał się cicho.

Zbyt cicho, zbyt łagodnie, zbyt czule.

- Czemu mi się przyglądasz? - rzuciła nieufnie.

- Przepraszam. Jesteś taka... - Piękna, zraniona, dzielna. - ... zmęczona. Smutna.

Ty też. Zmęczony, smutny i złamany. Jak człowiek, który stracił wszystko, co można stracić.

- Czuję się doskonale.
- To dobrze. Czy mogę wejść?

Nie!

- Proszę.

Ustępując mu z drogi, musiała przejść ponad walizką.

- Wyjeżdżasz?
- Tak.
- Dokąd?

Wzruszyła ramionami.

- W interesach.
- To chyba niezbyt długa podróż. O ósmej rano w niedzielę zaczynasz dyżur.

Tak, rzeczywiście. Więc zadał sobie trud, by to sprawdzić. Czy miał nadzieję, że następne trzydzieści sześć godzin spędzą razem? W łóżku? Miły weekend pełen wspaniałego seksu?

- Tak, to krótka podróż. Będę asystować przy trudnym przypadku.

Chyba mówi prawdę, pomyślał. A może nauczyła się kłamać. Przejęła ten brzydki talent od niego.

Wyjął z jej ręki bilet. Spłoszyła się. Może zamierzała polecieć na Maui, stanąć przed jego drzwiami i spytać wyzywająco: nie chodziło ci tylko o seks, prawda?

Nie, nie wybrała się w podróż do niego, lecz dla niego! Nocny lot do Waszyngtonu, powrót następnego dnia.

- Jedziesz do Gabrielle.

Powiedział to cicho, ze zdziwieniem, a jego oczy załśniły uczuciem, które wydawało się całkiem podobne do miłości. Ale Caitlin wiedziała już, jak zdradliwe są te ciemnozielone płomienie.

- Tak - przyznała rzeczowo. - Tak, dla mojej pacjentki, dla Risy. Ona musi się z tobą spotykać, a to znaczy, że Daniel musi poznać prawdę. Patrick powie mu, co naprawdę stało się na Jeziorze Graydona, Gabrielle przyzna się, co się stało w domku ogrodnika, a...

- Caitlin... -Jego szept, dziwnie ochrypli, brzmiał tak samo, jak tej złotej nocy, kiedy się kochali. - Robisz to także dla mnie, prawda? Przede wszystkim dla mnie... choć cię skrzywdziłem.

- Wcale mnie nie... -głos jej zadrzał przed nowym kłamstwem. Nie musiała nic mówić, uratował ją dzwonek do drzwi. Taksówka właśnie podjechała.

Jesse błyskawicznie podjął decyzję.

- Pani się rozmyśliła i nie pojedzie - oznajmił, wręczając taksówkarzowi kwotę wielokrotnie przewyższającą opłatę za dojazd na lotnisko. - Dziękuję.

Kiedy taksówkarz zniknął, Jesse odwrócił się do Caitlin i spojrzał prosto w jej oczy, uparte i wyzywające. Tym razem na jej kruczoczarnych włosach nie lśniły perły deszczu, lecz nadal była tą samą kusicielką, która wyłoniła się z szalejącej burzy. Wenus zrodzona z deszczu, Wenus o oczach koloru morza, nieustraszonych i lśniących. Tamtej burzliwej nocy przybyła, by ratować życie Patricka.

A teraz postanowiła ocalić jego.

- I lak spotkam się z Gabrielle. Jeśli chcesz, możemy do niej pojechać razem. Opowiesz jej o *Odrzuconej kobiecie*. Zagroziysz, że wydasz książkę, jeśli Gabrielle nie wycofa fałszywych oskarżeń przeciwko tobie.

- Ta książka nigdy *nie* ujrzy światła dziennego. Tak musi być. Napisałem ją w więzieniu. To bardzo plastyczny... i krępujący... opis wszystkich sposobów zemsty na Gabrielle.

- Zasłużyła sobie na to.

- Nikt nie zasługuje na to, co napisałem. W każdym razie, nie zamierzam dyskutować z Gabrielle. Ona się nie ugnie. Nie może sobie na to pozwolić. Gwałt jest jej popisowym numerem, może nawet biletem wstępu do Białego Domu.

- Ale to wszystko kłamstwa.

- Kłamstwa, które pomogły wielu prawdziwym ofiarom. Dzięki Gabrielle ten świat jest trochę bezpieczniejszy dla kobiet. Także dla Risy.

- Ale Risa cię potrzebuje, a ty...

- A ja potrzebuję Risy - przyznał cicho. - Ale ja tęsknię bardziej niż ona. Daniel jest kochającym ojcem, a Stephanie idealną matką. Risa powinna być razem z Holly. Nic jej nie będzie.

- A tobie?

- Przeżyję. - Na wynędzniałej twarzy pojawił się słaby, choć nieskończenie seksowny uśmiech. - Chyba.

- Chyba? - powtórzyła. Uśmiech zniknął, a na jego miejscu pojawiło się gwałtowne, rozpaczliwe pożądanie.

- Tęskniłem za tobą.

- Ja także za tobą tęskniłam.

- Przez całe życie.

- Jesse...

- Nie chciałem odchodzić, nigdy. Ale sądziłem, że tak będzie dla ciebie najlepiej. Skłamałem, bo wydawało mi się, że będzie ci łatwiej. Dowiedziałem się potem, że takie wyrachowane okrucieństwo nie skutkuje. Patrick powinien mnie przeklinać, a zamiast tego szukał winy w sobie. Nie zawinił w niczym. .. tak jak ty. Ale tak właśnie myślisz, prawda? Zdołałaś sobie wytłumaczyć, że nie jesteś dla mnie dość dobra.

- Mógłbyś mieć każdą kobietę.

W głębi zielonych oczu rozjarzyło się światło i płonęło coraz jaśniej.

- Aleja nie chce każdej kobiety.
- Nie?
- Przecież wiesz. Chcę ciebie, tylko ciebie, Caitlin. Na zawsze. Kocham cię.

Kocham cię. Kocham. Przez całą noc, w świetle tęczyowych klejnotów w oddali, udowadniaj jej swojamiłość, pożądanie, namiętność, które istniały tylko dla niej. Niegdyś ich miłosna noc miała kolor złota i kości słoniowej. Teraz rozbłysła tysiącem oślepiających kolorów.

- Powiniennem wrócić wcześniej - szepnął. - I wróciłbym.

Leżała w jego ramionach tak spokojna i bezpieczna, jakby strzegł jej wielki lew.

- Wróciłeś w samą porę - uspokoiła go.

Zanurzy! usta w jej włosach, splątanych gorącymi pieściami.

- Przeszkodził mi przyjazd małżonki Pana Lwa.

Caitlin uśmiechnęła się wtulona w jego pierś.

- Już tam jest? I co, wzięli ślub?

- Natychmiast. Są bardzo szczęśliwi.

- Uczestniczyłeś w ceremonii?

- Nie. I nie przyglądałem się im. To sprawa prywatna. Okazuje się, że lwy zawierają małżeństwo w chwili, gdy kochają się po raz pierwszy.

Zerknęła na niego, a ponieważ czuła się przy nim tak bezpiecznie, pozwoliła sobie na mały dowcip:

- To znaczy, że masz za sobą całkiem sporą liczbę małżeństw.

- Nie - powiedział poważnie, bez śladu uśmiechu. - Wezmę ślub tylko raz, Caitlin. Z tobą. Tylko z tobą się kochałem, z nikim innym.

Maui
czwartek, 4 lipca

Myliliem się - oznajmił Patrick w dniu jej ślubu.
W dniu ich ślubu.

- Jak to?

- Powiedziałem ci, że Jesse jest samotnikiem, że ma w sobie smutek, do którego nie można dotrzeć. To nieprawda. Jego smutek i odosobnienie znikły... dzięki tobie.

- Och, nie! Ja...

- Nie kłóć się ze mną, bratowo.

- Cóż...

Uśmiechnął się.

- Właśnie.

Tą rozmową rozpoczęli podróż z rezydencji Jesse'a, teraz zaś wracali po zakończeniu misji. Była to misja, o której Jessemu nic nie powiedzieli, co wcale nie było tak łatwe, jak mogłoby się wydawać. Kiedy Patrick poinformował go, że wraz z Caitlin i Amandą wybiera się na ostatnie przedślubne zakupy, Jesse natychmiast zaproponował, że ich zawiezie. Zna doskonale wszystkie pułapki drogi, dodał rozsądnie, a choć niebo jest bezchmurne, bezpiecznie będzie, jeśli to on usiądzie za kółkiem.

Nie, nie trzeba, zaproponował Patrick tak naturabiym tonem, że brat nie zauważył jego zaskoczenia. Ale sprawa nie posunęła się do przodu ani o centymetr, dopóki Amanda nie poświęciła się dla dobra sprawy, prosząc uprzejmego gospodarza, by zechciał ją oprowadzić po domu i ogrodzie.

Później wyjawiała im, jak niespokojne było to krążenie wśród kwiatów, jak Jesse nasłuchiwał wszelkich odgłosów dobiegających zza palm. Patrick i Caitlin wzięli jego samochód z bezszmerowym silnikiem, a brama posiadłości otwierała się równie beszelestnie. Mimo to Jesse ich usłyszał.

Wyszedł teraz na ich powitanie. Schodził po schodach, gdy drzwi samochodu otworzyły się... i po chwili złoty promyk wbiegał po zielonych stopniach, a Jesse pędził w dół... Rzuciła się mu w ramiona, przytuliła do niego główkę w aureoli złotych kędziorów.

- Risa - szepnął, tuląc ją do siebie mocno, może zbyt mocno. - Risa!

Wyglądało na to, że uścisk wcale nie jest dla niej zbyt mocny. A kiedy wypuścił ją objąć i ukląkł, by zająrzeć w błyszczące oczy, nie zobaczył w nich *laku przed rozłąką*.

- Cześć, słodki ziemniaczku - powiedziała na powitanie. Jej uśmiech, taki promienny, taki jak dawniej, zbladł lekko, kiedy ujrziała jego zaszklone oczy. Zamrugał powiekami, opanował głupie serce i Risa znowu uśmiechnęła się radośnie. - Nie potrzebujesz dziewczynki do rzucania kwiatów?

- Potrzebuję.

- Więc jestem! - Dygnęła żartobliwie, a potem coś sobie przypomniała i spoważniała. - Możemy się spotykać, jeśli chcesz.

- Wiesz, że chcę.

- Ja też. Teraz to będzie bardzo łatwe, bo zamieszkas z Caitlin w Los Angeles! Ale... będę mogła czasem przyjechać też tutaj?

- Oczywiście-szepnął.

- A mogę przyjechać z Holly?

- Tak, jeśli... - Jesse poniósł oczy na Caitlin i Patricka, którzy uśmiechali się od ucha do ucha.

Tak, Jesse, Daniel się zgodził - mówił ich uśmiech. Później mieli mu się przyznać, jak razem - Caitlin, Patrick i Amanda - opowiedzieli Danielowi prawdziwą historię Jesse'a. Amanda przygotowała prywatną opinię, bardziej przekonującą od profesjonalnej. Miała przysiąc, że Jesse nie jest zdolny do przemocy wobec kobiet, o którą został oskarżony. A jednak nie zdołała wtrącić ani słowa.

A Daniel? Daniel bardzo chętnie pozwolił się przekonać, bo chciał uwierzyć mężczyźnie, którego Risa darzyła taką miłością. I sam wiedział, że Risa musi mieć kontakt z Jessem.

Teraz znalazła się w jego życiu, już na zawsze.

I już pytała, czy w domu nadal jest jej pokój - naturalnie był - i dowiadywała się, czy będzie mogła obejrzeć małżeństwo śnieżnobiałych lwów i...

Odeszli razem, ręka w rękę, ojciec i córka. Jesse obejrzał się ponad jej złocistą główką i tym razem nie starał się ukryć uczuć.

Spojrzał na swoich bliskich, którzy podarowali mu ten prezent, ten cud... i szepnął:

- Dziękuję.

Pobrali się w raj, o zachodzie słońca - bracia Falconerowie i ich wybranki.

Dziewczynka, dla której powstał *Śnieżna lwa*, niosła ogromny bukicl firm denii i róż. A mały chłopiec, który pokochał ^mężnego *lwa* i pokazał go d/iitl kowi, niósł cztery obrączki z wygrawerowanymi obietnicami wiecznej miłości

Przysięga małżeńska padła pod fiołkowym niebem, w obecności całego klanu Asquithow, Daniela, Stephanie i Holly- Stali się rodziną, związaną ze sobą na zawsze, ku zadowoleniu wszystkich.

Śnieżne lwy także obserwowały ceremonię tak dobrze ukryte w lesie, że tylko Jesse zdawał sobie sprawę z ich obecności. A później, po północy, gdy Jesse stał ze swoją młodą żoną w oszałamiająco wonnym ogrodzie, lwy zdecydowały się pojawić. Caitlin nie dostrzegła ich od razu, tak była zafascynowana widokiem morza w blasku księżyca i szklanego bungalowu, rozjarzonego światłem gwiazd. Ale kiedy spojrzała poza olśniewający klejnot i czarodziejskie morze, ujrzała oba lwy w księżycowym krajobrazie, srebrne w promieniach księżyca.

Lew i lwica. Państwo młodzi. Mąż i żona.

Druga para małżeńska na tej wyspie, pomyślała, obracając się lekko w ramionach Jesse'a. Ruch był nieznaczny, a jednak zakręciło się jej w głowie.

- Caitlin? • - odezwał się Jesse z czułością, zamykając ją w mocnym objęciu, jakby obiecywał, że nigdy nie pozwoli jej upaść.

- Jestem...będziemy...

- Mieli dziecko?

- Tak - szepnęła, znowu bez tchu.

Ale to wspaniałe uczucie oszołomienia nie miało nic wspólnego z ich przysłą córką, ich Maggie, która lekko tańczyła w głębi jej ciała. Zakręciło się jej w głowie z radości na widok jego rozjaśnionych szczęściem oczu.

- Och, Caitlin... Caitlin.

Zaczęli tańczyć, powoli, niespiesznie, skapani w srebrnych promieniach księżyca, obiecując sobie wieczną miłość... i mając pewność, że ich serca, a także serca wszystkich tych, którzy są im bliscy, już nigdy nie znajdą się w niebezpieczeństwie.